

KS. STANISŁAWA GROCHOWSKIEGO

ŻYWOT I PISMA

NAPISAŁ

ADAM BEŁCİKOWSKI.

1892-

(Stydium literackie, uwieńczone nagrodą konkursie Bredkrajca  
prze Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie w r. 1890.

LWÓW.

Z DRAKARNI WŁADYSEAWA LOZIŃSKIEGO.

WARSZAWA.

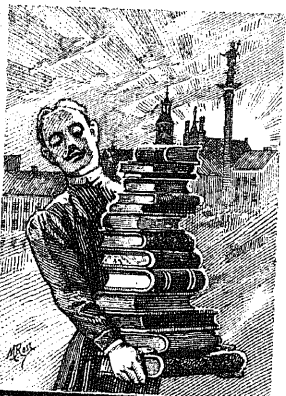
TEODOR PAPROCKI I SPÓŁKA.

1892.

*km* *A 11560*

Ks. STANISŁAWA GROCHOWSKIEGO  
ŻYWOT I PISMA.

- 1892 -



STOW. SPÓŁDZIELCZE  
- SWIATŁO -  
KSIĘGARNIA I ANTYKWARNIA

POUCHROTY WARSZAWA

KS. STANISŁAWA GROCHOWSKIEGO

ŻYWOT I PISMA

NAPISAŁ

ADAM BEŁCIKOWSKI.

— 1892 —

(Stydium literackie, uwieńczone nagrodą na konkursie Bredkrajca  
przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie w r. 1890.

884-09 (A12) = 92(438) (A12)

LWÓW.

Z Drukarni Władysława Łozińskiego.

WARSZAWA.

TEODOR PAPROCKI i Ska.

1893.

ZAKUPIONO  
od *z księżarni S. Scipella*  
dla  
MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PIA  
w *Łodzi*  
No *31410* dn. *18. V. 1936.*  
*107309/64*



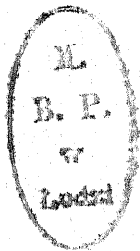
BRACIOM MOIM

STANISŁAWOWI, FRANCISZKOWI

NA PAMIĄTKĘ

AUTOR.





## I.

### WIDOK OGÓLNY.

Pisarz, o którym mówić zamierzamy, dziecięcą pamięcią zasięgał jeszcze prawdopodobnie ostatnich lat panowania Zygmunta Igo, wiek młodzieńczy przeżył pod berłem Zygmunta Augusta, za Henryka Walezego i Stefana Batorego wkroczył w lata męskie, a dożywszy sędziwej starości, rozstał się z tym światem wtedy, kiedy Zygmunt III. dwudziesty piąty już rok siedział na tronie polskim. Dosyć późno, przynajmniej o ile to możemy wiedzieć z pozostałych po nim utworów, wziął się do pióra, zrazu dorywczo tylko i w znacznych od siebie odstępach nim się zabawiał, tak, że właściwe i mniej więcej trwałe jego działanie autorskie zaczyna się dopiero z wstąpieniem na tron pierwszego z dynastji Wazów. Czytając jego dzieła mamy dlatego przed oczami przedewszystkiem czasy Zygmunta III., w tę epokę umysł nasz za powodem autora się przenosi, a jeśli czasem i o dawniejszą potraci, to dzieje się to tylko wtenczas, kiedy nasz autor od bieżącej chwili i obecności wspomnieniem swoim w dawniejsze lata sięgnie i tę lub ową osobistość historyczną, takie lub owakie zdarzenie przypomni dla porównania lub wystawienia przeciwieństwa z tem, na co właśnie teraz patrzył i o czem pisał.

Grochowski zatem jako pisarz należy wyłącznie do czasów Zygmunta III. To co w losach narodu i w dziejach oświaty przed tym czasem zaszło, odbija się w jego pismach chyba tylko jako wpływ moralny, kształtujący życie nmysłowe jednostki i nadający pewien kierunek jej zapatrywaniu się na rzeczy. Nie wątpimy też

bynajmniej, że na umysł i serce Grochowskiego musiał oddziaływać widok, jaki przedstawiał mu jego kraj za czasów Zymunta Augusta i Batorego — poświadcza to przecież nie jedno błogie i piękne wspomnienie, zapisane przez niego na kartach, na których wiersze swoje tworzył. Ta tak bliska przeszłość, w której zarazem dla wszystkich zawsze najmilszy wiek młodzieńczy mu upłynął, ma dla niego jakiś urok idealny i posiada w jego oczach jakąś wyższość i większą od czasów następnych doskonałość. Czuł on zapewne, jak wielu z jego współczesnych, że to co było wczoraj, nie jest już dzisiaj; że za ich życia, przed ich oczami dokonywa się w dziejach narodu przełom, który potomność jeszcze wyraźniej zobaczy i uzna za rozgraniczenie dwóch różnych od siebie epok: złotego okresu Jagiellonów i początku nachylenia się Polski ku upadkowi, datującego się już od pierwszych królów obieralnych.

Zygmunt August jest też dla niego „królem wielkim polskiej korony“<sup>1)</sup>, a wiekopomne jego dzieło, doprowadzenie do skutku Unii korony z Litwą, tą granitową podwaliną, na której potęga Polski miała się oprzeć i na długie lata ustalić:

On sam, szczęśliwszy nad przodki,  
Przez rozmaite swe środki  
Przywiódł do wieczystej zgody  
Litwę z polskimi narody,  
Skąd dziś ogromni każdemu  
Nieprzyjacielowi swemu.<sup>2)</sup>

Ta zgoda wewnętrzna i wpływające ztąd silne stanowisko na zewnątrz, obok innych jeszcze szczęśliwych okoliczności, które ostatniemu Jagiellonowi więcej niż jego następcom sprzyjały, zapewniły Polsce bezpieczeństwo od sąsiadów i długotrwały, chwilowemi tylko walkami na kresach bez większego znaczenia ledwie kiedy zamącony pokój. Za pokojem szła pomyślność powszechna, dobrobyt i zamożność coraz większa uprzywilejowanych przynajmniej klas społeczeństwa. Słusznem i dowodzącem nie małej bystrości w sądzie o niedawnej przeszłości, było zdanie Grochowskiego, kiedy w trzydzieści lat po śmierci Zygmunta Augusta powiedział o jego panowaniu:

Snać jeśli miał pisać (Warszewicki) o tem,  
Nasz on wiek mógł nazwać złotym,

<sup>1)</sup> W wierszu: August Jagiełło wzbudzony.  
<sup>2)</sup> Tamże.

Tak szczęsne było, eny panie,  
Augustowe panowanie,  
Gdzie próżna krwawego boju  
Zakwitła Polska w pokoju<sup>1)</sup>.

Nie zapomniał również Grochowski i wiedział o tem, a nawet dobitnie to zaznaczył, że nietylko ów błogi pokój pozwalający używać swobodnie i bez troski życia, ale także praca umysłowa i rozwój piśmiennictwa przyczyniły się do świetności tego złotego okresu, i temu co rządził wtedy krajem, jeśli nie za sługę winny być poczytane, to przynajmniej chluba i chwałą jego być mogą:

A to chwały czy nie godno,  
Że ten kraj dosyć ozdobno,  
Za niego stał uczonymi  
I ludźmi dosyć ostrymi?  
Jakich oraz za żadnego  
Nie było króla polskiego<sup>2)</sup>.

W takich barwach jasnych i świetnych przedstawiał się Grochowskiemu, jako wspomnienie z młodości, obraz panowania Zygmunta Augusta. W ogólnych zarysach obraz to podobny bardzo do tego, jaki tradycją długich lat przeszedł do wyobrażeń naszego społeczeństwa i który utrzyma się w nich bezwątpienia na zawsze, choćby historycy z powołania w tym lub owym punkcie faszywość jego rysunku lub przesadę w kolorycie wykazywali.

Krótkie panowanie Stefana Batorego inaczej, ale niemniej silnie i błogo zapisało się w pamięci Grochowskiego. Batory, to wyobrażenie orężnej potęgi Polski dla niego, potęgi, przed którą korzyli się dokoła sąsiedzi i której zaczepiać się obawiali, dopóki silna i bohaterańska ręka króla miecz dźwierżyła. Jak niedawno temu Kochanowski porównywał Batorego do starożytnych Bolesławów, tak i Grochowski widział w nim zwycięzcę i króla nad króle, jakich nieba nie zawsze i rzadko tylko Polsce użyczały:

Sama zazdrość... i taby zeznała,  
Że na państwo tuteczne, ile z obcej strony  
Nie wchodził mąż tak wielki pod zimne Tryony,

<sup>1)</sup> Tamże.  
<sup>2)</sup> Tamże.

Któryby w powinność swą tak patrzył głęboko,  
Boga się bał, a granie pomknął tak szeroko<sup>1)</sup>.

A te pochwały, któremi obsypywał Batorego, wychodziły z pod pióra naszego poety nietylko za życia wielkiego króla, kiedyby mogły wyglądać na pochlebstwo, patrzące nagrody z rąk sławionego, ale częściej jeszcze już dość późno po jego śmierci, już wtedy, kiedy inny na tronie siedzący król mógł tem entuzjastycznym uwielbieniem swego poprzednika czuć się poniekąd dotkniętym i mieć urazę do autora za porównanie, które bez żadnej osłony temu poprzednikowi niezaprzeczoną wyższość oddawało. Wszakże to już za panowania Zygmunta III. wyrażał Grochowski to idealne swoje pragnienie, aby w chwili, gdy „pohańska moc pięła się aż pod nieba“ i Polsce groźną się stała, mógł jej na pomoc przybyć z nieba

Bohater z Szomla<sup>2)</sup>, wilkozęby, coby  
Rozprószył te psy strachem swej osoby<sup>3)</sup> —

a później jeszcze (r. 1605), kiedy oplakiwał zejście Jana Zamojskiego i kiedy mu przy tej sposobności przyszło wspomnieć o Batorym, jasno i wyraźnie, z całą szczerością uczucia wielkość tego monarchy i jego wyjątkowe znaczenie w rządzie królów wypowiedział:

Król Stefan, któremu nie miała  
Dawno równego Polska jak z początku wstała<sup>4)</sup>.

Po śmierci Batorego fizyognomia czasów inny przybierać zaczęła niedługo wyraz, odmienny wielce od tego, jaki został w pamięci ludzi, co jak Grochowski wspomnienia swej młodości porównywać mogli z wypadkami w późniejszych latach ich życia zaszłemi.

Naturalnem następstwem elekcji, poczynającej się faktycznie od zgonu ostatniego Jagiellona, było zmniejszenie powagi królewskiej i uroku, jaki majestat panujących dotąd posiadał. Najmniej szlachcic chodackowy, dufny w swoje prawo głosowania *vir-*

<sup>1)</sup> W wierszu: Na konterfet króla Stefana przy Postylli Wujka.

<sup>2)</sup> Stefan Batory de Somlis.

<sup>3)</sup> W wierszu na kronikę polską J. Bielskiego 1597.

<sup>4)</sup> Łzy smutne po zejściu J. Zamojskiego.

*tim*, mógł sobie roić, i niejeden roił sobie z pewnością, że ten, który został obrany królem, jemu także w części zawdzięczał swoją koronę. W miarę jak w skutek podobnych wyobrażeń malało znaczenie królewskości, rosła z drugiej strony buta i wielkie o sobie rozumienie szlacheckiego gminu. Toć każdy z nich przecie był elektorem, niby równym owym książętom Rzeszy Niemieckiej, a prócz tego, skoro Piast mógł także usiąść na tronie, był jeszcze czemś więcej, bo mógł zostać i elektem i dorównać tym, których robił królami.

Nie ośm osób, ośmdziesiąt, lecz tysięcy braci  
Polska ma elektorów — wszystkie kandydaci —

powiada Wacław Potocki w *Poczcie Herbów*, sławiąc wysokie znaczenie szlacheckiego klejnotu w czasach o wiele już późniejszych, ale wyrażając bez wątpienia myśl, która od samego już początku po szlacheckich głowach się błąkała. Nie chcemy twierdzić, żeby się to działo całkiem na seryo; była to więcej tylko fantazja ludzi nawykłych do swobody wyobrażeń i swego zdania, bujny animusz uprzywilejowanej klasy, która znaczenie swoje lubiła zestawiać ze znaczeniem najwyższej w kraju władzy, lecz bądźco bądź z pojęć tego rodzaju musiał się także wytworzyć inny stosunek poddanych do swego króla niż w czasach, gdy władza monarsza prawem następstwa przechodziła w jednej dynastji z ojca na syna, gdy do korony przywiązany jeszcze był urok niezależnej od ludzi łaski Bożej.

Cóż dopiero mówić o wielkich rodach, o magnatach, stojących na czele partyi i trzęsących całemi województwami? Kiedy na tronie zasiadł król, którego sobie nie życzyli, usuwali się od tronu, dawali królowi uczuć, że go nie uznają i bez niego obejść się potrafią. Jeżeli znów berło dostało się takiemu, którego kandydaturę popierali, uważali go za swego dłużnika, który z winnej im wdzięczności hojnie wypłacić się był obowiązany. Zdawało im się, że korona, którą przywdział, była darem z ich woli i łaski pochodzącym, więc niechby król ich chęciom się sprzeciwił, życzeniom nie uczynił zadość, okrzyczeli to zaraz za czarną niewdzięczność i zapomnienie o najświętszej powinności, na które wolno się było oburzać, sarkać głośno, a nawet jeśli się dało, mścić za to jawnem lekceważeniem i nieposłuszeństwem. W całej epoce królów elekcyjnych raz po raz widać takich możnowładców, co obrażeni lub rozdąsani tak się stawiają, jakby władza królewska ich nie obowiązywała, jakby każdy z nich był drugim

jakimś królem, niezależnym od tego, który faktycznie na tronie siedział.

To nieposzanowanie królewskiej władzy i powagi dochodziło czasami, w chwilach namiętnych starć domowych, do ostatecznych granic przyjętej między ludźmi przyzwoitości. W żywym słowie i w pisanych pamfletach, często z ust lub z pod pióra najlichszych kreator, obrzucano królów przezwiskami, które byłyby zdolne obrazić do żywego najniższego z jego poddanych. „Ten Szwed“ lub „wywłoka jezuicki“ lub wreszcie „stolnik litewski“ powtarzane głośno i bezkarnie przez tysiączne usta buntowniczych i pałających nienawiścią poddanych, są takimi drastycznymi dokumentami lekceważenia, jakiego ukoronowane głowy w tych czasach nie jeden raz doznawały.

Stefan Batory zdołał jeszcze utrzymać się na wysokości majestatu królewskiego i wzbudzić dla siebie poszanowanie. Wielkie czyny wojenne i wielkie zdolności umysłu kazały go szanować nawet tym, którzy nie chcieli lub nie mogli uwielbiać go i kochać. Umiał on także trzymać w ryzie butne animusze panów i grozą zmusić ich choćby do biernego posłuszeństwa. Gdy było potrzeba nie wahał się głośno i wyraźnie powiedzieć, że nie chce być malowanym królem i słowa swoje umiał poprzeć wymowniejszem jeszcze stuknięciem o szablę. Jego następca, Zygmunt III., ani tych darów natury, ani zasług, ani tego hartu ducha nie posiadał. Od pierwszego postawienia nogi na ziemi polskiej odstręczył od siebie serca swoich poddanych. Jak Jan Zamojski za pierwszym widzeniem powitał go sarkastyczną nazwą „niemego djabłęcia“, tak odtąd przez całe długie swoje panowanie nie przemówił on niczem ujmującem ani do serca narodu ani do jego wyobraźni. Był zawsze i ciągle osobistością niesympatyczną dla Polaków, a tem samem ciążyła na nim najgorsza fatalność, jaka królowi i władcy może psuć szyki nawet w najlepszych jego zamysłach. Polityka jego nieszczera, nie w duchu narodowym i nie dla korzyści narodu prowadzona, pociągnęła za sobą nieufność, a potem i zupełne odpadnięcie od niego wszystkich, dla których ideałem była Polska z czasów Jagiellońskich i Batorego. Król miał zachcianki absolutystyczne, a nie miał zdolności i tyle siły w sobie, aby przeciwne temu usposobienie narodu przełamać i poddać pod swoją wolę. Nie umiejąc utrzymać po swej stronie ludzi takich jak Jan Zamojski, zraziwszy ogół niesympatyczną swą osobistością i wstrętną dla Polaków polityką, otoczył się kamaryllą, złożoną z oddanych mu bezwarunkowo karyerowiczów i z licznych grona

Jezuitów, którzy największy i nieograniczony wpływ na całe jego polityczne działanie wywierali. „Gostyński, Laterna, Skarga — pisze Szujski<sup>1)</sup> — nie odstępowali Zygmunta. Oni to utwierdzali w nim poczucie obowiązku służenia katolicyzmowi, oni gruntowali w nim idee monarchiczne. Ich wpływem nacechowane całe jego panowanie“.

Tym sposobem po jednej stronie stanął król, po drugiej naród jako dwaj niechętni sobie i nieprzyjaźni przeciwnicy. Walka rozpoczęła się najprzód na słowa i argumenta, i na sławnym sejmie inkwizycyjnym (1592) król został pociągnięty do odpowiedzialności za swoje tajemne dyplomatyczne matactwa. Przyciśnięty do muru przez opozycję, nie mogąc całkiem się uniewinnić, przydusił sprawę złożeniem deklaracji, w której gołosłownie czynionych mu zarzutów się wypierał i na przyszłość unikanie wszystkiego, coby do podobnych podejrzeń wiodło, przyrzekał. Na chwilę tem przytłumione wrzały jednak dalej wzajemne niechęci i przyszło wreszcie do tego, że oręż musiał między dwiema stronami rozstrzygać. W rokosz Zembrzydowskiego (1606—1608) wybuchła po raz pierwszy w dziejach polskich domowa między królem i opozycją wojna. Zygmunt wyszedł z niej zwycięzcą, ale było to Pyrrusowe dla niego zwycięstwo. Powaga królewska poniosła w jego osobie, podobnie jak na sejmie inkwizycyjnym, po raz drugi szwank jeszcze dotkliwszy.

Równocześnie z niebezpieczeństwem wewnętrznym, wynikiem z niezgód przy elekcji królów, z upadku dawnego uroku majestatu i ze zdarzających się z tego powodu wojen domowych, w tej epoce pojagiellońskiej rosły także ze wszech stron groźne dla Polski niebezpieczeństwa zewnętrzne. W tym wypadku nie był już nikt winien, ani król, ani naród; wynikało to jedynie z naturalnego rozwoju dziejów, z nowego kształtowania się stosunków europejskich, że ów błogosławiony spokój czasów zygmunto-wskich miał się Polsce na zawsze zamącić. Zbliżyły się bowiem w tych czasach do niej i u jej granic rozrosły dwie silne potęgi, z któremi długo musiała się mocować i łamać, aż wreszcie w zapasach z jedną z nich powalona upadła. Turcyja i Moskwa były tymi nowymi a groźnymi nieprzyjaciółmi. Pierwsza przez zajęcie znacznej części Węgier przybliżyła się o wiele do granic Polski, i jako państwo zaborcze naturalnym popędem wiedziona parła się

<sup>1)</sup> Dzieje Polski III, 139.

coraz dalej ku północy, gdzie na swej drodze właśnie Polskę znajdowała. Moskwa znowu, długo dla Polski obojętna i wcale nie groźna, gdy zrzucając do reszty jarzmo tatarskie i podbiwszy wielką część ziemi dawnych swoich panów, usamowolniła się, w siłę urosła i granice swoje do możliwych krańców na wschód rozszerzyła, teraz całą swoją potęgą zwróciła się ku drugiej stronie i zapalczywy rozpoczęła z Polską bój o ruskie krainy niegdyś z dziedzictwem Jagiellonów przez tę ostatnią pozyskane.

W ten sposób weszła Polska w peryod ustawnych wojen z temi dwiema silnemi i niebezpiecznemi potęgami. Genialny unyśł Batorego przewidział od razu, od samego początku to groźne niebezpieczeństwo i chciał je w zarodku przewagą oręża zażegnać i zdławić. Nieszczęśliwym dla Polski wypadkiem zamiary swoje tylko w pewnej części mógł przyprowadzić do skutku, bo większą pochłonął grób zawczesny wraz z jego ciałem. Pod pierwszym też jego następcą rozpoczyna się już ten szereg nieskończonych walk, w których Polska nieraz świetne odnosi tryumfy, ale które bądź cobyż wyniszczają jej siły jakby ciągła gorączka organizm trawiąca, i przez wiek cały z Turcją przez dwa blisko z Moskwą niepokoją ją co chwila, nie dają jej odetchnąć i o wzmocnieniu się na wewnątrz pomyśleć.

Urosł jeszcze Polsce i trzeci nieprzyjaciół w owych czasach, nie tak bez ustanku ją trapiący, nie tak niebezpieczny z powodu większego oddalenia i nie tak silnej potęgi, ale który mimo to nabawił ją klęsk niemało i w pewnej chwili nawet omal do ruiny nie przyprowadził. Tego nieprzyjaciela ściągnęły Polsce na kark dynastyczne pretensje Wazów do korony szwedzkiej. I znowu wojny te od początków panowania Zygmunta III. przez lat sześćdziesiąt niepokoiły Polskę, a na domiar nieszczęścia władali wówczas Szwecyą najdzielniejsi jej królowie, taki Gustaw Adolf, którego geniusz z nic nieznaczącego przedtem w Europie państwa zrobił pierwszorzędną potęgę, i taki Karol Gustaw, który łączył w sobie szczęśliwie zuchwałość awanturniczego zdobywcy z przymiotami znakomitego wodza.

Z wszystkimi tymi nieprzyjaciółmi rozprawiała się Polska orężnie już za Zygmunta III i przeważnie, choć z wielkim trudem i kosztem najszlachetniejszej swej krwi, wychodziła z tych walk szczęśliwie. Król sam nie miał wcale rycerskiego ducha ani wojennych zdolności, miał jednak to szczęście, że na czele jego szyków stali Jan Zamojski, Chodkiewicz, Żółkiewski, ludzie bohater-skiego ducha, dzielni hetmani i w sprawach wojskowych dobrze

wyćwiczeni. Nasz poeta Grochowski nie miał prawie nigdy powodu do opłakiwania klęsk oręża polskiego, a za to widział w owych czasach Byczynę, Kirehholm i Kluszyn, a na samym schyłku życia, na pół roku przed śmiercią, doczekał się jeszcze tego, jak król po zdobyciu Smoleńska powracał uszczęśliwiony na sejm do Warszawy i tryumfalny sprawiał wjazd Żółkiewskiemu, wiodącemu pojmanyh w Moskwie carów Szujskich.

Do dalszych objawów społecznego życia, nadających chwili, na której obecnie wzrok nasz spoczywa, charakterystyczne jej znamiona należy reakcyja katolicyzmu, a wkrótce i zupełny upadek reformacyi. Niezgoda w łonie samychże różnowierców była najpierwszą przyczyną tej zmiany, jaka na ich niekorzyść w tych czasach zaszła. Przeróżne sekty dyssydenckie, których rozrostowi przedtem wolność polska tak dobrze sprzyjała, nie mogły nigdy przyjsć do porozumienia się ze sobą, większą jeszcze wzajemną nienawiścią pałały do siebie niż do katolików, i zużywały swoje siły w tej bratobójczej niejako wojnie. W takim stanie rzeczy, kiedy katolicyzm w miejsce obojętnego dawniej na te sprawy Zygmunta Augusta doczekał się za Batorego silnej podpory i pomocy od tronu, zwycięstwo jego nie mogło podpadać wątpliwości. Reformacya upadła też gwałtownie już za Batorego, choć król ten nie wywierał na nią krzyczącego nacisku i z całą względnością z nią się obchodził. Zygmunt III zabrał się do jej wykorzenienia z fanatycznym prawie zapalem; była to można powiedzieć jedyna myśl, która apatyczne zwykle jego usposobienie rozruszać była zdolna i do żywej, nieutrudzonej akcyi pobudzić. Skutki odpowiedziały jak najlepiej jego zamiarom; niedługo oczyścił on Polskę całkiem z protestantyzmu, a wcześniej jeszcze (1596) przez Unię Brzeską przywiódł wyznawców kościoła wschodniego w Polsce do uznania zwierzchności papieskiej. Katolicyzm na całej linii odniósł zwycięstwo za jego panowania.

Jak pierwszymi motorami, tak i prawą ręką króla w przeprowadzeniu tego dzieła byli Jezuici. Sprowadzeni do Polski przez Hozjusza dla obrony katolicyzmu i do walki z reformacją, i tutaj jak gdzieindziej tworzyli bitną, karną i wyćwiczoną armią kościoła rzymskiego przeciw wszelakim jego przeciwnikom i wrogom. W pismach polemicznych, w dysputach i kazaniach pokonywali heretyków na głowę, a równocześnie w zakładanych przez siebie po całym kraju szkołach wychowując młode pokolenia i wpajając w nie swoje zasady i pojęcia, zapewniali sobie panowanie nad unyśłami i pracowali nad stworzeniem innej, bezpiecznej

od kacerskich błędów przyszłości. Byli to ludzie całą duszą oddani swemu powołaniu i swej idei, zręčni i śmieli, wykształceni gruntownie i wielostronnie, w niektórych względach postępowi i często niezwykłymi obdarzeni zdolnościami. Takimi są prawie wszyscy Jezuiti otaczający króla, pomiędzy którymi Piotr Skarga jaśnieje swym talentem, złotoustą wymową i prawem sercem. Różnią się też oni wielce od tych swoich następców, od tej, jak ich Szujski nazywa „późniejszej, zdegenerowanej swojej braci“<sup>1)</sup>, którzy straciwszy pierwotne wysokie cele z oka, zerwawszy łączność z narodem i wspólne z nim czucie, dbali tylko o materialną pomyślność zakonu i spadli na ten niski poziom moralny, który zwykle bywa udziałem wszystkich, co nie mają już nic więcej do czynienia tylko spoczywać na laurach. „Jezuiti XVIgo wieku są Polakami“<sup>2)</sup> i broniąc praw kościoła, zwalczając protestantyzm, pracują oni zarazem w tej myśli, ażeby krajowi dać jedność, wyrwać go z zamętu niezgodnych mniemań i wierzeń, i tym sposobem natchnąć go nową siłą i wzmocnić w nim obywatelskiego ducha. We wszystkich nawoływaniach Skargi, zwłaszcza w jego Kazaniach Sejmowych, brzmi głośno ten gorący patriotyzm, który on w sercu swoim umiał tak pięknie połączyć z wiernością kościołowi i miłością Boga. A jak każde szlachetne uczucie, którego wyższość i prawdę ludzie uznać i uszanować muszą, i ta widna w ich czynnościach miłość ojczyzny, stawała się nową bronią w rękach owoczesnych Jezuitów i wiele się zapewne przyczyniła do tego, że ludzkie serca do nich lgnęły, a przekonania im się poddawały.

Z takimi przeciwnikami trudna była walka. Na nieszczęście dla siebie dyssydenci, którzy za Zygmunta Augusta tyłu w swych szeregach liczyli uczonych i wymownych mężów, teraz naprzeciwko Jezuitom coraz mniej mogli ze swego groma wysłać dzielnych bojowników. Nie wytrzymali też długo ciągle ponawianych natarć i zwyciężcom wolne zostawili pole.

W skutek tego powrotu na łono prawowierności odmieniło się wielce oblicze społeczeństwa od początku 17. wieku. Ustawiały coraz więcej aż i ustały zupełnie dysputy i spory religijne, znikła dawna swoboda wyobrażeń i wolność zdania w rzeczach wiary dotyczących; umysły, które dotychczas pograżały się częstokroć w zaciekaniach i wątpliwościach filozoficzno-religijnych, poddały

<sup>1)</sup> Dzieje Polski III, 88.

<sup>2)</sup> Tamże.

się wyrokom i orzeczeniom kościoła, jako jedynej i nieomyłnej instancyi. Dawniejsza obojętność, sceptycyzm albo niewiara ustąpiły miejsca ortodoksji, pobożności i dewocji posuniętej częstokroć do fanatyzmu i zabobonu. Tak działo się między szlachtą wyższą i niższą, która niegdyś w większej swej części albo jawnie protestantyzm wyznawała albo też rozbudzonemi przezeń pojęciami mocno była zarażoną. Tak działo się również między duchowieństwem, a zwłaszcza wyższą hierarchią. Biskupi polscy z czasów Zygmunta I. i jego syna, podobnie jak ich koledzy w reszcie Europy, ulegali wpływowi tego świeckiego ducha i materyalistycznego prądu, jaki powiał na świat z odrodzenia się starożytnych pojęć w renesansie, jako też z wolnomyślności pierwszych reformatorów i tych wszystkich sceptycznych umysłów, które im drogę torowały. Nie odznaczeni się bynajmniej pobożnym i moralnym życiem; światowe sprawy i przyjemności mniej albo więcej szlachetnej natury zajmowały ich więcej niż rzeczy religii i zbawienie oddanych pod ich pieczę owieczek i byli nawet tacy, którzy wprost gorszyli wiernych i maluczkiek swawolą obyczajów i więcej czasem niż obojętnością w sprawach kościoła i wiary. Ale gdy gromki głos reformatorów, wstrząsając fundamentami potęgi kościoła, wstrząsnął także i sumieniami jego zwierzchników, wszystko, najprzód gdzieindziej, tam gdzie była głowa katolickiego społeczeństwa, a potem i u nas inną zupełnie musiało przybrać postać. Począwszy od papieży aż do najniższych sług kościoła, którzy z jego szeregów jawnie nie wystąpili, w obyczajach, w życiu prywatnem i publicznem, w zachowaniu się względem wiernych, w pojęciach o obowiązkach stanu i stanowiska, do gruntu sięgająca i stanowiąca nastąpiła niedługo reforma. Sobór Trydencki ujął w karby swoich uchwał i ustaw tę katolicką reformację, usunął nadużycia, zaostriżył karność, i podniósłszy moralną wartość kościoła, uczynił go także silniejszym wobec przeciwników i czcigodniejszym dla wiernych jego sług i zwolenników.

Głównym reformatorem kościoła polskiego w duchu Soboru Trydenckiego był kardynał Hozyusz. Jego to pracom i usiłowaniom, jak również przykładowi, który ten surowej enoty mąż dawał ze siebie, zawdzięczał on przedewszystkiem swoje odrodzenie się i podniesienie w opinii ludzkiej i własnej. Tacy dygnitarze kościelni jak Gamrat, Dzierzgowski, a podobno i Latański, jak dwuznaczny prymas Uchański, dla których trony biskupie były więcej stopniami senatorskimi dającymi znaczenie i bogactwa, niż godnościami kościelnymi obowiązującymi do pełnienia pasterskich powinności;

u których rozkosze świeckie, ambicja, próżność albo niespokojny duch intryganki szły przodem przed godnością ich powołania i dobrem kościoła — tacy dygnitarze kościoła wymierają w tych czasach bez następców, i znikają z widowni dziejów, jako osobistości będące tworem innej epoki, niezgodne z duchem tej, która przysłała. Ich miejsca biorą teraz ludzie przejęci ważnością swego powołania, gorliwi w wierze, surowi w obyczajach, poświęcający się naukom albo pełnieniu uczynków miłosiernych. Świecka szata, tak często zakrywająca u ich poprzedników ich stan właściwy i nadająca im niesympatyczną ale oryginalną fizygnomia światowców na duchownej roli kościoła wygodnie się hoduujących, opada z nich całkiem, i stają przed nami zgodnie ze swoim powołaniem w charakterze poważnych i czcigrych przewodników hierarchii.

Ten surowo-religijny kierunek, jaki równocześnie z reakcją katolicką zapanował w kościele i w wychowaniu szkolnem, przeważnie w rękach duchowieństwa i Jezuitów będącem, wpłynął także silnie na usuwanie tych pojęć, jakie nauki humanitarne w wieku 15. i 16. w umysłach wytwarzały, na osłabienie znaczenia tychże nauk i tego, co pod ogólnem mianem renesansu rozumiemy. Jak protestantyzm od samego początku, jak Luter naprzykład, naukom humanitarnym i renesansowi był przeciwny, uważając je za pierwiastek niechrześcijański, z duchem religii objawionej niezgodny i jemu nieprzyjazny, tak później katolicyzm, po ciężkich walkach i przeprowadach z nowożytną wolnomyslnością, po większej części na wolnomyslności starożytnej się opierającą, począł zwolna od klasycznego świata stronić i usuwać się. Nie idzie za tem, ażeby języki klasyczne, a szczególnie łacina, jak dawniej nie były i teraz podstawą wykształcenia, ażeby nie czytano starożytnych autorów i nie pisano nowych książek po łacinie, jak się to przedtem działo. I owszem, to wszystko pozostało według dawnego zwyczaju; tylko to, co w starożytności przeciwnem było duchowi chrześcijaństwa, co siłę wiary mogło osłabić, co duchowości nauki Chrystusowej zagrażało w niej zmysłowością i materializmem pogańskim, — to jako zgubne dla moralności i zbawienia wiernych, starano się w cień usunąć, milezeniem pokryć, albo wprost oskarżyć o bezbożność i potępić. W skutek tych usiłowań zapatrywania się na świat starożytnych mędrców, ich filozoficzne nauki i idee, zarówno jak i zmysłowy urok, którym klasyczni artyści i poeci odziewali swoje utwory, i który przenosili także na życie i otaczającą człowieka naturę, zaczęły stopniowo tracić swoją wartość w oczach ludzi 17. wieku, coraz mniej zasługiwać na wiarę i zau-

fanie i coraz słabszy na nich wywierać powab. W istocie, jeżeli dążnością czasu było wzmocnić przede wszystkim wiarę w umysłach, na co im była potrzebna, czy raczej nie była dla nich szkodliwą, owa filozofia starożytna, co ze samodzielnej badawczości ducha ludzkości się zrodziła, i z objawieniem nie tylko nie wspólnego nie miała, ale częstokroć sprzeciwiała mu się i przeczyła? Tak samo, jeżeli chodziło o większe umoralnienie społeczeństwa, o wpojenie w nich cnót ewangelicznych, które zwykłą miarę doskonałości ludzkiej przechodzą, na co się mogli zdać, czy nie przeszkadzali tu raczej owi poeci, co śpiewali mitologiczne romanse bóstw, żar namiętności w młodych piersiach swojemi erotycznymi wynurzeniami podniecali, i poza ziemią i roskoszami tego świata nie widzieli innego nieba i innej nagrody za trudy i cierpienia życia? Jeżeli wreszcie chodziło o uspokojenie umysłów szarpanych i zmęczonych niedawnymi walkami religijnymi, o uchronienie ich od sceptycyzmu i wątplenia, które je w ramiona rozmaitych obozów i sekt dyssydenckich oddawały, to i na to najlepszą radą było rzucić zasłonę na ten świat starożytny i usunąć tym sposobem z przed oczu ludzkich to pierwsze źródło, z którego się niemal wszystkie nieprawowierne zdania i wątpliwości zrodziły.

Litera zatem, że się tak wyrażę, starożytnego klasycyzmu wobec takich stosunków mogła pozostać nietknięta i pozostała; tylko ten jego duch ziemsko-zmysłowy, który przez wiek 15. i 16. na sztuce i literaturze zarówno jak i społecznem życiu zachodniej Europy tak odrębny wycisnął charakter, a oryginalnem znamieniem odbił się także na naszym piśmiennictwie w czasach ostatnich Jagiellonów, ten duch musiał ustąpić przed zakłębieniem, jakim na niego rzuciła późniejsza reakcja i restauracja religijno-katolicka.

Literatura nasza 16. wieku, jak wiadomo, rozwijała się pod hasłami, z których jedno, to jest reformacja już od początku następnego stulecia ucichła, a drugie, to jest odrodzenie, coraz słabszem odzywało się echem. Ażeby tylko wskazać te kierunki na najcenniejszych osobistościach, przypomnijmy sobie, że taki Orzechowski zarówno w łacińskich jak i polskich pismach, a Górnicki w książkach po polsku pisanych, przeszczepili na polską niwę ozdobność klasycznego stylu, a językowi narodowemu nadali tok starożytnym językom właściwy; że taki Rej tak prozą jak i wierszem za sprawę reformacji walczył, zaczepnie i nieprzyjacielsko przeciw katolicyzmowi występował, i utwory swoje napiętnował silnie duchem wolnomyslności jak i pewnym rubasznym animuszem szlacheckim, który nie wyrósł bez wątplenia bez niejakiego



nań wpływu tej swobody życia i zamiłowania światowych przyjemności, jakie do nowożytnej Europy, przydusiwszy ascetykę i ogładziwszy barbarzyństwo średnich wieków, sprowadził za sobą renesans. Najlepszym jednakowoż i najdoskonalszym typem polskiego pisarza z 16. wieku jest i pozostanie Jan Kochanowski, bo z jednej strony góruje nad innymi talentem, z drugiej znów łączy w sobie oba te przewodnie w owej epoce kierunki. O klasycznym zakroju jego stylu i klasycznym duchu jego poezji wystarczy tutaj samo wspomnienie; rzecz to bardzo dobrze znana i utarta. Jest on też dlatego w gruncie rzeczy świeckim i światowym jedynie poetą; jego natchnieniem kierują same tylko czysto-ludzkie motywa, podobnie jak się to działo u starożytnych pisarzy, których sposobem myślenia się przejął. Nie zmieniając wiary, w której się urodził, nie ogłaszając się ani na chwilę wyznawcą którejkolwiek z sekt protestanckich, i będąc zawsze do końca życia katolikiem, w przekonaniach religijnych i filozoficznych nie krępował się nigdy ani katechizmem ani nauką lub przepisami jakiegokolwiek kościoła. Mistrzami, których więcej pod tym względem słuchał, niż katolickich księży albo protestanckich ministrów, byli dla niego starożytni filozofowie i poeci w tym rodzaju co Horacy, u którego sztuka szła w parze z trzeźwym zapatrywaniem się na życie i naturę ludzką. Stądto zapewne także poszło, że dzisiaj o religijności Kochanowskiego tak różnorodne i wprost przeciwne słyszeć się dają zdania. Jedni, opierając się na tym fakcie, że nigdy wiary nie zmieniał i przeciw kościołowi katolickiemu nieprzyjaźnie nie występował, mają go za gorliwego, z pewnemi tylko ludzkiemi słabościami, katolika. Inni znowu, widząc jego namacalną obojętność w rzeczach wiary i swobodę poglądów z rygiorem katolickim niezgodną, pragną gwałtem zrobić z niego zwolennika protestantyzmu. Ani jednym zaś ani drugim naprawdę on nie był. Ogólna w owe czasy wolnomysłność pozwoliła mu na to i z panującej swobody religijnej skorzystał on w ten sposób, że wybrał sobie miejsce neutralne między obozami, miejsce wskazane mu przez tych, których był uczniem i wielbicielem. Ponad spory różnych wyznań i sekt, ponad obowiązujące religijne dogmaty i przepisy, wyższem dla niego kryterium były te idealne pojęcia dobra, piękna i prawdy, które poznał i czcić się nauczył od starożytnych mędrców, podobnie jak do stawiania kroków po drodze moralności i utrzymania ludzkich z ludźmi stosunków wystarczały mu prawa etyczne czerpane z Cyncerona, Epikura albo Horacego. Nawet ta okoliczność, że Kochanowski był tłumaczem Psalmów, że przekła-

dem tym dokonał dzieła dla religijnych celów pożytecznego, a zarazem dowiódł wielkiego zajęcia się tym przedmiotem, gdy długiej i mozolnej pracy dla niego nie żałował, nie może obalić powyższego twierdzenia, ani podnieść znaczenia religijnej gorliwości poety. Najprzód Psalmy, jako utwór przeważnie poetyczno-patriotycznego albo też ściśle egotycznego natchnienia, należą do tych ksiąg Pisma Świętego, które z religią, a zwłaszcza z dogmatyczną jej stroną najmniej mają wspólnego. Są to piękne poemata, które zrozumieć i odczuć może wyznawca jakiegokolwiek na świecie religii, a nawet taki człowiek, który w sumieniu swoim do żadnej faktycznie nie byłby zdolny się przyznać. A dalej — co więcej jeszcze może być wobec ówczesnych stosunków decydującem — dla kogo właściwie były te Psalmy przetłómaczone? dla katolików, czy dla protestantów? Jedni i drudzy mogli zarówno przywłaszczyć je sobie i przyjąć do swego nabożeństwa; ani ich duch, ani przedmiot, ani pojedyncze wyrażenia nie mają w sobie nic takiego, coby któremukolwiek z chrześcijańskich wyznań sprzeciwiać się mogło, jak również nie takiego, coby je specjalnie i wyłącznie dla jednego z nich tylko przeznaczało. Z późniejszymi religijnymi poezjami od początku wieku 17. nie możnaby już sobie tak postąpić. Poeci mianowicie katolicycy mają na sobie tak wybitną cechę swego wyznania, że żaden akatolik nie powtórzyłby ich wierszy w swojej świątyni.

Do objaśnienia, czem był klasycyzm dla Kochanowskiego i w ogóle jak odmienny wpływ wywierał on na wiek 16. a na pisarzy następnego stulecia, posłużyć może najlepiej porównanie tego najeelniejszego wyobraziciela złotego okresu z poetą niemałej również sławy, ale późniejszego od niego o lat pięćdziesiąt. Sarbiewski był tak samo niezmiernym i gorącym czcicielem klasycznych poetów, w naśladowaniu ich formy doprowadził do mistrzostwa tak, że przewyższył o wiele Kochanowskiego w jego łacińskich utworach. Przytem, jakby mowa Rzymian jedynie w jego oczach była godną poetyckiego pióra, pisał wyłącznie tylko w języku łacińskim. Z tem wszystkiem jednak mniej on pozostał wiernym duchowi klasycznej poezji niżeli jego poprzednik. U Kochanowskiego wszystka treść jego poezji, cały pogląd na świat, jego natchnienie, wypływające zawsze z czysto-ludzkich pobudek i motywów, odpowiadają jak najdokładniej duchowi i tonowi, jaki brzmi w poezji starożytnej. Opiewa on swoje miłostki i głębsze uczucia, wielbi życie spokojne na wsi albo też wartość niezależności, wynętra się ze swych powszednich zmartwień lub radości przed



przyjaciółmi, pociesza ich w smutku, a czasem w dobrym humorze z nich sobie żartuje; znajdzie też w jego wierszach miejsce i niereligijna rozpacz, i żart swawolny i wreszcie sceptyczne zwątpienie. Wszystko tak jak u poetów starożytnych, od których wziął formę, ale którzy także na kierunek umysłu i na wyrobienie się jego moralnej istoty przeważny wpływ wywarli. Inaczej całkiem ma się rzecz z Sarbiewskim. On w tę formę, której i w języku i w stylu pożyczył sobie od klasyków, wlewa treść i pojęcia, których oni nie mieli, nie znali i znać nie mogli — treść i pojęcia nie powszechno-ludzkiej natury, ale będące wyrazem pewnej, oznaczonej w dziejach epoki i wytworem objawiającego się tylko w pewnych czasach i społeczeństwach kierunku umysłów. Jego strofy ułożone są na modłę Horacego, ale w tych strofach rozbrzmiewa cześć Najświętszej Panny i Świętych Pańskich, a zamiast tej błogiej filozofii życia, którą w klasycyzmie stworzyła sobie młodzieńcza ludzkość, w peniach Sarbiewskiego odzywa się poważna moralność ewangeliczna i duch z całą pobożnością i wiarą korzący się przed prawdami objawionej nauki. Dwa różne, sprzeczne pierwiastki pogodzone ze sobą za sprawą talentu, dające się jednak łatwo rozróżnić i rozłączyć od siebie, co w utworach tak jednolitych jak Kochanowskiego uczynić by się nie dało.

Poeci i prozaicy Jagiellońskich czasów, do których wliczyć jeszcze należy krótkie panowanie Stefana Batorego, byli pierwszymi i właściwymi twórcami naszej narodowej literatury. W niedługim stosunkowo czasie uczynili oni ją faktem w dziejach oświaty polskiej znakomitym i na długie czasy mającym znaczenie. Oni pierwsi utworzyli nasz język literacki i doprowadzili go do niezwykłej doskonałości; oni pierwsi poruszyli mnóstwo zagadnień i myśli przedtem nieznanych i obudzili wiele pojęć, których nie było w głowach poprzednich pokoleń. Oni także koło umysłowości znakomicie rozszerzyli, wyprowadzając naukę i piśmiennictwo z murów klasztoru i szkoły, gdzie się dotąd zdala od świata przechowywały, w szerokie sfery ludzi świeckich, zwłaszcza pomiędzy liczne szlacheckie rzesze. Tego wszystkiego dokazali ci ludzie z wielkiem powodzeniem, które im zjednał ich wielki zapał, gorące przejęcie się swem pisarskiem powołaniem, jakoteż u wielu z nich spotykany niezwykły talent. Ta świeża, nowopowstała literatura zabłysnęła odrazu takim blaskiem, że następne pokolenia miano złotego okresu jej nadały, a przez długie czasy potem piśmiennictwo późniejsze mierzyć się z nią co do wartości nie mogło. I blask ten nie tak prędko ściemniał; mierzchnął powoli

i nieznacznie, dość długo robiąc złudzenie, że jeszcze świeci. Najznakomitsi pisarze czasów Jagiellońskich już się pożegnali ze światem, już z Janem Kochanowskim zgasła w r. 1584 najświetniejsza ich gwiazda, a jeszcze przez kilka następnych dziesiątek lat unosi się nad naszym piśmiennictwem widoczny odbłask dawnej świetności. Złoty okres literatury nie kończy się równocześnie z wygaśnięciem Jagiellonów i śmiercią Batorego, przeciąga się jeszcze znacznie w panowanie Zygmunta III. i większą jego część obejmuje. Jeszcze za pierwszego z Wazów żyje i działa wielu z tych pisarzy co za Jagiellonów pierwsze stawiali kroki na literackim polu, wiele także nowych zjawia się talentów, które chludnie wstępują w ślady swych poprzedników. Piśmiennictwo, raz zdobywszy sobie tak pozyczne stanowisko w życiu narodowym, nie może go już opuszczać, staje się potrzebą dla ogółu, i jeżeli nie dorównywa w zupełności temu co było dawniej, rozprzestrzenia się, coraz szerszem płynie korytem i co do ilości rośnie.

Nie mamy tutaj obowiązku ani potrzeby robić przegląd literatury z całego panowania Zygmunta III. Cel naszej pracy nie sięga tak daleko, i ażeby mu odpowiedzieć, wystarczy przebiegnąć pierwsze tylko dwadzieścia pięć lat tego panowania.

Żyje wtenczas jeszcze najpierwszy z prozaików jagiellońskich Łukasz Górnicki (zmarły prawdopodobnie w końcu 1602 r.), i wydaje niektóre jeszcze swoje pisma: Rozmowa Włocha z Polakiem (1587), tragedia z Seneki Troas (1589) i tegoż filozofa: Rzecz o dobrodziejstwie (1593). Żyje również i Bartosz Paprocki (zmarły 1614), który niedawno (1584) wydał pierwszą historią rodów szlacheckich, sławne swoje Herby, a teraz rzuca w świat swoje polemiczne, przeciwko królowi wymierzone pamflety. Strykowski, autor słynnej kroniki (1582 wydanej), choć już nieczynny na literackim polu, kończy dni swoje także za panowania Zygmunta III. Joachim Bielski (1540—1597) ogłasza r. 1597 pierwszą po polsku pisaną, nie licząc naturalnie nieznanego Chwałczewskiego, Kronikę Polską. Sarnicki wydaje r. 1587 swoje „Annales“, a areybiskup Solikowski pisze równocześnie łaciński Pamiętnik wydarzeń zaszłych między r. 1572 a 1590, wydany dopiero w połowie 17. wieku (1647). Z pisarzy religijnych różnych wyznań zapalony kalwinista, a przytem niemałych dyplomatycznych zdolności człowiek, Andrzej Wolan (zm. 1610), niegdyś przeciwnik Orzechowskiego, prowadzi dalej w interesie swego wyznania walkę na pióra. Odznacza się również w takiej polemiczno-religijnej literaturze Socynyanin Hieronim Moskorzowski, główny a niebezpieczny antago-

nista Skargi, którego działanie przypada na czas między 1595 a 1617 r. Kościół katolicki liczy również wielu zdolnych obrońców, na czele których kroczy poważny, niezwyklego w kraju znaczenia, prymas Stanisław Karnkowski, niegdyś pomocnik Hozyusza, teraz kontynuator jego dzieła. Stanisław Reszka i Benedykt Herbest (zm. 1593) odznaczają się jako uczeni teologowie i znakomici kaznodzieje. Sławniejszy jeszcze od nich Jakób Wujek, autor katolickiej Postylli i pierwszy ściśle katolicki tłumacz wydanej roku 1599 Biblii, dzieła zajmującego w piśmiennictwie naszym jedno z cenniejszych miejsc także z powodu piękności języka. Nad wszystkimi zaś teologami i mowcami religijnymi tych czasów góruje talentem i znaczeniem Piotr Skarga, któremu po dziś dzień nikt nie odebrał sławy pierwszego polskiego kaznodziei, a który czynność swoją rozwija właśnie w tej pierwszej połowie panowania Zygmunta III. Najpiękniejsze zapewne okazy jego kaznodziejskiej wymowy: kazania o siedmiu sakramentach i kazania sejmowe wyszły r. 1600, na samym progu dzielącym od siebie dwa stulecia. W tych wreszcie czasach Warszewicki, Wereszczyński i Piotr Grabowski występują jako statysci i pisarze polityczni wyrażający rozmaite opinie swego społeczeństwa.

Liczny jest również i zastęp poetów uświetniających te czasy. To ziarno, które rzucił Kochanowski na ojczyzną glebę, nie poszło na marne. Skoro już raz mieliśmy poetę tej co on miary, logiczną było koniecznością, że poezya rozwijać się dalej była powinna, a w każdym razie że nie tak prędko mogła zaginać. W tym cudnym języku poetycznym jaki on stworzył, następcy jego znaleźli bogatą spuściznę i gotowy instrument do wypowiedzenia swych myśli. Całe grono epigonów, z mniejszym lub większym talentem, mniej albo więcej do niego podobnych, wyrosło też z tego ojca naszej poezyi. Pierwsze między nimi miejsce należy się bez wątpienia Szymonowiczowi, temu drugiemu obok Kochanowskiego wyobrazicielowi prawdziwego klasycyzmu u nas. Łacińskimi wierszami zdobywa on sobie sławę w pierwszych latach XVII wieku nie tylko w kraju ale i za granicą, a równocześnie przy różnych sposobnościach pisze polskie sielanki, które zebrane razem (1614 r.) nieśmiertelne zapewniły mu imię. Sęp Szarzyński, jedyny z poetów XVIgo wieku, który mógł stać się niebezpiecznym dla Jana z Czarnolesia współzawodnikiem, chociaż wcześniej już zeszedł ze świata, w tych dopiero czasach dał się poznać powszechności, gdy jego Rytmy 1601 r. drukiem zostały ogłoszone. Dwaj Zbylitowscy: Andrzej, autor Żywota szlacheica

we wsi (1597) i Piotr, który wydał Przyganę strojom białogłowskiemu i Rozmowę Szlacheica z cudzoziemcem (1600) tudzież Schadzkę ziemiańską (1605), jako satyryczno-idyliczni poeci wiele okazali talentu, wiele rysów z przeszłości dla nas przechowali, a może dotychczas według zasługi nie zostali ocenieni. Bardzo głośne w owych czasach jest imię Sebastyana Klonowicza, który w ostatnich latach panowania Stefana Batorego dał się poznać przez swoją Roxolanią (1583), podobno r. 1587 po raz pierwszy wydał poemat Victoria Deorum, a później Flisa (1595) i Worek Judaszów (1600), dwa najświetniejsze swoje utwory polskie. Cenionym przez współczesnych, przez niektórych, choć niesłusznie, nawet wyżej nad Kochanowskiego stawianym był Kasper Miaskowski (1549—1622), którego zbiór poezyi po raz pierwszy wyszedł 1612. Prócz tych koryfeuszów o kilku jeszcze talentach drugiego rzędu, skoro bierzemy pod uwagę ówczesny szeroko rozbudzony ruch literacki, wspomnieć się tutaj godzi. Do czasów Zygmunta IIIgo należą Jan Rybiński, autor Gęśli różnorodnych (1593) i Maciej Rybiński, tłumacz Psalmów Dawida (1604); Jurkowski Jan, który nie tyle przez swoje okolicznościowe wiersze, ile przez przerobienie z Buchanana Tragedyi o polskim Scilurusie (1604) w historii literatury dobrze się zapisał; dalej: Kmita Achacy, znany szczególnie ze swojej żartobliwej epepei Spitanogeranomachia (1595); Niegoszewski Stanisław, który łacińskimi improwizacyami wprawiał w zdumienie swoich współczesnych w Rzymie, Wenecyi i w Krakowie. Jedno z najlepszych dzieł naszej dawnej dramaturgii, tragedia Jeftes przerobiona z Buchanana przez Zawickiego pojawiła się w roku 1587. Wspomniany powyżej historyk, Joachim Bielski, wydał w r. 1588 swoje łacińskie wiersze. Wreszcie Hieronim Morsztyn, z wielu względów należący już do następnego okresu, dał się po raz pierwszy poznać jako poeta przez swą *Światową roskosz* roku 1606 wydaną. 25083

Wśród takiego to otoczenia, w takich warunkach cywilizacyjnego rozwoju, wśród takich prądów umysłowych ówczesnym społeczeństwem kierujących, i w takim nakoniec gronie współczesnych sobie pisarzy, występuje na widownię poeta, o którym tutaj mówić mamy, książdz Stanisław Grochowski.

## II.

## ŻYWOT GROCHOWSKIEGO.

O życiu Grochowskiego skąpo mamy wiadomości, a między temi które są, niemało niepewnych lub błędnych. Zwykły to los naszych dawnych pisarzy i o każdym z nich to samo powtórzyćby można. Jeśli z dziejów życia takiego księcia poetów, Jana Kochanowskiego, co był czczony jak rzadko przez współczesnych, uwielbiany nieraz na piśmie przez swych współkolegów, czytowany tak chętnie i dużo jak żaden drugi, przeszłość zaledwie tylko fragmentaryczne okruszki nam podała, z których dzisiejsi badacze, sztukując je ile możności własną pracą, szperaniem i domysłem, całokształt tej postaci odtworzyć się silą — to cóż mówić dopiero o innych, którzy talentem nie imponowali tak bardzo i sławą z nim równać się nigdy nie mogli.

Dość wczesnie jednak doczekał się Grochowski swojego biografy. Był nim Szymon Starowolski, znany polihistor i pierwszy zarazem historyk naszej literatury, albo dokładniej mówiąc: pierwszy biograf naszych pisarzy. Wiadomości o Grochowskim mógł on mieć, jak i o wielu innych autorach, o których pisze w swojej: *Scriptorum polonicorum* 'Εκκροτις, z pierwszej ręki albo z bardzo świeżej jeszcze tradycyi, bo miał już lat dwadzieścia cztery kiedy Grochowski umierał, a książkę swoją wydał po raz pierwszy (1625) w trzydziestu lat po jego śmierci. Mimo to, jak zwykle i przy innych pisarzach się to u niego dzieje, nie podał i z życia Grochowskiego żadnych dat ani faktów. Biograf ogranicza się do wielce zaszczytnej wprawdzie pochwały, że Grochowski „w wierszu polskim bardzo sławny i po Kochanowskim pierwszy zapewne,

choć są i inni w tym lub owym rodzaju znakomici jak Lubomirski, Morsztyn, Paszkowski, Otwinowski i wielu innych“; wspomina, że pisał bardzo wiele i w różnych przedmiotach, a niektóre rzeczy także po łacinie, i wyliczywszy dosyć dokładnie tytuły jego pism, kończy swą rzecz powtórzeniem napisu, jaki był położony na nagrobku Grochowskiego. Ten napis, jedyna to podobno rzecz, którą biografia jego zachowała potomności od zagłady. Bądźmy mu wdzięczni i za to, jakoteż za stwierdzenie i przechowanie opinii panującej między współczesnymi o naszym poecie. Przy trudnościach, jakie spotykali w tamtych czasach ci co o literatach i literaturze pisać chcieli, w ogólnym braku źródeł w tym przedmiocie, Starowolski w swojej 'Εκκροτις uczynił bardzo wiele, uczynił tyle co mógł.

Nie dobrze za to przysłużył się Grochowskiemu Niesiecki, mieszając w swoim *Herbarzu* osobę jego z innym nieco później Stanisławem Grochowskim, herbu Junosza, wysokim dygnitarzem kościelnym i w końcu arcybiskupem lwowskim. Dziwny z tego pomieszania zrobił się galimatyas, gdy wszystkie wiersze poety policzone zostały na karb arcybiskupa, co jednego pewnie wiersza nigdy nie napisał, a wszystkie jego godności kościelne przeszły na poetę, który tak często się skarżył, że świat źle mu jego zasługi odpłacał, i że niczego dochrapać się nie mógł. Błąd ten tak gruby i zasadniczy, powtórzył za Niesieckim Rzepnicki Franciszek S. J. w dziele *Vitae praesulum Poloniae*<sup>1)</sup> a co gorsza za powodem obu tych powag dostał on się do historii literatury polskiej Fel. Bentkowskiego<sup>2)</sup>. Bentkowski w uderzającą przy tem popadł ze sobą sprzeczność. Nazwawszy za Niesieckim i Rzepnickim Grochowskiego arcybiskupem lwowskim, na podstawie znowu znanego sobie nagrobku z biografii Starowolskiego, dodał obok tego, że Grochowski umarł „nie wielkich doznawszy fortuny względów“ — jak gdyby ksiądz polski mógł jeszcze coś więcej żądać od Fortuny nad to, że go zrobiła pierwszym po prymasie dostojnikiem. Pomyłkę jego tym więcej należy się dziwić, że był on na dobrym tropie prawdy. „Na wszystkich (?) Grochowskiego pismach — powiada Bentkowski<sup>3)</sup> — znajduję go zawsze nazywanym tylko kustoszem kruszwickim, i

1) Poznań 1761, tom I., pag. 231.

2) Warszawa i Wilno 1814, t. I, str. 276 i 277.

3) Tom I, w odsyłaczu str. 277.

Starowolski tym go tylko nazywa; lecz Niesiecki wyraźnie wszystkim wyżej wymienione jego dostojności wylicza równie jak i Rzepnicki. Niż Grochowskiemu samemu i współczesnemu Starowolskiemu wołał wierzyć co „wyraźnie“ Niesiecki i Rzepnicki powiedzieli, i poplątał się w sprzeczności, które sam spostrzegał, a które przecież zrelektować go nie zdołały.

Niedługo jednak potem Juszyński w *Dykcjonarzu poetów polskich* (Kraków 1820) rozgmatwał tę plątaninę przez Niesieckiego do literatury wprowadzoną, na podstawie Piaseckiego i nieoznaczonego bliżej przez siebie rękopisu, pierwszy podał o Grochowskim pełniejsze wiadomości, lubo nie wszystkie całkiem dokładne i prawdziwe, i wreszcie zamieścił spis bibliograficzny jego prac, ścisłejszy i obszerniejszy niż się to dotychczas działo. Od niego też rozpoczyna się dopiero rzetelniejsza biografia Grochowskiego, do której następnie historycy literatury nieco własnych badań, spostrzeżeń lub domysłów dodali. Wszystkiego dotychczas nie jest bardzo wiele, a co z mniejszą lub większą pewnością jest wiadome, czegobyśmy dla uzupełnienia tego żywota dowiedzieć się pragnęli, to zestawiając rozmaite daty i mniemania przed oczami czytelników tu postawimy.

A najprzód: kiedy się Grochowski urodził?

Dawniejsze źródła głucho o tem zachowują milczenie, robiąc tem jakoby niemy wyrzut Starowolskiemu, że on najbliższy czasem, potomności w tej mierze nie objaśnił. Pierwszy Wiszniewski<sup>1)</sup> podał nieco ścisłejszą datę, mówiąc: „Urodził się około 1540 r.“ Data niniejsza, którą niektórzy późniejsi uprościli sobie, twierdząc z większą niż Wiszniewski pewnością, że to było nie „około“, lecz w samym 1540 roku, była jednak już u pierwotnego jej autora jedynie tylko przypuszczalną, jak to widać z następującego zaraz zdania, mającego służyć za dowód powyższego twierdzenia. „W r. 1610 — mówi dalej Wiszniewski — przypisując Skardze *Noey Toruńskie* nazywa (Grochowski) siebie starcem nawpół zgrzybiałym i co dzień śmierci wyglądającym“. Podobnych dowodów, a nawet i dalej wstecz sięgających, można zresztą w pismach Grochowskiego znaleźć jeszcze więcej. Tak w *Gorzkich Łzach* na pogrzeb ks. Dobrocieskiego (r. 1608) nazywa się „starcem“<sup>2)</sup>; tak

<sup>1)</sup> Hist. liter. VII., 103.

<sup>2)</sup> Rozumie nierozumny! czemu się frasować Mnje starcowi dopuścisz i tak utyskować?

samo w *Trenach* na zejście kardynała Maciejowskiego (r. 1608) woła: „Nieszczęśliwy ja starzec w mojej dojrzałości!“; tak wreszcie w *Świętej Cecylii* (r. 1605) już się „starcem“ mieni<sup>1)</sup>, a nawet już w r. 1600 w *Babim Kole*. powiada o sobie „jużem siwy“. Bardzo także decydującem w tym punkcie świadectwem jest wiadomość podana w książce, będącej historią bractwa szlacheckiego Wniebowzięcia N. Panny od r. 1603—1743<sup>2)</sup>. Książka ta wydana w Krakowie 1744 r. zawiera jednak w sobie, jak to już z samego tytułu widać (*ex annalibus ejusdem*) materiał współczesny i jest zbiorem tego, co w historii bractwa w miarę jej postępu rok za rokiem bywało zapisywane. Otóż w jednym z rozdziałów tego *Compendium* znajdujemy ciekawy ustęp o Grochowskim, na który jeszcze później powołać nam się przyjdzie. Na teraz wystarczy wiedzieć to, że mamy tam jak najdokładniejszą, aż do oznaczenia dnia i godziny datę śmierci naszego poety. Według tego ze wszech miar wiarogodnego źródła umarł on 1612 r. 30 stycznia o godzinie 4 w nocy. Podając ten jeden z krańcowych punktów tak dokładnie, *Compendium* daje nam prócz tego możliwość wynaleść i drugi z nich. Na samym bowiem początku rzeczony ustępu powiada, że Grochowski kiedy umierał, był człowiekiem około lat siedemdziesięciu — *fere septuagenarius*. Jest to znowu tylko liczba okrągła; świadkowie jego śmierci, choćby nimi byli nawet najbliżsi przyjaciele lub krewni mogli łatwo nie wiedzieć, ile ściśle licząc nieboszczyk miał lat; obliczali je tylko według tego na ile wyglądał i według pewnych wspomnień z przeszłości. W istocie więc, mógł Grochowski tak dobrze nie mieć jeszcze całych lat siedemdziesięciu, jak i o parę lat zająć już na ósmy krzyżyk. Bądźco bądź, odejmując tę okrągłą cyfrę (70) od roku jego śmierci, przychodzimy do tegoż samego rezultatu co i Wiszniewski, że Grochowski urodził się „około“ roku 1540, zatem może i parę lat wcześniej, a może i później.

Miejsce jego urodzenia wymienił pierwszy Juszyński, powiadając: „urodził się na Mazowszu“. Zkąd miał tę wiadomość, nie objaśnił nas. Czy ona pewna czy niepewna, niewiadomo; ale utrzy-

<sup>1)</sup> Kiedy starzec złożywszy śmiertelne zwłoki Za miłosierdziem bożem przeniknę obłoki. — Notujemy przy sposobności, że jest to ustęp naśladowany z „Muzy“ Kochanowskiego.

<sup>2)</sup> Tytuł ten książki brzmi: *Compendium historiae Congregationis nobilitum sub titulo Assumptionis B. Mariae V. et S. Barbarae V. M... ex annalibus ejusdem ab anno Christi 1603 usque ad annum 1743.*

mała się w literaturze i odtąd wszyscy z Mazowsza pochodzenie Grochowskiego wywodzą. Powtórzył ją najprzód za Juszyńskim Siarczyński, uzupełniając nowym od siebie szczegółem: „z szlacheckiego, ale niezamożnego domu w Mazowszu urodzony“<sup>1)</sup>. Że Grochowski nie był owym Junoszą, jakim go zrobił Niesiecki, to więcej niż pewna, ale znów żałować nam przychodzi, że Siarczyński nie powołał się na źródło, z którego tę wiadomość zaczerpnął, pozostawiając tak bez dowodu szlacheckość naszego poety. O ile z pism można przyjść do poznania społecznego stanowiska człowieka bez wyraźnej z jego strony o tem wzmianki, to z dzieł Grochowskiego nabiera się tego przekonania, że on rzeczywiście był szlachcicem, i jeśli to prawda istotna, że się na Mazowszu rodził, to pochodził bezwątpienia z tej drobnej, zaściankowej szlachty, która właśnie jedną ze swoich znaczniejszych siedzib na mazurskiej miała ziemi. Z materyalnych na to dowodów mogliśmy przytoczyć w formie syllogizmu chyba te tylko, że ponieważ Grochowski był prałatem kolegiaty kruszwickiej, a miejsca w tej kolegiacie jedynie księżmi szlacheckiego rodu mogły być obsadzone, jakoteż ponieważ przy końcu życia do szlacheckiego bractwa N. Panny należał, zatem szlachcicem być musiał.

Jakiem było jego dzieciństwo, na czem mu przeszła młodość? o tem również nic nie wiemy. Mamy za to bardzo wiarogodną wiadomość, gdzie i w jaki sposób pobierał wykształcenie. Wiadomość ta pochodzi od samego poety, który w wierszu swoim *Toruńskie Nocy* tak o tem mówi:

Tamże (t. j. w niebie) oglądam i Uchańskie swoje,  
Z którego łaski nawiedził podwoje  
Pułtowskiej szkoły; tam ujrzę wielkiego  
Jakóba Wujka, preceptora swego.

W Pułtuskach zatem uczył się i to w tym czasie, kiedy profesorem był tam Wujek, a na koszt jego wykształcenia łożył areybiskup Uchański.

W Pułtuskach była już od bardzo dawnych czasów szkoła akademicka, należąca do najstarszych kolonij akademii krakowskiej. Ślady jej istnienia dochodzą aż do połowy XV. wieku<sup>1)</sup>. Po stu

<sup>1)</sup> Siarczyński, *Obraz wieku panowania Zygmunta III*, cz. I, 157.

<sup>2)</sup> Baliński, *Star. Polska I*, 512 i *Łukaszewicz, Historia szkół III*, 508, 510.

latach zaczęła upadać, a gdy przypadek zrzucił, że właśnie gdy o jej naprawę na sejmie podnoszono żądania, wybuchła w Pułtuskach sroga zaraza i przez kilka miesięcy do końca stycznia 1565 grasowała, tamtejsi profesorowie akademicy uciekając przed nią z miasta się wynieśli i więcej już nie wrócili. Z wypadku tego skorzystał widać Hozysz, który rok przedtem zawiąawszy do swej diecezji Jezuitów, kolegium dla nich w Brunsbergu otworzył. Pułtusk, jako dawna kolonia akademicka, posiadający nie-małą naukową sławę, musiał mu się wydawać ważnym punktem, który dla propagandy katolickiej i dla rozszerzenia w Polsce zakonu Jezuitów zająć należało. Dlatego to zapewne nakłonił on biskupa Płockiego, Noskowskiego, w którego diecezji Pułtusk leżał, ażeby w tem mieście nową dla Jezuitów założył siedzibę. Noskowski dał się do tego namówić, wszedł w układy z akademią krakowską, która w zamian za bursę ufundowaną przez Noskowskiego przy Akademii w Krakowie, i stąd bursą Noskowskiego lub Filozofów nazywaną, pozwoliła zwinąć swoją kolonię w Pułtuskach. Na opróżnione w ten sposób miejsce wprowadził Noskowski Jezuitów z Brunsbergu, wystawił im dwupiętrowy gmach (który spłonął w r. 1646) na kolegium i kościół<sup>1)</sup>, a Zygmunt August przywilejem z dnia 8 października 1565 potwierdził tę nową fundację<sup>2)</sup>.

Do tej to świeżo otwartej szkoły jezuickiej przyszedł jako profesor w r. 1571 Jakób Wujek, który przed laty sześcioma w Rzymie sukienkę zakonną był przywdział. W czerwcu tego samego roku, powróciwszy z Rzymu do ojczyzny, znalazł się w Pułtuskach także i Piotr Skarga, naznaczony tutaj kaznodzieją. Ten ostatni nie długo jednak w Pułtuskach bawił, bo już po roku otrzymał nowe polecenie do Jarosławia<sup>3)</sup>.

Skoro Jakób Wujek, według własnego zeznania Grochowskiego był jego „preceptorem“, musiał zatem Grochowski nie wcześniej jak około r. 1571 w Pułtuskach nauki pobierać. Ta data, zestawivszy ją z niezupełnie dokładną ale pewną datą urodzenia naszego poety, nieprawdopodobną, najfałszywszą nawet na pierwsze wejrzenie wydać się musi. Jakże by to być mogło? czyż można to nawet przypuścić, ażeby Grochowski chodził do szkoły mając lat mniej więcej trzydzieści? — bo tyle wtenczas mieć musiał, jeżeli około 1540 się urodził. Tym sposobem on, uczeń, byłby

<sup>1)</sup> Słownik geograficzny IX, 296.

<sup>2)</sup> Łukaszewicz, *Historia szkół IV*, 142.

<sup>3)</sup> Wielewicki, *Histor. diarii w Script rer. pol. XIV*, 76.

zaledwie o parę lat młodszym, może rówieśnikiem, a może nawet i nieco starszym od swego „preceptora“ Wujka, który w r. 1540 na świat przyszedł! Są to wszystko sprzeczności, które niezawodnie każdego uderzyć muszą. Postaramy się ile możności je złagodzić i wyjaśnić, jak sobie wyobrażamy, że się ta rzecz naprawdę miała.

Najprzód ponieważ świadectwa Grochowskiego o sobie jakoteż daty, kiedy Wujek swoją profesurę rozpoczął, obalić żadną miarą nie można, trzeba przyznać, że czas nauki a przynajmniej fachowego wykształcenia był u naszego poety spóźniony. Dzieje się to jednak i dzisiaj i działa się zawsze, że niektórzy ludzie do właściwego swego zawodu późno się przyspasabiają i późno się go chwytają. Jak innych i Grochowskiego rozmaite mogły zmusić do tego okoliczności. Może brak decyzji co z sobą zrobić i jak się pokierować na świecie, może ubóstwo i brak środków, co w tym wypadku bardzo prawdopodobne — spowodowały go że później, że już w tym wieku, gdzie inni są na swoich stanowiskach, on jeszcze siedział na ławach szkolnych.

Więcej jeszcze światła rzuca na ten dość niejasny punkt druga okoliczność. Nie trzeba sobie wyobrażać, że ten „preceptor“ Wujek tego co do lat prawie sobie równego ucznia Grochowskiego uczył w Pułtuskach gramatyki a nawet retoryki lub poetyki. To stadyum nauki Grochowski musiał już wtedy przebyć, może przebył już nawet dawno, i po przerwie nieznanymi nam okolicznościami spowodowanej, wrócił znowu do książek, ażeby z nich wyższego, do zawodu, jaki sobie obrał potrzebnego wykształcenia nabyć. Szkoły jezuickie obejmowały zwykle pięć klas, które mniej więcej dzisiejszym gimnazyom odpowiadają; niższego wykształcenia, nauki czytania i pisania, Jezuita nie udzielali, i trzeba już było mieć te początki przy wstępowaniu do ich zakładów. Ale prócz tego przy wielu bogatszych kolegiach w większych miastach mieli jeszcze kursa filozofii i teologii, które już poza ramy szkół średnich wychodziły. Kurs filozoficzny trwał trzy lata, a wykładano na nim etykę, wyższą i niższą matematykę, fizykę, logikę i metafizykę. Kurs teologiczny trwał cztery lata, a przedmiotami jego były: teologia dogmatyczna, moralna, polemiczna i kazuistyczna, prawo kanoniczne i język hebrajski<sup>1)</sup>. Były to zatem niby fakultety akademickie, które zastąpić mogły w tych gałęziach bardzo dobrze ówczesne studia uniwersyteckie

<sup>1)</sup> Łukasiewicz, Historia szkół I, 249, 250.

i dawały słuchaczom kompletne uzdolnienie zawodowe, kształcąc ich na nauczycieli albo na księży. W braku seminarjów duchownych, które około tego czasu dopiero zakładać poczęto, ani wątpić, że w takich kursach teologicznych przy jezuickich kolegiach bardzo wielu przyszłych kapłanów przyspasabiało się do swego stanu.

Kiedy teraz powiemy, że Pułtusk należał właśnie do liczby tych kilkudziesięciu miast w Polsce, w których obok szkół Jezuita mieli także kursa filozoficzne i teologiczne, opóźniona nauka Grochowskiego w innym nam przedstawi się świetle. Niewątpliwą będzie teraz zapewne rzeczą, że ucząc się w Pułtuskach w latach około trzydziestego roku życia, uczył on się tam jako przyszły ksiądz nie czego innego tylko teologii, brał może ostatnie wykształcenie, mające dopełnić poprzednich studyów, skoro nadarzyła mu się sposobność słuchać tak znakomitego jak Wujek profesora. Dodajmy wreszcie i to, jako jedną jeszcze objaśniającą i potwierdzającą nasze przypuszczenie okoliczność, że Wujek w szkołach jezuickich wykładał filozofią, teologią i język grecki<sup>1)</sup>, a zatem takie umiejętności, których nabywać mógł i człowiek w dojrzałym wieku, już przedtem niejedno umiejący.

Kiedy i gdzie początkowe nauki Grochowski odbywał, rzecz to znowu niewiadoma, choć także i mniej ważna. Może w tym samym Pułtuskach, kiedy jeszcze były tam akademickie szkoły, może i gdzieindziej. Może już i wtedy na wykształcenie jego łożył Uchański, który nie tylko jemu jednemu wyświadczał tę łaskę, ale wiele ubogiej młodzieży kosztem swoim w szkole Pułtuskiej utrzymywał. Do tych to szkolnych lat Grochowskiego odnosi się jeden jeszcze szczegół od Juszyńskiego począwszy, stale prawie w biografjach naszego poety zapisywany, że on „nadto żywym obdarzony dowcipem, w szkołach jeszcze będąc, już talentu poezji źle używać zaczął, nauczycieli i współuczniów swoich ostremi przegryzując jambami“<sup>2)</sup>. Wcale ważny ten rys charakteru, gdyby był prawdziwym, nam się jednakowoż raczej wymysłem fantazji być wydaje, jednym z tych komunałów, które się nieraz pisze na podstawie ogólnej obserwacji życia dla zapeł-

<sup>1)</sup> Encyklop. Orgelbranda pod wyrazem: Wujek; Wielewicki zaś (Script. rer. pol. VII, 237) pisze: Missus deinde (Roma) in Poloniae Graecae literas Pultoviae in Rhetorica professus est et simul concionator lectorque sacrarum lectionum erat“.

<sup>2)</sup> Juszyński, Dykc. poetów.

nienia luki w wiadomościach, na pewnym fundamencie opartych. Z tego jednakże komunału, dla którego Juszyński żadnej rękojmi prawdy nie dał, i on i jego następcy nie omieszkali wysnuwać wniosków, mających i naturę talentu poetycznego i dalsze losy Grochowskiego objaśnić i wytłómaczyć, twierząc stanowczo, choć jak się zdaje na wiatr tylko, że „tej to nieszczęsnej namiętności szczypania drugich, temu to duchowi satyrycznemu, winien był całą swoją niefortunę“<sup>1)</sup>. Ani życie Grochowskiego, o ile je znać możemy, ani pisma jego nie uzasadniają bynajmniej tego frazesu.

Potrącając tę rzecz mimochodem, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelnika na ważniejszą daleko, na dwa całkiem pewne i niemałego znaczenia fakty, które nam własne jego zeznanie o tych latach życia podaje, a które i na dalszą przyszłość Grochowskiego i na wpływy na niego. działające pewne światło rzucają. A najprzód, zanotować to sobie możemy w pamięci, że on niezawodnie z ubogiej pochodzący rodziny, i dlatego wykształcenie swoje dobrodziejstwu Uchańskiego zawdzięczający, już od pierwszego wstąpienia w życie względów cudzych i łaski pańskiej potrzebuje i doznaje. Okoliczność ta nie mogła pozostać bez pewnego moralnego na nim wpływu, a charakter wśród podobnych warunków się rozwijający musiał przybrać stósowny do tego kierunku. Bardzo wczesnie musiał on się nauczyć tego, że o względy ludzkie starać mu się potrzeba, i że dobrze się temu zwykle dzieje, kto pańskiej klamki się trzyma. Tylko silne bardzo charaktery w podobne więzy ująć się nie dadzą, i nie ulegną pokusie, aby przez zaskarwienie sobie obcej życzliwości uniknąć przykrej walki o byt. Ale wielkoduszność jest rzadka, i w dalszym życiu Grochowskiego znajdziemy jeszcze dowody, że on od młodu odwykł od tej samodzielności i tęgości umysłu, że niż znośić będzie w dumnym milezeniu, wołał on ludzkiej wzywać pomocy i chętnie ją zawsze przyjmował.

Drugim faktem, również niemałego znaczenia, jest to, że Grochowski już w tej porze życia, i od pierwszej niemal chwili, kiedy Jezuiti nogę na ziemi polskiej stawiają, wchodzi w bliską bardzo z nimi styczność. Są to najprzód stosunki takie, jakie mogą zachodzić między uczniem a jego profesorami; przez te kilka lat, które zapewne u Jezuitów w Pułtuskach na nauce spędził, mogły one nabrać pewnej siły, na sposób jego myślenia

<sup>1)</sup> Tamże.

stały wpływ wyrzec i wyrobić w nim to przywiązanie, jakie zdolniejsi zwłaszcza uczniowie mają zwykle dla szkoły, która była matką — karmicielką, *alma mater*, ich umysłu. Później, a wcześniej zapewne, niż o tem myślimy, z powodu posuniętego już wieku Grochowskiego, z tej szkolnej zażyłości wyrobiły się między nim a jego byłymi profesorami i przyjacielskie także uczucia. W pismach Grochowskiego na niejednym miejscu mamy dowody wielkiej życzliwości i większego może jeszcze szacunku dla Jezuitów w późniejszych latach jego życia. Niewątpliwie uczucia te z tych jeszcze datowały się czasów i obudzone zostały przez to pierwsze bliskie zetknięcie się z Zakonem Loyoli. Przyjaźń Grochowskiego z Wujkiem ze stosunków szkolnych w Pułtuskach bardzo prędko zrodzić się musiała, skoro już w roku 1573, zatem we dwa lata po przybyciu Wujka do Pułtusk, na końcu jego Postylli Katolickiej Grochowski pisze wiersz najdawniejszy z tych, co z pod jego pióra pochodziły a do nas doszły. W Pułtuskach musiał on poznać także i Skargę, i jeśli z powodu krótkiego czasu, jaki Skarga tam bawił, bliższe wówczas nie zawiązały się między nimi stosunki, to w każdym razie stąd pochodziła ich pierwsza znajomość, z której następnie szczerza powstała przyjaźń. Kilkakroć w swych wierszach wspomina Grochowski Skargę, a zawsze wyraża się o nim nie tylko z uwielbieniem, winnem jego wielkiemu talentowi, ale i z tem ciepłym serdecznym, jakie się dla starych i dobrych przyjaciół uczuwa. Tak w Kolędzie ofiarowanej Zygmuntowi III, w końcu 1598 r., porównyując żłób dzieciątka do kazalnicy, z której do króla głos nauki boskiej wychodzi, przypomina mu zręcznym a przez serdeczną życzliwość podyktowanym zwrotem przyjaciela swojego, a od lat dziesięciu (od r. 1588) zarazem i kaznodzieję królewskiego:

Nie żłób to królu, raczej kazalnica:  
Z tej Pan pomaga niepospolitemu  
Skardze twojemu.

Innym razem pisze wiersze na kazania Skargi. W pierwszym wyrażając swoje wysokie dla nich uznanie, każe Apollinowi zdumiewać się nad temi nowemi księgami, które chociaż z zimnego pochodzą kraju, „lecz z nich ogień niebieski pała jakiś tęgi“; w drugim, nierównie obszerniejszym, powiada, że aby tę Postyllę godnie zalecić:

trzeba na to Skargi  
Drugiego, moje nie po temu wargi.



Wreszcie, na schyłku życia, gdy „starzec starcowi“ dedykował Noce Toruńskie, czynił to w tej intencji, aby temu dawnemu przyjacielowi wierszem swoim sprawić jakiś odpoczynek w ustawnej jego pracy i podług starego zwyczaju pogadać z nim jeszcze trochę, boć oni obaj już nie długo gośćmi na tej ziemi:

Gadajwał tedy z sobą, bośwa w jednej sieci.

Nawzajem można także śmiało przypuścić, że tak Skarga, jak Wujek, jak wreszcie i inni, z którymi w owe czasy wchodził w styczność, ze swojej strony równie przyjacielskim uczuciem mu odpowiadali i życzliwe dla niego serce przez całe życie zachowali. Dlatego też możemy całkowitą słuszość przyznać słowom Siarczyńskiego, który o tych latach nauki Grochowskiego powiada: „Byстрыm dowcipem, prędkim postępem w naukach zjednał sobie, jak wyznaje (gdzie? my tego nie dostrzegliśmy) pochwały i przyjaźń nauczycieli swoich“<sup>1)</sup>.

Kiedy Grochowski studia swoje teologiczne w Pułtuskach rozpoczynał, robił to naturalnie w powziętym już zamiarze zostania księdzem. Że ten a nie inny zawód dla siebie obrał, to, nie mówiąc już o powołaniu, o którym czy je miał czy nie, wiedzieć nie możemy, w jego położeniu i stanie było całkiem naturalną rzeczą. Taki jak on młody syn biednej szlacheckiej rodziny miał w owe czasy tylko trzy drogi przed sobą, otwarte: albo iść do wojska, albo zostać dworzaninem jakiegoś możnego pana, albo nakoniec poświęcić się stanowi duchownemu. Ta ostatnia karyera bywała zwykle najświetniejszą; ona prowadziła dawnych biedaków do tłustych probostw, bogatych kanonij i do zaszczytnych, senatorskich stołków biskupich. Kto więc z biednej młodzieży miał dobrą głowę, mógł wyższą naukę osiąść, ten spieszył służyć ołtarzowi, pełen otuchy, że i sobie tem dobrze zrobi. W tem położeniu właśnie był Grochowski, Natura obdarzyła go talentami; miał ich więcej niż dziesięciu innych, chleba duchownego mających podostatkiem; z łaski Uchańskiego otrzymał potrzebne do przyszłego zawodu wykształcenie — wszystko więc przemawiało za tem, ażeby wstąpił na drogę, na której spodziewał się bezwątpienia największe dla siebie znaleźć korzyści, na której zdolności jego wrodzone mogły go daleko, może bardzo daleko zaprowadzić.

<sup>1)</sup> Obraz wieku pan. Zyg. III, cz. I, 157.

Jestto, rozumie się, tylko wywód przez analogią z tego, co i jak w owych czasach w podobnych wypadkach się działo. W Siarczyńskim jednakże znajdujemy inne jeszcze racje, dlaczego Grochowski księdzem został. „I powołanie i rady pokrewnych — powiada on w cytowanym już przez nas dziele — do obioru stanu duchownego Stanisława przywiodły. Mniemano, iż opatrzony chlebem duchownym i sam się wzmoże i rodzinę ubogą wesprze“. Skąd Siarczyński o tem wszystkim się dowiedział, nie mówi wcale, i wątpimy, czy tym słowom za podstawę służył jaki historyczny dokument. Jestto znowu jeden z tych komunałów, o jakich niedawno wspominaliśmy, na nieszczęście wyrażony w formie zupełnej historycznej relacji. W tym czasie, kiedy Grochowski święcenia kapłańskie otrzymywał, co jak wiemy dosyć późno już nastąpić musiało, rodzice jego może już nie żyli. Czy zaś miał jakie bliższe rodzeństwo, braci lub siostry, przez wzgląd na których w obiorze stanu by się kierował, o tem najmniejszej nie posiadamy wiadomości, a przecież gdyby tak było, może gdzieś w jego pismach, tam zwłaszcza, gdzie na swoje zawody i kłopoty się skarży, znalazłaby się choćby drobna jaka wzmianka, jakieś wspomnienie o wspólnych niegdyś nadziejach i gorzkim potem rozczarowaniu. Tym czasem o nikim ze swej rodziny ani jednym słowem Grochowski nigdzie nie wspomina, chociaż nazwiska tylu jego przyjaciół w jego wierszach się przechowały.

O karyerze duchownej Grochowskiego najdokładniejsze, w znacznej części wiarogodne, bo niekiedy bardzo nawet ścisłemi opatrzone datami, podaje wiadomości ostatni jego biograf F. M. Sobieszczański<sup>1)</sup>. Według niego tedy poeta nasz „poczyjami pochwalnemi na cześć monarchy oraz pierwszego w kościele dostojnika zyskał sobie szczególną łaskę arcybiskupa Karnkowskiego i przez niego obdarzony był kanonią Uniejowską (1577), tudzież Łowicką“. Rok otrzymania pierwszej z tych posad duchownych przez Grochowskiego (1577) zgadza się bardzo dobrze ze znajomym nam w przybliżeniu czasem jego studyów. Jeżeli Grochowski pod Wujkiem, a więc około 1571, uczył się w Pułtuskach, to doliczając do tej daty parę lat potrzebnych na ukończenie tamtejszych kursów teologicznych, wypadnie, że w istocie nie wczesniej jak około tego czasu mógł otrzymać święcenia kapłańskie i jakieś stanowisko. Potwierdzoną nadto jest ta data dwoma aktami urzędowemi arcybiskupa Uchańskiego: okólnikiem zaleca-

<sup>1)</sup> W Encyklopedyi Powsz. Ogelbranda w t. X, wydany r. 1862.



jącym duchowieństwu ustawy Synodu Piotrkowskiego z r. 1577 a na zamku Łowickim 19 lutego 1578 pisany<sup>1)</sup> tudzież innym podobnym aktem urzędowym: *Confirmatio translationis capituli generalis*, datowanym z Łowicza 20 stycznia 1579 r.<sup>2)</sup> — na obu tych aktach między innymi świadkami podpisany jest także Grochowski i to jako kanonik Uniejowski<sup>3)</sup>. Najlepiej wreszcie świadectwem autentyczności tej daty są własne słowa Grochowskiego, pouczające nas prócz tego i o tem, że posiadał jeszcze inne, przez biografów nie wspomniane beneficium. Na swojej *Unieioviensis Gratulatio* albowiem (wydanej w Poznaniu i w Krakowie 1582 r.), to jest na tej łacińskiej mowie, którą witał obejmującego swą archidiecezją Karnkowskiego, podpisał on się: Kaliskim i Uniejowskim kanonikiem (*Calissiensis et Unieioviensis Canonici*), a nadto dedykując wydanie Poznańskie swojemu przyjacielowi, kanonikowi Poznańskiemu i Kaliskiemu, Jakóbowi Brzeźnickiemu, dodał jeszcze i ten szczegół, datę Sobieszczańskiego tak dobrze potwierdzający, że kościół w Uniejowie „od kilku lat do swego grona go przyjął“. Mową tą, (że przy sposobności tę rzecz już tutaj wyczerpiemy), choć nie w całej jej rozciągłości, lecz dla krótkości czasu, jak się wyraża<sup>4)</sup>, w treści swej wówczas zmniejszoną witał on imieniem duchowieństwa Prymasa Karnkowskiego w kościele Uniejowskim dnia 24 grudnia 1580 r. (IX Calend. Jamarii 1581). Zapewne już wtedy znane jego zdolności literackie i gładkość pióra sprawiły, że tameczny kler jego a nie kogo innego obrał do złożenia słowem uroczystego hołdu swemu zwierzchnikowi.

Nie tak pewnymi okazały się inne szczegóły powyższej wiadomości Sobieszczańskiego. Nie powiedziano w niej wyraźnie, na cześć którego to monarchy pisał Grochowski te poezye, które przyczyniły się do pozyskania mu łaski Karnkowskiego. O ile wiadomo przed rokiem 1577 Grochowski jeden tylko, zreszłą nam

<sup>1)</sup> Drożdżewicz, O życiu Grochowskiego przy wyd. Turowskiego, t. II, str. III.

<sup>2)</sup> Wierzbowski, Uchańściana II, 358.

<sup>3)</sup> Na drugim tym dokumencie podpisani świadkowie nazwani są przez arcybiskupa „jego domownikami“ (praesentibus... familiaribus nostris). Można by to uważać za bardzo prawdopodobną wskazówkę, że Grochowski należał do dworu arcybiskupa, że może w kancelaryi jego pełnił jaki urząd, w każdym razie liczył się do ludzi bliżej arcybiskupa stojących.

<sup>4)</sup> Na końcu wydania poznańskiego.

bliżej nieznanym, wiersz podobnej treści napisał, mianowicie na przyjazd do Polski króla Henryka Walezyusza (18 lutego 1574 roku stanął w Krakowie). Wprawdzie Karnkowski, wówczas jeszcze biskup Kujawski, był jednym z głównych stronników tego króla, należał do liczby tych którzy, kiedy Walezy uciekł z Polski gonili za nim, aby go do powrotu nakłonić, wątpimy jednak, czy właśnie po tym niefortunnym fackie zachował dla niego dawną przychylność, i chciałby nagradzać poetę za wielbienie monarchy, który w ten niehonorowy sposób zawiódł ufność swoich zwolenników. Nie wiadomo także nic o tem, żeby przed tym rokiem 1577 Grochowski jakieś wiersze na cześć samego Karnkowskiego pisał. To co zwykle<sup>1)</sup> jego łacińskimi wierszami do tegoż dygnitarza wystósowanemi się nazywa, są to właściwie dwa wydania jego łacińskiej mowy, prozą w kościele Uniejowskim powiedzianej, o której dopiero co mówiliśmy, a która jak wiemy z r. 1580 pochodzi, i tym sposobem na nadanie Grochowskiemu kanonii Uniejowskiej w r. 1577 wpłynąć nie mogła. Uniejowski archidyakon, trzeba także wiedzieć, należał do arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego, a zatem i obsadzenie w nim posad od Gnieźnieńskiego arcybiskupa zależało. Na tej archikatedrze siedział do r. 1580 Jakób Uchański, znany nam już jako dobrodziej Grochowskiego w czasie jego studyów, a bezwątpienia i później jego losem się zajmujący. Nie Karnkowski zatem, ale Uchański, jak to również przytoczone przez nas dwa akty z jego kancelaryi pod pewnym względem poświadczają, obdarzył Grochowskiego beneficium Uniejowskim jakoteż Kaliskiem, i to nie odwzajemniając się za pochwalne poezye, których weale nie było, tylko idąc za popędem osobistej życzliwości, albo też czyniąc zadosyć wstawieniu się OO. Jezuitów z Pułtusza, którzy nie omieszkali pewnie Prymasowi dobrze jego pupila a swego wychowawca polecić.

Inna rzecz co do Łowicza. Ponieważ przed rokiem 1582 Grochowski kanonikiem Łowickim nie był, inaczej byłby się tym wyższym tytułem na swej *Unieioviensis Gratulatio* podpisał, musiało to beneficium, jeśli w ogóle kiedykolwiek je posiadał, dostać mu się później i to już z łaski Karnkowskiego, naówczas mogącego posadami w Łowiczu rozrządzać. Może być, że właśnie ta piękna, z godnością i gładkim stylem wypowiedziana mowa na powitanie zjednała mu względy Prymasa. Grochowski, nie zawadzi to dodać, o nic w niej dla siebie nie prosił, ani słowem

<sup>1)</sup> Wiszniewski, Sobieszczański i wielu innych.

osobistych swych stosunków w niej nie dotknął, chociaż mógł mieć przyczynę poprawy swego losu żądać i spodziewać się. Jego kanonia Uniejowska, jak pisze we wzmiankowanej dedykacji do Brzeźnickiego tylko „szczyły pewien dochód dawała mu na utrzymanie“ (*exiguo quodam adhuc proventu (me) sustentat*). Uniejów należał wprawdzie do miast arcybiskupich, miał w swych murach pałac arcybiskupi i oprócz innych kościołów parafialny z godnością kolegiaty, ale jak Grochowski w mowie do Karnowskiego się skarży, nie było to ani Gniezno mające liczne, bogate i rodem znakomite duchowieństwo, ani zamożny i ludny Łowicz, tylko parafia z niewieloma i ubogimi księżmi, której wszystkiego prawie brakowało, kiedy w najniesprawiedliwszy sposób odjęto jej kapłanom potrzebne dochody, a sam dom boży stał zaniedbany i opustoszały. Wymownemu mowcy, który mu w tak żywych barwach upadek kościoła w Uniejowie niedawnymi zawiechrzeniami religijnymi spowodowany skreślił, mógł prymas przy najbliższej sposobności także los jego własny polepszyć i do dawnych nieinratnych beneficjów dodać jeszcze kanonią w Łowiczu, w owym „zamożnym i ludnym Łowiczu“, z pewnego rodzaju zazdrością w mowie powitalnej wspomnianym, którego kolegiata nosiła zaszczytyny i nad inne wyszczególniający ją tytuł: *insignis collegiata*<sup>1)</sup>. Bądź co bądź, nie biorąc na siebie odpowiedzialności za tę kanonią Łowicką, którą Sobieszczański Grochowskiemu przypisuje, musimy przytoczyć jako fakt, że w dwa lata po wydaniu *Unieioviensis Gratulatio*, w r. 1584 pod wierszem do króla Stefana umieszczonym na początku Postylli katolickiej Wujka a napisanym przez Grochowskiego, autor nasz podpisał się tylko: „Canon: *Calissien S. R. M. S.*“

Znacznie później, według dalszej relacji Sobieszczańskiego, miał Grochowski także i „plebanią w Czersku, którego to probostwa ustąpił mu Walenty Wróblewski (16 lutego 1595)“. Wiadomość tę potwierdzają także i akta głośnego procesu, jaki Grochowski miał w pięć lat później, i o którym niedługo przyjdzie nam szerzej mówić; w aktach tych jest on wyraźnie nazwany proboszczem Czerskim<sup>2)</sup>. Trzydzieści lat przedtem, w r. 1564, odbyta za Zygmunta Augusta lustracja opisuje Czersk jako miasto znaczne i dobrze osiadłe; jeszcze za Zygmunta III istniały

<sup>1)</sup> Baliński, *Star. Polska* I, 576.

<sup>2)</sup> Łukaszewicz, *Opis kościołów dyecezyi Poznańskiej* III, 321 w odsyłaczu: „per honorabilem S. G. Parochum Czerscensem“.

tam winnice. Probostwo Czerskie należało pod owe czasy do dyecezyi Poznańskiej, dekanatu Piaseczyńskiego.

Odkąd zatem w biografii Grochowskiego możemy mieć jakąś pewniejszą datę, to jest od czasu jego nauki w kolegium Pułtuskim (około r. 1571), aż do r. 1600, który zastał go proboszczem Czerskim, przemieszkując on w różnych chwilach w dwóch przyległych do siebie dzielnicach Polski: w Wielkopolsce i w Mazowszu, a znanymi w tym okresie miejscami jego pobytu są: Pułtusk, Kalisz, Uniejów, Łowicz i Czersk. Z niektórych jego wierszy z ostatnich lat 16 wieku, o których niedługo więcej powiemy, jakoteż z niektórych szczegółów jego procesu można także widzieć, że odwiedzał niekiedy Warszawę, zwłaszcza w czasie, gdy ona stolicą państwa być począła. W dedykacji nakoniec *Unieioviensis Gratulatio* kanonikowi Brzeźnickiemu mamy dowód na jeden przynajmniej jego pobyt w Poznaniu w r. 1582, kiedy tam jedno z wydań tej swojej powitalnej mowy robił, i jakiś czas w domu wspomnianego wyżej swego przyjaciela mieszkał. To poświęcenie datowane jest z Poznania i z domu Brzeźnickiego, a nadto o swym pobytku tamże mówi Grochowski i w samej dedykacji, chwając gościnnosc, jakiej od przyjaciela doznawał (*hospitalitas tua et humanitas singularis*).

Na moralną konduktę Grochowskiego w stanie kapłańskim mianowicie w ciągu tych lat do końca 16 wieku, Sobieszczański rzuca niepoehlebne wcale światło. Oskarża go, że „dla dochodów brał owe beneficia, a nie pełnił przywiązanych doń (*sic*) obowiązków, liczne stąd wynikły sprawy, których jest pełno w dawnych aktach konsystorza Warszawskiego“. To powołanie się na urzędowe dokumenty, które, jak przypuszczać należy, Sobieszczański znał i miał w rękach, jest okolicznością zwiększającą ciężar jego zarzutu. Potwierdza go również inne jeszcze a nieznane Sobieszczańskiemu świadectwo, przechowane znowu w aktach archiwum konsystorskiego w Poznaniu. Instygator Biskupa Poznańskiego w wspomnianym już wyżej procesie (r. 1600) oskarża Grochowskiego także i to, że kościół parafialny w Czersku spustoszył, że się dopuszczał niedbałości w duszpasterstwie i udzielaniu sakramentów kościelnych, jakoteż że przy kościele osobiście nie zamieszkiwał<sup>1)</sup>. Wreszcie przemawiać zatem zdaje się i sam

<sup>1)</sup> Tum ratione parochialis Ecclesiae in Czersko desolationis ejusdem, negligentiarum in cura animarum exercenda et administratione sacramentorum ecclesiasticorum et circa eandem non residentiae personalis“. Łukasz. *Opis dyece. Pozn.* III, 324 w odsyłaczu.

ten fakt, jak każdemu to łatwo na myśl przyjdzie, że rozrzucone po różnych stronach beneficia Grochowskiego nie mogły mu pozwalać, ażeby swoje kapłańskie i duszpasterskie obowiązki sumiennie wypełniał. Jeżeli zaś starał się o nie i brał je na siebie, to zapewne nie w innej myśli tylko dlatego, że mu o powiększenie dochodów chodziło. Niedawno jeszcze temu probostwa i kanonie dostawały się nawet świeckim ludziom (jak J. Kochanowskiemu) jako rodzaj synekury za zasługi na innym polu położone albo przez protekcją możnych w kraju osób, dla czegożby on, teolog i ksiądz z zawodu, nie miał ubiegać się ile się dało o ten chleb duchowny? Należało to do obyczajów ówczesnego świata, a świeża jeszcze wtedy naprawa Kościoła katolickiego i ustawy Soboru Trydenckiego nie mogły usunąć tak prędko tego rodzaju nadużyć, dzisiaj tak bardzo nas rażących.

Nie dosyć jednak na tej niedbałości, Według tych samych aktów konsystorza Warszawskiego okazuje się, jak mówi dalej Sobieszczański, że Grochowski był „chętny do pieniąctwa i kłótlivy co nie miara“. Wiódł on bowiem spory to z mieszczanami Warty (Warta leży o 4—5 mil od Uniejowa i w takiejże prawie odległości od Kalisza), którym daniny obowiązkowe aresztował, o co rzecz aż o nuncyusza papieskiego się opierała; to znowu opuściwszy plebanją w Czersku, dla tamecznej prebendy kościoła św. Piotra <sup>1)</sup>, swarzył się z miejscowym plebanem, który go zastąpił, a ten zapozwał Grochowskiego przed konsystorz, oskarżając, że nietylko zaniedbywał obowiązków kościelnych i ludzkich, ale jego, spokojnego człowieka, ciągle nicował zapozwami o urojone pretensye przed królem, nuncyuszem i biskupem“. Jeżeli to wszystko prawda — a niestety! nie mamy słusznej do wątpienia o prawdziwe podstawy — trzebaby przyznać, że nasz poeta, w młodszych zwłaszcza swoich latach, nie był dobrym księdzem, kapłanem z powołania, że rządził nim nie ewangeliczny duch miłości i poświęcenia, ale jakiś duch niespokojny i zanadto na jego stan światowy, a przytem także pewna chęć zysku i chciwość, które kazały mu raz poraz ubiegać się o różne prebendy, faciendować niemi i zaniedbywać się w obowiązkach, a z drugiej strony, korzystając może ze swoich stosunków i łatwości pióra,

<sup>1)</sup> Kościół ten dziś już nie istnieje; rozebrano go w przeszłym wieku. Miał on dwóch prebendarzy, których uposażeniem były dziesięciny ze wsi królewskich Las, Tatary i Ożarów. (Łukaszewicz, Opis kość. Dyec. Pozn. III, 327.

wszczynąć spory i procesy, kłócić się z ludźmi i nie dać im spokoju dla przysporzenia sobie miłego grosza.

Byłby to rys charakteru zaiste i księdza i poety niegodny i nielicujący ze zwykłym usposobieniem adeptów Apollina. Wszystkie inne wady i błędy łatwiej znaleźć w poetach, niż chciwość i łapczywość na grosz. Jeżeli nie za szlachetni, bywają oni za lekkomyślni i za dobroduszni na to, aby żądza mamony nad nimi zapanowała. Wolą także zwyczajnie dobrą myśl i wolną od frasunków głowę, niż interesa i kłopoty gospodarskie, a cóż dopiero sądowe sprawy i procesy.

Z innego jednak względu powiedzieć trzeba, że talent poetycki, jaki Grochowski miał w sobie, mógł mu przeszkadzać i przeszkadzał niewątpiwie, ażeby odpowiedział surowym wyobrażeniom o swem duchownem powołaniu. Poezie nie łatwo być ascetą i człowiekiem surowej enoty; do bujniejszej jego fantazyi, gorętszych uczuć i wrażliwszych zmysłów świat zawsze prędeży, niż do innych znajdzie sobie drogę. Poezya jako sztuka lubi to co w życiu nęci i wabi, co je okrasza i powszednią jego monotoność przerywa; lubi pełnię życia, lubi użycie a nawet i nadużycie, jeżeli ono estetyczną szatą rażące swoje ułomności osłoni, Dlatego nie dziwi nas wcale, że o światowości Grochowskiego tu i owdzie znajdujemy wzmianki, pozwalające więcej jeszcze się domyślać. Siarczyński nazywa go „doweipnym i przyjemnym poetą“ to jest poetą, który nie tylko z poważnej, ale i z lekkiej strony brał życie i ludziom podobać się umiał. Maciejowski podobnie się wyraża, że „umiał żyć z Bogiem i z ludźmi, jako ten (sam się z tem wygadał w Duchownej pociesze pannom), który niegdyś sam nieostrożnie lata wśród świata prowadził“ <sup>1)</sup>. Wreszcie i Grochowski, jak o tem opowiada *Compendium* ostatnie jego chwile opisujące, żałował przed śmiercią i wyrzucał sobie, że za życia zanadto światu służył, powtarzając przed obecnymi: „O gdyby mi się dawniejsze wróciły lata, jakbym je inaczej niż to czyniłem w posłuszeństwie Bogu przepędzał; jakże gorąco pragnę, jeżeli żyć jeszcze będę, całego siebie na służbę Bogu poświęcić“. Odliczywszy nawet połowę tej skruchy na karb tej psychologicznej konieczności, że w obliczu śmierci więcej niż kiedykolwiek znikomość rzeczy ludzkich czuć się daje człowiekowi, to jeszcze musimy uwierzyć, że Grochowski w istocie miał powody do tych

<sup>1)</sup> Piśmiennictwo I, 635. Dziełko Grochowskiego, na które się Maciejowski powołuje, nie jest nam znane; wyszło ono z druku r. 1611.

wyrzutów sumienia, że serce jego w ciągu życia zanadto lgnęło do świata. Temperamentu niewątpliwie choleryczno-sangwinicznego (melancholicznej skłonności nigdzie się u niego dopatrzeć nie można), obdarzony jak wszyscy prawie z owych czasów ludzie zdrowym i trzeźwo rzeczy biorącym rozsądkiem, nie lubiący zatapiać się w abstrakcyjne i idealistyczne sfery, popychany przez swą naturę do ciągłego umysłowego a niezawodnie i fizycznego ruchu, nie należał on do liczby cichych i oddanych swej idei myślicieli ani do bogomodłców, którzy duszę swą utopili w niebie i żyją na ziemi o tyle o ile im przyjdzie spełniać swe duchowe posłannictwo. W czasach w których surowa moralność i dawna światobliwość chrześcijańska całym blaskiem jaśniała w osobach wielu pogromców protestantyzmu a wskrzesieli katolickiej prawowierności; kiedy Hozysz, Skarga, późniejszy kardynał Bernard Maciejowski dawali ze siebie wzór nieskazitelnego kapłańskiego życia i przejęcia się swym obowiązkiem, posuniętego do abnegacji; kiedy Stanisław Kostka, wyrzekając się dla Jezusa wszystkich roskoszy swej młodości i rodzinnych dostatków, dosługiwał się niebiańskiej aureoli na swoje skronie: nasz poeta nie sięgał wcale duchem tak wysoko jak oni i chętnie, ulegając wrodzonym swym skłonnościom, mieścił się w szeregu pospolitszych duchów, ludzi przeciętnej miary, dla których wystarczało, jeśli się nie dopuszczali nieprzyzwoitości i zgorzenia bliźnim nie dawali. Zresztą co było można mieć z przyjemności życia, z tego całym sercem korzystał. Był on pewnie zabawnym gościem i dobrym towarzyszem przy biesiadzie, lubił żarty i wesołość, i sam je pierwszy podniecał; w gwarnych zebraniach szlacheckich obecność jego bywała chętnie bezwzględnie witana, a on ze swojej strony nigdy się od nich nie uchylał; panom świeckim i dygnitarzom kościelnym umiał się spodobać swym taktownym zachowaniem się, nielekliwym ale też pozwalającym widzieć, że czuje i uznaje ich wyższość i dba o ich względy. O chleb powszedni ubiegał się także skrzętnie, wcale się nie stósując do zasady ewangelicznego ubóstwa. Piękność natury umiał żywo odczuwać i szukał w niej zadowolenia dla zmysłów. Będziemy później mieli sposobność bliżej się temu przypatrzeć, jak oko jego chwytowało chętnie wszystkie blaski i barwy w przyrodzie rozlane, jak ucho z upodobaniem przysłuchiwało się wszelakim głosom domowego i leśnego ptactwa. Czy kobieta odegrała jakąkolwiek rolę w jego życiu, nie mamy najmniejszego śladu. Ani jednym słowem w pismach swoich nie potrąca on o erotyczne uczucia. Nie jestto wprawdzie dowód

stanowczy, aby im i w życiu nie podlegał, bo przecie i Krasicki ostrożniejszy w tej mierze od Naruszewicza, nigdzie się z tem na piśmie nie zdradził, co mu społeczna kronika skandaliczna wcale wyraźnie zarzucała, ale bądź co bądź tak pod tym, jak i pod każdym innym względem utwory jego odpowiadają wymaganiom najczystszej moralności, i nie ma w nich jednego wiersza, któryby potrzeba było *ad usum delphini* wykropkować. Cecha to zresztą ogólna poetów za Zygmunta III., że w swoich lutniach nie mają erotycznej struny; nie mają jej i Klonowicz i Miaskowski i Zbylitowscy, a najcelniejszy z całego tego grona Szymonowicz, jeżeli na niej zagra w swych Sielankach, to tak delikatnie, że najskromniejszych uczuć nie urazi. Dawniejsza, w szlachetniejszym i pospolitym rodzaju erotyka Kochanowskiego i Reja zeszła za odmianą czasów i wyobrażeń z pola, zniknęły elegie w guście Tibulla i Horacego i rubaszne Figliki i Fraszki „dobrym towarzyszom gwoli“, ażeby nie pojawić się znowu aż później, w drugiej połowie tego 17 wieku, pod piórem namiętnego Morzyna i niewybrednego w żartach Wacława Potockiego.

Nasz kanonik Kaliski i Uniejowski poetycką sławę zaczęli sobie zdobywać właśnie w tych latach życia, które teraz z drobnych ułamków staraliśmy się odtworzyć. Od pierwszej chwili wstąpienia na tron Zygmunta III szczególnie wydaje on znaczny dosyć szereg utworów poetycznych, które zdolne były zwrócić na niego powszechną uwagę i wyrobić mu autorskie imię. Nie mówiąc na teraz o innych, jedno z najcelniejszych jego dzieł: Hymny, prozy i cantica kościelne wyszły jeszcze w tym czasie przed końcem 16 wieku (r. 1598, 1599).

Z tego pierwszego dorobku literackiego możemy sobie także wyciągnąć pewne wnioski o ówczesnych stosunkach Grochowskiego, mianowicie o stosunku do króla i królewskiej rodziny. Niewątpliwie od samego początku panowania Zygmunta IIIgo zbliżył on się w jakikolwiek sposób do królewskiego dworu, albo przynajmniej imię jego zrobiło się tam znanem i nie obcem. Nie wiemy czy *Kalliopea Słowieńska* królowi „przed samą koronacją (28 grudnia 1587) — jak poeta pisze — oddana“, była mu osobście przez niego doręczoną, chociaż w samym tym wierszu (o czem na swoim miejscu więcej się znajdzie) mamy wskazówki, że Grochowski był podczas koronacji w Krakowie, ale to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że król musiał *Kalliopeę* mieć w rękach i dowiedzieć się o istnieniu w swem nowem królestwie poety, którego wiersze podobały się niezawodnie i powszechnie były chwala-

lone. Następujące niebawem potem *Pieśni Kalliopy Słowiańskiej na zwycięstwo pod Byczyną* również do króla wystósowane, jakoteż i drugi wiersz *Hołubek* opiewający tę samą bitwę, tak ważną dla króla, bo o jego koronie rozstrzygającą, musiały więcej jeszcze wbić w pamięć Zygmunta niedawno po raz pierwszy posłyszane nazwisko poety, i co jest rzecz całkiem naturalna, przychylnie go usposobić dla tego, który pierwszym jego krokom na ziemi polskiej i tryumfowi nad niebezpiecznym przeciwnikiem odniesionemu piórem swoim rozgłosu i uroku między ludźmi dodawał. Czy oprócz własnego zadowolenia królewskiego i wdzięcznego stąd dla poety uczucia, wiersze te jaką inną korzyść Grochowskiemu przyniosły? musimy znów to pytanie zostawić bez odpowiedzi. W kilkanaście jednak lat później śpiewa on znowu dla króla i jego rodziny przy różnych sposobnościach. W dwóch wierszach, *Plankty* i *Żal pogrzebowy* opłakuje zgon pierwszej żony Zygmunta, Anny Austriaczki, zmarłej na początku 1598 r., i na trenach tych dla matki nieboszczki, arcyksiężnej Maryi, jako dla nieumiejącej po polsku, pisze dedykacją po łacinie <sup>1)</sup>, tak samo jak w dziewięć lat później (1608) podobną łacińską dedykacją poświęci wiersz swój: *Cień Królewicza Jana Kazimierza*, matce zmarłego dziecięcia, Konstancyi, drugiej żonie królewskiej. W grudniu tegoż samego roku (1598) pisze znów dwa inne wiersze do króla wystósowane i do niego tylko osobiście się odnoszące. W pierwszym, nawpół żartobliwym *Skarga snu nocnego* wzywa jego opieki i prosi go o ukrocenie nocnej hałastry, która po Warszawie burdy i hałasy wszczynają, ludziom porządnym spać nie dając, a następnie, (co niezawodnie dowodzi, że pierwsza część tego wiersza do rąk króla doszła i stosownie jego rozporządzenia wywołała), dziękuje mu za powstrzymanie tych nieporządków. Na samo zaś Boże Narodzenie składa królowi „na końcu żałoby jego po pierwszej małżonce“ *Pierwszy wiersz kołędny*, w którym poddaje mu także dalikatnie tę myśl, że w tym czasie tak pełnym dla świata wesela i jemu godziłoby się „wdziać już płaszcz ozdobny, a rzucić żałobny“. Do tychże samych czasów należy *Rym polski na oczekiwany przyjazd J. K. Mości z Królestwa szwedzkiego do korony polskiej*, (co jak wiadomo w październiku 1598 r. nastąpiło), który aby tym łatwiej przez króla mógł być czytany, zapewne sam autor także

<sup>1)</sup> Przy wydaniu drugim „Żalu“ z r. 1599, według Drozdziwicza str. XV. Dedykacja ta, z pewnemi zmianami, powtórzona i przy trzecim wydaniu z r. 1608.

i na język łaciński przetłómaczył<sup>1)</sup>, a należeć się zdaje parę jeszcze innych drobnych wierszyków jak: „*Na malowany obraz J. K. M.*“, „*Na szczęśliwy do Polski przyjazd siostry Jego K. M. królowny szwedzkiej Anny*“, „*Na konterfet tejże*“ i „*Zajączek mały, tejże od autora darowany*“. Inne dwa wierszyki: „*Na konterfet królewicza Władysława, siódmy rok wtenczas mającego* (a urodzonego 1595)“ i „*Na konterfet Anny królewniczki, Jego K. M. zmarłej córeczki*“ (umarła 9go lutego 1600) do czasów nieco późniejszych, choć bardzo bliskich należą. Im są bliższe, im więcej tylko osobisty interes mają okoliczności, dla których te wiersze i wierszyki do króla i członków jego rodziny były wystósowane, tem więcej dowodzą one, że Grochowski musiał mieć jakiś przystęp do królewskiego dworu i że go z tym dworem bliższe łączyły stosunki, zwłaszcza kiedy właśnie w tych czasach (1595) Zygmunt stolicę przeniósł do Warszawy, a więc tak niedaleko od Uniejowa, Łowicza i Czerska, owych beneficjów naszego poety. Charakterystycznym szczególnie jest ten z wymienionych wierszyków, z którego dowiadujemy się, że Grochowski siostrze królewskiej Annie, znanej zresztą lubownicze ogrodów, botaniki i nauk przyrodzonych w ogóle, przyniósł w podarunku — żywego zajączka. Kto tak drobne podarunki głowom ukoronowanym składa, ten bez wątpienia jest z niemi na stopie pewnej poufałości, musi być przez bliższą i częstszą zażyłość uwolnionym, choć w pewnych chwilach, od przepisów dworskiej etykiety. Praktycznej korzyści zdaje się jednak, że te poetyczne usiłowania i zabiegi Grochowskiego, a nawet i pewna jego wziętość na królewskim dworze, nie miały żadnej, chociaż pukał on we wszelaki sposób do królewskiej łaski, zwracając się i wprost do króla i przez pośrednictwo osób najbliżej niego będących. Jeszcze w r. 1599, kiedy wydał swą *Kolendę* dla króla napisaną w dedykacji tego wiersza Marszałkowi Nadwornemu W. X. L. Piotrowi Wiesiołowskiemu skarży się, że z rymów nie ma żadnego pożytku.

Cóż po was rymy nieszczęsne na świecie?  
Rychlej wam wezmą, niż co wyżebracie —

i prosi marszałka, ażeby jako tak blisko osoby królewskiej stojący („Ty co dziś rządysz Pańskim dworem sprawnie“) zwrócił uwagę

<sup>1)</sup> Po łacinie można go znaleźć w wydaniu zbiorowem, Kraków 1608 u Loba str. 468.

króla na te jego wiersze, ażeby nareszcie doczekał się jakichś względów z tej strony:

Królowi zaleć (tę kartę) i poddaństwo moje,  
Aza mię kiedy przyjmie w łaskę swoją.

Później (1603) jeszcze tylko jeden wiersz *August Jagiełło wzbudzony*, i to mając inne w tem celu na oku, poświęcił królowi samemu, częściej za to dedykacjami swojemi zwracając się do podrastającego królewicza Władysława, któremu przypisał w r. 1607 *Wirydarz* i 1608 drugie wydanie *Kalliopey Słowieńskiej*.

Drobnostkowe powyższe poszukiwania moglibyśmy ubarwić i urozmaicić nieco anegdotą, którą Jezuita Kowalicki <sup>1)</sup> o jakimś „dworzaninie“ króla Zygmunta III. Grochowskim zapisał, a którą Maciejowski na karb naszego poety policzył, gdybyśmy nie mieli tego przekonania, że i twierdzenie i dowodzenie Maciejowskiego nie wytrzymają krytyki. Kowalicki opowiada rzecz w ten sposób: „Kiedy się raz król tem przechwalał, że w gospodarstwie najbiedniejszymu nie ustąpi szlachcicowi, rozśmiał się, skromnie w dyskurs królewski mieszając się dawny dworzanin Grochowski: „Najjaśniejszy panie, cóż to za gospodarstwo? jeszcze u W. K. Mei groch nie zakwitł, a już czas przechodzi“. Maciejowski chce z owego „dawnego dworzanina Grochowskiego“ zrobić koniecznie naszego kanonika i poetę Grochowskiego, dowodząc tego w następujący sposób: „Ów dawny dworzanin był to snadź ksiądz Stanisław, nie dlatego tak nazwany, ażeby miał być dworzaninem rzeczywiście, bo o ile wiemy, nie był nim nigdy, lecz że wierszami swemi dworował u królewskiej rodziny“ <sup>2)</sup>. Argumentacja ta nazbyt krucha, polegająca na igraszce słów i na podsuwaniu dawnemu autorowi i przypuszczaniu u niego myśli, których on mieć nie mógł, tem mniej jeszcze wzbudza wiary, iż znać wyraźnie, że sam Maciejowski wiele jej nie miał i fakta rzeczywiste chciał zastąpić domysłem. Co się więc tyczy stosunku Grochowskiego do króla, poprzestać jedynie musimy na tem, co nam jako pewne jego własne pisma wskazują.

Ludźmi sławionymi w owej epoce, do końca XVIgo wieku, w wierszach Grochowskiego byli jeszcze oprócz rodziny królewskiej: nieżyjący, rycerską śmiercią pod Byczyną poległy rotmistrz Kozaków litewskich Gabryel Hołubek i pierwszy wówczas w Polsce

maż, W. hetman kor. Zamojski. W Pieśniach Kalliopy na zwycięstwo pod Byczyną Zamojskiemu poświęca poeta dwie osobne pieśni, zowiąc go „ojcem ojczyzny“ i porównyując do Hektorów i Kamillów. Kilku wreszcie duchownym i świeckim dostojnikom dedykował rozmaite swoje prace, jak: Dymitrowi Solikowskiemu, arcybiskupowi lwowskiemu (*Bellum theologicum 1597* i *Ścieżka pobożnego chrześcianina 1600*), Janowi Myszkowskiemu, kasztelanowi żarnowskiemu (*Hołubek 1588*), Lwowi Sapieżu kancel. W. X. Lit. (*Drugie wydanie Hołubku z tegoż roku*), Jerzemu Radziwiłłowi, kardynałowi, bisk. krakowskiemu (*Hymny kościelne 1598* i *1599*), Mikołajowi Krzysztofowi Radziwiłłowi, wojewodzie trockiemu (*Prozy kościelne 1599*), Stanisławowi Radziwiłłowi, żmudzkiemu staroście (*Dziesiątnik kościelny 1599*), Hieronimowi Gostomskiemu, wojewodzie poznańskiemu (*Plankty 1599*) i Maciejowi Pstrokońskiemu biskupowi przemyskiemu (*Szczodry dzień J. K. Mości 1600*). Dedykacje te nie zawierają w sobie nie takiego, co by nam stosunki autora do osób, którym swe prace poświęcał, bliżej rozjaśniało, samo ich istnienie jednak dowodzi, że między tymi ludźmi a Grochowskim jakiekolwiek musiały być relacje. Jednym był zapewne znajomy, o drugich znajomość mógł się ubiegać; względem jednych czuł się obowiązany, od drugich dopiero czegoś się spodziewał. Z wymienionych zresztą powyżej dygnitarzy jeden tylko Maciej Pstrokoński pojawi się jeszcze w dalszej jego biografii.

Wśród takich to okoliczności, z których większa część tylko jakby przez mgłę z przeszłości do nas się przebija, dobiegł Grochowski sześćdziesiątego, mniej więcej, swego roku, kiedy spotkał go wypadek dla niego niepożądany i smutny, ale głośniejszy niż wszystkie inne wydarzenia w jego życiu, bo aż do tego stopnia, że z tego powodu nazwisko jego, rzadkim między dawnymi pisarzami wyjątkiem, dostało się na karty współczesnej historii politycznej.

Rzecz się miała tak. W r. 1600 umarło w Rzymie prawie równocześnie dwóch polskich biskupów: krakowski, kardynał Jerzy Radziwiłł (21 stycznia) <sup>1)</sup> i kujawski, Hieronim Rozrażewski (Sgo lutego) <sup>2)</sup>. Na raz jeden zatem zawakowały dwa najprzedniejsze biskupstwa, najbogatsze w całej Polsce: krakowskie, i pierwsze po niem co do godności w hierarchicznym porządku: kujawskie. Nie dziw, że kandydatów zgłosiło się wielu, że pragnienia się

<sup>1)</sup> W katedrze kaznodzieje niedzielnego, w Sandomierzu 1725.

<sup>2)</sup> Piśmiennictwo I, 636.

<sup>1)</sup> Wielewicki, Histor. diarii w Script. rer. polon. T. X. p. 1.

<sup>2)</sup> Ibid p. 3.

obudziły i namiętności grać poczęły. Rzeczą całą rozgrywała się na sejmie warszawskim, który trwał od 9go lutego do 22 marca tegoż roku<sup>1)</sup>, i tak dalece zajęła i roznamiętniła umysły nie tylko duchownych, ale i ludzi rycerskiego stanu, boć każdy przecie między kandydatami miał takiego, co mu był bliższy lub miłszy, że inne sprawy, jak udzielenie królowi pomocy do odzyskania korony szwedzkiej i uchwalenie podatków na wojnę w celu poparcia wojewody mołdawskiego Jeremiasza, zostały na bok usunięte, i sejm rozszedł się, nie załatwiwszy nic z tego, po co właściwie się zebrał<sup>2)</sup>. Sprawa w gruncie rzeczy prywatna, ale przy której chodziło o wielkie i nie często zdarzające się korzyści, wzięła górę nad rzeczą publiczną.

Walka toczyła się głównie o biskupstwo krakowskie, do którego najważniejszymi kandydatami byli: Jan Tarnowski, herbu Rola, biskup poznański; Piotr Tylicki, podkanclerzy i biskup warmiński; Wawrzyniec Goślicki, biskup przemyski, i Wojciech Baranowski, biskup płocki. Tych głos publiczny za najgodniejszych i najpewniejszych zwycięstwa uważał, a za każdym z nich przemawiały bądź pozyskane w kraju znaczenie polityczne, bądź zasługi około kościoła położone. Tarnowski, jeden z najpierwszych rojalistów i stronnik rakuskiego dworu, przytem zacięty przeciwnik Zamojskiego, w czasie gdy kanclerz wielki od dworu się usunął, pierwszą był w kraju figurą, i teraz jeszcze, choć już okoliczności się zmieniły, i król dla potrzebnej mu zgody z Zamojskim Tarnowskiego poświęcić musiał, i piastowane przezeń podkanclerstwo mu odjął, cieszył on się zaufaniem i względami Zygmunta III. Swoją dworską ogładą, jakoteż uczynnością i dobrodziejstwami świadczonemi szczególnie w czasie sprawowania podkanclerstwa, pozyskał sobie nadto wielu przychylnych mu zwolenników. Tylicki, z ubogiej szlachty pochodzący, wielkiej zacności kapłan i senator, cieszył się szczególną łaską królewską; niedawno (1598) powierzył mu król podkanclerstwo i w tym samym również roku, bez żadnego ze strony Tylickiego o to zachodu, wyniósł na opróżnione po kardynale Batorym biskupstwo warmińskie. Te posiadane już wysokie godności dawały Tylickiemu niejako prawo, że mógł jeszcze wyżej patrzeć i większych dostojństw się spodziewać. Starszeństwem, zasługami i uczonością przewyższał innych Goślicki, w prozie i w wierszu wyborny pi-

<sup>1)</sup> Ibid. p. 4.

<sup>2)</sup> Piasecki, Chronicon p. 222.

sarz, autor eyeerońską łaciną napisanego dzieła: *De optimo senatore*, przytem człowiek na każdym kroku prawy i gorący patriota, dobro ojezyczny zawsze nad prywatę przenoszący. Najmniej popularny był zapewne Baranowski, ale miał także długie już lata kapłaństwa za sobą i wielką gorliwość w sprawowaniu swego pasterskiego urzędu. „Ubożuchno się on urodził“ — jak powiada Bartoszewicz — lecz przez własne zdolności i energią wyszedł bardzo wysoko. Pierwszym jego mecenasem był niegdyś Zamojski, który go stale u króla Stefana protegował, a choć o Baranowskim rozmaicie mówiono, źle i dobrze, ta przyjaźń wielkiego kanclerza pokazuje, że musiał mieć niezwykle zalety. Jako biskup odznaczał się surowością, dbał bardzo o moralność duchowieństwa, ostrym był dla podwładnych, a nieprzystępnym dla wszystkich. W Płocku, gdzie była jego rezydencya, więcej go się obawiano niż kochano, a później, gdy już jako biskup kujawski mieszkał w Wolborzu, tak surowemi przepisami krępował mieszkańców (zakazując im na przykład pić piwo podczas Wielkiejnoey), że mówiono, iż chciałby całe miasto zrobić klasztorem.

Byli prócz tego jeszcze i inni młodszy kandydaci, jak Henryk Firlej, kanonik krakowski i opat tyniecki, Krzysztof Kazimirski, biskup kijowski i Stanisław Gomoliński, biskup chełmski<sup>1)</sup>, ale ci albo mniejsze mieli nadzieje, albo też mniejsze pretensye, tak że byliby chętnie poprzestali na opróżnionych przez starszych biskupów posadach<sup>2)</sup>.

Sejm, dwór królewski i miasto Warszawa, a poza niemi można powiedzieć i kraj cały brały udział w tej zaciętej walce między licznymi a potężnymi kandydatami. „Jak na wyścigi — pisze Piasecki — szli ze sobą dygnitarze kościelni o wyższe dostojęstwa, każdy używając środków jakich mógł“. Intryg i konszachtów różnego rodzaju musiało być bez liku; nasz poeta Grochowski natrąca<sup>3)</sup> wyraźnie o pieniądzach i świętokupstwie; rozrzucano także publicznie broszury, w których zachwalano jednych a potępiano drugich kandydatów.

Tymczasem nadspodziewanie i ze zdumieniem wszystkich biskupem krakowskim mianował król 12go kwietnia 1600 r.<sup>4)</sup> tego, o którym nie dotąd słyhać nie było, biskupa łuckiego, Bernarda

<sup>1)</sup> Grochowski, Babie koło.

<sup>2)</sup> Piasecki, Chronicon 222.

<sup>3)</sup> W Babim kole.

<sup>4)</sup> Wielewicki, Historiei diarii w Script rer. pol. X, 5.



Maciejowskiego. Ustąpić przed nim musieli i potężniejsi znaczeniem i starsi wiekiem albo urzędem. Powszechnie twierdzą, że król zrobił to, ulegając wpływowi i zabiegom Jezuitów, a niektórzy<sup>1)</sup> dodają jeszcze, że i na zlecenie papieża Klementa VIII.

Bernard Maciejowski, syn kasztelana lubelskiego, tegoż samego imienia, a synowiec sławnego biskupa krakowskiego Samuela, niezwykłą musiał być i oryginalną między ówczesnymi dostojnikami duchownymi postacią. Karyerę swoją rozpoczął od żołnierki. „Na dworze Ferdynanda i Maksymiliana cesarzów w zabawach rycerskich młodość swoją ćwiczył“; — powiada o nim Sebastian Petrycy<sup>2)</sup> — król Zygmunt August „chorągiew koronną, pod którą wojsko polskie wojny odprawuje jemu zlecił“; król Stefan „upatrując w nim czerstwość rycerską i do spraw wielkich dzielność, przy sobie go rad trzymał“ i za okazane w wyprawie moskiewskiej męstwo 1579 „starostwem Bolesławskim uczcił“. Ten odważny i dzielny rycerz innego jednak miał w sobie ducha, niż ogół jego towarzyszy. „Spokojna cichość“ cechowała tego człowieka, noszącego miecz przy boku, i kardynał Hozyusz ocenił go dobrze i przepowiedział jego przyszłość, kiedy widząc go wówczas powiedział o nim, że „pod żołnierską szatą kapłański umysł nosił“. Cichym, skromnym i pobożnym był Maciejowski w istocie od młodości. W kraju wychowywał się pod dozorem Jezuitów, Benedykta Herbesta, a później w Wiedniu pobierał nauki razem ze św. Stanisławem Kostką, również w Jezuickim kolegium. Wezwanie też podobno wdychał do stanu duchownego, i tylko wyraźna wola ojca na drogę świecką go popchnęła. Mimo to, choć swe obowiązki wojskowe pełnił z całą sumiennością, serce zawsze ciągnęło go gdzieś indziej. Młody żołnierz w nocy wstawał ze snu do modlitwy, co więcej, miewał nawet cudowne widzenia. Z okien swojej sypialni w Chodlu widywał jakąś światłość padającą z nieba na pobliski pagórek. Zjawisko to miało go ostatecznie skłonić do porzucenia stanu rycerskiego i świeckiego. Złożył więc swoje starostwo (1582) w zamiarze wstąpienia do Jezuitów. Zmienił później myśl, na naukę teologii udał się jednak do Jezuickiego kolegium w Rzymie. „Jak niegdyś w Wiedniu budował się enotami Stanisława, tak teraz w Rzymie świątobliwością kardynała Karola Boromeusza“<sup>3)</sup>. Za powrotem do kraju Hozyusz, tudzież

<sup>1)</sup> Niesiecki i Encyklop. Kość. XIII, 31.

<sup>2)</sup> W dedykacji temuż Maciejowskiemu Polityki Aristotelesowej, Krak. 1605.

<sup>3)</sup> Bartoszewicz, Arcybiskupi gnieźnieńscy.

arcybiskupi Karnkowski i Solikowski udzielili mu od razu swego gorącego poparcia. Niedługo też, postępując coraz wyżej w godnościach, został biskupem łuckim. Oddany całą duszą kościołowi i kapłańskim obowiązkom, hojnym szczególnie przyjacielem okazał się zawsze dla Jezuitów: darował im dziedziczny swój majątek Chodel, wystawił okazały kościół w Lublinie (1558), wreszcie niedawno (1595) uposażył ich Kolegium w Pułtusk.

Więszego przyjaciela i zwolennika nad niego nie mieli pewnie Jezuitów w liczbie ówczesnych biskupów i żaden z kandydatów nie był dla nich tak miłym i tak bardzo im na rękę jak on, co od młodości pod ich wpływem wyrósł i zawsze pozostał im wierny. I owszem, niektórych wprost mogli uważać za przeciwników, jak Tylickiego, który zostawszy później biskupem krakowskim, akademią, będącą wówczas w otwartej z Jezuitami walce, mocno popierał i fundacyami obdarzał, albo jeszcze więcej Goslickiego, który przeciw nim jawnie już przedtem wystąpił i w obronie akademii do Syxtusa V. pisał. Goslickiemu może na więcej winna była akademie, że się przy swoich przywilejach utrzymała, ale też Jezuitów nie zapomnieli mu tego nigdy; przeskadzali mu dawniej, kiedy się o biskupstwo chełmińskie starał, i teraz znowu wszelkie sprężyny poruszyli, aby go do krakowskiego nie dopuścić.

Z tem wszystkiem mamy przekonanie, że nie tylko zemsta lub interes materialny w tej sprawie Jezuitami kierowały. Nie wydaje nam się niezbitą prawdą i ostateczną przyczyną to, co powiada Bartoszewicz<sup>1)</sup>, że Maciejowski „biskupstwo wziął w nagrodę za dobra Chodelskie, które podarował Jezuitom“. Wyobrażamy sobie, że Jezuitów szli tutaj za popędem szlachetniejszej myśli i głębsze cele mieli na oku. Oni i kościół katolicki, w owej chwili reformujący się i restaurujący, stracili właśnie dwóch biskupów, którzy należeli do najsilniejszych filarów nowego wówczas kierunku. Zmarły bowiem biskup krakowski Radziwiłł tak całym sercem był im oddany, że tylko dla towarzystwa Jezuitów ostatnie lata życia przepędził w Rzymie i mimo swej wysokiej godności, byłby przywłaził ich sukienkę, gdyby nie wyraźny zakaz papieża. Rozrażewski znowu, ostatni biskup kujawski, tak wzorowym był kapłanem i rządcą diecezji, tyle przykładem swoim wpłynął na polepszenie obyczajów nie tylko niższego kleru, ale i innych bisku-

<sup>1)</sup> Arcyb. gnieźn. w artykule o Maciejowskim.



pów, że — jak się o tem wyrażają<sup>1)</sup> — „pasterstwo jego stanowi niemal epokę w dziejach kościoła polskiego“. Otóż tracąc równocześnie dwóch takich ludzi, przejętych nowym duchem podniesienia katolicyzmu zarówno w oczach świata jak i przed Bogiem, tracąc dwóch biskupów, oddanych całą duszą moralnym interesom kościoła i temu kierunkowi, który mu Jeznici nadać pragnęli, nie dziwnego, że starali się oni na to miejsce, choćby na jednym biskupstwie krakowskim, postawić człowieka ożywionego ich duchem i mogącego, jak Rozrażewski, świecić przykładem dla innych. Piotr Skarga, jak nam wiadomo, należał także do tej sprawy; on to pociechu i w tajemnicy królewskiego gabinetu pracował nad Zygmuntem, aby go skłonić do wyboru w tej myśli, i on zapewne najwięcej doprowadził go do skutku. Nie możemy więc wątpić o tem, że musiał się kierować tego rodzaju wyższymi pobudkami i że sumienie jego nie wyrzucało mu nic, jakoby nie postąpił zgodnie z wolą bożą i dla dobra odradzającego się wewnątrznie katolicyzmu.

I znowu musimy powtórzyć toż samo, że z innych kandydatów żaden nie mógłby w zupełności odpowiedzieć temu zadaniu i zamysłem ludzi takich jak Skarga, co pragnęli wlać w kościół jak najwięcej ducha świętobliwości i religijnego rygoru. Nazwisko naprzykład Tarnowskiego było już zapewne zanadto w sprawach i intryguach politycznych okrzyczane, a może nawet zszarżane, tak jak znowu Baranowski odstraszał od siebie surowością charakteru i szorstkiem obejściem. Przez wszystkich też biskupów przebiegał jeszcze w różnych stopniach człowiek świecki i senator Rzeczypospolitej Maciejowski był innym. Asceta z natury, ksiądz nie dla widoków lecz z powołania, cichego ducha i ewangelicznej pokory, a przytem energiczny i całą siłę moralną w jeden tylko cel służenia kościołowi skupiający, mógł on być zarazem zdolnym i dzielnym urzędnikiem kościoła, który poza swym urzędem i obowiązkiem nie widzi, jak i budującym wzorem bogobojności i cnót chrześcijańskich. Był to typ księży, duchowi owoczesnej reformacji katolickiej najlepiej odpowiadający, i dlatego dzięki tym, co tego ducha najsilniej wyobrażali, zwyciężył przeciwników, będących jeszcze ludźmi więcej starego autoramentu.

Rozdrażnienie u zawiedzionych w nadziejach kandydatów było z początku wielkie. Gdy Piotr Skarga przyszedł w imieniu

<sup>1)</sup> Sobieszczański w Encyklop. Orgelbr. w artykule o Rozrażewkim.

króla Tarnowskiemu biskupstwo kujawskie ofiarować<sup>1)</sup>, ten w ostrych słowach począł Skardze wyrzucać, że za sprawą jego i innych z jego zakonu został biskupstwa krakowskiego pozbawiony, i na razie ofiary królewskiej nie przyjął. Podobnie Goślicki bardzo to sobie wziął do serca, że go kujawskie biskupstwo, które dostać był pewny, ominięło. Powoli jednak uspakajały się umysły, zwłaszcza gdy król gorycz zawodu starał się przypadłym kandydatom w inny sposób osłodzić. Po rozmowie, mianej następnie z królem Tarnowski przyjął odrzucone w pierwszej chwili biskupstwo kujawskie; na poznańskie po nim opróżnione wstąpił Goślicki; przemyskie znów po Goślickim wziął Pstrokoński, a na łuckie wakujące po Maciejowskim wstąpił Gomoliński, po którym sukcesyją, biskupstwo chełmskie, otrzymał kanclerz Zamojski dla swojego krewniaka Jerzego Zamojskiego.

Do tej to gorącej walki, jaką wiedli ze sobą potentaci, wniósł się chudopacholek Grochowski, i nie najlepiej na tem wyszedł. Wniósł się jako człowiek, dla którego pióro jest orężem, napisał wiersz okolicznościowy, pamflet wymierzony przeciw nieuprawnionym i nieprzebierającym w środkach zabiegom o biskupstwo krakowskie p. t. *Babie koło*. Wiersz ten, jak wiele innych wtenczas, rozrzucony między ludzi najwięcej narobił hałasu, bo przyzwoicie lecz dowcipnie kandydatom dogryzał<sup>1)</sup>. Tylickiego i Baranowskiego po części odsunął autor zrecznie od kandydatury, twierdząc, że oni o tem nie myślą, co zresztą przynajmniej o Tylickim może być prawdą, bo i Piasecki tak samo utrzymuje. Podobnie powiedział i o Gomolińskim, że „człowiek cichy“ i do klasztornego życia więcej wdycha; Firlej za młody, a i tak już ma dosyć godności; Goślicki niemożebny, bo mu król nie sprzyja, a Kazimirski wprawdzie „mądrej głowy, ale nowy“, niewypróbowany i bez znaczenia. Najmniej delikatnie obszedł się Grochowski z Tarnowskim; zarzucił mu skąpstwo, szafowanie groszem kościelnym na rzecz krewnych i wreszcie ironicznie dał do poznania, że Tarnowski gotówby za biskupstwo i zapłacić, gdyby król takiej ofiary nie odrzucał. Tak uporawszy się ze wszystkimi kandydatami, jako jedynie godnego krakowskiej katedry polecił

<sup>1)</sup> Król mianował Tarnowskiego biskupem kujawskim tegoż samego dnia co i Maciejowskiego krakowskim, t. j. 12 kwietnia; trzecim z tegoż samego dnia nominatem był Benedykt Wojna, mianowany biskupem Wileń. (Wielewicki, Script. rer. pol. X, 5).

<sup>1)</sup> Piasecki (Chronicon 222) zowie go „praecipuum“ i „singulos carpens modeste sed festivum“.

tego, który ją w istocie niedługo potem od króla otrzymał, Bernarda Maciejowskiego.

A teraz zachodziłoby pytanie, co Grochowski mogło nakłonić do napisania tego wiersza? Nie mamy nigdzie śladu, aby przed owym czasem był w jakichkolwiek z Maciejowskim stosunkach, również niepodobna byłoby posądzać Maciejowskiego, że w interesie swoim na poetę wpłynął, i myśl napisania tego wiersza mu podsunął. Z drugiej strony trudno znowu sobie wyobrazić, żeby Grochowski ni ztąd, ni zowąd kładł zdrową głowę pod ewangelią, i ażeby lekkomyślnie, dla dogodzenia może jakiej osobistej zemście lub złośliwości, narażał sobie tak wielu potężnych dygnitarzy kościelnych, a między nimi najbardziej bezpośredniego swego zwierzchnika biskupa poznańskiego, Tarnowskiego. Cel jednak tego wiersza jest zbyt wyraźny: odsunąć wszystkich kandydatów, jednym trochę przyciąć, drugich wystawić jako niemożliwych i opinią publiczną zjednać dla samego tylko Maciejowskiego. Jest to ten sam cel, który w zabiegach swoich w tej sprawie mieli także i Jezuiti. Znając ich dawne, od lat najmniej trzydziestu, przyjaźne i bliskie stosunki z Grochowskim, wiedząc, jak on ich zawsze wysoko cenił, i jakie miał do nich zaufanie, nie wahamy się powiedzieć, że jeśli *Babie koło* nie było napisane na ich wyraźne żądanie, to przynajmniej powstało z ich natchnienia i z tego przekonania Grochowskiego, że kandydat Jezuitów musi być najlepszym i najgodniejszym.

Wiersz ten obraził mocno dotkniętych nim biskupów, tak że naszemu pocięciu jego wystąpienie nie mogło ująć płazem. Piasecki, od którego najprzód wyszła o tem wiadomość, napisał, że to biskup Baranowski, mszcząc się na Grochowskim, „że jemu nad innych więcej przyciął“ z dochodów kościelnych go wyzuł. Juszyński, za którym poszli i następni, dodał do tego, że „i uwięził, tak że (Grochowski) ledwie wsparty możną Działyńskich opieką wolność odzyskał“. Na podstawie nadto jakiegoś bliżej nieoznaczonego rękopisu „przez Anonima wyznania luterskiego pisanego“, umieścił jeszcze i tę wiadomość, że chociaż niewiadomo, czy to Grochowski uczynił, niewolono go jednak, ażeby przysiągł, iż odtąd same tylko pobożne rzeczy pisać będzie. Broniąc się od tego ograniczenia swojej autorskiej swobody, chciał Grochowski rozszerzyć to pozwolenie przez dodanie wyrazu: i poważne, lecz sędzia na trybunale siedzący odpowiedział mu sentencją, potępiającą w czambuł wszelaką poezją i poetów: „pisanie wierszy to

światowa jest umiejętność, a ci co jej się oddają, nie kosztują nigdy prawdy i enoty“<sup>1)</sup>.

To przedstawienie rzeczy już na pierwszy rzut oka nie może wzbudzać całkowitej wiary. Są w nim szczegóły widocznie niezgodne z prawdą i z owoczesnymi stosunkami. Nie prawdą jest, jakoby Grochowski najostrzej dogryzł Baranowskiemu, jak również trudno sobie wyłómaczyć, jakim sposobem biskup płocki mógłby więzić Grochowskiego i dochodów kościelnych go pozbawiać, skoro tenże jako posiadający beneficja w dyecezyi gnieźnieńskiej (Uniejów i Łowicz) i poznańskiej (Czersk) pod jurysdykcją jego nie należał. Więzienie wreszcie i to bezwzględne ograniczenie wolności pisania nazbyt surową karą się wydają.

W istocie rzecz się miała nieco inaczej, jak to po raz pierwszy wyświeciły akta procesu wytoczonego Grochowskiemu o *Babie koło*, w archiwum konsystorskiem w Poznaniu przechowane, a przez Łukaszewicza w Opisie kościołów dyecezyi poznańskiej drukiem ogłoszone<sup>2)</sup>. Zawierają one prócz tego niektóre szczegóły o przebiegu całej tej sprawy, których pominąć tutaj nie możemy.

Oto czego najprzód o powstaniu i sposobie rozszerzenia owego karygodnego wiersza się dowiadujemy.

Grochowski, nazywany w aktach proboszczem czerskim, bez żadnego innego tytułu, przybył niewątpliwie z Czerska<sup>3)</sup>, podczas sejmu do Warszawy, dokąd już nieraz poprzednio musiał dojeżdżać. W Warszawie stanął gościnną u niejakiego Jana, wikaryusza kolegiaty warszawskiej, z którym miał zapewne dawniejszą i bliższą

<sup>1)</sup> Carmina poetarum est secularis scientia, studiosi eorum in fame veri et virtutis perseverant (Juszyński, Dyke. I, 113) — słowa nieco skrócone ś. Hieronima, jak objaśnia Drozdziwicz przy wydaniu Turowskiego str. VI.

<sup>2)</sup> Tom III, str. 321—326 w odsyłaczu.

<sup>3)</sup> Mniej więcej 4 miesiące przedtem przypis Solikowskiemu pierwszego wydania „Ścieżki pobożnego Chrześciana“, które wyszło w Krakowie 1600, datował Grochowski z Czerska 28 września 1599. Zwracamy przytem uwagę także i na tę okoliczność, że ks. Drozdziwicz (przy wydaniu Turowskiego str. XVI), opisując to wydanie, opuścił przy dacie tego przypisu liczbę roku, tak że ktoś mógłby przez to wprowadzonym być na fałszywy wniosek, że Gr. podpisywał dedykację w roku wydania „Ścieżki“ t. j. 28 września 1600 r., a więc i następnie, że ku końcowi 1600 r. bawił on jeszcze w Czersku. W istocie, jak później to obszerniej przedstawimy, był on w tym czasie już bez wątpienia w Krakowie.

znajomość. W jego to mieszkaniu, po nocach, co zresztą, jak później będziemy mieli jeszcze sposobność widzieć, do zwyczajów Grochowskiego należało, pisał poeta swoje wiersze z niemałym zmartwieniem gospodarza, który potem przed sądem się uskarżał, że Grochowski krzątając się po izbie, spać mu nie dawał. Gdy już wiersze były gotowe, przez kilka całych nocy trwało ich przepisywanie, do czego poeta użył jakiegoś młodzieniaszka Walentego, będącego u niego w służbie. Do rozpowszechnienia wreszcie użyty był inny chłopiec Grochowskiego, Grzegorz, który sprzedawał te wiersze, zapewne po ulicach, za bułki i pirogi z kapustą<sup>1)</sup>, jakoteż Wojciech, służący Serafina wikaryusza warszawskiego, który je między studentów w szkole rozrzucił. Studenci, czy dla zysku, czy dla zabawy, którą w tem mieć mogli, przepisywali te świstki znowu dalej. Dosyć ich więc musiało obiegać po Warszawie, i *Babie koło* niejednego pewnie zabawilo, a zarazem i źle dla usuwanych przez Grochowskiego kandydatów usposobiło.

Wystawieni przez ten wiersz na krytykę powszechną biskupi prędko się musieli domagać, kto był jego autorem. Już w początkach marca tegoż roku (1600) został Grochowskiemu wytoczony proces. Wytoczył go mianowicie instygator w imieniu biskupa poznańskiego, Jana Tarnowskiego. Ten tylko bowiem rzeczywiście mógł pociągnąć poetę do odpowiedzialności, dlatego, że probostwo czerskie do Grochowskiego należące, w jego dyecezyi leżało, a stąd Grochowski tylko jego jurysdykcji mógł podlegać, a potem, że i miejsce czynu, to jest Warszawa, w obrębie tejże (poznańskiej) dyecezyi się znajdowało. Czy pobudziła Tarnowskiego do szukania zadośćuczynienia także ta okoliczność, że był najbardziej w owych wierszach dotknięty, bardzo jest prawdopodobne, oskarżenie bowiem kładzie szczególny nacisk na ten punkt, że Grochowski biskupów o simoniją pomawiał, co, jak widać z *Babiego koła*, najwięcej do Tarnowskiego się odnosiło. To także pewna, że do oskarżenia dołączył się i Baranowski, drugi z najostrzej skrytykowanych, w skład bowiem sądu przez Tarnowskiego wyznaczonego, obok Macieja Karskiego, kanonika Władysławskiego, i Jana Chociszewskiego, auditora biskupiego, obu z dyecezyi poznańskiej, wchodził także Sebastyan Poznańczyk, kanonik kolegiaty pułtuskiej z dyecezyi płockiej do Baranowskiego należącej. Czwartym sędzią był Tomasz Pirawski, kanclerz kuryi arcybisku-

<sup>1)</sup> Wydrukowano (str. 322): czambellis; ma być zapewne: crambellis, od crambe = kapusta.

piej Dymitra Solikowskiego. Ponieważ Solikowski obcym był całej tej sprawie, bo ani o biskupstwo krakowskie, co rzecz naturalna, się nie ubiegał, ani w inkryminowanych wierszach Grochowskiego nawet wspomnianym nie był, i jak ze wszystkiego, co przedtem lub potem Grochowski o nim w swoich pismach powiadał, wnosić można dobrze dla naszego poety był usposobiony, reprezentant jego w tym trybunale miał chyba to przeznaczenie, ażeby sądowi nadać cechę bezstronności i uwzględnienia interesów oskarżonego.

Sprawa ta toczyła się w Warszawie, na miesiąc jeszcze przed mianowaniem przez króla nowych biskupów: krakowskiego i kujawskiego 10 marca odbyło się przesłuchanie świadków, którymi byli: Stanisław Przewłocki, proboszcz Parezowski, w czasie sejmku do Warszawy przybyły i w tym samym domu co Grochowski mający kwatery; dalej „czcigodny Andrzej“, magister sztuk wyzwolonych i filozofii, a zarazem rektor szkoły przy kolegiacie warszawskiej, tej samej szkoły, gdzie wiersze Grochowskiego między studentów były rozdawane; i wreszcie wikary kolegiaty ksiądz Jan, u którego Grochowski na mieszkanie stanął. Świadkowie opowiadali przed sądem znane nam już szczegóły o pisaniu owych wierszy i sposobie w jaki je rozrzucano, żaden jednak nie zeznał, że to były właśnie te, o które biskupi Grochowskiego przed sąd pozwali. Widzieli i wiedzieli, że on w tym czasie jakies wiersze łacińskie i polskie pisał, ale czy to te, o które tu chodziło, powiedzieć na pewne nie mogli.

W dwa tygodnie później, 24 marca, instygator biskupa Tarnowskiego wniósł oskarżenie. Skarżył Grochowskiego, że tenże „jak można przypuszczać, z natchnienia i podniety jakichś zawistnych ludzi (*malevolorum hominum*) albo z własnej lekkomyślności i niepoczeiwości, niepamiętny na swój stan i powołanie kapłańskie“ nie tylko znane nam *Babie koło*, ale także i jakiś łaciński pamflet na króla napisał i między ludzi rozpuścił. Popelniał zatem i zniewagę majestatu królewskiego i ciężko zawinił przeciw biskupom, zmyslając to, że w zabiegach o biskupstwo krakowskie używali świętokupstwa i inne błędy potwarczo im zarzucając. Oskarżenie to obciążone jeszcze było przytoczonym już wyżej zarzutem o niedbałe sprawowanie przez Grochowskiego obowiązków na probostwie Czerskiem, co bezwątpienia miało się wobec opinii przyczynić do rzucenia na niego niekorzystnego wcale światła. Za to więc przekroczenia żądał instygator kary na winowajcę, jaką wymierzają ustawy krajowe i prawo kanoniczne (*poenas legum et Canonum*) jakoteż zmuszenia go do uroczystego odwołania tego, co

napisał po kościołach i innych publicznych miejscach. Ponieważ wreszcie mogła zachodzić obawa, że Grochowski zechce uciec, wnosił jeszcze instygator, ażeby areszt na jego osobę położyć i nie dozwolić z mieszkania, które w Warszawie zajmował, oddalić się wprzód, ażeby się z uczynionych mu zarzutów oczyścić.

Grochowski w obronie swojej przyznał się tylko do autorstwa wiersza polskiego, t. j. *Babiego Koła*, i to w tej redakcyi, jaką przed sądem przedstawił, inne zaś po mieście obiegające uznał za fałszywe. Obrona ta mogła być i z prawdą zgodna, bo przerobienie broszury pisanej zawsze bardzo jest łatwe. Wiemy także, że przepisywali ją potem z własnej pilności i studenci; niejedni ich własny koncept mógł wejść do pierwotnego tekstu. Żeby napisać pamflet łaciński na króla, temu stanowczo zaprzeczył i zapewne także nie minał się z prawdą. Trudno bowiem wyszukać racją, dlaczego chciałby się rzucać tajemnie na króla, którego nieraz publicznie sławił, albo jakaby mógł mieć do niego niechęć i urazę, gdy według tego co nam wiadomo, zawsze o łaskę królewskiego dworu się starał i tej pod pewnym względem stale doznawał. Tem bardziej nie można posądzić o to Jezuity, ażeby króla chcieli szkalować. Nie mieli w tem żadnego interesu i żadnej do tego przyczyny. Przecież w końcu król przy obsadzeniu biskupstwa krakowskiego wszystkim innym się sprzeciwił, a poszedł za ich głosem. Podobnie nie przyznawał się także Grochowski do niedbałości w sprawowaniu parafialnego urzędu w Czersku, i żądał, ażeby go sąd w tym punkcie za wolnego od zarzutu uznał. Zaprotestował wreszcie przeciw aresztowaniu go, powiadając, że nie jest, jak instygator twierdził, bez majątku nieruchomego (*impossessionatus*), ponieważ posiada probostwo w Czersku i „kilka innych wsi“ (*ac alias certas villas*), przez co bez wątpienia rozumieć należy inne jego beneficia.

Na replikę instygatora sąd wyznaczył nowy termin na dwa dni przed Wielkanocą (która w r. 1600 dnia 2go kwietnia wypadła), tymczasem zaś postanowił, że jeśli Grochowski tegoż samego dnia popołudniu da dostateczną rękojmię albo w braku tejże kaucją prawną (*cautionem juratoriam*), areszt na niego położony nie będzie. Ponieważ oskarżony temu warunkowi już po upływie dwóch godzin, w obecności notaryusza kurji poznańskiej, Błażeja Rosińskiego i wspomnianego już powyżej audytora Jana Chociszewskiego, według formy prawa zadosyć uczynił, pozostawionym przeto został na wolnej stopie.

Na tem urywają się akta tej sprawy i nie już więcej nie ma o niej w Archiwum konsytorza Poznańskiego ani pod 1600, ani pod 1601 r. Widać, że proces musiał być na tym punkcie umorzony i zaniechany. Może Grochowski znalazł jakiego protektora, który przebłagał obrażonych biskupów, jak przypuszcza Łukaszewicz; może i oni sami ochłonawszy z pierwszego gniewu, aby dalej tej rzeczy nie rozmazywać, procesu zaniechali. Najprawdopodobniej jednak położyła koniec tej sprawie owa nominacja królewska, która w ciągu procesu, 12go kwietnia jak mówiliśmy, nastąpiła. Wobec spełnionego faktu dalsza walka nie miała już celu, a proces Grochowskiego stanowił bezwątpienia jeden z epizodów tej walki, był jednym ze środków do szkodzenia przeciwnikowi. Nie wypadło także biskupom, kiedy wola królewska już tak wyraźnie na korzyść Maciejowskiego się objawiła, prześladować dalej procesem tego, który również na swój sposób za szczęśliwym zwyciężcą a nowym biskupem krakowskim gardłował; byłby to rodzaj uchybienia z ich strony zarówno dla króla, jak i dla Maciejowskiego. Ze zwycięstwa Maciejowskiego musiał według praw logiki odnieść niejaką korzyść także i Grochowski, i zdaje się przeto, że w ostatecznem załatwieniu tej sprawy najważniejszy punkt i powód oskarżenia, to jest obrazę uczynioną biskupom przez pamflet, milezieniem pokryto, a natomiast wysunięto na pierwszy plan jego niedbalstwo w zarządzaniu probostwem Czerskiem i za karę probostwo to, pod władzą biskupa poznańskiego, Tarnowskiego zostające, Grochowskiemu odebrano<sup>1)</sup>.

Proces, w który wplątał Grochowskiego wiersz *Babie koło*, był niezaprzeczenie ważnym w jego życiu faktem. Szerokiem echem rozbrzmiał też zapewne po całym kraju, bo i pierwsze jego źródło, kandydatura o biskupstwa, była sprawą tak głośną i dla wielu tak mocno interesującą, i proces sam toczył się w stolicy, w czasie trwających jeszcze obrad sejmowych, zatem przy napływie ludzi znacznych z różnych stron Polski, a w Warszawie samej tyle osób z rozmaitych warstw społeczeństwa, począwszy od króla aż do chłopców służących znało tę sprawę i było w nią mniej albo więcej wmięszanych. Wyobraźmy sobie, ilu to księży, ilu studentów rozmawiało między sobą o tym procesie, ilu z natężoną ciekawością jego przebiegowi się przypatrywało. A nawet prosty lud miejski, nawet baby i przekupki warszawskie nie mogły nie interesować się sprawą wywołaną przez wiersz, w którym ko-

<sup>1)</sup> Łukaszewicz l. c.

biety z ich stanu na scenę były wprowadzone, i to jeszcze w roli tak ważnej, bo do rozsądzenia, któremu z tych wielkich biskupów ma się dostać najbogatsza dycecezya? Za pośrednictwem historyi, która tej przygody Grochowskiego nie omieszkła na swych kartach zapisać (Piasecki), stała się ona także najgłośniejszym i jak obecnie, najdokładniej znanym faktem w życiu naszego poety.

Pomimo to ośmielamy się twierdzić, że ważność tego zdarzenia została przez wszystkich, co o Grochowskim pisali, przecenioną, że przypisano mu mianowicie następstwa tak na dalsze życie poety jak i jego literacki od tego czasu kierunek, których ono mieć nie mogło i z pewnością nie miało. Że cała ta sprawa była dla Grochowskiego przykra, że mu narobiła dużo kłopotów i niemało musiała napędzić strachu, to rzecz w takich okolicznościach całkiem naturalna. Poeta nasz w istocie w najbliższym po procesie czasie przycichnął, przez trzy lata następne, oprócz dwóch mało znaczących pisemek po łacinie (wydanych w r. 1601), których nawet nie był autorem tylko wydawcą, nie nowego nie ogłosił. Widocznie przykrości, jakie miał z powodu ostatniego swego wiersza, odjęły mu ochotę lub odwagę do pisania, a kto wie, może powstrzymywały go od tego kłopoty i zajęcia przy przenoszeniu się z dawnego miejsca gdzieindziej, niepewność losu i nowe o przyszłość zabiegi. Ale to wszystko nie doprowadza jeszcze do wniosków, zwykle z tego powodu o nim robionych. Zajściu jego z biskupami przypisywany bowiem bywa najprzód ten skutek, naturalnie na niezbyt prawdziwym przedstawieniu rzeczy, jak to już widzieliśmy, się opierający, że Grochowski z beneficjów swoich wyzuty, dochodów pozbawiony, a więc materialnie zniszczony i zbiedniały, szukając ostatniej deski ratunku, rzucił się w ramiona Jezuitów, w ich protekcyi i opiece chciał znaleźć pomoc w swej niedoli, i w zamian za to pióro swoje i talent oddał odtąd na ich usługi.

Na odparcie tego twierdzenia nie potrzeba podobno długich wywodów. Dosyć tu będzie, jeśli czytelnik sobie przypomni, cośmy już dawniej o stosunkach Grochowskiego z Jezuitami powiedzieli. Nie potrzebował on dopiero teraz, niby nie widząc gdzieindziej nadziei, pod ich uciekać się skrzydła i pod ich zapisywać znaki. On tam już był od dawna w tym obozie; od młodości wszedł w styczność z Zakonem, pod jego wpływem kształcił się i umysłowo wyrastał, osobistą przyjaźnią był związany z jego członkami, Jezuitów zawsze szanował i kochał i nawzajem od nich doznawał przychylności. A wreszcie czyż i ten jego ostatni krok, który niby miał

go następnie zmusić lub spowodować do przerwania się na stronę Jezuitów, nie był w istocie zrobionym przez niego tylko dlatego, że już długie i dawne stosunki łączyły go z Zakonem, i że chciał swoim wierszem poprzeć jego pragnienia i zabiegi? Nie, jak powszechnie utrzymują, przyjaźń z Jezuitami była skutkiem *Babiego koła*, ale całkiem odwrotnie, *Babie koło* było następstwem dłuższych już z nimi przyjaźnych stosunków Grochowskiego.

Ważniejszym jeszcze i grubszym błędem wydaje nam się to, że z tego wydarzenia wyprowadzają także powszechnie jakiś nowy zwrot w jego talencie i w rodzaju twórczości i pisania. Dotychczas — mówią o nim zwykle przy tej sposobności — pokazywał on więcej zdolności do satyry, całe jego usposobienie wiodło go do tego, żeby satyrycznym był poetą, ale od chwili, kiedy z powodu swego uszczypliwego wiersza taką poniósł klęskę, i kiedy, rozumie się na podstawie znowu niezgodnych z prawdą relacji, przysięgać musiał, że same tylko nabożne rzeczy pisać będzie, zwrócił się do liryki, a zwłaszcza do przerabiania i tłómaczenia różnych poezyj przez zagranicznych Jezuitów pisanych. A na jego nieszczęście, dodają jeszcze ci, którzy tak utrzymują, do liryki mniej miał talentu i ten rodzaj mu nie dopisywał.

Ci, którzy tak twierdzą, zapomnieli o dwóch ważnych rzeczach, o których tu pamiętać było można i trzeba. Najprzód, że Grochowski miał już wtedy lat sześćdziesiąt. Jest to wiek, w którym nowa jakaś ewolucya talentu byłaby nadzwyczajnem chyba zjawiskiem. Poezie, który do tej pory życia byłby satyrykiem, trudno, niepodobieństwem byłoby przerzucić się na drogę wprost przeciwną. Ale co więcej, twierdzenie takie chce nadto zaprzeczyć całemu szeregowi istniejących już dawniej faktów, i poprostu uważa je za niebyłe. Faktem bowiem jest to, że Grochowski od czasu jak zaczął pisać, jak przynajmniej w druku do dziś dnia mamy na to ślady, a więc od lat już dwudziestu siedmiu aż do chwili, o której mowa (1600) napisał już wiele rzeczy, ale wszystkie należą do liryki niekiedy epiecznie zabarwionej, czasem nawet, jak w Hymnach kościelnych do najwyższej liryki, a nie ma między niemi ani jednej właściwej satyry, i w dwóch tylko wierszach (*Na Postyllę Wujka* i *Skarga snu nocnego*) można znaleźć pewną satyryczną domieszkę. Gdzie zatem te dowody satyrycznego talentu poety, który jak potem tak i przedtem przedewszystkiem był lirykiem? Skąd się wzięło to przekonanie, że się na satyryka urodził, a okoliczności kazały mu za inne uchwycić pióro? W isto-

cie, rzecz się ma całkiem przeciwnie. *Babie Koło* było tylko wyjątkiem między dotychczasowymi utworami Grochowskiego, a w przyszłości podobne wiersze także tylko rzadko i wyjątkowo u niego spotykać się będą. Był to wiersz w całym tego słowa znaczeniu okolicznościowy, podyktowany przez potrzebę chwili, natchniony może przez kogoś z boku, ale nie typowy okaz zdolności i kierunku poety.

Na materialny byt Grochowskiego ta przygoda nie wpłynęła również tak bardzo. Do sześćdziesiątego roku życia nie dobił się wyższego stanowiska i nie doszedł do majątku, choć nieczem ludziom do niechęci ku sobie nie dał jak teraz powodu, to i trudno się spodziewać, ażeby później, kiedy już był starym, nagle fortunę mógł zrobić. Tylko świeżymi siłami i nieosłabioną jeszcze energią przebija się człowiek przez świat; dla starości mają ludzie szacunek, ale się z nią już nie liczą. Przez ów nieszczęsny wiersz stracił Grochowski probostwo Czerskie i pobudził na siebie gniewy, może i niedługotrwałe kilku kościelnych dygnitarzy, lecz równocześnie zyskiwał tyle, że stał po stronie, która zwycięstwo odniosła. W walce o byt znaczy to zawsze bardzo wiele. Nie można wątpić, że ani Jezuiti, choćby nawet nie byli wpływali na poetę, ani Maciejowski, choćby mu w duszy owego wiersza jako zbyt drażliwego dla jego cichej i łagodnej natury nie pochwalał, nie mogli jednakowoż brać mu za złe tego wystąpienia, które było dowodem przychylności dla ich sprawy, i do pewnego stopnia do sukcesu przyczynić się mogło. Łaskę i życzliwość Jezuitów i Maciejowskiego miał zapewne od owego czasu Grochowski zapewnioną, a to równoważyc mogło zupełnie i wynagrodzić mu stratę przez niechęć innych biskupów poniesioną.

Grochowski zwykle u swoich żywotopisarzy nosi tytuł kustosa kruszwickiego. Tytuł ten zrosł się niejako z jego nazwiskiem z tej zapewne przyczyny, że na swoich pismach, z wyjątkiem *Unieioviensis Gratulatio* i wiersza do króla Stefana, żadnego innego nie używając, nim się często podpisywał. Kiedy jednakże został on tym kruszwickim kustoszem, żadne ze znanych źródeł o tem nie powiada. Po raz pierwszy, o ile nam wiadomo, tytuł ten w połączeniu z nazwiskiem Grochowskiego spotyka się w książce przez niego wydanej, w której mieści się *Lavacrum animae* i *Tractatus directorii horarum canonicarum*. Pod dedykacją tego ostatniego Przeorowi Janowskiemu, datowaną z Dębna u stóp Łysej Góry w dzień Znalezienia św. Krzyża (t. j. 3. maja) 1601, jakoteż pod dedykacją *Lavacrum*, które znów z Krakowa, z pa-

łacu Stanisława Ługowskiego na Stradomiu, Opatowi Maliszewskiemu 15 maja tegoż samego 1601 roku poświęcił, podpisał się Grochowski kustoszem kruszwickim, podobnie jak i na tytułowej karcie tej książki (1601 wydanej) tym tytułem jest nazwany. W tych samych dniach, mianowicie 20 maja t. r. piszący do niego jeden z jego przyjaciół, Tomasz Eustachy Świniarski, vulgo Piątek, profesor wydziału prawnego w akademii krakowskiej i kanonik Wieluński, w liście swoim ten sam tytuł mu daje<sup>1)</sup>. W następnych potem latach często, jak powiedzieliśmy co dopiero, lubo nie zawsze podpisuje się Grochowski na różnych swoich pracach tym jedynie tytułem, czasem także kładąc przed swem nazwiskiem tylko proste X. lub Ks., jak to dawniej prawie stale czynił.

Z zestawienia tych okoliczności przychodzi się do wniosku bardzo prawdopodobnego, że Grochowski dopiero po owym procesie kustoszem kruszwickim został. Odjęto mu wówczas probostwo czerskie, kto wie, może ta nowa prelatura miała być wynagrodzeniem za poniesioną stratę i krzywdę? I Jezuiti i Maciejowski mogli się byli poczuwać do obowiązku, aby poszkodowanemu z ich przyczyny stronnikowi dać jakąś rekompensatę. Czy przez nich i z ich poręki tę kustodyą otrzymał, trudno powiedzieć, zwłaszcza że jest w tej sprawie jeden ważny punkt, który na podobne przypuszczenie zdaje się nie pozwalać. Kolegiata kruszwicka należała do dyceezji kujawskiej, a tutaj biskupem właśnie od r. 1600 był jak wiemy główny oskarżyciel Grochowskiego, Jan Tarnowski. Czyżby tak prędko zapomniał swej urazy do autora *Babiego Koła*? Może być; namiętności i afekta szybko nieraz w ludziach przechodzą, lub na wprost przeciwne się przemieniają. Może udobruchany Tarnowski poczuł, że przecież za ostro z poetą się obszedł i chcąc rzecz załagodzić, wspaniałomyślnością zabłysnąć, a niedawnych przeciwników tem sobie może skaptować, dał mu w miejscu odebranej innej posady w nowej swojej dyceezji. Bo gdyby taki obrót rzeczy był niemożliwy, gdyby nie dopiero po procesie, ale już przedtem, od lat może wielu, Grochowski kustodyą kruszwicką posiadał, to równem prawem zapytałby się można: dlaczego Tarnowski, zastawszy go na tem miejscu w swoim nowem biskupstwie, nie usunął tego zniechęconego przez siebie człowieka tak samo z Kruszwicy, jak przed-

<sup>1)</sup> Rękopis Biblioteki Jagiellońskiej Nr. 2501, (DD. IX. 16), str. 471.

tem usunął go w dawnej swej dyecezyi poznańskiej z Czerska? Byłoby to przecież i logiczne i psychologicznie naturalne.

Ale nienawiści i gniewy, w czasie procesu wybuchły, nie musiały być ani z jednej, ani z drugiej strony wiekuiście. Co się tyczy biskupów, nie możemy na to złożyć żadnego dowodu, ale wiemy, jakie były następnie uczucia Grochowskiego względem jego niedawnych prześladowców. Nie dziwny się temu, że w późniejszych jego pismach ani o procesie, ani o *Babim Kole* ani o doznanych w owym czasie przykrościach nie ma nigdzie wzmianki, że poeta nie próbował zemścić się piórem, choćby przez jakąś złośliwą aluzją, bo mogła go od tego powstrzymać prosta obawa ściągnięcia na siebie podobnych następstw jak przy pierwszym zatargu. Całkowite jego milczenie o tej sprawie i o osobach do niej wchodzących byłoby zupełnie zrozumiałe i w swoim sposobie wcale nawet wymowne. Dlatego zastanowić nas musi tem bardziej ta okoliczność, że Grochowski o tych swoich osobistych nieprzyjaciółach, o tych dwóch biskupach, którzy go przed sąd pozwali, i gdyby nie nadzwyczajny obrót rzeczy, nie na żarty pewnie ukarać zamierzali, w późniejszych latach, jeśli nie z gorącym słowem miłości i przywiązania, to z całym uznaniem i szacunkiem wspominał, choć ani z treści tego co pisał, ani z jakichś ubocznych względów wspominać nie był zmuszony. Tak najprzód r. 1605 w *Lzach smutnych po zejściu Zamojskiego*, ubolewając nad stratami, jakie w tych czasach Polska w znakomitych mężach poniosła, nie zapomniał i o zmarłym przed dwoma laty (1603), a wtenczas już arcybiskupie gnieźnieńskim, Tarnowskim:

Za temi nowa gwiazda domu Tarnowskiego  
Ledwie weszła na miejsce już pomienionego  
Prymasa, prędko zgasła, niedługo świeciła,  
A zgaśnięciem swem dobrych ludzi zasmuciła.

Tak później znów, na początku 1610, pisząc kartę pierwszą *Noey Toruńskich* do biskupa kujawskiego Gembickiego, do cenniejszych jego zalet zalicza i to, że go prymas ówczesny Wojciech Baranowski „ważył sobie drogo“, i dalej o tymże prymasie w ten sposób pochlebny się wyraża:

A ten Pan co ma za dar swej mądrości,  
Znać to, bo przyszedł do przedniej zaćności.

Gdyby dawna uraza krwawiła była przez dłuższe czasy serce Grochowskiego, niezawodnie ani Tarnowski ani Baranowski nie

byliby się doczekali tych dobrych i zaszczytnych wspomnień z pod jego pióra. Nie miał on widać do nich ciężkiego żalu i nie musiał ich obwiniać o wielką, niezapomnianą krzywdę. Można więc z tego przypuścić i to także, że nie doznawał od nich stałego prześladowania i długiej, nieprzejednanej nienawiści. Stosunki na razie bardzo zaostrome, musiały w nieznanym nam sposób wkrótce się złagodzić.

Kollegiata kruszwicka, której według powyższych przypu-  
szeń, Grochowski mógł zostać członkiem w końcu 1600 lub w początkach 1601 roku, była niegdyś w pierwszych wiekach chrześcijaństwa w Polsce katedrą jedną z najstarszych. Dawno już jednak bardzo, bo w r. 1159, Onolt, dziesiąty z rzędu biskup kruszwicki, przeniósł swą rezydencją do Włocławka i odtąd dyecezya przybrała nazwę Włocławskiej, a pospoliciej kujawskiej<sup>1)</sup>, kościół zaś katedralny w Kruszwicy zeszedł na kolegiatę. Zawsze jednak starożytność pochodzenia i dawna godność używały tej kolegiacie pewnego blasku i większego nad inne znaczenia. Prałatów było przy niej siedmiu, kanoników piętnastu<sup>2)</sup>. Grochowski jako kustosz należał do liczby prałatów i był przedostatnim z rzędu, po nim szedł jeszcze kanclerz. Uposażenie jego z tytułu tego urzędu stanowiła wioska Małe Piecki, o sześć kilometrów na wschód od Kruszwicy, po drugiej stronie Gopła położona. I dzisiaj jest to mała wioszczyna, do pięćdziesięciu zaledwie mieszkańców licząca, a za owych czasów mniejszą jeszcze i lichą być musiała, bo ją Grochowski<sup>3)</sup> i „nieurodziwą“ nazywa i mówi, że tylko ma „mały spłacheć pola“ i trzech tylko swoich „ziemian“, co mu „ziemię sprawiają“. Nie wspaniały musiał być i dom mieszkalny, nakryty „poszyciem“, który poecie wichry zrywały, a czasem hulały i po izbach. Dochody z tej kustodyi nie musiały być zatem duże, chociażbyśmy nawet niekoniecznie odnosili do czasów Grochowskiego, co Damalewicz później o kruszwickich kanonikach pisze<sup>4)</sup>, że według przyjętego zwyczaju część ich funduszków idzie na utrzymanie kościoła, służbę bożą i nabożeństwa. Grochowski sam przy końcu życia, opisując te same Piecki i z ich powodu wyraźnie mówi<sup>5)</sup>, że gdyby nie pomoc, którą jako poeta miał od

1) Słownik Geograficzny T. IV, pod wyrazem Kruszwica.

2) Damalewicz, Vitae Episc. Vladislaviensium p. 42.

3) Toruńskich Noey karta pierwsza.

4) l. c.

5) Noey Toruńskich karta pierwsza.



swoich mecenasów: Działyńskiego, Tylickiego i Szyszkowskiego, przy dochodach z kustodyi tylko, kruchoby koło niego było:

Owa pocie tak chleba dostawa,  
Że się i kustosz przy nim żywić może.

Ale jakkolwiek rzecz się miała z tą kustodyą kruszwicką<sup>1)</sup>, od kogo i kiedy ją otrzymał, daleko pewniejszym jest to, że od czasu swego procesu wszedł on w bliższe stosunki z biskupem krakowskim Maciejowskim, za sprawę którego tak niefortunnie dla siebie kruszył niedawno kopie. W następnych ośmiu latach bowiem przy swojej kustodyi kruszwickiej i w Pieckach bardzo mało musiał on przesiadywać, a ciągle natomiast spotykamy ślady jego bytności w Krakowie. Już zaraz w r. 1601 (15 maja) dedykacją książki *Lavacrum* datuje z Krakowa, a jeszcze nieco wcześniej (3 maja) dedykacją *Tractatus directorii* z okolic pobliskich, z pod Łysej Góry. Ze wspomnianego wyżej listu Świniarskiego widać także, że Grochowski był wtenczas (list jest z 20go maja 1601) w Krakowie. Świniarski pisze bowiem do niego również z Krakowa, ale tylko dlatego posyła list z ulicy na ulicę, że będąc słabym z domu wychodzić i osobiście się z nim widzieć nie może, i prosi go, ażeby przypomniął go pamięci wspólnego przyjaciela opata Maliszewskiego, który „tutaj ma przybyć“, jak się piszący spodziewa (*spero huc venturum*). Kiedy Grochowski w roku 1603 pisał i wydawał wiersz: *August Jagielko wzburzony*, musiał w Krakowie być obecny, jak to wskazują dokładne wiadomości jakie miał o pobycie Zygmunta III w tem miesiącu, tudzież ta okoliczność, że senatorowie, którzy od niego napisania tego wiersza żądali, uczynili to niezawodnie podczas walnego sejmku, wtedy w tem miesiącu się odbywającego. Dedykacją znowu poematu: *Encomia divi Stanislai*, datuje Grochowski: *Cracoviae ex contu-*

<sup>1)</sup> Sobieszczański (w Encyklopedyi) również utrzymuje, że Grochowski został kustoszem kruszwickim dopiero po procesie: „Ratował się atoli jak mógł Grochowski po tem zdarzeniu, i sypiąc hojną ręką wiersze na cześć dostojników krajowych, wyjednał sobie kanonję i kustodję kruszwicką, tudzież altarzę w Warszawie u Panny Maryi na funduszu samboorskim, o które to ostatnie beneficjum zaprowadziwszy proces, znowu go przegrał“. Wiadomość o tej altaryi warszawskiej musiał Sobieszczański zaczerpnąć z owych aktów konsystorza warszawskiego, o których wyżej wspominał. Zauważyć przytem musimy, że słowa „sypiąc hojną ręką wiersze na cześć dostojników krajowych“ są tylko pustym frazeosem, bo właśnie w owych czasach (1600—1602) Grochowski żadnych wierszy nie ogłaszał.

*bernio juris peritorum 28 Jul. 1604*. W końcu następnego roku 1605 i w początkach 1606 bawił także bezwątpienia w tem mieście, gdzie pisał wtedy i wydawał swoją *Kamoenę o wylewie Wisły i Pieśni na uroczystość zaślubin Mniszchównej z Dymitrem Samozwanicem*. W roku 1607 spotykamy go znów najprzód w okolicach Krakowa, w Miechowie. Jak z wiersza *Miechowski śmigórz* widać, w drodze do Krakowa, „gdzie go myśl wiodła“, zatrzymał się tutaj na żądanie Pstrokońskiego, biskupa przemyskiego, a zarazem i Miechowskiego proboszcza, wówczas w Miechowie bawiącego, i tutaj razem z nim Wielki tydzień przepędził, a potem temu mecenasowi swemu powyższy wiersz z powinszowaniem na śmigust napisał. Następnie kontynuował zapewne stąd dalszą podróż do Krakowa, bo wizyta miechowska była tylko przypadkową i wcale nie właściwym celem drogi. To pewna, że w tym roku był znowu w Krakowie. Stąd posyłać musiał najprzód do Tylickiego wiersz w imieniu dyecezyi krakowskiej z upragnieniem wyglądającej przybycia nowego swojego biskupa, któremu jego poprzednik Maciejowski zdał tę dyecezyą 1607 r. Wzywając Tylickiego do prędszego przybycia do Krakowa, odzywa się Grochowski: „do nas boży słuگو“. Tu także w tym samym roku witał Maciejowskiego, już wtedy prymasa, gdy tenże powracał do Krakowa z Synodu Piotrkowskiego, który trwał od 8 do 12 października<sup>1)</sup>, i ciesząc się z tego powrotu, między innymi powiedział: „Jakoby słońce zaszło, gdyś nas był odjechał“. Na bytność Grochowskiego w Krakowie w r. 1608 mamy również kilka dowodów. Kiedy w pierwszym miesiącu tego roku umarli tutaj jego dwaj dobroczyńcy i przyjaciele: kardynał Maciejowski i kanonik krak. Dobrocieski, jak widać z wierszy, w których te dwa zgony opłakał, był on uczestnikiem i świadkiem ich pogrzebów i widział ich obu „okrzepłe ciała“. Nieco później pisał do Mik. Zebrzydowskiego, kiedy „po burdach rokoszowych“ przybył „do krakowskiej konwokacyi“ wiersz p. t.: *Na dzień piątkowy, który był szósty miesiąca czerwca w r. p. 1608 i t. d.*, a ta tak dokładna data pokazuje, że i poeta wypadkowi temu na miejscu przytomnym być musiał. Wreszcie dedykacją wiersza: *Cień królewicza Jana Kazimierza*, do królowej Konstancyi datował również z Krakowa: *Crac. ex contubernio Juristarum die 18. Jan. A. D. 1608*.

Z tej ostatniej daty, również jak i z umieszczonej pod dedykacją poematu: *Encomia d. Stanislai* z r. 1604 mamy także

<sup>1)</sup> Wielewicki (Scriptores rer. pol. X. 255.



wskazówkę, że Grochowski mieszkał w Krakowie *in contubernio Juristarum*, czyli inaczej w Bursie Długosza na ulicy Grodzkiej. Bursa ta zburzona jako rudera w r. 1842 już nie istnieje, a na jej miejscu stoją dziś prywatne domy. Po prawej ręce tej Bursy, w czasach gdy Grochowski w niej mieszkał, zaczynał się wznosić w jego oczach kościół św. Piotra i Pawła i collegium dla Jezuitów przez króla Zygmunta III (od r. 1597) stawiane. Prawdopodobnie było to jego stałe w Krakowie mieszkanie, a przemawia za tem ta okoliczność, że kilka lat jedną datę od drugiej oddziela, a Grochowskiego zawsze na jednej i tej samej znajdujemy kwaterze. Ze słów poety w *Trenach* na zejście Maciejowskiego:

Bo co dziś jacykolwiek, jednak Boży służy,  
Po bursach się kołacem, po szpitalach drudzy,  
On nam wszystkim obmyślił chęć wspólne mieszkanie <sup>1)</sup>

wnosiłby także można, że Maciejowski zanimby wybudował dom dla księży emerytów, w tej bursie Grochowskiego umieścił.

Tego tak częstego, a zważywszy na podeszły wiek Grochowskiego i trudność ówczesnej komunikacji, niewątpliwie i dłuższego za każdym razem, jeśli nie zupełnie stałego, przebywania w Krakowie nie inna była przyczyna tylko ta, że ciągnęła go tutaj i zatrzymywała bytność Maciejowskiego. Poeta nasz zjawia się w Krakowie równocześnie z objęciem tej diecezji przez nowego biskupa (12 sierpnia 1600 odbył Maciejowski ingres na stolicę krakowską <sup>2)</sup>), jest z nim w bliskich i ciągłych stosunkach, a później, gdy Maciejowski umiera, niedługo i on gdzieindziej się przenosi. Czy go biskup krakowski do swego boku zawezwał, czy on sam tu ściągnął, może gdzieindziej z powodu niedawnych zająć nie bardzo przyjemny mając pobyt, albo w nadziei, że tu przy łasce tak możnego protektora prędzej się czegoś lepszego doczeka, o tem nie na pewne powiedzieć się nie da. To jedynie nie ulega wątpliwości, że Maciejowski poznał go od czasów *Babiego Koła*, i był mu przychylny i życzliwy; już w r. 1604 pisze Grochowski do niego: „ty zaś jak dotąd użyczaj mi swych względów i opieki“ <sup>3)</sup>). Ta życzliwość, może z pewnego rodzaju wdzięcznością połączona, i w czynie się także objawiła; biskup wspomagał go

<sup>1)</sup> Tren XIII.

<sup>2)</sup> Wielewicki, Histor. diarii w Serip. rer. pol. X. 6.

<sup>3)</sup> ...me vero clientem tum ut coepisti fovere et tueri perge (w dedykacji encom. d. Stanisłai.)

w razie potrzeby, dawał mu zdaje się jakąś pensją, a ze słów Grochowskiego wiemy prócz tego, iż zamysłał i obiecywał wyrobić mu jakieś stanowisko, bezwątpienia i wiekowi poety i jego zasługom literackim odpowiednie, gdyby nie śmierć, która mu w wykonaniu tego zamiaru przeszkodziła:

Gdyby nie był urychlił czas twego skonania  
Nie pewniejszego, żebym mógł się cieszyć z onej  
Kondycyi częstokroć przez cię namienionej,  
Lecz próżno — jako Bóg chciał, dosyć mi się stało <sup>1)</sup> —

dodaje poeta z uczuciem wdzięczności za to, co w inny sposób Maciejowski dla niego uczynił.

Stanowczo także twierdzić można, że wzajemny ich stosunek zachował zawsze cechę dla obu stron bardzo pochlebnej godności. Maciejowski nie trzymał bynajmniej Grochowskiego przy sobie po to, ażeby on, jakby ktoś mógł przypuszczać, głosił jego sławę przed światem, był jego nadwornym poetą i panegirzystą. Zdarzały się po temu nieraz bardzo dobre sposobności, kiedy naprzykład biskup krakowski zostawał kardynałem (1604), a później arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem (1606). Muza Grochowskiego mileżała jednak stale w tych wypadkach, i ani jednym słowem nowych zaszczytów swego mecenasa świata nie obwieściła. W ciągu tych kilku lat w wierszach naszego poety dosyć rzadko spotkać się można z nazwiskiem Maciejowskiego: 1604 dedykuje mu (i to nie swoje) poemata: *Encomia divi Stanisłai*; w 1605 w Pieśniach na ślub Maryny z Dymitrem, obok wielu innych sławionych tam osób, jemu także dwa niewielkie ustępy poświęca; następnie 1607 pisze wiersz na jego powitanie, gdy do Krakowa z synodu Piotrkowskiego powracał. I na tem już koniec; żadnych więcej panegiryków, żadnych wierszy okolicznościowych, do których przedmiotów miałby być pod dostatkiem. Dopiero kiedy Maciejowski już umarł i jedynie wtenczas, w obszerniejszym od innych wierszu (w *Trenach*) wylał poeta cały potok swoich uczuć, swej czei i miłości dla niego, i całą garścią rzucił na jego trumnę te pochwały i wyrazy uwielbienia, na jakie enoty nieboszczyka w zupełności zasługiwały, a jakich on mu za życia nigdy w tej mierze nie powiedział. Tu już nie może być mowy o pochlebstwie, ani o zyskiwaniu sobie rymami względów i łaski. Tu przemówiło szlachetniejsze uczucie, które w istocie tych ludzi ze sobą łączyło.

<sup>1)</sup> Treny po zejściu Maciejowskiego, Tren 20.

„Panem swoim“ nazywa Grochowski Maciejowskiego<sup>1)</sup>, ale i „swoim dobrym kardynałem“<sup>2)</sup>. Pewnego rodzaju przyjaźni i spójnia duchowa istniała też między nimi. Maciejowski przyjmował i mile widział Grochowskiego w swoim domu i do ściślejszej zażyłości dopuszczał. Szczególnie widać interesował go w Grochowskim pisarz i poeta, to co w nim w istocie najwięcej było warte. Cenić musiał jego talent i zajmował się jego pracami. Grochowski odczytywał mu swoje wiersze w jego „pokoju“, zapewne sam na sam z nim, poczem w poufalej pogadance zaczynać się musiała dyskusja, w której biskup objawiał swoje zdanie, wskazywał może pewne kierunki, poddawał nowe przedmioty, a najczęściej pochwałą do dalszej pracy zachęcał. W taki sposób sam Grochowski, ubolewając nad swą niepowetowaną stratą, po śmierci Maciejowskiego swój stosunek z nim przedstawił:<sup>3)</sup>

Na coś mię osierocił, na coś mię zostawił?  
 Czyż ja uszy pieniemi mojem będę bawił?  
 Nie rychło mię do twego pokoju już puszcza,  
 Ani przed tobą rymów mych czytać dopuszcza,  
 Które acz jakiegokolwiek, wdzięcznieć się widziały,  
 A mnie za twą pochwałą sereca dodawały.

To tak bliskie przebywanie przy boku kardynała pod wielorakim względem materialne i moralne musiało przynosić Grochowskiemu pożytki. Dwór Maciejowskiego, z jego stanowiska i innych przymiotów, należał do najcelniejszych w kraju ognisk, w których się życie publiczne skupiało. Pojawiali się na nim co chwila i świeccy możnowładcy dla pomówienia i porozumienia się czy to w sprawach publicznych, czy w ważniejszych rodzinnych interesach, zarówno jak i kościelni dygnitarze dla naradzenia się o rzeczach kościoła i wiary dotyczących, wreszcie i niższe podwładne mu duchowieństwo dla złożenia swego szacunku lub odebrania instrukcji, albo też rozkazów biskupa. Pod owe zwłaszcza czasy cały ciężar wypadków politycznych przeniósł się do Małopolski, a zatem przedewszystkiem i do Krakowa. Tutaj to żyli i działali najwięcej ludzie, co byli twórcami tych dwóch wielkich dramatów, jakie wtenczas w rozmaity sposób wstrząsały całym krajem: wprowadzenia na tron moskiewski Dymitra Samozwańca

1) Witanie z synodu Piotrkowskiego.

2) Tren 20.

3) Tren 20.

i rokoszu Zebrzydowskiego; a w takich to miejscach, jak dwór biskupa krakowskiego, znaleźćby można wtenczas było niejedną ukrytą sprężynę, która tych aktorów do czynu i występowania w pewnej roli poruszała. Maciejowski nie był podobno wielkim politykiem<sup>1)</sup>, ascetyczno-religijne usposobienie w inną stronę jego umysł zwracało; toczące się jednak dwie te wielkie sprawy przed jego oczami, zanadto blisko go obchodziły i interesowały, ażeby nie wziął w nich udziału. Rokosz Zebrzydowskiego zagrażał nie tylko królowi i spokojności Rzeczypospolitej, ale także i kościołowi katolickiemu w Polsce, nie omieszczał więc Maciejowski stając jako jeden z zapaśników i podnieść swój głos dla powstrzymania tej zgubnej fali. Z jego też natchnienia wyszedł ów list, w którym biskupi polscy odwieść się starali Zebrzydowskiego od wzniecenia domowej wojny. Sprawa Samozwańca w inny znowu sposób i z innych powodów obudzić mogła gorliwość kardynała. W tem zuchwałem, w pobudkach swoich, a nieraz i w wykonaniu z cudownością graniczącem przedsięwzięciu, otwierały się tak świetne widoki dla katolicyzmu na dalekim wschodzie, a zarazem pozornie i tyle niezwykłych korzyści dla Polski, że jako kapłan i patriota musiał Maciejowski jak najlepiej mu życzyć i wszystkie swe siły na jego przeprowadzenie poświęcić. Dodajmy do tego że miał jeszcze i silną osobistą podniecie. Główny protektor Samozwańca Mniszech, jakoteż jego córka, która miała zostać żoną przyszłego moskiewskiego cara, byli z nim przecież węzłami pokrewieństwa połączeni. Jaka więc chwała dla rodu, jak wielka zasługa przed Bogiem, kościołem i ojczyzną, gdyby to dzieło, tak wiele w przyszłości obiecujące, za jego głównie sprawą przyszło do skutku!

W takich to właśnie czasach znalazł się Grochowski przy boku Maciejowskiego i tym sposobem stanął niejako w miejscu, z którego najłatwiej i najdokładniej mógł obserwować wielkie w kraju wypadki polityczne. Iluż głośniejszych dzisiaj w historii aktorów tych wydarzeń przesunęło się wtedy w Krakowie przed jego oczami, ilu z nich znał osobiście, z iloma z nich rozmawiał, jadł i pił. Nie przeczymy, że wiele z tego na co patrzył, przemknęło się przed nim bez należytego wrażenia i bez obudzenia w nim rozwagi i zastanowienia się. Historia, która się dopiero robi, płynie jak woda w potoku, nie zostawiając po sobie częstokroć śladu

1) „Lubiński chwali go z nabożeństwa, ale czyni mało biegłym w sprawach publicznych“ (Łętowski, katalog bisk. krak. II, 162).

na najbliższych swych świadkach. Ale bądźco bądź, choć naszemu poecie szerokich poglądów na współczesne dzieje nie przypisujemy, wśród takich okoliczności niezwykłych i uderzających wyobraźnię, musiał i jego horyzont umysłowy znacznie się pod tym względem rozprzestrzenić i przy schyłku życia w tem nowem miejscu swego pobytu, w Krakowie, głębiej musiał on zajrzeć w sprawy ludzkie niż wtedy, gdy w Uniejowie lub w Czersku pędził swe dni z daleka od wielkich wydarzeń i od wielkich ludzi.

Przez kardynała także, z jego poręki i zalecenia, a nawet przez samo bywanie na jego dworze, zawierał Grochowski inne jeszcze znajomości i dawał się poznawać ludziom, którzy czasem i za wysoko stali, aby bez tego pośrednictwa poeta mógł się być do nich zbliżyć. U swego brata bez wątpienia poznał go Kasper Maciejowski, kasztelan lubelski, a znajomość ta dotrwała do końca życia Grochowskiego. Jeszcze w r. 1611 posyłał Grochowski kasztelanowi swoje „Cudowne wiersze z indyjskiego języka przełożone“, których tłumaczenia Kasper Maciejowski od niego żądał, i nalegając na poetę dwa listy przedtem do niego w tym interesie pisał<sup>1)</sup>. Nie stało się to także przez prosty zbieg okoliczności, że kiedy kardynał krewniaczce swej Marynie ślub dawał, równocześnie Grochowski wiersze na tę uroczystość układał i „wielkiej moskiewskiej Carowej“ jako „znamię radości społecznej“ poświęcił. Ani wątpić, że poeta skorym się do pisania tej kantaty okazał, ale mogło się to stać i nie bez czyjegós jeszcze prócz Muzy natchnienia. Może Maciejowski poddał mu tę myśl, aby uświetnić jeszcze bardziej fakt tak niezwyklego znaczenia i w nieobliczone na przyszłość, jak się zdawało, brzemienne skutki, a przytem także, aby rzecz samę, potrzebującą ogólnego poparcia, spopularyzować więcej między szlachtą i większy dla niej entuzjazm obudzić. Może Mniszech sam, uradowany tak nadzwyczajnem podniesieniem rodu i szczęściem, jakie spotkało jego córkę, zażądał od poety takiego obrazu swego tryumfu w mowie bogów skreślonego. Pieśni te, wydane niezwłocznie z druku, opatrzone nadto były pięknymi drzeworytami, przedstawiającemi opiewane w nich osoby: Dymitra, Marynę, Maciejowskiego, Jerzego Mniszcha i Ofanasa, posła cara moskiewskiego, który w imieniu swego pana ślub brał z Maryną. Widocznie ktoś starał się o to, ażeby te gratulacyjne wiersze jak najpokaźniejszymi dla oczu ludzkich zrobić, a przytem i rysy tych osób między ogółem rozpowszechnić. Niewątpli-

<sup>1)</sup> Podług wiersza „Do J. M. P. Kaspra Maciejowskiego“.

wie, że i nasz poeta był także osobiście uczestnikiem tego „festu uciesznego“ i godów, jakieni brzmiał Kraków przy tej sposobności i może „urodziwej Nimfie“, siedzącej w carskiej koronie za królewskim stołem, sam wręczał manuskrypt poświęconych jej pieśni.

Na pokojach kardynała podobnie mógł Grochowski spotykać i Mikołaja Zebrzydowskiego, bo chociaż wojewoda krakowski i kardynał do różnych należeli obozów i w zasadach politycznych się nie zgadzali, zanadto przez ród i godności byli do siebie zbliżeni, aby piastując w jednym mieście swe wysokie urzędy, widywać się ze sobą nie musieli. Zdarzały się zresztą sprawy, które wzajemnego ich porozumienia się i wspólnego działania wymagały, kiedy na przykład Zebrzydowski zakładał Kalwaryą pod Krakowem (od r. 1600), albo tworzył Bractwo N. Panny przy kościele św. Piotra w Krakowie (r. 1603). Dwa razy też odzywał się Grochowski swemi wierszami do Zebrzydowskiego, naprzód 1608, witając jego przybycie do konwokacji krakowskiej i później 1611, posyłając mu hymny o męce Pańskiej. Z tym większą jeszcze pewnością twierdzić można, że nie gdzieindziej tylko na dworze Maciejowskiego miał on sposobność dać się poznać tym kilku biskupom, którym w tych czasach książki swoje poświęcał, do których pisał z różnych okazji wiersze, i którzy za to „jurgieltami“ mu się odpłacali. Do tej liczby należeli: Piotr Tylicki, następca Maciejowskiego na katedrze krakowskiej, Maciej Pstrokoński, biskup przemyski i kanclerz W. K., Marcin Szyszkowski, podówczas biskup łucki, tudzież Paweł Wołucki, biskup kamieniecki. Pstrokoński i Szyszkowski szczególnie byli to ludzie w duchu kardynała, stąd jego bliscy przyjaciele, a Szyszkowski stałe przez niego protegowany. Dla Pstrokońskiego pisał Grochowski wspominany już raz *Miechowski śmigórz* i inny wiersz przy ofiarowaniu mu dzieła *Prozy kościelne* w 1609. Szyszkowskiemu przypisał r. 1608 *Hierozolimską processyą*, wywiązując się tem z winnej mu wdzięczności:

Łaską twą, eny Szyszkowski, będąc zwyciężony,  
Nie chciałbym w niewdzięczności jakiej być wytkniony.

Nieco dalej, w tej samej dedykacji, mamy także dowód, że Grochowski poznał Szyszkowskiego w czasie jego bytności w Krakowie, mówi tam bowiem o Szyszkowskim:

Nie tak łni klejnot drogi folgą podprawiony,  
Sztucznego mistrza ręką w złoto oprawiony,

Jako Kraków stołeczny oświeca się twoją  
Kompanią, i ludźmi którzy przy niej stoją.

Podobnie także dedykacja *Zakośnej kamoeny na powódź r. 1605* pokazuje, że zabrał znajomość z Wołuckim również w tem mieście, najprawdopodobniej znowu za pośrednictwem Maciejewskiego, kiedy Wołucki, jako będący zarazem opatem mogiłskim do Krakowa przyjeżdżał. Wylew ów Wisły dotknął także i majątność biskupa kamienieckiego, jak o tem Grochowski wspomina:

Bo milcząc o twych włościach około Mogiły,  
Kogoż gwałtowne wody tu nie uszkodziły?

W następnym roku 1606, 5go października tenże Wołucki wspólnie z nuncyuszem Rangionim i Pawłem Dembskim, sufraganiem krak., konsekrował Maciejewskiego na arcybiskupa gnieźnieńskiego w kościele zamkowym w Krakowie. (Wielewicki, Script. rer. pol. X. 216). Do Tylickiego, lubo nieco później, już kiedy po Maciejewskim biskupstwo krakowskie miał obejmować i objął, po kilka razy Grochowski się odzywał. Wreszcie o trzech z liczby tych biskupów, wspomagających go pieniężnie, podobnie jak to i Maciejewski czynił, wspomina jeszcze później z wdzięcznością w *Toruńskich Nocy karcie pierwszej*:

Więc choć mi odpadł z mym niewysłowionym  
Jurgielł Pstrokońskim, w jego urychlonym  
Ześcieu<sup>1)</sup>, Tylicki i Szyszkowski dawa.

Z kanoników krakowskich niejednen także należał do liczby dobrych znajomych i przyjaciół naszego poety. Takim był Mikołaj Taranowski, sławny ze swej hojności dla biednych, konfundator Bractwa miłosierdzia w Krakowie i stąd „ojcem ubogich“ zarówno przez Grochowskiego (*Gorzkie łzy na pogrzeb Dobrocieskiego*)<sup>2)</sup>, jak i przez głos powszechny, o czem Niesiecki poświadcza, nazywany. Dalej Jan Fox, obojga praw doktor, archidyakon krakowski, sześciu biskupów tej dyciezyji prawa ręka, z rodu mieszczanńskiego, z tak nazwanych wówczas Szkotów pochodzący<sup>3)</sup>. Jemu poświęcił Grochowski *Gorzkie łzy na pogrzeb Dobrocieskiego w r. 1608*. Wreszcie najserdeczniejszy między nimi jego przyjaciel, również doktor obojga praw, Mikołaj Dobrocieski, zwany

<sup>1)</sup> Pstrokoński umarł 1609.

<sup>2)</sup> Wyd. Turow, I, 183.

<sup>3)</sup> Łętowski katalog bisk. krak. II, 235, 236.

Gutterer. Śmierć tego ostatniego przedwczesną (umarł 28go stycznia 1608, mając lat czterdzieści dziewięć) z wielkim żalem opłakiwał Grochowski, „dobrodziejem“ i „przyjacielem“ swoim go nazywając. Przez dłuższy czas musiała trwać ich zażyłość; Grochowski, przychodząc ze stron dalekich, szukający dla siebie oparcia, w domu Dobrocieskiego znajdował i uprzejme ugoszczenie i pokarm dla umysłu w rozmowach ze światłym gospodarzem i w księgach, których mu tenże pożyczał. Ze smutkiem też odzywa się w swoich *Gorzkich łzach* na śmierć tego przyjaciela:

Ustały me pociechy, ustały me gody,  
Ktorem miał krom cielesnych i duszne u ciebie,  
Boś ty ze mną rad mawiał częstokroć o niebie,  
Alboś mi dawał karty i takowe księgi,  
Z których ogień niebieski pałał jakiś tęgi,  
Pokazując mi marność tego znikomego  
Żywota, a cukrując bogactwa przyszłego.

Ze wszystkich też zakątków Krakowa oprócz „wysokiego Wawelu“ nad „pienistą Wisłą“, który szkicowo nakreślił w Witanii Maciejewskiego ze Synodu Piotrkowskiego, jedna tylko ulica Kanonna doczekała się opisu jego pióra, jako najmiłsza dla jego serca część miasta, do której najczęściej zaglądał, bo tu mieszkali i biskup i inni jego między kanonikami przyjaciele, a szczególnie najdroższy ze wszystkich Dobrocieski. Ta „najcelniejsza ulica miasta stołecznego... gdzie przedniejsze domy i przybytki

Zygmuntowi trzeciemu ukochane wszystkie,  
Na którą on gdy wejrzę z grodu wysokiego,  
Radby miał z ich mieszkańców biskupem każdego<sup>2)</sup>

sposepniała potem bardzo dla niego i utraciła dawny swój urok, skoro śmierć zaczęła się tak często po niej „przechadzać“:

Kto dziś przechodzi przez cię suchemi oczyma?  
Kto się nie wzruszy tymi umarłymi dwiema?

Do rzędu jego bliskich znajomych z osób duchownych w Krakowie należał jeszcze wspomniany już profesor prawa i kanonik wieluński, Tomasz Świniarski. Gdy Grochowski książkę *Lavacrum animae* wydał, posłał ją zaraz do oceny Świniarskiemu, a ten zdanie swoje o niej w znanym nam liście z 20 maja 1601 wypo-

<sup>1)</sup> Ibid. II, 194.

<sup>2)</sup> *Gorzkie łzy na pogrzeb Dobrocieskiego* Wyd. Tur. I, 181.

wiedział. Z zamieszcowanych zaś, ale niedalekich i częściej pewnie Kraków odwiedzających i przez Grochowskiego odwiedzanych byli: opat świętokrzyski, Michał Maliszewski, o którym jako o wspólnym ich przyjacielu Świniarski w liście swym do Grochowskiego pisze, a któremu Grochowski wydane jego nakładem <sup>1)</sup> *Lavacrum animae* w r. 1601 dedykował jako oznakę swej wdzięczności za doznawaną przyjaźń i uprzejmość w domu opata; tudzież Łukasz Janowski, przeor tegoż klasztoru, znany z dedykacji, jaką Grochowski jemu dziełko: *Tractatus directorii horarum canonicarum* (1601) poświęcił, swoim „szczególnym przyjacielem“ (*amico singulari*) go nazywając.

Wreszcie z niejednym jeszcze senatorskim albo szlacheckim rodem z okolic Krakowa miał znajomość albo przyjacielskie stosunki. Pisał wiersz „na dzień pogrzebowy“ Barbary Firlejówny, krakowskiej wojewodzianki; Annie z Sztembergu, księżnie Ostrogskiej, owdowiałej niedawno po Aleksandrze, wojewodzie wołyńskim, z domu Kostzance, krewnej św. Stanisława posyłał r. 1605 swoją historią o św. Cecylii, a Stanisławowi Garwaskiemu, kasztelanowi płockiemu 1606 przekład w rękopiśmie rytmów łacińskich św. Kazimierza na jego żądanie zrobiony. Był przyjacielem Stanisława Ługowskiego, którego „mężem rycerskim“ Niesiecki nazywa <sup>2)</sup>, właściciela dóbr Korzkiew pod Krakowem, kupionych mu przez Szymona Ługowskiego, proboszcza miechowskiego i nominata przemyskiego; z jego to „rozkosznego pałacu na Stradomiu“ (*ex amoenissimo Stradomiensi palatio*) datował Grochowski swoje dedykacją *Lavacrum* Maliszewskiemu. Znał się z rodzinami Gutterów Dobrodziejskich, z których Augustyn miał dobra pod Miechowem <sup>3)</sup>; z Jordanami herbu Trąby; ze Stanisławem Gawrońskim, wielickim Podżupkiem, którego „družbą“ swoim nazywa <sup>4)</sup> i z jego żoną Barbarą; z Kątskim herbu Brochwicz, z których jeden Christo: Kątski, znany jako autor rymowanych: *Vitae Episcoporum cracoviensium* (1593) <sup>5)</sup>, w wydanej przez Grochowskiego (1604) książce *Encomia divi Stanislai* napisał wiersz łaciński pod ryciną św. Stanisława. Wszystkich tych znajomości jakies ślady pozostały w jego pismach, bądź w dedykacjach, bądź w wier-

szach ulotnych z różnych okoliczności pisanych. Najczęściej zdarzało się to przy smutnych wydarzeniach śmierci i pogrzebu (Nagrobek Augustynowi Gutterowi, Mowa do pogrzebowych gości Szczęsnej z Kąckich małżonki Jadama Jordana), ale czasem też i przy weselszych sposobnościach, jak kiedy dla swego przyjaciela kanonika Taranowskiego pisał wiersz: *Na upominek krzesny* dziecięciu Stanisława Jordana. Gdzie więc był pogrzeb, gdzie chrzciny po szlacheckich okolicznych dworach, rzadko się tam bez księdza Grochowskiego i bez jego rymów obeszło. A wreszcie, nie będzie w tem nic dziwnego, że osobą swą i książkami zaglądał także i do żeńskich klasztorów. Dorocie Kąckiej, ksieni Zwierzynieckiej, ofiarował swe Codzienne ćwiczenia chrześcijańskiej duszy w drugim wydaniu, nazywając ją przytem „Z męskim sercem białogłową“, co wcale czechem komplementem nie było, skoro pochwałę dla energicznych jej rządów w klasztorze, jak świadczy Niesiecki, zapisała nawet konstytucya z r. 1613. Z tej to znajomości zapewne poszło, że ks. Drożdżewicz wiele pism Grochowskiego w klasztorze Zwierzynieckim znajdował. Dla zakonnice też specjalnie przeznaczona była jego książka: *Duchowna pociecha pannom albo obrona swobody w kościele bożym, przedniej a wysokiej zacności stanu panińskiego* (r. 1610 i 1611).

Mniej liczne stosunkowo były znajomości Grochowskiego ze współczesnymi mu pisarzami. O przyjaźni łączącej go z Wujkiem, w owej porze już nieżyjącym, jakoteż ze Skargą mówiliśmy już dawniej. Z Joachimem Bielskim musiał być także w pewnym zbliżeniu, i to jeszcze przed końcem przeszłego wieku, skoro na jego kronikę napisał (1597) wiersz polecający to dzieło czytelnikowi. Podobnego rodzaju wiersz umieścił także później 1611 roku w kronice Aleksandra Gwagnina, bardzo pochlebnie o osobie autora się wyrażając. Z poetów owej doby, chociaż ich liczba była tak znaczna, z jednym tylko Szymonowiczem pozostały ślady jego przyjacielskich stosunków, i to wyraźniejsze niż z innymi pisarzami. Osobiście być może, iż się nigdy ze sobą nie zetknęli i nie znali, przy różnych sposobnościach pisywali jednak do siebie. W r. 1604 Grochowski, w Krakowie w owej chwili będący, zażądał od Szymonowicza, który znów w Czernięcinie, około Krasnostawu na wsi przebywał, ażeby mu poemat swój łaciński *S. Stanislaus caesus*, dotąd w rękopisie spoczywający przysłał i ogłosić pozwolił. Z wielką uprzejmością uczynił Szymonowicz temu życzeniu zadosyć, skromnie się przytem tłumacząc, że jest to utwór jego młodzieńczy, który według dzisiejszego jego zapatrywania go-

<sup>1)</sup> Tak mówi w liście swym Świniarski.

<sup>2)</sup> Niesiecki VI, 286.

<sup>3)</sup> Niesiecki, IV, 336.

<sup>4)</sup> W dedykacji kolendy z r. 1606.

<sup>5)</sup> Juszyński, I, 165. nazywa te wiersze piękniemi.

dzien jest raczej zniszczenia niżli wydawania na świat, zresztą pozostawiając to całkiem do woli Grochowskiego, czy zechce te wiersze na widok publiczny wydać, czy też oddać je napowrót na pastwę molom. W rok później innego znowu rodzaju okoliczność, lubo również literackiej natury, dała im powód do korespondencji. Grochowski napisał wtedy *Lzy* smutne po zejściu hetmana Zamojskiego. Czy je sam, co jest bardzo prawdopodobne, Szymonowiczowi posłał, czy Szymonowicz skądinąd dostał ten wiersz, który, jak wszystko co się Zamojskiego dotyczyło, żywo obchodzić go musiał, dość, że w krótkim czasie miał go w swych rękach, i znalazł w nim ustęp, którego bez odpowiedzi, przynajmniej autorowi *Lez*, pozostawić nie mógł. Mówimy tu o tej apostrofie, w której Grochowski, wezwawszy poprzednio innych do opłakiwania tej wielkiej straty, jaką wszyscy w Zamojskim ponieśli, bezpośrednio do Szymonowicza się zwraca:

. . . . płacz rzewliwie i ty  
Symonie Symonida pismem znakomity,  
Twój z serca pochodzący żal i smutne pienie  
Wierzę wzruszy opoki i twarde kamienie.

Bez wątpienia, autor nie miał tu nic innego na myśli tylko oddanie pochwały Szymonowiczowi i oświadczenie głośne przed ludźmi, że taki jak Szymonowicz znakomity poeta mógłby dopiero godnie i lepiej niż on sam przedmiot tej wagi opiewać. Ale w słowach tych mógłby także ktoś domyślać się pewnego rodzaju wymówki, albo przynajmniej nasuwały one to przypomnienie: dlaczego to Szymonowicz, tak blisko stojący Zamojskiego i tyle mu mający do zawdzięczenia, pierwszy z poetów polskich, jakby się należało, zgonu tego męża nie uczcił? Otóż dla usunięcia podobnych przypuszczeń, których możliwość sam dobrze widział i racją czuł, po odczytaniu *Lez smutnych* napisał Szymonowicz list do Grochowskiego (z Zamościa 16 sierpnia 1605) tą swoją piękną, klasyczną polszczyzną, której był jednym z najpierwszych mistrzów. Podziękowawszy serdecznie autorowi, że temi wierszami „siłaś nas W. M. rozrzewnił siła i pocieszył“, przystępuje zaraz do tego, co mu jako pewien rodzaj wyrzutu, najwięcej na sercu leżało: „Bo podobno przystało nam było nie dać się w tej mierze poprzedzić. Ale cóż czynić?“ i tłumaczy się następnie, że to zbyt wielki żal i smutek nie dopuścił mu spełnić tego obowiązku, bo „śmierć pana tego tak na mię przypadła, jakoby piorun na mnie uderzył: dotychczas do zwykłych zmysłów ledwie przyjsć mogę; pióro ilem

razy w rękę wiał, zawsze mi od zdumienia i zapamiętania się wypadło“. Jakoż dopiero w rok potem opłakał śmierć Zamojskiego w znanej sielance: *Rocznica*.

Na znak zapewne, jak wysoko sobie cenił pochwałę takiego jak Szymonowicz poety i stosunki z nim, list jego umieścił Grochowski przy drugim wydaniu *Lez smutnych*, które w tym samym jeszcze roku (1605) wyszło. Podobnież zrobił także i z pierwszym listem, drukując go przy wydanym przez siebie poemacie Szymonowicza.

W takich warunkach upływały Grochowskiemu ostatnie lata życia w pierwszym dziesiętku 17 stulecia, a nie omylimy się pewno twierdząc, że należały z wielu względów do najprzyjemniejszych i najpomyślniejszych jakie przeżył. W tym czasie żyje on w ustawicznej styczności z kwiatem ówczesnego społeczeństwa, przebywa stale w kołach rodowej i umysłowej arystokracji. Ma znajomości z kilku możnowładczymi rodami, ma kilku biskupów protektorów, którzy mu płacą pensye; do liczby jego przyjaciół należą i najznakomitsi między prałatami i członkowie zamożnych, starych szlacheckich rodzin. Bawiąc w Krakowie, prowadzi rozmowy o literaturze i religii z Maciejowskim, Dobrocieckim i z wielu zapewne innymi, o których nam tego nie powiedział. Czasami robi z Krakowa wycieczki: do klasztoru Święto Krzyskiego do opata Maliszewskiego, do Miechowa. gdzie mu rad znowu biskup Pstrokoński, i tu znów doznaje najuprzejmiejszej gościnności, a umysł swój rozrywa i podnieca do dalszej pracy dysputami z ludźmi wykształconymi, lubiącymi książki i naukę<sup>1)</sup>. Po dworach szlacheckich, gdzie częstym również jest gościem, inne spotykają go przyjemności: staropolska serdeczność, niewymuszona wesołość, nieraz bez wątpienia i żywa uciecha przy kieliszku starego węgryzna, a wreszcie i ten szacunek, jaki mieszkańcy wsi okazują wyższemu od nich umysłowo i szeroko znanemu ze swego talentu sędziwemu pocię. Po tych paru latach przerwy, bezpośrednio po procesie wynikłej, bądź z zewnętrznych jakichś przeszkód, bądź z chwilowego zniechęcenia, jego czynność literacka powraca znowu do dawnej miary, a nawet przewyższa ją: Grochowski ciągle w tych czasach pisze coś nowego, z dawnych rzeczy robi nowe wydania, ogłasza pisma obce i zabiera się do zbiorowej edy-

<sup>1)</sup> W przedmowie do książki: „Deliciarum spiritualium libellus“ pisze Grochowski o głośnej lekturze w liczniejszym gronie w domu Pstrokońskiego w Miechowie.

cyi swych dzieł w drukarni Loba w Krakowie 1608<sup>1)</sup>. Wychodzi z niej tom jeden, oznaczony jako księga pierwsza, drugi jest zapowiedziany w słowach Grochowskiego na końcu tego tomu: „Drugie rzeczy, które się znajdują do drugiej książki autor zachowuje“, ale nie przychodzi już do tego później zapewne z powodu oddalenia się poety niedługo potem z Krakowa. Miał on też w owe czasy swobodne *otium* i wolną od innych zatrudnień głowę, mieszkając w Krakowie bez żadnych urzędowych zajęć i kapłańskich obowiązków, a nie chciał „próżno jeść w domu bożym chleba“<sup>2)</sup>. Zwłaszcza że i życie bez pracy marne mu się wydawało: „Bo żywot, co za żywot, gdy się nic nie robi“<sup>3)</sup>, więc aby przed innymi, jak powiada, nie musiał się wstydzić i własnemu popędowi do działania zadosyć uczynił, z tym większym zapałem oddawał się wtedy pracom literackim.

Kiedy kardynał Maciejowski w r. 1606 arcybiskupstwo Gnieźnieńskie otrzymał, w stosunkach Grochowskiego po raz pierwszy musiało się już zanieść na pewną zmianę. Nie nastąpiła ona jednakże tak prędko, bo Maciejowski ze względu na jego niezwykłą hojność dla biednych i kościołów dostał od papieża pozwolenie na zatrzymanie jeszcze przez rok dochodów dyecezyi krakowskiej. Dopiero w 1607 r. przyszło do faktycznego zdania tej decyzji nowemu jej zwierzchnikowi, Tylickiemu. Grochowski miał więc dościsnąć czasu do przygotowania się do tej zmiany, i pragnąc zapewne pozostać na miejscu w Krakowie, począł robić zabiegi o pozyskanie sobie względów nowego biskupa. Stary poeta na seryo przełakł się o dalszy swój los: „Kto na mnie wspomnie po mym kardynale?“ pyta się zaniepokojony w jednym wierszu do Tylickiego<sup>4)</sup>. Jeszcze przeto zanim Tylicki biskupstwo objął, w pochlebnych słowach odezwał się po raz pierwszy do niego, kreśląc mu tęsknotę, z jaką jego dyecezya przybycia swego pasterza tak długo wygląda, a Tylicki widać nie pozostał na ten głos głuchym i jakimś dowodem swej łaski poetę uspokoił. Wkrótce potem „wziąwszy dar z szcudroblivej jego ręki“<sup>5)</sup>, składa mu już Grochowski podziękowanie w jednym z piękniejszych swoich wierszy: *Bóg za-*

<sup>1)</sup> Wydanie w Krakowie u Szeligi r. 1609 jest tylko tak nazwanym tytułowem wydaniem pierwszej edycyi.

<sup>2)</sup> Wiersz do Tylickiego wyd. Tur. I, 269.

<sup>3)</sup> Tamże I, 268.

<sup>4)</sup> Wyd. Tur. I, 266.

<sup>5)</sup> Bóg zapłać Tylickiemu Wyd. Tur. I, 266.

*pluć*. Toż samo (nam jednak bliżej nieznane) dobrodzieństwo, które miał od przeszłego biskupa krakowskiego, otrzymał teraz i od nowego, chociaż ten mógł je mu być łatwo odebrać, „wróciłeś mogąc to wziąć, ani pojrzeć na mnie“. Przepelniony wdzięcznością serdecznie i w pięknych słowach dziękuje mu za to:

Nie mam co inszego dać twej pańskiej osobie,  
Okrom dwu słów: Bóg zapłać; o których myśl sobie.  
Że skoro się gdzie w sercu wdzięcznem urodziły,  
Pierwej niżli wyszły z ust, ważne w niebie były<sup>1)</sup>.

W istocie Tylicki szczerze musiał się zająć losem podszłego i stroskanego o swój byt poety. Nietylko wspomógł go materyalnie, ale dając tem dowód swej osobistej troskliwości, i lekarzowi swemu kazał o jego zdrowiu pamiętać. Na dokuczające mu dolegliwości wieku często wówczas skarżył się blisko siedemdziesięcioletni już Grochowski, przy każdej sposobności starość w swych pismach przypominał, ale dziękując Tylickiemu także i za tę opiekę nad swoim zdrowiem, uczynił to z pewnego rodzaju humorem. Jakby sam ze swojej biedy żartował:

Wiek krótki długiej czynić nadziei nie może,  
Już ta, już druga boleść ciągnie mię na łożo.  
Sama starość chorobą, darmo usiłuje  
Doktor twój zawołany; bo choć opatruje,  
Jak stary kozuch łątał; jedną dziurę zszywa,  
A druga się w też tropy za łątą dobywa<sup>2)</sup>.

Łaska tego nowego mecenasu tem bardziej okazała się potrzebna, gdy w styczniu r. 1608 w kilka dni jeden po drugim umarli w Krakowie, dwaj najlepsi Grochowskiego przyjaciele i dobrodzieje: prymas kardynał Maciejowski i kanonik Dobrocieski. Na pogrzeb jednego i drugiego napisał Grochowski żałobne wiersze, szczerze i serdecznie te straty opłakał, a lubo znękanym świeżemi ciosami, nie ustawał jednak w pracy literackiej i owszem w tym roku z niezwykłą prowadził ją energią. Bez wątpienia przez cały też ten rok pozostawał w Krakowie; ogłoszone w tym roku w Krakowie zbiorowe wydanie jego pism możeby się było bez jego obecności na miejscu nie obeszło.

W końcu roku następnego znajdujemy go nakoniec w okolicach bliskich jego kustodyi kruszwickiej, od której tak długo był

<sup>1)</sup> Tamże.

<sup>2)</sup> Bóg zapłać Tylickiemu wyd. Tur. I, 267.



oddalony, albo którą nie często od lat kilku widywał. W grudniu 1609 pisze on w Toruniu „kartę wtórą“ wiersza nazwanego z tego powodu: *Toruńskie noce*, a w styczniu 1610 tamże „kartę pierwszą“ tegoż samego utworu<sup>1)</sup>. W tej to karcie pierwszej szeroko opisuje swój pobyt i życie wiejskie w owych Małych Pieckach, a rzecz jest w ten sposób przedstawiona, jak gdyby Grochowski dłuższy czas, przynajmniej kilka ostatnich miesięcy tam był mieszkał. Co go znowu w te strony przywiodło? Jedyne znam nam wydarzeniem, któreby mogło stanowić domyślną tego przyczynę, byłaby ta okoliczność, że dawny biskup przemyski, Pstrokoński, należący do liczby tych, którzy mu „jurgielt“ płacili, i z którym w ostatnich szczególnie czasach Grochowski w bliższej był zażyłości, w r. 1608 został biskupem dyecezyi kujawskiej, w której obrebie i kollegiata kruszwicka leżała. Jego słowo mogło tu pociągnąć Grochowskiego, mogło to uczynić i własne serce poetę, aby być jak najbliżej ukochanego biskupa, zwłaszcza że i dla Kruszwickiego musiał on mieć także pewne, jako jej prałat, obowiązki. Może wreszcie przedstawiały mu się tutaj lepsze niż gdzieindziej widoki, skoro łaskawy zawsze na niego biskup został teraz zwierzchnikiem tej dyecezyi. Jeżeli jednak istotnie Pstrokoński był jego powrotu w te strony przyczyną, Grochowski nie długo się cieszył protektorem, który mógłby mu być dać coś więcej w swojej dyecezyi, niż te ubogie i nieintrafne Małe Piecki, bo już w r. 1609 biskup zeszedł ze świata.

W żadnym innym ze swoich wierszy nie powiedział nam poeta tyle o sobie i swej osobistości co w *Nocach Toruńskich*, mianowicie w części pierwszej przez niego nazwanej. Znaczna część tych szczegółów odnosi się wprawdzie do pewnej tylko, do tej ostatniej pory jego życia, w której stoi już nad grobem, ale wiele z nich można zastosować do wszystkich ubiegłych lat, a nawet za stałe rysy charakteru konieczne trzeba uważać. Poeta pisze te swoje wiersze podczas długich grudniowych i styczniowych nocy. Kiedy mu wypadało powitać wierszem przybywającego na drugi dzień do Torunia Fabrycego, przebudziwszy się po pierwszym śnie, wstaje z łóżka, odmawia pacierze i

<sup>1)</sup> Dlaczego Grochowski część pisaną później nazwał „kartą pierwszą“, a część pisaną wcześniej „kartą wtórą“, trzeba chyba przypisać tej przyczynie, że wcześniejsza wystosowana była do prowincyała Jezuitów P. Fabrycego, późniejsza zaś do biskupa kujawskiego i kanclerza Gembickiego, i ze względu na wysoką godność osoby, do której się odnosiła, autor uważał za rzecz słuszną na pierwszym miejscu ją położyć.

... przy słońcu woskowem,  
Mając kałamarz z papierem gotowym  
Wolną myśl k'temu...<sup>1)</sup>

zabiera się do pisania. Na innych jeszcze miejscach jego pism można także znaleźć wzmianki o tym jego zwyczaju budzenia się w nocy i zasiadania do pióra. Temu to zwyczajowi zawdzięczyć należy bez wątpienia powstanie jednej z jego ładniejszych pieśni. „Na północne kurowe pienie“, którą ten tylko mógł napisać, kto jak on doświadczał na sobie uroku, jaki wśród głuchej nocnej ciszy na wsi sprawia na spokojnym a wypoczętym przez pierwszy sen umyśle ten „żywy zegar nocą ogarnionych“<sup>2)</sup>.

Dom jego w Pieckach Małych i wioska sama, choć ubogie jedno i drugie, jak to już poznać mieliśmy sposobność, drogie jednak były jego sercu, miłe i przyjemne. Przykro byłoby mu umierać, choć „już tak siwy starzec, a prawie na poły zgrzybiały“<sup>3)</sup>; jego duch „cielesny“ walcząc z „duchem dusznym“ (jak się pięknie wyraża, przypominając sobie może słowa Platona), który rwie się do drugiego życia, ze wszystkich sił trzyma się ziemi, bo:

Żal mu od Pieków z mej acz małej wioski,  
Gdziem ja do tych miast cieszył swoje troski  
Rymem słowiańskim, który choć nie płatny,  
Lecz gdy tam mieszkam tak bywa udatny,  
Że mię Orfeus nie celuje pieniem  
Ani Amfion łagodnych stron brzmieniem<sup>4)</sup>.

Tutaj to, choć ta wioska „nieurodziwa“, choć wieher w jego domu „podezas (czasem) sobie do izdeb otwiera“, on czuje się tak szczęśliwy i zadowolniony, że los swój wyżej nad los perskiego króla kładzie:

Bo on się z Turki ustawicznie goni,  
A ja tu mieszkam sobie na ustroni,  
Tu pokój swój mam kapłan i poeta<sup>5)</sup>.

Tego spokoju nie mącą mu nawet w nocy lesne zwierzęta, które polną na owce, bo on ich nie ma, a nie przerywa go także i we dnie żaden gość; a jeśli czasem, (co tu rzadko bywa)

<sup>1)</sup> *Nocy Toruńskich* karta wtóra wyd. Tur. I, 306.

<sup>2)</sup> Na kurowe pienie Wyd. Tur. I, 290.

<sup>3)</sup> *Nocy Tor. kar. pierw.* wyd. Tur. I, 301.

<sup>4)</sup> Tamże I, 302.

<sup>5)</sup> Tamże I, 303.

jaki dobry kompan go nawiedzi, to poeta rad mu z duszy i czem chata bogata tem go przyjmie:

Jest kur dla niego i gęś się ożywa  
W kojcu przy owsie...<sup>1)</sup>

jeśliby zaś chciał i innego pokarmu, jeśliby chciał „bawić się wierszami“ — dodaje poeta żartobliwie:

Tem ja go uczęzę prędzej niż rybami.

Choć nie ma u niego nic w gumnie, choć tak jak tamtejsi wieśniacy „słomą sobie piec zagrzewa“, czuje on się na swej chudobie tak dobrze panem jak każdy inny; wszyscy jego trzej „ziemianie“ słuchają go, oddają mu uszanowanie i jak się z humorem wyraża:

... kiedy który z nich przedemną stanie,  
Coraz to mówi: miłościwy Panie!<sup>2)</sup>

tak jak każdemu z tych wiemożnych panów, co mają mnogie wioski i folwarki. W samotności i ciszy upływa mu życie w tym zakątku dalekim od świata, a zwykłym jego zajęciem jest rozmyślanie nabożne, modlitwa, a częściej jeszcze praca literacka. W owych czasach zajęty był szczególnie Grochowski przeglądaniem swoich pism dawniejszych, tych mianowicie, które jak wiadać pozostawały jeszcze w rękopisie. Przepatrywał on tę spuściznę po sobie, jak człowiek co się już do odejścia gotuje. Wiele z tych pism palił i niszczył, jeżeli widział, że

... nazbyt z prawdą wylatają,  
O którą ludzie bardzo się gniewają.<sup>3)</sup>

Byłaby to wskazówka, iż rzeczywiście z pod jego pióra wychodziły także wiersze satyryczne, nie zbyt oględnie pisane, a może czasem i złośliwe, o których niektórzy jego biografowie wspominają, a które, choć drukiem nie ogłaszane, w inny sposób do wiadomości publicznej dostawać się mogły. Grochowski zniszczył je doszczętnie i jedno tylko *Babie koło*, dopiero w naszych czasach, światło dzienne ujrzało.

<sup>1)</sup> Tamże I, 303.

<sup>2)</sup> Tamże I, 304.

<sup>3)</sup> Tamże I, 304.

Rozrywki naszego poety po pracy są proste i takie, jakie wieś każdemu dać może, kto lubi naturę i umie jej uroki odczuwać. „Gdy nad rymem głowy nadfraszę — powiada Grochowski<sup>1)</sup> — pióro zarzucam, uchem nie próżnuję“. Wychodzi przed dom i już tutaj w najbliższem otoczeniu słyszy tę muzykę wiejską, jaką się odzywają skrzydłaci śpiewacy po drzewach, w krzewach i w trzcinie, której tak pełno w jego wodnistych Pieckach:

Mam tuż gdy zechę przed oczyma swemi  
Płochą muzykę z głosy rozlicznemi...  
Tam wodopławnych kaczek mnóstwo bywa,  
Tam słowik, tam wróbel w trzcinie się ożywa  
Lato witając, tam bąk basem swoim  
Zwykł się sprzeciwiać prostym stronom moim;  
Tam ptactwo drugie, które gdy czas niesie,  
Krzyczą w mej trzcinie jako w jednym lesie<sup>2)</sup>.

W podobny sposób bawi się jego oko widokiem smug niebieskawych otaczającej go wody albo zielenią pól, gdy patrzy „na równiny, dziwnie wesołe tamecznej krainy“, które tak błogie sprawiają na nim wrażenie, że „tylko lepiej w niebie“ może mu być jeszcze. Dalej zaś, już po drugiej stronie Gopła, wzrok jego spotyka „straszny gród“, legendarną wieżę Popiela i szczyty starożytnej niegdyś katedry kruszwickiej.

W prawdziwie idyliczny obrazek, któremu nie brak uroku, i w którym co większa czuć żywą prawdę, ujął stary poeta te chwile swego pobytu na wsi. Czy ich wiele podobnych przeżył, nie możemy wiedzieć, ale to pewna, że usposobienie jego odpowiadało także, zwłaszcza w latach podeszłych, takiemu cichemu, sielankowemu życiu na łonie natury.

I tutaj znowu na Kujawach, jak wszędzie indziej, gdzie dotąd przebywał, szukał Grochowski dla siebie i znalazł protektorów i wspomagających go dobrodziejów. Takim szczególnie był Michał Działyński, wojewoda wówczas inowrocławski, który z ścią pańską hojnością, a przytem staropolską serdecznością o niezamożnym kustosz i poecie pamiętał. Grochowski, gdy mu czego brakowało w domu, nie potrzebował najprzód prosić, ale posyłał do wojewody „jako do swej spiżarni“<sup>3)</sup>. Żyjąc też wdzięczność ucuwał dla niego i wypowiadał ją nietylko przed wojewodą, ale i przed

<sup>1)</sup> Tamże I, 304.

<sup>2)</sup> Tamże I, 304.

<sup>3)</sup> Nocę Toruń. Wyd. Tur. I, 302.

innymi ludźmi<sup>1)</sup>. Z domem Działyńskich musiał być na stopie weale poufałej i lubianym zarówno przez rodziców jak i liczne grono ich dzieci. Takie wrażenie odbiera się z kilku wierszy, które do Działyńskich napisał, a które do tej właśnie pory jego życia należą<sup>2)</sup>.

Skoro po śmierci Pstrokońskiego (1609) Wawrzyniec Gembiński, biskup Chełmiński i kanclerz kor., biskupem kujawskim (czyli włocławskim) zamianowany został, nie omieszkał Grochowski, wówczas to w Małych Pieckach, to w Toruniu przemieszkujący, dobrze mu się polecić i rymowanymi listami względy jego zaszkarbiać sobie począć. Karta pierwsza *Nocy Toruńskich* jest właśnie drugim już takim z rzędu do biskupa wystosowanym listem; pierwszy, o którym Grochowski na początku *Nocy Toruńskich* wspomina i który, jak się spodziewał, jeszcze w Warszawie musiał być biskupowi oddany, zaginął widać gdzieś w kancelaryi Gembińskiego, a przez poetę nigdy wydrukowym nie był. Gembiński na pisma Grochowskiego nawzajem odpowiadał, czego dowodem jeden jeszcze nieco późniejszy wiersz naszego poety: *Na teraźniejsze coraz gorsze czasy*<sup>3)</sup>, tak że z tego wnosić można, że przez jakiś czas trwała między nimi podobna korespondencya nawpół prywatna, nawpół ogólnych spraw dotycząca.

Wszystkie te ślady nowych na Kujawach znajomości, pochodzące wyłącznie z ostatnich lat życia Grochowskiego, są nadto dowodem, że wcześniej nigdy on tutaj stale ani przez dłuższy czas nie przebywał, że zatem po r. 1600. jak twierdziliśmy, w Krakowie głównie przemieszkował, i że kustoszem Kruszwickim został dopiero niedługo po swoim warszawskim procesie.

Jako nowa, nieznaną nam przynajmniej nikąd dotychczas w życiu Grochowskiego osobistość, występuje wreszcie w tych listach Piotr Fabrycy *recte* Kowalski, prowincyał Jezuitów, którego przyjazd do Torunia poeta wtórą kartą *Nocy Toruńskich* powitał. W dziejach zakonu wybitna to postać, przez Jezuitów: *magnus vir in societate* nazywana; pierwszy pochodzenia polskiego prowincyał prowincyi polskiej od kwietnia 1608, to jest od chwili,

<sup>1)</sup> Przed biskupem Gembińskim w Nocach Toruń. I, 304.

<sup>2)</sup> Wojewodą Inowrocławskim, jakim go Grochowski mianuje, był Działyński od r. 1602; po poselstwie do Rzymu w końcu 1608 w nagrodę poniesionych przez niego kosztów otrzymał starostwo gniewskie, o czem Grochowski epigramat napisał.

<sup>3)</sup> „Pytasz mnie eny biskupie“ zaczyna się ten wiersz do Gembińskiego również pisany.

kiedy Jezuiti na ziemiach polskich zamieszkali, a dotychczas przez Włochów rządzeni, podzieleni zostali na dwie prowincye: polską i litewską<sup>1)</sup>; prawdopodobny (bo rzecz ta w bibliografii nie dosyć jasna) tłumacz na język polski dzieła, które równocześnie prawie i Grochowski przekładał: O nasładowaniu Chrystusa. Znajomość z Fabrycem była bez wątpienia dla naszego poety dalszym ciągiem jego dawnych z Jezuitami stosunków, a dochodziła do przyjacielskiej zażyłości, podobnie jak niegdyś z Wujkiem i Skargą. Widać to z treści, a więcej jeszcze z tonu tego rymowanego listu, jaki Grochowski Fabrycemu posłał. W liście tym nadto jest jeden ustęp, na który w żywocie Grochowskiego zwrócić należy uwagę, chociaż nie przedstawia on rzeczy dosyć jasno i zrozumiale. Poeta, wywnętrzając się ze swych uczuć i winnej Fabrycemu wdzięczności, powiada:

Lecz bym ci ojeze snąć i sto lat służył,  
Wierzę podobno żebym nie odsłużył  
Twoich przeciw mnie świętych uczynności,  
Duszy mej zdrowych; boś ty z twej ludzkości  
Zwykłej to sprawił, że twój Aquaviva,  
Starszy, co zawsze w Rzymie przemieszkwiwa,  
Chciał to mieć, że dziś co jeno czynicie  
Dobrego, mnie też grzesznemu robiecie.  
Skąd towarzystwa waszego świętego  
Jestem uczestnik z starania twojego.

Coby ten „uczestnik“ towarzystwa Jezusowego w połączeniu z osobą Grochowskiego mógł znaczyć? przynajemy, że nam to całkiem nie jest zrozumiałe. Że Grochowski sukienki zakonnej nigdy nie przywdział, to nie ulega wątpliwości, bo lub w jego pismach, lub w innych do jego życia źródłach, byłaby się o tem jakakolwiek znalazła wzmianka. Czy ma to chyba oznaczać, że na mocy jakiegoś przez Fabrycego u generała Jezuitów Aquavivy wyrobionego mu przywileju stał się uczestnikiem pewnych łask duchowych, zresztą tylko zakonu jezuitckiego udziałem będących, albo też, że Grochowski, choć zakonnikiem faktycznie nie został, w innej jakiejś formie i do pewnego stopnia stał się członkiem Towarzystwa Jezusowego? te pytania, nie rozwiązując ich weale, możemy tylko podać jako nasuwające się z powyższych słów poety i czekające, może ze strony więcej fachowej, na rozstrzygającą odpowiedź. Bądź co bądź, jasnym z tego jest tyle, że łączność Gro-

<sup>1)</sup> Wielewicki, *Histor. diarii* w *Script. rer. pol.* X. 271.

chowskiego z Jezuitami nie rozluźniała się bynajmniej z laty, ale owszem coraz bardziej ścieśniała i wzmacniała.

Po tej sielance ostatnich lat, którą sam poeta nam skreślił, a której nie brakło ani północnego piana kogutów, ani śpiewu ptaków trzepocących się po nadbrzeżnej trzcinie, ani wesołego widoku kujawskich równi, następuje niedługo, bo już po dwóch latach, ostateczna, nieuchronna w życiu ludzkim tragedia. Grochowski umiera i śmierć spotyka go nie w Toruniu, gdzie go ostatni raz (w styczniu 1610) widzieliśmy, nie w tych Małych Pieckach, od których mu tak żal było odejść, ale w Krakowie. Kiedy, poco, dlaczego on tutaj znowu przybył? jak długo tu przed zgonem bawił? jak o tylu innych okolicznościach jego życia i o tem nic nie wiemy. Ostatnie za to jego chwile mamy tak dokładnie skreślone, że śmierć jego i usposobienie w jakim umierał, w żywym obrazie stają nam przed oczami. Zawdzięczamy to zaś książce już przez nas nieraz wspomianej, owemu *Compendium*, czyli historii Bractwa Wniebowzięcia N. Panny Maryi w Krakowie.

Bractwo to założone było z pobudki i staraniem sławnego Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego, i należało do liczby tych stowarzyszeń religijnych, które wyrastały pod opieką i auspicjami Jezuitów. Na mocy ogólnego do tworzenia podobnych instytucyj od papieża otrzymanego pozwolenia, generał Jezuitów, Klaudyusz Aquaviva dyplomem, datowanym z Rzymu 30 listopada 1603 r. potwierdził i to krakowskie bractwo. Od samego zaraz początku wiele najpierwszych w kraju osób świeckiego i duchownego stanu, a na ich czele król Zygmunt III. zapisało się w poczet jego członków. Grochowski należał także do tego bractwa i w spisie zawierającym nazwiska cenniejszych sodalisów, znajdujemy także i naszego kustosza kruszwickiego<sup>1)</sup> niedaleko od imion wielu z tych jego dobrodziejów i przyjaciół, z którymi w ciągu opowiadania jego życia nieraz się spotykaliśmy jak: kardynała Maciejowskiego, Pstrokońskiego, Szyszkowskiego, Mikołaja Zebrzydowskiego, kasztelana płockiego Garwaskiego i t. d. Nie śmielibyśmy jednak twierdzić z taką pewnością jak ks. Drożdżewicz<sup>2)</sup>, że Grochowski już od samego początku, t. j. w r. 1603 do tego bractwa się zapisał. Twierdzenie to jest widocznie oparte na owym spisie członków w historii Bractwa podanym<sup>3)</sup>, nie uwzględ-

<sup>1)</sup> *Compendium* p. 100.

<sup>2)</sup> Przy wydaniu Turowskiego p. VII.

<sup>3)</sup> *Compendium* p. 97—106.

niło ono jednakże tej okoliczności, że spis ten obejmuje osoby, które w bardzo rozmaitych i odległych od siebie czasach członkami Bractwa zostawały, umieszczając naprzykład zaraz po Zyguncie III nazwisko króla Michała Korybuta, a nigdzie przytem nie podaje daty, kiedy kto między sodalisów się zapisał. Że należenie Grochowskiego do tego Bractwa, które tylko ze szlachty się składało i było: *congregatio nobilium*, także i jego pochodzenia szlacheckiego może być dowodem, o tem mówiliśmy już na swym miejscu.

Kiedy wiek i dolegliwości naszego poetę na łożu śmiertelne w Krakowie powaliły, odwiedzali go jego współbracia z kongregacyi, aby mu nieść pomoc i pociechę, i jeden to z nich jako naoczny świadek musiał potem te jego ostatnie chwile w rocznikach (*annales*) Bractwa opisać. Grochowski umierał ze skrucą i pełen żalu za grzechy, które mu z przeszłości sumienie wyrzucało, a przytem z całą ufnością w miłosierdzie Boże i orędownictwo N. Panny. Wszystkie myśli świeckie odganiał od siebie, a marność rzeczy ziemskich stanęła mu w całej swej nagosci przed oczami. „Będąc bliskim śmierci—tak opowiada kronika<sup>1)</sup>—prosił ojca duchownego tego Bractwa, którego do siebie często wzywał, i innych odwiedzających go księży, aby mu myśl jaką pobożną podali na piśmie, by jej nie zapomniał, często powtarzając: O gdyby mi się dawniejsze wróciły lata, jakbym je inaczej niż to czyniłem w posłuszeństwie Bogu przepędzał; jakże gorąco pragnę, jeśli żyć jeszcze będę całego siebie na służbę Bogu poświęcić. Pewnego duchownego surowo zgromił, gdy ten dla zerwania go jakąś powiastkę mu opowiadał, oświadczając, że w tych przedśmiertnych dniach o niczem nie chce słyszeć tylko o rzeczach poważnych i duchownych. Często też powtarzał: Przyjdź Panie a nie opóźniaj się, to znów wzywał opieki N. Panny: Maryo bądź mi ku pomocy, i cieszył się, że niegdyś pieśń kościelną na jej cześć na język ojczysty przełożył“.

W ten sposób bogobojnie i przykładowie, jak na człowieka stanu duchownego przystało, budując innych gorącością swej wiary, zakończył Grochowski swój żywot 30 stycznia 1612 roku, o czwartej w nocy.

Czy powyższy opis jego zgonu nie jest przynajmniej w pewnej części tendencyjnym, o tem ani za, ani przeciw z pewnością nie twierdzić nie możemy. Widoczną jednak jest rzeczą, że

<sup>1)</sup> *Compendium* p. 75.

śmierć Grochowskiego wybrana została przez autora jako przykład godny naśladowania dla drugich, tak jak kilka jeszcze innych podobnych wypadków, o których ta historia Bractwa opowiada. Nasuwałoby się dalej pytanie, dlaczego między tymi innymi i Grochowski wybrany został do dania ze siebie ludziom budującego przykładu. Czy rzeczywiście śmierć jego była tak piękna i chrześcijańska, że mogła być wzorem jak unierać należy? Czy też chciano na jego osobie pokazać przykład, jak człowiek, który w życiu nieraz z drogi właściwej schodził, rzeczami świeckimi więcej niż na jego stan duchowny przystało się zajmował, w tej chwili ostatej upamiętał się, żałował za swe winy, tak że innym za przestroję, by podobnie póki żyją nie czynili, mógł służyć? Jednym słowem, czy to ma być obraz śmierci błogosławionego człowieka, czy też nawróconego grzesznika? I to drugie bowiem jest możliwe; wszak niejednym owoczesnym umysł mógł to Grochowskiemu brać za złe, że niegdyś będąc księdzem z biskupami w targi wchodził i ich gniew na siebie ściągnął; że przez całe życie obowiązkami kapłańskimi nie wiele się zajmował, i że natomiast z wielką gorliwością oddawał się tej świeckiej umiejętności pisania wierszy, o której niegdyś z ust sędziego miał słyszeć, że ci co się jej oddają nie pokosztują nigdy prawdy i enoty.

Szczupłe swoje mienie — jak nas historia Bractwa dalej poucza — przeznaczył Grochowski częścią na ubogich, częścią na kościoły, a szczególnie na kościół N. Panny na Piasku w Krakowie, gdzie sobie także i grób obrał w kaplicy wizerunkiem Bogarodzicy wslawionej. Ubogi ten poeta pozostawił więc jeszcze jakiś po sobie mająteczek; tak biednym, jakby można sądzić, biorąc literalnie jego skargi i utyskiwania, nie był on nigdy, niedostatku nigdy nie zaznał, ale też i to pewna, że w dobrobycie nigdy nie opływał. Beneficya miał skromne i nieintrajne; pensye i zapomogi, jakie pobierał od swych mecenasów nie były dochodem ciągłym, stałym i regularnym; funkeyj duszpasterskich, któreby mu mogły przysporzyć funduszów, w ostatnich przynajmniej dwunastu latach również nie pełnił, będąc może do tego zmuszony i przez zewnętrzne jakie okoliczności, które mu przy kustodii Kruszwickiej siedzieć stale nie pozwalały. Odbywał częste podróże, przerzucał się z miejsca na miejsce, bawił dużo w mieście i bywał tam po wielkich domach senatorskich i pałacowych — to wszystko, choćby równocześnie suto go fetowano i jak najgościnniej przyjmowano, narażać go co chwila musiało na wydatki dość znaczne dla jego nie zawsze pełnej kieszeni. Inne w ogóle wiódł on życie, mniej

spokojne i materialnie mniej korzystne, niż niejednym z jego współtowarzyszów młodości i kolegów, który dostawszy raz dobre probostwo w małym miasteczku albo zamożnej wsi, siedział tam mało gdzie i kiedy na świat dalszy się wychylając, obrabiał swój spory a urodzajny kawał ziemi, pobierał od parafian dziesięcinę, codziennie jakiś dochód miał ze swych jura stolarz, i w ten sposób porastał jak kamień na miejscu, i z roku na rok coraz więcej fortunę pomnażał. Ten duch poezyi, którego tak bardzo umiłował i któremu oddał większą połowę swej duszy, pomścił się na nim za to, i pobudzając jego fantazyę, robiąc żądnym wrażeń i pragnącym nowości i ruchu, czułym na niesprawiedliwość i ludzką przewrotność, kazał mu za to zapłacić spokojem i powszedniemi wygodami życia.

Kości Grochowskiego spoczęły, jak sobie tego życzył, w kościele krakowskim na Piasku „niedaleko cudownego obrazu Naj. Panny“<sup>1)</sup>, a na kryjącym je kamieniu położono napis:

Grochowski pod tym leży nagrobnym kamieniem,  
I kapłan i poeta, Stanisław imieniem.  
Jako ten grób pokrywa próżne ducha kości,  
Tak miłosierdziem pokryj Boże jego złości.  
Rym podczas miał dotkliwy, sam tęsknił w chudobie,  
Dziś nie potrzebuje zamknięty w tym grobie,  
Lecz kto więcej nauki ten mniej szczęścia tyka,  
Nauka w sobie wszystek dostatek zamyka.

Niewiadoma ręka — powiadają — położyła mu ten napis. Czy rzeczywiście niewiadoma? Kto, jaki obcy człowiek byłby na tyle bez serca i bez taktu, ażeby nie zachować najprostszej w takich razach przyzwoitości, i na grobie bliźniego wytykać mu błędy i grzechy za życia popełnione? Sam grzesznik może tylko przyznać się do nich jeszcze w mogile, i o miłosierdzie Boże nad niemi prosić. To też nie wątpimy, że napis ten tylko Grochowski sam mógł być dla siebie ułożyć, i że go według jego ostatej woli na grobie mu wyryto. Kto zresztą nad nim cokolwiek się zastanowi, dostrzeże łatwo, jak niejedno z niego zalatuje echo tych myśli i uczuć, jakie z innych pism poety są nam znane. Na swój rym dotkliwy, na swą chudobę, na to, że nauka nie popłaca w świecie, nieraz on się za życia skarżył, i w tych okolicznościach przyczynę niepomyślnej swej doli upatrywał, podobnie jak z chlubą zawsze szczycił się tym podwójnym tytułem: „i kapłan i poeta“.

<sup>1)</sup> Starowolski, Hekatontas.

Dziś nagrobek ten już nie istnieje. Gdyby nie Starowolski, co go w Hekatontas przepisał, nie znalazłbyśmy go zupełnie. Razem z kościołem N. Panny na Piasku zniszczyli go Szwedzi w czasie oblężenia Krakowa 1655 r. Kościół szczęśliwie podniósł się potem z gruzów, ale gdzie kości Grochowskiego spoczywają, o tem zaginęła pamiątka.

### III.

PIERWSZE KROKI NA POLU LITERACKIEM. — PISMA ŁACIŃSKIE. —

PISMA POLSKIE RELIGIJNEJ TREŚCI.

Jeżeli prawdą jest, co Juszyński powiada, że Grochowski jeszcze w szkołach wiersze pisał, to bez wątpienia te pierwsze jego płody nie były nigdy drukowane, i albo niedługo po swoim powstaniu, albo może dopiero znacznie później, gdy poeta już sędziwym starcem będąc w Małych Pieckach rękopisy swoje przeglądował i brakował, razem z innymi, z późniejszych czasów pochodzącymi, przez niego zostały zniszczone.

Dziś najdawniejszym, pierwszym ze znanych Grochowskiego utworem jest wiersz, umieszczony na końcu Postylli katolickiej ks. Jakóba Wujka wydanej w Krakowie u M. Siebeneychera 1573 roku<sup>1)</sup>. Jak wszystkie wiersze tego rodzaju ma on służyć książce za polecenie i pochwałę wobec biorącego ją do ręki czytelnika, różni się jednak tem od wielu innych, że autor zdąza do tego celu przez dosyć długi refleksyjno-satyryczny wywód, bardzo podobny także z drastycznego sposobu przedstawienia rzeczy do tak ulubionych przez Reja poetycznych rozumowań. Ludzie, powiada Grochowski, dążąc do szczęścia, nie szukają go tam gdzie należy; ubiegają się za zaszczytami, sławą, majątkiem, za cielesnymi rozkoszami wreszcie, co wszystko odebrać im może każdej chwili i odbiera w końcu śmierć, a nie starają się o zgotowanie sobie trwałej szczęśliwości w drugim życiu. Przeszkodą do tego wielką, oprócz zwykłej ludzom ułomności, jest i szerząca się w tych czasach fałszywa wiara i herezya. Ona to bałamuci ludzi i na złą

<sup>1)</sup> W wydaniu Turowskiego II, 59—63.

drogę naprowadza nawet tych, coby chcieli posiadać te wieczyste dobra i prawdziwe szczęście, łudzając ich fałszywymi pozorami:

Djabli na nie zaś drugie sidła postavili,  
Przytrząsłszy je nadobnie, że nie nie znać prawie,  
By okrutny wąż leżał w kwiateczkach i w trawie.  
A naszym, by przepiórki bieżą ono skokiem  
Za onym co do siodeł przywabia prorokiem.

Na nieszczęście, do Polski więcej niż gdzieindziej, zeszło się głosicieli tych nowych wiar, którzy pozwalając wszystkim, nawet i najmniej oświeconym w kwestyach religii rozumować, na szwank narażają ich dusze i zbawienie:

A najwięcej w te kraje, jako do ryusztoków,  
Złości się tej naciekło, że wszech świata boków.  
Uboga Polsko, to cię do końca ma stracić,  
Gdyż sama chcąc tym jadam dajesz się zarazić.  
Więc każdy z nich szczyścić się chce Ewangelią,  
A ono w skórach owczych zdrójce wilcy wyją.  
Widzą sami, że djabeł jawnie z wszystkich szydzi,  
Acz po cichu daje znać, że się tem nie brzydzi.  
Doktory z niewiast czyni, biblią im dawszy,  
A chłop też cap za drugą, od rzemiosła wstawszy.  
Drugich dobrze nie topi, nurzając je w wodzie,  
Drugich do domu wrócił z Rakowa po szkodzie.

W tak dosadny sposób smaga autor i wyszydza ową protestancką wolność dyskusji, która powagę i karność kościoła znosiła, i każdemu pozwalała według swego rozumu być dla siebie nauczycielem i wykładaczem objawionej nauki. Jakaż rada na to obalamucenie umysłów i niebezpieczeństwo dla dusz z niego wynikające? Oto słuchać słów kościoła i słów kapłanów, którzy jak Wujek w tej Postylli, istotną i zbawienną prawdę głoszą:

Ty już masz — odzywa się poeta do czytelnika —  
przewodnikiem te księgi gotowym,  
Które szczerą nauką, szczerem bożem słowem  
Pokażąc błędy wszystkie jako je masz mijać.

Te księgi będą także bronią na heretyków, bo każdy łatwo przy ich pomocy pozna, w czym i jak dalece nauka ich z prawdą się mija:

K'temu, by już nie byli hardzi kacierzowie,  
Bo i chłopiec tu z tych ksiąg fałsz i błąd ich powie.

Polecając w taki sposób czytającemu światu Postyllę, powtarzał Grochowski, z wiedzą lub bezwiednie, w tym wierszu myśl, która głównie także i Wujkiem kierowała i pobudką mu do tej pracy była, kiedy wydawał swoje dzieło „na przeciwne lekarstwo“ takim jak Rejowa kościołowi katolickiemu nieprzyjaznym, a gęsto między ludźmi wówczas rozpowszechnionym Postylom.

W rok później miał Grochowski (1574) wydać w Krakowie: „Wiersz nowo uczyniony do Rzeczypospolitej Polskiej na szczęśliwy przyjazd K. J. M. (Henryka). Na końcu Echo po koronowaniu“. Wiersz ten z egzemplarza przechowanego w bibliotece K. Świdzińskiego w Warszawie przedrukował A. Przeździecki w Jagiellonkach Polskich (IV. 239—242). Pod dedykacją na herb Jana Kiszki Krajczego. W. Ks. L. umieszczony podpis S. G. jakoteż udatna faktura tego wiersza pozwalają przypuszczać, że jest to utwór naszego poety. Autor cieszy się z przybycia Henryka, wychwalając jego przymioty i spodziewając się, że pod jego rządami Polska „rozkwitnie a odmłodnie by orlica prawie“. Dodany na końcu: „Krótki odpis na wiersze Echo i t. d.“ jest odpowiedzią zapewne na pamflet przeciw Henrykowi „Echo Ewangelika“ znajdujący się w Tekach Naruszewicza r. 1573 Nr. 124, którym także Karnkowski, wówczas bisk. kujawski, został dotknięty.

Po ośmiu latach dopiero spotykamy się z nowym pismem Grochowskiego: *Unieioviensis Gratulatio* (1582)<sup>1)</sup>. Nadzwyczajna rzadkość tej broszury sprawiła, że wszyscy co o niej wspominali, opisywali ją tylko na domysł, a zatem i fałszywie. Z jednego dzieła robiono zwyczajnie dwa różne od siebie, i przedstawiano je jako łacińskie wiersze, któremi Grochowski łaskę prymasa Karnkowskiego chciał sobie zaskarbić, rodzaj panegiryku w osobistym interesie przez niego skreślony. Z naoznego przekonania się jesteśmy w możności sprostować to błędne mniemanie. *Unieioviensis Gratulatio* nie jest najprzód wierszem łacińskim, tylko mową w prozie łacińskiej napisaną, a powtóre autor nie przemawia

<sup>1)</sup> *Unieioviensis Gratulatio*. Ad illustrissimum et reverendissimum D. Stanislaum Karnkowski D. G. Gnesnen. Archiepiscopum et Regni Primatem, cum primum in Archiepiscopatus sui provinciam ingrederetur. Cracoviae 1582. — Drugie wydanie w Poznaniu tegoż roku ma koniec tytułu nieco zmieniony: „Cum nuper, suscepto ad Sredensia comitia itinere, in Archiepiscopatus sui Provinciam ingrederetur“. Dalsze różnice są te, że wydanie poznańskie ma dedykacją Jak. Brzeźnickiemu, której w krakowskim nie ma, tudzież, że pierwszy zaraz okres poznańskiego jest dłuższy niż w krakowskim, zawierając też samą myśl, ale szerzej i ozdobniej wypowiedzianą.



w niej od siebie i w swoim imieniu, a więc tem mniej i nie w swoim interesie, tylko jak już raz powiedzieć mieliśmy sposobność, odzywa się do Karnkowskiego, podczas gdy on po raz pierwszy do swej nowej dyecezyi wstępował, imieniem całego uniejowskiego kleru. Witamy cię z radością — przemawia w te mniej więcej słowa do niego — w pośród tak wielkiego zgromadzenia ludzi, w pośród powszechnej radości, z uroczystymi nabożeństwami starą naszą wiarą przekazanemi i tą wreszcie moją chociaż niedołązną przemową. Nie stać nas jednak na to, aby cię przyjąć według chęci, bo to ubogi Uniejów, a nie bogate Gniezno, lub zamożny Łowicz się przyjmuje. Wychwalić ciebie godnie także ja nie zdołam, „nawet potok cyceronskiej wymowy tutajby się zatrzymał“; znajdują się inni co będą słać zacność twego domu; mądrość króla Stefana, który cię w tak ciężkich dla kościoła czasach wyniósł na tę godność; twoje ubiegłe rządy biskupie, za których tyle pobudowałeś nowych lub odnowiłeś dawnych kościołów; twoje dobroczynność dla ubogich, zasługi około Rpltej, kiedy zwłaszcza udało ci się wybuchłą podczas elekcji niezgodę poskromić, i wreszcie (co w ustach mowcy, poety i pisarza mogło mieć szczególne i do jego osobistości odnoszące się znaczenie) „gorącą twoją i żywą dla nauk i ludzi uczonych przychylność“<sup>1)</sup>. Takiego męża potrzeba było, ażeby tę dyecezyą podźwignął z jej upadku.

Po tych słowach, które tutaj w krótkim streszczeniu powtórzyliśmy, stawia Grochowski przed oczami prymasa obraz tej archidyecezyi gnieźnieńskiej, którą Karnkowski obejmował, obraz mający wartość historycznego dokumentu i uwidoczniający żywo całe to spustoszenie, jakie protestantyzm i zamieszki religijne długo swobodnie po Polsce się szerzące, zrobiły w kościele katolickim: „Na ciebie samego spogląda teraz — odzywa się dalej mowca — spustoszona i zniszczona, w pośrodku tego królestwa drogocenna winnica pańska; od ciebie żąda, byś klęski jej rozpoznał, od jej wielkich krzywd ją obronił, i był rzecznikiem jej sprawy. Ciebie o pieczołowitość błaga tyle kościołów na użytek świecki oddanych, sześćdziesiąt owych trzód owieczek, błakających się bez pasterzy, uposledzona tu i owdzie i zaniedbana służba boża i w sercu twojej prowincyi upadła religia. Do ciebie wycią-

<sup>1)</sup> Dobitniej i więcej znacząco brzmi to w oryginale łacińskim: „in literas literatosque homines studium“, przez co rozumieć można nie tylko nauki i uczonych, ale także: piśmiennictwo i pisarzy.

gają prawice z majątków swych wyzuci, dochodów pozbawieni i ciężkimi zniewagami dotknięci kapłani i słudzy namiotu Pańskiego. Woła i krew niektórych dotąd bezkarnie rozlana, i co jeszcze bardziej boleść powiększa, niejeden uciśniony straszemi klęskami, kiedy sprawiedliwości i sądu własnego jesteśmy pozbawieni i niestety, od samych niewiernych żydów pod tym względem niżej położeni“. Tak wymownemi słowy odkrywszy przed prymasem rany całej dyecezyi, w końcu poleca jeszcze jego sercu i pamięci kościoła w Uniejowie z jego kapłanami, prosząc, aby go przywrócił do dawnej świetności i znaczenia „wprzód zanim przez najniesprawiedliwsze pozbawienie dochodów kapłanom się należących, przybytek ten pozostawionym mu będzie zniszczony, opuszczony i co bodaj się nie stało, w pustynię zamieniony“.

Panegiryzmu zatem trudno się w tej mowie dopatrzeć; oprócz zwyczajnego w takich razach i przez samą przyzwoitość wymaganego przypomnienia poprzednich zasług prymasa koło ojczyzny i kościoła, wypowiedzianego przytem z całą godnością i bez cienia niskiego pochlebstwa, główną treścią tej mowy jest wskazanie nowemu pasterzowi tych ciężkich obowiązków, które go czekają i przedstawienie tych dolegliwości decyzji całej i niektórych jej części, które on ma uleczyć i usunąć. Piękną łąciną napisane to Uniejowskie powinszowanie, barwnością języka, plastycznymi często obrazami pokazuje, że wyszła z pod pióra, któremu sztuka rymotwórcza nie była obcą.

Oprócz *Unieiovienis Gratulatio* jedna tylko jeszcze istnieje praca Grochowskie w języku łacińskim, to jest niewątpliwie przez samego poetę dokonane tłómaczenie jego własnego wiersza: „Rym polski na oczekiwany przyjazd Jego K. M. z królestwa szwedzkiego do Korony Polskiej“<sup>1)</sup>. Wszystkie zresztą pisma łacińskie pod jego nazwiskiem w bibliografii występujące, nie były jego dziełem, innych miały autorów, po części Polaków, po części cudzoziemców, a z Grochowskim tyle tylko mają wspólnego, że był ich wydawcą i że ofiarując je różnym osobistościom, łacińskie przedmowy własnego pióra na ich czele umieszczał. Wszystkie także są treści religijnej i ascetycznej i z wyjątkiem wierszy Royzjusza i Szymonowicza o św. Stanisławie, inne zresztą pisane są prozą. Pisma te ogłaszał Grochowski z rozmaitych powodów i w rozmaitych okolicznościach. Poemat Szymonowicza wydał po

<sup>1)</sup> Wiersze i inne pisma co przebrańsze. W Krakowie w druk. M. Loba 1608, str. 463—465.

raz pierwszy z rękopisu, wiedząc że od lat wielu w tece autora spoczywał, a po jego talencie spodziewając się, że ze wszech miar jest godnym, aby na widok publiczny wyszedł. Inne rzeczy przedrukowywał z polskich, a częściej zagranicznych książek, aby je jako dzieła dobre i pożyteczne w kraju rozpowszechnić i rodakom przypomnieć albo po raz pierwszy dać poznać. *Lavacrum animae* naprzykład, w jednym i jedynym egzemplarzu przynieśli do Polski pielgrzymi z jubileuszu r. 1600 z Rzymu powracający, a że książka ta tak dalece mu się podobała, że aż podziw w nim obudziła, nie chciał „ażeby tak wielki skarb w ukryciu pozostał“ i wydaniem jej się zajął. Podobnie bawiąc podczas świąt Wielkanocnych w Miechowie u biskupa Pstrokońskiego, słyszał tam w liczniejszym gronie gości wspólnie odczytywaną książkę Franciszka Amelri: *Deliciarum spiritualium libellus*, która nie tylko na nim, ale i na wszystkich spółbiesiadnikach światłego biskupa, który (jak Grochowski w przedmowie się wyraża) i „takiemi przysmakami umysły swoich gości umiał karmić i odświeżać“, tak przyjemne zrobiła wrażenie, że natychmiast prosił Pstrokońskiego, ażeby mu tego dzieła użyzył w celu przedrukowania go i rozpowszechnienia w Polsce. Jako nad dziełami obcemi, nie należącemi do naszego autora, nie widzimy zresztą powodu dłużej się nad nimi zastanawiać i jedynie dla pełności informacji, którejby czytelnik mógł żądać, zamieszczamy poniżej ich spis bibliograficzny<sup>1)</sup>.

1) a) *Bellum theologicum olim per Andream Lubelzyk Cracoviae 1545 editum, nunc reimpressum 1597.*

b) *Lavacrum animae seu exercitatorium vitae spiritualis. Cum directorio horarum canonicarum. Opus antiquum, a viro quodam religioso Ordinis S. Benedicti olim in Italia conscriptum, nunc vero in communem piorem, Polonae praesertim Gentis, utilitatem in lucem editum, opera et studio Stanislai Grochovii Custodis Crusvieen. — Cracoviae, in officina Jac. Siebeneych r. A. D. 1601. 8°.*

c) *Encomia divi Stanislai a duobus doctissimis viris conscripta, duobus titidem Jllmis Heroibus. alterum Samueli olim, alterum nunc Bernardo Cardinali, Maciejoviis, Episcopis Cracoviensibus dicata. Opera et studio Stanislai Grochovii in lucem edita. Crac. In officina Lazari, Basilius Skalski A. D. 1604. — 4to.*

d) *Francisci Amelri, Deliciarum spiritualium libellus. Sive de amante anima devotissimus dialogus. E Flandrico idioma jam pridem in latinum conversus, nunc vero in gratiam piorum hominum, ex suo Archetypo fideliter recussus et a mendis quibusdam repurgatus. Cracoviae, in off. Nic. Lobii A. D. 1608. — Svo.*

Wiersz na Postyllę Wujka, dwa wątpliwe wiersze na przyjazd króla Henryka, i jedyny prawie jego łaciński utwór: *Unieioviensis Gratulatio* — to początki, to pierwsze kroki Grochowskiego na literackiej niwie, na której, jako poeta polski, coraz obfitsze miał zbierać plony. Chcąc przejrzeć ten jego dorobek, poznać się z nim bliżej i ocenić go, musimy ująć go w te dwa naturalne działy, na jakie całość jego prac rozkłada się dla każdego oka, które choćby powierzchownie na nich spocznie, mianowicie na wiersze religijnej i na wiersze świeckiej treści.

Pierwsze miejsce damy religijnym.

Najdawniejszym religijnym utworem Grochowskiego są *Hymny Kościelne*, wydane w Krakowie r. 1589<sup>1)</sup>, to jest w ścisłym religijnem i kościelnem znaczeniu takie pieśni, które są poświęcone chwale Boga, a z metrycznością wiersza czyli rytmem sylabicznym ułożone<sup>2)</sup>. W następnym zaraz roku (1599) uzupełnił Grochowski swoją pracę, dodawszy do *Hymnów* inne jeszcze pieśni w brewiarzach i mszałach się znajdujące i w kościele katolickim używane, to jest Prozy i Kantyka. Pierwsze z nich, podług dzisiejszych pojęć wbrew swojej nazwie, tem się różnią od hymnów, że nie mają miary tylko rym; drugie zaś są to tryumfalne pienia z pisma świętego starego i nowego zakonu wyjęte, opiewające potęgę i wielkość Boga, jego dobroć i miłosierdzie w nadzwyczajnych zdarzeniach okazane. Tym sposobem z tych przekładów utworzył się cały kancynał polski, obejmujący wszystkie hymny i *Cantica* ówczesnego brewiarza, jakoteż Prozy w mszale zawarte. Później był on jeszcze za życia autora dwa razy wydany, mianowicie w r. 1608 i 1611. Pomiędzy wszystkimi temi wydaniem są pewne różnice polegające na tem, że Grochowski albo tekst nieco odmienia i poprawia, albo nowe pieśni dodaje, albo też niektóre usuwa.

Grochowski pierwszym był, który te wzniosłe pienia kościelne w całości językowi polskiemu przyswoił. Przed nim tylko pojedyncze niektóre hymny znalazły u nas tłumaczy. Z prote-

*Lilium iuter spinas* — wreszcie, którego wydanie błędnie przez niektórych przepisywane było naszemu poecie, wydanem zostało dopiero 1640, przez innego Stanisława Rafała Grochowskiego. (Sobieszczański, w Encyklopedyi Orgelbranda X, 375.

1) Hymny kościelne. Cokolwiek się ich w Brewiarzach terażniejszych znajduje i niektóre insze. Przekładania księdza Stanisława Grochowskiego. W Krakowie w druk. Jak. Siebeneychera R. P. 1598.

2) Encyklop. kościelna VII, 581.

stantów przekładali je dawniej Rej, Trzycieski Andrzej i inni, których przekłady w skład protestanckich kancjonałów następnie weszły; z katolików zaś tylko współcześni Grochowskiemu: Hieronim Powodowski i Jezuita Laterna, który w swojej książce do nabożeństwa: *Harfa Duchowna* kilkanaście hymnów, próz i kantyków przełożył. Język Reja i Trzycieskiego, a szczególnie bardzo swobodne ich rymowanie, ograniczające się częstokroć do asonancyj, może już Grochowskiemu za archaistyczne się wydawały, a może też nie chciał z nimi jako z jawnymi protestantami nie mieć wspólnego, dość że w pracy swojej zupełnie ich pominął, a korzystał tylko, lubo bardzo nie wiele, z dawniejszych przekładów Powodowskiego i Laterny. Z pierwszego z pewnymi zmianami, w pierwszych zwłaszcza zwrotkach wzięty hymn: *Patris sapientia veritas divina*<sup>1)</sup>, jakoteż hymn: *Christe qui lux es et dies*<sup>2)</sup>; z *Harfy duchownej* zaś przyswoił sobie nieco go poprawiwszy hymn: *Pange lingua gloriosi*<sup>3)</sup>, jakoteż korzystał z tłumaczenia Laterny przy przekładzie drugiego hymnu: *Aurora lucis*<sup>4)</sup>.

Przekładając te pieśni kościelne, chciał Grochowski, ażeby tak samo jak oryginalne łacińskie mogły być według zdawien dawna używanych melodj śpiewane. Dlatego starał się nie tylko o wierne przełożenie treści, ale także i o to, ażeby wiersze polskie miały tę samą miarę co oryginał, czyli jak on się wyraża, aby „to przełożenie moje nie tylko sens albo własną ich (tych hymnów) rzecz, ile mogło być, wyraziło, ale nadto każdy wiersz polski z łacińskim wierszem liczbą sylab zgadzał się“<sup>5)</sup>. Wyjątek od tego stanowi jeden tylko hymn: *Te Deum laudamus*, który bez miary rytmicznej i jak najprostszym językiem w prozie napisany, przy przekładzie w mowie związanej musiał uleść stosownemu przeobrażeniu<sup>6)</sup>. Przy tłumaczeniu Kantyków skarży się także Grochowski na pewne trudności; mianowicie, że niektóre z nich trudno mu było wiernie i ściśle. trzymając się tekstu, tłumaczyć, bo mu „wykład według litery nie bardzo smakował“; nie uchybiając

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. II, 118, 119.

<sup>2)</sup> Wyd. Tur. II, 39. Grochowski sam o tem mówi: „Hymna starodawna... która z tamtą drugą poniższą nalazła się między niektórymi drugimi dawno przełożona od X. Hier. Powod.“ (Wydanie Hymnów z r. 1598 list. 22.

<sup>3)</sup> Wyd. Tur. II, 51.

<sup>4)</sup> Wyd. Tur. II, 44.

<sup>5)</sup> Na wstępie do Hymnów: „Autor czytelnikowi“.

<sup>6)</sup> Tamże.

więc nigdzie głównej myśli i duchowi oryginału i „nie odstępując wykładu łacińskich znacznych teologów“ przebierał je w rym polski, jak mu jego ostetyczne poczucie dyktowało.

Nie było też to wcale łatwe zadanie te pieśni kościelne w rozmaitych czasach powstałe, przez tak wielu różnych autorów stworzone, wyjęte niekiedy z pisma świętego starego zakonu, to znowu pochodzące z pierwszej prawie doby chrześcijaństwa (najdawniejsze hymny powstały w IV stuleciu), albo z pełnych ascezycznej wiary wieków średnich, na jeden raz i jednemu tłumaczowi w ojczystym jego oddać języku. Wprawdzie właściwe Hymny, choć z tak różnych i odległych od siebie epok pochodzą (od IV. do XIII. wieku), mniej daleko niżbyśmy sądzili duchem i tonem różnią się od siebie, a pod względem formy wskutek umyślnego tradycyjnego naśladownictwa, prawie żadnej nie mają odmiany, jednakże inne z tych kościelnych pieśni: Prozy i kantyka pod obu temi względami wymagają odmiennego sposobu traktowania i zachowania właściwego im, a często zmieniającego się charakteru. Dlatego już w formie zewnętrznej, w budowie wierszy i zwrotek, spotykamy w tłumaczeniu Grochowskiego bardzo wielką różnicę. Począwszy od sześciunastkowych, używa on wierszy przeróżnej miary aż do zgłosek szesnastu; strofy zaś, z wyjątkiem *Hymnów*, które najczęściej w zwykłych czterowierszowych zwrotkach są pisane, w każdej prawie pieśni inny mają układ i budowę. Zadosyć uczynienie tej różnicowości, to częste przerzucanie się z jednego tonu w drugi, wymagało ze strony tłumacza nie małej biegłości w piórze i zupełnego panowania nad językiem.

Większą jeszcze do pokonania trudnością była nadzwyczajna prostota tych pieśni religijnych, połączona nieraz z wielką wzniosłością myśli. Ci starzy religijni poeci, ci ojcowie i doktorowie kościoła, którzy owe hymny układali, do głębi serca przejęci byli pobożnością, wysoko wlatywali duchem i piękne, poetyczne miewali pomysły, ale przy tem gardzili wszelką retoryką, odrzucali wszelkie ozdoby poetyckie, jako rzeczy nazbyt świeckie, z istotą wielbionego przez nich Boga nie zgadzające się, i wypowiadali swoje myśli jak najzwężlej, z możliwą oszczędnością słów, z odsunięciem wszystkiego, co jako przydatkowa forma zewnętrzna lotność ich natchnień i uczuć obciążyćby mogło. Każda ich pieśń to modlitwa, to westchnienie duszy ku niebu, mające za jedyny cel chwałę Boga, albo uproszenie jego miłosierdzia dla ludzkich grzechów. Myśli ich z pokorą i dziecięcą naiwnością muszą się układać i objawiać, ażeby temu celowi odpowiedzieć, a ich sztuka

poetyczna musi się ograniczyć do najprostszych środków, musi najwykolejszym ludzkim językiem odzywać się do Tego, wobec którego wszelka ludzka wielkość i światowy przepych są próżnością i niczem.

Posłuchajmy naprzykład w tłumaczeniu Grochowskiego hymnu św. Ambrozego na prymę w każdy dzień: *Jam lucis orto sidere*:

Po wejściu lampy słonecznej  
Ukorzmy się myśli wiecznej,  
Prosząc, by namienne sprawy  
Błogosławił Bóg łaskawy.

By język na wodzy trzymał,  
By swar w uściech miejsca nie miał;  
By wzrok sam raczył uskromić,  
A od próżności uchronić.

Niech serce czyste w nas sprawi,  
Chęć do chwały swej naprawi,  
Niech pokarm i trunek skromny  
Tłumi w ciele umysł szumny.

Że gdy jasny dzień ustąpi,  
A nocna ciemność nastąpi,  
Będąc czyści za skromnością  
Zacznem m. pienie z radością.

Bogu Ojeu wszechmocnemu  
I Synowi jedynemu  
Z Duchem, co pociechy dawa,  
Niech wiecznie cześć nie ustawa.

Język tu prosty i naturalny, a przekład przytem, z wyjątkiem miejsc podkreślonych, całkiem wiernie myśl oryginału oddający. Grochowski nie sili się, by wysłowienie swoje upiększyć i dobrze robi. Właściwa jego czasom prostota języka, a zwłaszcza przyjęte wówczas łatwe rymowanie pomagają mu bardzo skutecznie, aby z jednej strony uchwycić ton pierwowzoru, jak i z drugiej trzymać się wiernie jego treści i brzmienia, nie sadząc się bowiem na wyszukane rymy, nie potrzebował nakręcać do nich myśli autora i odmieniać ją, coś opuszczać albo własnymi dodatkami nadstawiać.

Prozy kościelne, a zwłaszcza Kantyka, więcej mu dawały sposobności do rozwinięcia poetycznego talentu i do wyższego poziomu, jako częstokroć obszerniejsze od Hymnów, a przytem mające w sobie więcej malowniczych i z większą dokładnością wykoń-

czonych obrazów. Proza: *Dies irae dies illa*, dotychczas po kościołach naszych śpiewaną bywa w tłumaczeniu Grochowskiego, pomimo, że istnieją i późniejsze daleko przekłady:

Dzień on, dzień gniewu pańskiego  
Świat w proch zetrze, świadkiem tego  
Dawid z Sybillą wszystkiego.

Strach pójdzie od wielmożności  
Pańskiej, gdy przyjdzie w srogości  
Sądzić i najmniejsze złości.

Trąba głosu ogromnego  
Wzbudzi z umarłych każdego,  
By wstał przed sąd Pana swego.

Zdumieje się przyrodzenie  
I śmierć, gdy pańskie stworzenie  
Wstanie na liczy czynienie. i t. d.

Prostota wysłowienia w tej pieśni, sama nawet jednostajność zbyt łatwych rymów, przyczynia się tutaj bardzo wiele do wywołania tego wrażenia grozy, jaką sprawić chciał autor, a która w przekładzie sztuczniejszym możeby właśnie dlatego uroniona została. Widoczna jest tu także pewna siła, objawiająca się zawsze tam, gdzie rzeczy głęboko odczute niewyszukanymi i najnaturalniejszymi środkami są wyrażone, czyli tam, gdzie na myśl piękną i prawdziwą autor znalazł słowo najkrócej i najtrafniej ją oddające.

Wszystkie te zalety pióra Grochowskiego: prostota, łatwość wysłowienia się, gładkość wiersza i siła najwyraźniej występują w tej części jego kancjonału, którą on w wydaniu z r. 1599 nazwał *Dziesiątnikiem kościelnej chwale Pańskiej w każdy dzień służącym*, czyli w przekładzie kantyków. Rodzaj to pieśni kościelnych najpodobniejszy do Psalmów, a pochodzeniem swoim, skoro niektóre Kantyka z ksiąg Mojżeszowych są wzięte, jeszcze od nich dawniejszy. W przekładzie Grochowskiego Kantyka należą do najlepszych utworów poezji religijnej, jakie w naszej literaturze posiadamy, a on sam nigdy nie był więcej natchnionym, nigdy do wyższego lotu lirycznego się nie podniósł, jak w chwilach, kiedy te pieśni tłumaczył. Którykolwiek z Kantyków przywidlibyśmy tutaj na przykład, każdy mógłby służyć za wzór pięknego języka i prawdziwego natchnienia poety, który umiał przejąć się oryginałem i za wysoką myślą pierwotnych autorów podążyć. Weźmy

zatem choćby jeden przykład, niektóre ustępy z Kantyku Mojżeszowego, kiedy Pan Bóg rozgniewany na lud Izraela za to, że obdarzony przez niego wszystkimi dobrodziejstwami i nad inne narody ulubiony, odwrócił się jednak od niego i fałszywym bogom kłaniać się począł, przez usta swego proroka grozi niewiernemu ludowi srogimi karami:

Oddam im też wet za wet, inszy naród sobie  
Ulubię, co go mieli za nikezemny sobie.  
Zapalę w gniewie ziemię, które zapalenie  
Skończy się im w ostatnie piekielne płomienie.  
Wszystko nieugaszony ogień spali, który  
W popiół obróci skały i wyniosłe góry.  
Wzbudzę zaraz wszystko złe na ich pokaranie,  
Wypuszczę plagi wszystkie i strzały swe na nie.  
Od głodu będą zdychać; nawet czego godni,  
Do trupów ich zbierają się zwierz i ptacy głodni.  
Dam je w pokarm bestyom i czołgającemu  
Robactwu, do sumnienia przenikającemu.  
Z wierzchu miecz, wewnątrz bojaźń każdy z nich uczuje:  
Starcom, młodzieńcom, pannom, dziatkom nie sfolguję.  
I rzekłem: Gdzież teraz są? na co głupcy przyszli?  
Postaram się, by ludziom i z pamięci wyszli<sup>1)</sup>.

A kiedy już ukarze ich tak bardzo, że ledwie ostatek Izraela z pod mściwej jego ręki ocaleje,

Rzecz Pan wtenczas do nich: Gdzież bożkowie waszy,  
W któryheście nadzieję kładli w przeszłe czasy?  
Gdzie są, coście z ich ofiar swe brzucha tuczyli,  
I one przednie wina z ich ołtarzów pili?  
Teraz by to ich prosić by was ratowali:  
Niechby wam dziś w potrzebie jaką pomoc dali.  
Obaczcie się już teraz, że krom mnie samego  
Nie ma nikt, ani może mieć Boga inszego.  
Ja śmiercią, nikt mi tego nie wydrze, szafuje,  
Ja żywotem; ja ranę i rany lekuje.  
Wyniosę pod obłoki rękę swą, przysięgę  
Na tron swój, rzekę: Żywem — i wieki przysięgę.  
Jeśli naostrzę miecz swój nakształt łyskawice,  
Wtenczas gdy przyjdę sądzić te ziemskie granice:  
Oddam nieprzyjaciołom to, co zasłużyli,  
I tym, co w sercach do mnie nienawiść nosili:  
Zamoczę i napoję we krwi ich swe strzały,  
Miecz mój będzie się pastwił nad złych ludzi ciała.

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. II, 136.

Gwałt krwie popłynie z bitych, między nimi z głową  
Odkrytą, będzie ich wódz, co go djablem zową.  
Wtenczas co żywo Pana chwalić się pomniecie,  
Gdy, jako będzie się mścił krwie sług swych, ujrzycie.  
Gdy ku przeciwnikom ich z pomstą się obróci,  
A lud swój, z których ciało wziął, k'sobie nawróci.

Ile tu poetycznej siły, ile powagi języka, każdy to dojrzy i przyzna. W słowach tych widnieje groźna twarz mściwego Boga Izraelskiego i ręka jego nie mająca nad grzesznikami litości, a zasługą jest niezaprzeczoną tłómacza, że tego obrazu nie osłabił lub nie zamazał, lecz owszem z całą plastycznością przed oczy postawił. Wiersze tego rodzaju jak:

Ja śmiercią, nikt mi tego nie wydrze szafuje,  
Ja żywotem; ja ranę i rany lekuje.  
Wyniosę pod obłoki rękę swą, przysięgę,  
Na tron swój, rzekę: Żywem — i wieki przysięgę —

należą bezwątpienia do rzadkich przykładów lapidarnego stylu, które poetyka tak skrzętnie zbiera i z taką chlubą powtarza.

Dowodem wielkiego panowania nad językiem jest także, lubo z innego względu, przykład Symbolu św. Atanazego na końcu Kantyków umieszczony. Oryginał pisany prozą jest kano-nem najważniejszych dogmatów chrześcijańskich, a zatem pełen także i subtelności teologiczno-metafizycznych. Przy tłómaczeniu wierszem dużo się z tego powodu nasuwać musiało trudności, ażeby i ścisłość dogmatyczną zachować i jednej i tej samej myśli, dla urozmaicenia, potrzebnego w poezji, inną formę nadać. Weźmy dla objaśnienia jeden ustęp z tego symbolu w oryginale:

*Aeternus pater, aeternus filius, aeternus spiritus sanctus.*

*Et tamen non tres aeterni, sed unus aeternus.*

*Sicut non tres increati, nec tres immensi, sed unus increatus et unus immensus.*

*Similiter omnipotens pater, omnipotens filius, omnipotens spiritus sanctus.*

*Et tamen non tres omnipotentes, sed unus omnipotens.*

*Ita Deus pater, Deus filius, Deus spiritus sanctus.*

*Et tamen non tres dii, sed unus est Deus.*

Słowa te Grochowski, na wyrażenie jednego wersetu dwóch wierszy używając, zatem poetycznie rozszerzając myśl wypowiedzianą w oryginale w kształcie niby jurydycznego paragrafu, w ten sposób tłómaczy:

Wieczny Ojciec, wieczny Syn i teźże wieczności  
 Zawsze zażywa z nimi Duch spólnej istności.  
 Wszakże broń tego Boże, abyśmy wierzyli  
 Trzech wiecznych, bo ci zawsze jednym wiecznym byli.  
 Jak nie trzech, nie stworzeni, nie trzech wicley, ale  
 Jeden jest niestworzony i wielki w swej chwale.  
 Tymże sposobem Ojciec wszystkim władający,  
 I Syn z nim równowłajca i Duch wszechmogący.  
 Wszakże nie trzech wszechmocni, nie trzech rząd trzymają,  
 Lecz jednego wszechmocnym niebo z ziemią znają.  
 Z teźże miary Ojciec Bóg, Syn nie mniej i Ciebie  
 Święty Duchu znamy być Bogiem w temże niebie<sup>1)</sup>.

Tłómaczenie Hymnów, Proz i Kantyków jest najcelniejszym z utworów religijnych Grochowskiego. Pomiedzy jego pismami zajmuje ono tak zaszczytne miejsce jak *Psalters* w rzedzie pism Jana Kochanowskiego. Obaj poeci temi przekladami jednakowà przyslugę piśmiennictwu oddali, i wartosc ich prac jest takze jednakowa, bo nie osmielilibyśmy się twierdzić, jakoby jezyk i wiersz Grochowskiego mniej był dobrym jak w *Psaltersu*, albo takze, jakoby trudności, które on napotykal mniejsze były od tych, które Kochanowski przy tym przekladzie przewycięzając musiał. Już na ówczesnym czytającym i oświeconym świecie praca Grochowskiego musiała zrobić tak korzystne wrażenie i wartosc jej już wtedy wysoko musiała być ocenioną. W ten sposób, idąc za szczęśliwym instynktem i głosem powszechnym, sądzić ją już musiał Sebastyan Petrycy, kiedy w kilka lat po wyjściu Hymnów Grochowskiego w swoim przekladzie „Polityki Arystotelesowej“ (Część wtóra, str. 370), zestawil ze sobą obu poetów i Psalmy Kochanowskiego obok Hymnów i Proz Grochowskiego položyl, wymieniając je jako przykłady poezji religijnej, a zatem jako dzieła najwięcej cenione i znane. „Zaś drugie są wiersze nabożne — powiada, mówiąc na tem miejscu o poezji i jej podziale na świecką i religijną — jako są Psalmy Kochanowskiego. Vida dzieje P. Chrystusowe opisał jezykiem łacińskim, jako są Himny Łacińskie i Polskie X. Grochowskiego, Prozy etc.“

Nie podług zasługi przeto wymierzył naszemu poecie sprawiedliwość Woronicz, kiedy w mowie jaką miał na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie (1802) o zamierzonym zebraniu pieśnioksięgu polskiego, nie znalazł dla niego większej pochwały nad te jedynie słowa, „że przeniósł w usta ludu himny

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. II, 141.

z łaciny wierszem dość gładkim i pełnym harmonii<sup>1)</sup>. Nie znamy w jezyku polskim lepszego przekladu Hymnów nad ten, którego dokonał Grochowski. Późniejszy przeklad Jana Białobockiego<sup>2)</sup>, przedsięwzięty może głównie z tej przyczyny, że stosownie do poprawy i przemian, jakie w tych pieśniach kościelnych papież Urban VIII. poczynił, okazała się takze potrzeba nowego ich tłómaczenia, mniej jest od Grochowskiego poetyczny i nie zawsze tak jasny. Nawet i najnowsze tłómaczenie, nieposledniego skądinąd pisarza, arcybiskupa Hołowińskiego<sup>3)</sup>, nie dorównywa wartoscią Grochowskiemu. Nowożytny tłómacz porzuca prostotę i łatwość rymów dawnego poety, ażeby zadosyć uczynić dzisiejszemu smakowi, który większej rozmaiłości dźwięków wymaga, ale ten postęp oplaca drogo, zatracając zarazem bardzo często wierność, jasność i właściwy oryginałowi charakter; zmienia on nieraz sens pierwotny tekstu albo wprowadza własne pomysły, co najbardziej rażącym jest wtedy, jeśli one są rodzajem niespodzianki, wstrętem niezgadującym się z myślą albo tonem całości.

Drugą podobnego znaczenia pracą religijną Grochowskiego, a co do obszerności nawet większą było tłómaczenie dzieła znanego pod nazwiskiem Tomasza a Kempis *O naśladowaniu Jezusa*, wydane po raz pierwszy w Krakowie 1608<sup>4)</sup>, a następnie w 1611 pod zmienionym tytułem: *Niebieskie na ziemi zabawy albo bogomyślne rymy wyjęte z ksiąg wiclebnego Tomasza de Kempis o naśladowaniu Pana Jezusowym*.

Książka Tomasza a Kempis do dziś dnia jak rzadko inna rozpowszechniona po całym katolickim świecie i na wszystkie jezyki świata tłómaczona, nie była i u nas już za czasów Grochowskiego nowością. Pierwszy jej przeklad, dokonany przez ks. Adryana, zakonu św. Franciszka, wyszedł w Krakowie r. 1545, a później w dwóch jeszcze innych wydaniach r. 1551 i 1568. Od początku XVII. wieku jeszcze więcej nią się zajmować zaczęto. Ówczesna reakcja katolicka i jej główni przywódcy Jezuitci szukali chętnie książek w gorącym i prawowiernym duchu pisanych, a tym więcej jeśli posiadały ten przymiot, że wpływały na umysły i trafiały do serc szerokiego ogółu. Wspominane jest w naszej bibliografii, lubo nie z dostateczną pewnością, jakieś tłómaczenie

<sup>1)</sup> Roczn. Tow. P. N. Warsz. T. II, 385.

<sup>2)</sup> Hymny i prozy polskie, Krak. 1648.

<sup>3)</sup> Hymny kościelne, Kraków 1856.

<sup>4)</sup> To pierwsze wydanie wydaje nam się wątpliwem.

Naśladowania w r. 1603. Około tego czasu miał także przełożyć tę książkę (bo i tu również brak dokładnych wiadomości) Piotr Fabrycy, późniejszy prowincyał Jezuitów polskich. W roku 1608 wydał swój przekład bezimiennie w Krakowie Jezuita Jan Wielewiczki, który w przedmowie wspomina o innym jeszcze, a zapewne nie Fabrycego, tłumaczeniu Naśladowania, zarzucając mu brak wierności i „gracicy tej“, jaka jest w łacińskim oryginale. Równocześnie prawie, bo r. 1606, wydana była ta książka w Krakowie także w łacińskim tekście podług najlepszego z owoczesnych wydań Jezuita Henryka Sommaliusa.

Grochowski pierwszy wziął się do przekładu *Naśladowania* w mowie wiązanej, i do dziś dnia jednego tylko znalazł naśladowcę, ks. Józefa Trzebieńskiego, który podobnież wierszem, lubo wcale nieudałym, w sto lat przeszło później (Warszawa 1724) nowego tłumaczenia dokonał.

Grochowski przekładał niewątpliwie z oryginału, bo dla czegożby nie, skoro język łaciński dokładnie posiadał, tak że mógł sam po łacinie poprawnie i ozdobić pisać. Między jego przekładem jednakże, a jednym ze wspomnianych wyżej, mianowicie przekładem Wielewickiego<sup>1)</sup>, jest tego rodzaju wspólność i podobieństwo, że przypuścić koniecznie potrzeba, że jeśli Grochowski pracy Wielewickiego wprost na mowę wiążaną nie przerabiał, to mając przed sobą oryginał łaciński, równocześnie miał także przed oczami i to tłumaczenie polskie, i w wielu miejscach przy pracy swojej z niego sobie pomagał. Są niektóre niezwykle wyrażenia obu tym tłumaczom wspólne, n. p. *curiositas* i *curiosus* w obu przekładach oddane przez: dworskość i dworny; dalej: tytuły rozdziałów, nawet dłuższe, z małemi wyjątkami, gdzie widać, że Grochowski chciał poprawiać swego poprzednika, są co do słowa jednakowe, co przecież zrządzeniem przypadku być nie może<sup>2)</sup>; a wreszcie na każdym miejscu obu książek można znaleźć podobieństwa czy to w pojedynczych wyrazach, czy w całych frazesach, i to tam szczególnie, gdzie przychodzą jakies pojęcia abstrakcyjne, które tłumaczowi w prozie łatwiej było trafnie pochwycić i wiernie oddać, i które następnie tłumacz w mowie

wiązanej, znalazłszy je gotowe, a nie mogąc ich inaczej, w sposób więcej poetyczny wyrazić, do swojego przekładu przeniósł. Z liczego szeregu porównań, któremi moglibyśmy zachodzące między Grochowskim a Wielewickim podobieństwo udowodnić, wybieramy tylko jedno dla przykładu i dla dania czytelnikowi wyobrażenia, w jaki sposób i jak dalece poeta z prozaicznego przekładu korzystał.

*Wielewiczki:*

Synu, pilnie wybaczaj *wzruszenia przyrodzenia i łaski*, bo bardzo przeciwnie i *subtelnie postępują*, a ledwie jedno od duchownego a zewnątrz *oświeconego człowieka bywają rozeznane*.

(str. 247, 248.)

*Grochowski:*

Synu, staraj się usilnie, Bys uważał wszystkie *pilnie* Tych obu rzeczy *wzruszenia*: *I łaski i przyrodzenia*. Bo tak *subtelnie* obiedwie *Postępują*, że zaledwie *Od człowieka namiędrzego I łaską oświeconego Rozeznawane bywają*.

(Wyd. z r. 1611 str. 354, 355)<sup>1)</sup>.

Pociągała ta książka Grochowskiego do siebie wielką popularnością i rozgłosem, jakich wtedy używała, i sam on także, jak o tem jeszcze później pomówimy, z wielkiem upodobaniem i zbudowaniem duszy w niej się rozczytywał. Zabrał się więc do jej przekładu z zapałem i wielką gorącością ducha. Mimo to tłumaczenie *Naśladowania* nie stanęło w rzędzie jego pism na tej wysokości, co dawniejszy przekład Hymnów. Nie stało się to zapewne z winy tłumacza, albo z tego powodu, żeby talent jego przez starość był osłabł; owszem, rymotwórczą swoją zdolnością ratował on się ile było można, i gładko i z niemałą zręcznością przelewał prozę w mowę wiążaną. Ale na zawadzie stanęła mu tym razem sama natura przekładanego dzieła. Naśladowanie Chrystusa to wcale rzecz inna niż Hymny, Prozy i Kantyka, w oryginalnie już pisane wierszem lub poetyczną prozą, i bądź to polotem swoim lirycznym, bądź obrazowaniem poetycznym zmuszające tłó-

<sup>1)</sup> O naśladowaniu Pana Christusa, ksiąg czworo... W Krakowie, w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka R. P. 1608.

<sup>2)</sup> N. p. tytuły tego rodzaju: „Że łaska boża nie mięsza się z tymi, którzy ziemskie rzeczy smakują“, a w oryginale brzmi: Quod gratia Dei non miscetur L. III. C. 53.

<sup>1)</sup> W oryginale ustęp ten brzmi: Fili, diligenter advertite motus Naturae et Gratiae, quia valde contrarie et subtiliter moventur: et vix, nisi a spirituali et intime illuminato homine discernuntur. Lib. III, Cap. 54. — Że tutaj wyraz: moventur przełożony jest u obu przez: postępują, co niekoniecznie jest dobrze, to także dowodzi zależności jednego tłumaczenia od drugiego.



macza do wzbudzenia w sobie podobnego nastroju, a z drugiej strony ułatwiająca mu przez zawarty w nich materiał poetyczny jego własną na takiemże samem polu pracę. Już ta okoliczność, że dla utrzymania tej samej melodyi, jakoteż dla wiernego oddania tekstu uświęconego wiekami i ze względów prawowierności od zawartych w nim myśli i ducha jak najmniej odstępować się godziło, nakładała pocie pewien hamulec, który zwiększał wprawdzie jego trudności, ale równocześnie zmagając go do większego baczenia na siebie, sprawiał i to, że się nie mógł dawać unosić swojej łatwości wierszowania, że musiał starać się o większą precyzyjną wyrażenia, i wskutek tego dochodził do większej siły i lepszego wykończenia. *Naśladowanie Chrystusa* pisane jest prozą, a zamiarem jego autora było nie przemawiać do wyobraźni, ale do przekonania i rozumu czytelnika, nie podniecać w nim uczucia, ale nakłaniać go do cichej w głębi duszy bogomysłnej medytacji. W gruncie rzeczy jest też to dzieło dydaktyczne i religijno-pedagogiczne, zarazem więc całą treścią swoją jak i duchem prozaiczne. Kto jego wyrażenia zwięzłe, ścisłe, na kształt katechizmowych prawd i przepisów, silne przez swą niezrównaną prostotę i naiwność w szaty rymu przyodziac przedsięwziął, ten bez wątpienia pomylił się w wyborze przedmiotu i na fałszywą wszedł drogę. Jest to bowiem ogólną w sztuce i literaturze regułą, że każdy utwór ma jedną, właściwą sobie formę, a im jest lepszy (a *Naśladowanie Chrystusa* w swoim rodzaju jest takim utworem), tem większą wyrządza mu się szkodę, jeśli tę pierwotną formę zechce kto na jakokolwiek inną przemienić. Wiersze przetłómaczone prozą nie robią na nas należytego wrażenia, i ledwie jakaś cząstka poezji w nich się zachowa. Toż samo dzieje się, jeśli na odwrót prozę chcemy przemienić w wiersze. Jej jasność, swoboda wyrażania i siła przekonywania giną wtedy w powodzi poetycznych ozdób i w dźwięku rymów, bez których mowa wiązana obyć się nie może.

Tak się stało i z przekładem Grochowskiego, zwłaszcza, że jeśli do tego nie był koniecznie zmuszony, nie lubił on zwykle wiele zadawać sobie pracy, i napotykanę trudności w sposób jak mógł najłatwiej omijał zamiast pokonywać. W tłumaczeniu *Naśladowania* dużo jest jego własnych dodatków i amplifikacji, wynikłych z tego, że bardzo często dla rymu albo dla uzupełnienia zwrotki wtrącał całe nawet zdania własnego wymysłu, bynajmniej się wiernością i dokładnością nie kępując. Doliczywszy jeszcze do tego te rozszerzenia, jakie przy przemianie prozy na

obrazowy język poetyczny były koniecznie potrzebne, łatwo sobie wyobrazić, że rzecz cała znacznie się rozwodniła i straciła wiele na tej jedności słowa, która bodaj nie najcenniejszą jest literacką zaletą oryginału.

Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, jakoby tłumaczenie Grochowskiego było poronionym płodem i pozbawione literackiej wartości. Piękny jak zwykle u niego język i łatwość wierszowania chronią dostatecznie tę książkę od podobnego zarzutu. To jednak wydaje nam się prawdą, że ten przekład polski traci wiele na porównaniu z oryginałem, że nie robi tego wrażenia co własne słowa Tomasza a Kempis, z tej przyczyny, że tłumacz obierając formę niewłaściwą, zatracił zarazem ten charakter ewangelicznej naiwności, która pierwotnemu tekstowi tyle nadaje uroku. Trudne bo też było w istocie dla Grochowskiego zadanie tyle myśli dydaktycznych, tyle nauk religijno-moralnych i ascetycznych rozmyślań, wypowiedzianych spokojnym tonem duszy uciszonej i wyutej z namiętności ziemskich, przebrać w rymowaną mowę, która z natury swojej lubi różnaitość, uczucia wyżej podniecone i pewną grę wyobraźni. Ta jednostajność i monotonność musiała nużące w końcu zrobić na nim wrażenie, tak że nie starczyło mu dalej oddechu i pracy swojej przed ostatecznem jej ukończeniem zaniechał. Z czterech bowiem ksiąg *Naśladowania* wydał w przekładzie tylko trzy pierwsze, czwartą „co najmniejsza tegoż autora, o nazaeniejzym Ciała i krwie Pańskiej Sakramencie“ zaczął już tłumaczyć, ale potem poprzestał. Wprawdzie usprawiedliwia się z tego<sup>1)</sup>, że się to stało „nie tylko prze niedostatek sumptu na druk, ale też i prze niesposobne zdrowie“ i przyrzeka zarazem, że „na którym jeśli jaką poprawę pocuję, barzo rad się do tej prace wróce“, bądź eobądź jednak do ukończenia przekładu tej czwartej księgi, która przecież była „co namniejsza“ nigdy się już nie zabrał, chociaż, jeśli *Naśladowanie* rzeczywiście po raz pierwszy r. 1608 było wydane, na wiele jeszcze innych prac po tym czasie sił mu starczyło. Widocznie nie stało już chęci i wyczerpało się natechnienie przez zbyt długą pracę nad jednym i jednostajnym przedmiotem.

O wiele wyżej, jako utwór poezji, choć co do rozmiarów nierównie szczuplejszy stoi: „Wirydarz abo kwiatki rymów duchownych, o dziecięciu p. Jezusie, na chwalebne narodzenie jego.

<sup>1)</sup> Autor czytelnikowi łaskawemu, na końcu wydania z r. 1611, str. 385.

Uczyniony z wierszów łacińskich wdzięcznych i ucieśnych Jakuba Pontana Jezuity“ wydany w Krakowie 1607, a następnie 1608.

Pontan, którego Grochowski przekładał, słynny w swoim czasie (1542—1626) filolog i humanista, pomiędzy wielu innymi pisał także poezje ascetyczno-religijne, które po raz pierwszy wyszły w Augsburgu 1595 p. t. *Floridorum libri octo*. W wierszach tych opiewa on dzieciństwo i mękę Chrystusa, wielbi N. Pannę i wreszcie wypowiada w sposób naśladowany z Pieśni nad Pieśniami mistyczne zachwyty swej duszy. Stąd też poszedł i tytuł dzieła: „Ogród kwiatowy“ (przez Grochowskiego Wirydarzem nazwany), jak to sam Pontan we wstępie objaśnia, bo ten Chrystus, czy maleńki w żłobie położony, czy cierpiący za grzechy ludzkie, równie jak i Matka jego i wszyscy święci Pańscy, co z nim w królestwie bożem zasiadają, dla rozmiłowanego w nich i wielbiącego całym sercem poety są najpiękniejszymi kwiatami, jakie świat widział, kwiatami, które jak błyszczące gwiazdy ozdabiają niebo. Z ośmiu ksiąg, z których Ogród Kwiatowy Pontana się składa, Grochowski w Wirydarzu dał tylko jedną, mianowicie księgę pierwszą o Dzieciątku Jezus (*De puero*), która też w istocie odrębną i skończoną w sobie całość tworzy. Osobno zaś przełożył i wydał (1608) inny jeszcze ustęp z Ogródu Kwiatowego, to jest pewną część drugiej księgi *Sponsalium*, która w oryginale ma tytuł: *Ascetica, sive quotidiana sponsae exercitia* <sup>1)</sup>, a w przekładzie Grochowskiego: *Codziennie ćwiczenia chrześcijańskiej duszy pobożnej a oblubienice Pana Chrystusa*“.

Ten poematek o Dzieciątku Jezus to wdzięczna idylla, lub jeśli kto woli, ze względu zwłaszcza na dość silnie występujący tu pierwiastek dramatyczny, pastorałka religijna. Z treści i przedmiotu przypomina ona nasze jasełka i szopki, lubo różni się od nich stylem o wiele szlachetniejszym i mistyczno-ascetycznym duchem. Całość dzieli się na dziewięć części, które niby pojedyncze sceny składają się na utworzenie tego w swoim rodzaju niezwykłego misterium.

Na powitanie maleńkiego Jezusa najpierwsze przybywają Córki Syońskie. Dyalog między nimi a Matką, jakoteż między tą ostatnią a Dzieciątkiem Jezus toczy się w słowach, będących parafrazą pewnych wierszy z Izajasza, a więcej jeszcze z Pieśni nad Pieśniami, skąd też ta pierwsza scena w oryginale ma tytuł

<sup>1)</sup> W drugim wydaniu *Floridorum*, Augsburg 1597 p. 212—220.

*Paraphrases*. Aniołowie zapytują Matki, widząc jej pieśczozy z Jezusem „jako sobie to dzieciątko szacuje?“ Matka odpowiada im

Skrzydlaty poczie króla niebieskiego  
Chcesz wiedzieć jako ważę Syna mego;  
Tak wiedzieć, nadeń nie mam nic miłszego,  
To skarb, to serca pociecha mego.  
Bo wszystek śliczny i wszystek rumiany,  
By śnieg z szarłatną farbą pomieszany,  
Albo jak wonny kwiat róży ezerwony,  
Po wierzchu mlekiem szecerem pokropiony.

W końcu Córki Syońskie składają dziecięciu w podarunku łańcuszek złoty na szyję i manelki (bransolety) z perłami.

W drugiej scenie, nazwanej *Rozmaite pokłony* (*Adorationes*) składają Dzieciątku Jezus hołdy: jego „ojciec domniemany“ św. Józef, osieł z wołem (ustęp ten jest dodatkiem Grochowskiego; używa on w nim języka ludowego) dalej: Trzej królowie, Pasterze, Symeon starzec, Anna prorokini i człowiek pospolity (tak Grochowski przetłómaczył: *Filii hominum*, będące w oryginale), a wreszcie i martwa natura: słońce, miesiąc i gwiazdy niebieskie; niebo, ziemia i wszystko stworzenie. Słońce i miesiąc w takich słowach uznają swoją niższość przed Jezusem:

Nie mychmy są światła wdzięczne,  
Słońce i koło miesięczne.  
Tyś słońce, tyś okazały  
W pełni miesiąc, Jezu mały.  
Tyś światło z światła idący,  
Tyś promień serca grzejący,  
Ty nas oświecasz planety,  
Słońce wieczne wiemy że ty i t. d.

Podobnie i gwiazdy niebieskie nazywają go gwiazdą, której promienie „ciemnego błędu oświecają cienie“, i swoim wodzem, który niebo opuścił i na łonie Najświętszej Panny spoczął. Więcej jeszcze metafizycznym językiem wyrażają się Niebo i Ziemia, mówiąc do Jezusa:

Coś wszystko stworzył w przedziwnym porządku,  
Sam się dziś stwarzasz będąc od początku...  
Kto Panie pojąć może takie dziwy?  
Jesteś i człowiek i Bóg nasz prawdziwy..

Na początku sceny trzeciej poeta po raz pierwszy sam w swej osobie tu się pojawiający, zachwyca się wzajemnymi pieszczotami Dzieciątka i Matki w słowach i porównaniach, mających wiele prawdziwego wdzięku:

Patrz, jak się chwyta rączkami różanej  
Szyje matuchny swej niepokalanej  
Niebieskie dziecię; jako matkę czuje  
Jako się do niej ciśnie i całuje.  
Patrz, jako wzajem synaczka małego  
Panna obłapia i całuje swego.  
Nie tak do sośni bluszez się przywiązuje,  
Jak ta do syna, co go tak miłuje;  
Nie tak się różeczka winna tyki ima,  
Jako się dziecię to matki swej trzyma.

Przychodzą znowu córki syońskie, bo i one chcą także Jezusa piastować i ucałować. Taką samą chęcią pała również i poeta, i on pragnąłby popieścić się z Dzieciątkiem, ale wie, że dla grzechów swoich tego niegodzien, więc pokorną ale i pełną poufałości prośbę zanoszą do Jezusa:

Wejrzy sam wprzód na mnie raczej;  
Niech znam potem łaskę twoją.  
Sam wprzód całuj głowę moją,  
Schyl się do niej z różanemi  
Usteczkami, Jezu swemi.

Szczęśliwsza od innych Matka pieści się i całuje z swem Dziecięciem bez końca; jej radość dochodzi do zachwytu, a uczucie miłości do namiętnej ekstazy. Gdybyśmy nie wiedzieli, że to przemawia matka do swego dziecka, myślelibyśmy, że to kochanka tłumaczy się z gorących swych uczuć przed ulubionym:

By tylekroć me kochanie,  
Brałam twe pocałowanie,  
Ile od wiatrów szalonych  
Bywa wałów pobudzonych;  
Albo ile kropli w słońem  
Morzu jest, albo w zielonym  
Gaju ile liścia bywa,  
Którym go więc maj pokrywa:  
Mało bym w tem przecie miała,  
Takem cię umiłowała.  
Nie doznasz po mnie gnuśności,  
Nie celujesz mię w miłości:

Ilekroć dasz ustek swoich,  
Tylekroć użyję moich.  
Jeśli tysiąckroć całujesz,  
Też chęć po mnie sam uczujesz.  
Zdrowie i pociecho moja,  
Jak wdzięczna twarzyczka twoja:  
Oczy nad perły śliczniejsze,  
Usta nad miód przyjemniejsze.

To też Anieli, widząc te słodkie całowania Dzieciątka z Matką, wołają na pszczoły i każą im odtąd nie z wonnych kwiatów i rosy zbierać miód, ale z ust Jezusowych:

Więcej miodu ma to dziecię,  
Niż po wszystkiej ziemi kwiecie.

Kończy tę scenę poeta, rozmyślając, jak wielkiem szczęściem dla człowieka będzie Jezusa kiedyś w niebie pocałować, jeśli ten widok ziemskich pieszczot Matki z Dzieciątkiem jest już tak miły i wdzięczny.

Ale po tych rozkosznych pieszczotach łzy pojawiają się na licach Dzieciątka — maleńki Jezus płacze. Widzi to poeta (w scenie czwartej: Płacz i narzekanie dziecięce — *Vagitus et lachrimae*;) i domyśla się, że nie co innego te łzy wyciska tylko

Złości, niestety, złości grzesznych ludzi,  
To samo, to jest, co płacz w tobie budzi.

i zaraz na myśli mu staje, jak kiedyś dla tychże samych złości i grzechów ludzkich, Jezus z wielkiej miłości dla świata już nie łzy, ale krew swą wylewać będzie:

Dziecię, co ludzką miłością pijane,  
Łzy leje za nas niepohamowane,  
Rozpływając się na zimnie od płaczu,  
Dalszej miłości ku nam pomknie placu.  
Bo gdy trzydzieści lat i kilka minie,  
Nie łzami, ale krwią zabity spłynie.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Tutaj Grochowski w niektórych wyrażeniach dobitniejszym jest i piękniejszym od oryginału:

Sed qui hoc tempore charitate nostri  
Salsis manat aquis puer pedalis,  
Post certas hiemes, juventa in ipsa  
Manans sanguine fata sponte adibit.

(Floridorum p. 19.)

Chcę utulić ten płacz dziecięcy, wzywa poeta aniołów „złotymi piórami odzianych duchów“, by przybyli, jedni zaśpiewali, drudzy zagrali i tym sposobem ukoili ten smutek. Z podobną prośbą zwraca się także do Matki i do Cór Syońskich.

Jakoż dziecię znowu zaczyna się uśmiechać i następne dwie sceny: Uśmiechania dziecięce (*Cachinnuli*) i Dziecięce pieszczoty (*Blanditiae*) są wdzięcznym obrazkiem tych drobnych i błahych, ale głęboko do serca sięgających uciech, które sprawia słodki uśmiech dziecku wszystkim, co je otaczają. Poeta tak jest zachwycony wdziękiem tego uśmiechu, że przenosi go nad wszystkie uroki przyrody. Uczucie to swoje wypowiada on w pełnej słodyczy piosence:

O wdzięczne wód szeptania,  
Wdzięczne zdrojów gadania,  
Smaczno brzmiące strumyczki,  
Gdy o drobne kamyczki  
Płynąc, się otrącaacie,  
Skąd słodki dźwięk działacie.  
O przyjemny wiatreczku,  
Co więc w ciemnym gajeczku  
Głoseczkiem się ozywasz,  
Gdy listeczki powiewasz.  
O szemranie łagodne  
Dzwoneczkowi podobne,  
Którym się ozywacie,  
Gdy wdzięczny miód zbieracie,  
Sen rodzące pszczołeczki  
Przez cieniuchne głoseczki.

Ale nad te szemrania strumyka, szelest liści, lekkim kołysanych wiatrem, i łagodne brzęczenie pszczołek, przyjemniejszy stokróć dla ucha ludzkiego wdzięczny śmiech Dzieciątka,

Bo ten taki sen mnoży,  
Który żywi, nie morzy.

i wszelkie troski i frasunki z głowy odpędza.

Tutaj następuje scena, jakiejby się nikt bez wątpienia nie spodziewał. Dziecię Jezus śmieje się znowu — dlaczego? bo oto w jego bliskości pobiły się ze sobą dwa kotki, a zabawne przytem ich ruchy wołały z ust małego Jezusa głośny uśmiech, który potem wszystkim otaczającym go się udzielił. Poeta tak opowiada tę scenę:

Ha, ha, ha, dziecię Pan Jezus się śmieje,  
Widząc, co się tuż w oczach jego dzieje,  
Kotek z koteczkiem malutych oboje  
Wyprawowali pojedynki swoje,  
Jeden drugiego na ziemię rzucając:  
Dziecię w śmiech: ha, ha, ha, ha powtarzając.  
Za nim ha, ha, ha każdy się odzywa,  
Cha, cha, cha Józef i Matka wstydliva i t. d.

Pewną drażliwość tej sytuacji powiększył niepotrzebnie Grochowski, z własnego wymysłu wprowadzając jeszcze na scenę mysz, która pojawia się w tej chwili na placu i spostrzeżona przez kotków, pada ich ofiarą. I znowu dalej idą obrazki macierzyńskich zajęć i rodzicielskiego szczęścia. Matka, to zachęca Dziecię, by z jej piersi brało pokarm, to Józefa prosi, by dla niego zrobił kolebkę, bo „już się we żłobie dziecię należało“, to wzywa słowika, aby śpiewaniem swoim pomógł jej usnąć małego, za co (a jest to bardzo ładny pomysł) obiecuje wziąć go ze sobą do nieba:

Przyleć mistrzu ptactwa wszego  
Do Jezusa maluczkiego,  
Przybądź do kolebki mojej,  
Nie ujdiesz zapłaty swojej  
Kiedy tu zetrwasz śpiewając,  
Pokłon Panu swemu dając,  
Słowiczku mój, nie potrzeba,  
Wezmę cię z sobą do nieba.

Pojawiają się znowu Córki Syońskie, bo im trudno wytrwać bez Jezusa i jego Matki, a poeta troskliwy o Dzieciątka prosi Aniołów, by mu przynieśli kwiatów z rajy do zabawy i uspakaja pieska, który igraszkami swemi i szczekaniem może przebudzić śpiące Dziecię:

Na dwu nóżkach podskakujesz,  
Raz dziecięciu pochlebujesz,  
A drugi raz wedle niego  
Kładziesz się by co dobrego.  
Nieobacznie się porywasz,  
A sen smaczny mu przerywasz.  
Szeczenie złe, zapamiętałe,  
Nie bądź więcej tak zuchwałe.

Wreszcie odbywa się i kąpiel małego Jezusa, przygotowana z polecenia Matki przez Aniołów:

Kąpielczkę letniuchną,  
 Jako trzeba wcześniuchną,  
 Z wód z marmuru ciekących,  
 Z ziół wybornie pachnących,  
 Dla Syna Panno twego,  
 Króla, Pana naszego.  
 Zgotowaliśmy sami  
 Z rozlicznymi wódkami.

Końcowe ustępy *Wirrydarza* nie mają już w sobie dramatycznego pierwiastku. Poeta to ubolewa w nich nad dolegliwościami, które Jezus przez ubóstwo, ucieczkę do Egiptu i t. p. już w dzieciństwie, a potem przez mękę i śmierć ponosić musi; to składa mu w ofierze rozmaite podarunki: sukienki, wianki różane, rzegoteczki, a wreszcie i ptaszka szczygiełka; to nakoniec układa piosenki (*Kołyśki dziecięce*), któremi by go usypiano. Ładną bardzo jest ta piosenka o szczygiełku, którego poeta spotkał, chodząc po gaju lipowym i układając tam rymy o Dzieciątku i jego Matee; szczygiełek sam poetę prosił, by go zaniósł do Jezusa i oddał mu go „za muzyka“, bo on do śmierci nikomu innemu nie chce służyć. Wdzięczne także bardzo i pełne uroku te „kołyśki“, czyli kołysanki, tak że dziś jeszcze możnaby je polecić matkom jako najładniejsze piosenki, „którymi by dziecińki noworodne spłyły, i swoich wychowawców lamenty tuliły“. Oto jedna (IIIcia) z tych *Kołysek*:

Uśni dziecię, usni moje,  
 Uspokój członeczki swoje,  
 Niech cię kaszel nie morduje,  
 Niechaj ci nie snu nie psuje.  
 Ani tchni teraz piaseczku,  
 Ani gruchni gołąbeczku,  
 Milczcie wszyscy, a nie szepcie  
 I cichutko ziemię depecie.  
 Nynaj dziecię drogie moje,  
 Niech zwiąże sen oczki twoje,  
 Wszyscy się uspokoili,  
 Uśni, zdrów spi synu miły.  
 Sameć wiatreczki sprzyjają,  
 Wdzięczniejszego snu dodają,  
 Abyś w dłuższy i wdzięczniejszy  
 Sen zaszedł, a wstał rzeźwiejszy.

Z przyjemnością zastanawialiśmy się dłużej nad tym utworem i liczniejsze z niego przytaczaliśmy wyjątki, aby dać poznać czytelnikowi tę niezwykłego rodzaju poezję i zapomniane dzisiaj

piękności języka dawnego poety. Rzeczywiście, przed Grochowskim nikt się u nas tak pieściwym, tak wydelikatnionym językiem nie odzywał, a po nim w półtrzecia wieku dopiero później dał on się słyszeć w ustach Bohdana Zaleskiego. Szczególną także jest treść i niezwykły ton tego religijnego poemaciku, zwłaszcza jeśli porównamy go z powagą i grozą owych Hymnów, które Grochowski również tłómaczył, albo z ascetyczną melancholią *Nasładowania Chrystusa*. Tam wszystko podnosiło człowieka do góry w niebo, tutaj rzeczy święte i boskie przybrane w formy ziemskie powszedniego życia. Poezja taka była pod owe czasy nowością, choć później miała zyskać u nas stałe prawo obywatelstwa. Zarówno oryginalny poeta jak i tłómacz czuli też potrzebę wyjaśnić ten nowy sposób traktowania rzeczy i usprawiedliwić tę pewnego rodzaju śmiałość, z jaką swój przedmiot religijny przedstawiali, przed nieprzyzwyczajoną jeszcze do tego publicznością. Niechaj się nikt tem nie gorszy — powiada Pontan w przedmowie do *Dzieciątka Jezus*, a za nim krócej powtarza Grochowski przed tą częścią *Wirrydarza*, która swoim światowym tonem mogła więcej razić czytelnika — że pisząc o małym Jezusie, przedstawialiśmy go jako człowieka i dziecko; był bowiem i człowiekiem i dzieckiem i zupełnym uczestnikiem naszej natury, jak gdyby jeden z pomiędzy nas. Pisałem zatem rzeczy nietylko prawdopodobne, coby już dla poety wystarczyło, ale i prawdziwe. Więc jak śmieszna byłoby rzeczą oskarżać malarza, jeżeli Dzieciątku Jezus da do ręki owoc albo kwiatek, albo u stóp jego spiącego pieska lub usługujących mu Aniołów wymaluje, tak chyba człowiek tępego umysłu mógłby coś moim w słowach oddanym obrazom zarzucić... Bo tylko wtedy mógłbym zasłużyć na nagane, gdybym według powiedzenia Horacego węże jednoczył z ptakami, a z tygrysami baranki, to jest gdybym łączył ze sobą to, co z natury połączyć się ze sobą nie da.

Pontan miał zupełną słuszność jako poeta, odwołując się na naturalną prawdę i na prawa i przykłady sztuki. Trzeba jednak przyznać, że tak jak on rzecz pomyślał i przedstawił, utworzyła ona nie poemat religijny, ale poetyczny obrazek rodzajowy z silnie zaakcentowanym w lirycznych ustępach mistycznym nastrojem duszy. Obrazek taki mógłby być gorszy naprzykład owoczesną surowość protestancką, której dążeniem było usunąć ze służby bożej i nabożeństwa jak najwięcej z tego co ziemskie i zmysłowe, a natomiast dać przewagę abstrakcyjnym ideom. Kościół katolicki i katolicy łaskawiej na podobne rzeczy spoglądali. Działanie na

duszę człowieka przez potęgowanie wrażeń zmysłowych i ogarnięcie jej tym sposobem całkowite, zgadzało się z tradycją katolicyzmu, jakoteż zwyczajami i obrządkami przyjętymi przy nabożeństwach. Dlatego to od najpierwszych początków przyciągał kościół katolicki tak chętnie sztuki piękne do siebie, nie mówiąc już o architekturze, która mu stawiała kościoły, ale także i malarstwo i muzykę, które mu malowały świętych lub harmonią tonów dusze pobożnych ku niebu podnosiły. Stąd także i poezja od dawien dawna znalazła się w ścisłej z nim zażyłości, i o ile służbie bożej poświęcić się chciała, doznawała od niego wszelkich względów i uznania właściwych sobie praw. Nowołacińscy szczególnie poeci wieku XVI i XVII, pomiędzy którymi wielu tak jak Pontan do Towarzystwa Jezusowego się zaliczało, starali się godzić w swoich utworach religijne natchnienie ze zmysłowymi środkami sztuki i artystycznymi pomysłami wyobraźni. Stworzyli oni w ten sposób w religijnej literaturze styl zastosowany do poziomu przeciętnych umysłów, styl pełen ornamentyki, a zarazem ascetycznej i mistycznej ekstazy, oboma temi środkami działający na wrażliwe serca szerokiego ogółu, który w porównaniu z pełnym prostoty i surowej religijności klasycznym stylem dawnych utworów religijnych, nie bez racji stylem *rococco* nazwaćby można. Psalmi w tłumaczeniu Kochanowskiego, Hymny w przekładzie Grochowskiego najświetniej ten styl dawny w naszym języku przedstawiają; *Wirydarz* jest już okazem, pierwszym jeśli się nie mylimy, stylu nowego, który razem ze zwycięską reakcją katolicką i coraz potężniejszym wpływem Jezuitów, coraz gęściej i szerzej rozrasta się w naszej literaturze i z czasem tracąc pierwotną słabość, jakiej piękny przykład w *Wirydarzu* posiadamy, wyradza się i zalewa piśmiennictwo polskie powodzią pełnych przesady i nieraz monstrualnych płodów.

Grochowski w przekładzie *Wirydarza* wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Jak wszyscy ówczesni tłumacze czy w prozie czy w poezji, tłumaczył on dowolnie, nie trzymając się ściśle oryginału. Szedł wprawdzie zawsze za myślą Pontana, ale pomysły oryginalnego poety rozprowadzał często obszerniej, a niekiedy także i odrzucał niektóre, według tego jak mu było dogodniej, aby się jak najmniej kępować i jak najwięcej mieć samodzielności. Ta dowolność nie szkodzi jednak przekładowi; to co jest rozszerzeniem nie rozgadnia tekstu jak się to nieraz w Naśladowaniu Chrystusa dzieje, gdzie tłumacz nie mogąc abstrakcyjnej treści przedstawiać w plastycznych obrazach, wtrąca i dodaje

zdania prozaiczne i bezbarwne. W *Wirydarzu* zawsze on w oryginale znajduje materiał do nowego lub obszerniejszego fantazywania na ten sam temat; zwiększa zatem rozmiary tych obrazów, lecz nie popada w prozę, nie przemawiającą do wyobraźni czytelnika. Wdzięku języka, jakim *Wirydarz* pisany, po tem, cośmy już powiedzieli, zalecać podobno już więcej nie potrzeba; to tylko chyba możnaby jeszcze dodać, że pod tym względem Grochowski przewyższa nieraz oryginał i tak słodkimi słowami, tak płynnym tokiem wyrazów się odzywa, że Pontan wobec niego, choć większą precyzją i pilniejszym wykończeniem artystycznym się odznacza, wydaje się niekiedy trochę suchym i zbyt jak na poetę lakonicznym. O ważniejszych dodatkach, jakie Grochowski poczynił, wspomnieliśmy już wyżej; do znaczniejszych rozszerzeń zaś należą pierwsze zaraz trzy ustępy (I, II, III) w pierwszej części *Wirydarza*.

Ten „rytm o królewicu niebieskim“ poświęcił poeta bardzo stosownie ziemskiemu królewiczowi Władysławowi. Nie wątpimy, że lubo podrastający wówczas królewicz nie wszystko w *Wirydarzu* mógł należycie zrozumieć, to przecież z przyjemnością powracać musiał nieraz do tej książki, w której znajdował niejedno, co mogło żywo przemówić do jego dzięciołej wyobraźni.

*Codzienne ćwiczenia chrześcijańskiej duszy* (Krak. 1608), będące jak już wiemy, ustępem z dalszych ksiąg *Floridorum* Pontana, mianowicie z drugiej księgi *Sponsalium*, treścią odmienne od *Wirydarza*, nie mają w sobie tej miłej obrazczości, która tyle wdzięku dodaje *Dzieciątku Jezus*, ale jak tamten poemat w niektórych miejscach płoną tym samym, a nawet gorętszym ascetycznym ogniem. Dusza chrześcijańska rozmiłowana w Chrystusie chciała by go kochać jeszcze więcej i więcej niżeli można:

Boże, oto usiłuję  
 Żebym cię dziś niżli <sup>1)</sup> miłuję,  
 Mogła miłować serdeczniej,  
 Całem sercem i stateczniej.  
 A gdyby to można była  
 Miłować cię niżli siłą  
 Moja znosi, i nad siły  
 Pragnę, żebyś mi był miły.

Dla tej miłości chciałyby się pozbyć wszystkich swych namiętności i pokus ziemskich; wtedy jej tylko dobrze, kiedy Jezus

<sup>1)</sup> Tak wydrukowane; powinno być: niż, jak tego rytm wymaga.

w niej zagości, kiedy „czuje wewnątrz Pana“; dla niego chce cierpieć, bo kto więcej dla niego cierpi, ten go więcej miłuje; więc ciało swe chce poddać pod władzę ducha i rozumu, i aby je do tego zmusić, zadaje mu własnowolnie różne przykrości i cierpienia:

Na rozpieszczoną swą skórę  
Czasem włosienicę biorę,  
Czasem wzięwszy miotłę w rękę,  
Sama ciało moje siekę.  
Srożę się sama nad sobą,  
Abym była wiecznie z tobą;  
Chleba ze łzami pożywam,  
Wody za napój używam,  
Miasto przyprawnej zwierzyny  
Karmią moją są jarzyny,  
Podczas żywie korzonkami —  
Tak ciało martwię z członkami.  
Tak żywiąc nie tęsknię, ale  
Z chęcią, statecznie i stale  
Radabym więcej cierpieła,  
I krzyż cięższy na się brała:  
Gdyż ten co mię umiłował,  
Więcej dla mnie podejmował.

Bóg i myśl o nim jest jedynym celem życia i największą rozkoszą dla tej duszy oblubienicą Chrystusa będącej; świat ją nudzi, mierzi i gorszy, więc pragnie samotności, aby się cała oddać Bogu i rozmyśleniu o nim:

Gdym jest sama, wtenczas prawie  
Nie sama się z sobą bawię;  
Gdy się nie sama znajduję,  
Sama się i gorsza czuję.  
Bo z przychodniami zabawa,  
Pokoju mego śmierć prawa.  
Gdy bez gości sama bywam,  
Łzami się wszystka rozplywam:  
Tam myśl pewna swej nadzieje  
Patrza, co się w niebie dzieje,  
Tam z Bogiem i z aniołami  
Przebywam swemi myślami.

Oto w kilku niedługich wierszach Pontana zawarta cała teoria ascetyki: miłość Boga do egzaltacji posunięta, pogarda ciała i udręczenie go, wreszcie nieprzyjemne odłączenie się od świata, jako pierwszego źródła grzechu i złego. Czasem dużo siły, a czę-

ściej jeszcze niemałej subtelności w wyrażeniu dla oddania tej ascetycznej dyalektyki wymagała od tłumacza natura tych wierszy, i trzeba przyznać, że Grochowski tym wymaganiom całkowicie odpowiedział. W tym krótkim poemaciku są zwroty, które jego poetycznemu językowi prawdziwy zaszczyt przynoszą i których nie wyparłby się największy u nas mistrz mistycznego słowa, autor Glossy św. Teresy.

Ostatnim z celniejszych i obszerniejszych utworów religijnych Grochowskiego jest poemat z zakrojem epickim: „Święta Cecylia Rzymianka, panna i męczenniczka. Z krótką historią żywota i obojga znalezienia jej z drugimi męczennikami“<sup>1)</sup>.

Początek temu poematowi dało współczesne wydarzenie, głośne wtedy w katolickim świecie, a zwłaszcza w sferach duchowieństwa. W czasie przygotowań, jakie robiono do zbliżającego się w Rzymie jubileuszu, kardynał Paweł Sfondrato restaurując oddany jego pieczy kościół pod wezwaniem św. Cecylii, odnalazł 20 października 1599 r. zwłoki tej męczenniczki i kilku jej towarzyszy<sup>2)</sup>, o których gdzieby się znajdowały, już dawno wieść zaginęła. Niegdyś bowiem (r. 821) były one już raz przez papieża Paschalisa odnalezione i w kościele św. Cecylii przez niego pochowane, ale z biegiem czasu zatraciła się pamięć o miejscu, w którym spoczywały, i powszechnie mniemano, że razem z ciałami innych męczenników przez Aistulfa, króla Longobardów, zabrane zostały. Po tem drugim już odnalezieniu papież Klemens VIII z wielką uroczystością zwłoki te, sprawiwszy im nową srebrną trumnę, w sam dzień św. Cecylii 22go listopada tegoż roku (1599) pochował. Częścią podług opowiadań kardynała Sfondrato, częścią jako wezwani do tego przez papieża rzeczoznawcy z wła-

<sup>1)</sup> Kiedyby wyszło pierwsze wydanie, o którym mówi ks. Drożdżewicz (w wyd. Tur.) nie można wiedzieć z tego co o tem pisze, bo nie podaje ani miejsca, ani roku tej edycji. W każdym razie św. Cecylia nie była wydana w r. 1599, jak ks. Drożdżewicz zdaje się mniemać, bo w końcu dopiero tego roku, jak wyżej piszemy, ciało jej zostało znalezione i pochowane, autor więc nie mógł być już czasu do napisania i wydania tego poematu. Nam się wydaje, że ta pierwsza edycja nie istniała wcale i że za pierwszą trzeba uznać tę, którą ks. Drożdżewicz ma za drugą i którą mieliśmy w rękę, t. j. wydaną w Krakowie 1605. Oprócz tego św. Cecylia zamieszczona była w zbiorowym wydaniu u Loba (Krak. 1608), i w czasie, który bliżej oznaczyć się nie da, prawdopodobnie później niż 1608 jeszcze raz przedrukowana.

<sup>2)</sup> Acta Sanctorum. Edit. noviss. Aprilis T. II, 208.



snego widzenia, opisali to znalezienie kardynał Cezar Baronius, znany historyk kościoła, i Antoni Bosio, adwokat z zawodu, a z zamiłowania archeolog, który miał się szeroko później wślawić pomnikowem dziełem o katakumbach rzymskich: Roma soterranea. Baronius opisał to wydarzenie w Rocznym Dziejach kościoła, i już w pierwszym wydaniu przekładu tego dzieła dokonanego przez Skargę r. 1603 opis ten się znajduje. Bosio przy tej sposobności przypomniał także światu historią św. Cecylii, bo do opisu znalezienia jej ciała dołączył akta jej męczeństwa z dawnych łacińskich rękopisów wiernie powtórzone, i uznawane za pewniejsze od tych, które dotychczas w literaturze kościelnej czy to w rękopismach, czy w druku się pojawiały<sup>1)</sup>.

Zajęcie się tym przedmiotem w Rzymie, jak widzimy, było niemałe, a goszczący podówczas w stolicy papieskiej pielgrzymi jubileuszowi rozniesli za powrotem do domu wieść o tem wydarzeniu po innych stronach Europy. Do Polski wracało także niemało tych pielgrzymów, a podobnie jak któryś z nich przyniósł Grochowskiemu z tej świętej podróży książkę, która go tak bardzo zachwyciła, znane nam już *Lavacrum animae*, tak z ich ust mógł się także dowiedzieć najpierwej o znalezieniu ciała świętej i o tych wspaniałych uroczystościach, których z tego powodu byli świadkami w Rzymie. Może ci pielgrzymi przynieśli mu jeszcze i coś więcej; może opis całego tego wydarzenia z pod pióra Baroniusa lub Bosia, a może nawet jakiś łaciński poemat o św. Cecylii, teraz kiedy ona znowu pamięci świata się przypominała, przez jakiego cudzoziemca na tle dawno znanej legendy o jej męczeństwie osnuty, a przez dodany opis świeżego znalezienia jej ciała jeszcze więcej interesującym uczyniony. Gdyby tak było w istocie, gdyby Grochowski dostał był jaki gotowy poemat zagraniczny o św. Cecylii, natenczas utwór pod tym tytułem pomiędzy jego pismami znany, byłby znowu takim samym przekładem jak *Hymny, Naśladowanie* albo *Wirydarz*. Ale przeciw temu przypuszczeniu przemawia ta okoliczność, że Grochowski zwykle bardzo sumiennie podaje nazwiska oryginalnych autorów na swoich przekładach, na tytule zaś św. Cecylii, ani nigdzie w tekście ani słowem nie wspomniął, ażeby to było tłumaczenie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zatem jest to jego oryginalny utwór, jednak, jak zobaczymy to niedługo, oryginalny tylko do pewnego stopnia.

<sup>1)</sup> Acta Sanctorum. Edit. noviss. Aprilis T. II, 203.

Legenda o św. Cecylii należy do najpoetyczniejszych w żywotach świętych i martyrologii chrześcijańskiej, i mogła ona natężyć z powodu zawartego w niej obficie materiału poetycznego poetę nierównie nawet wyższego niż Grochowski.<sup>1)</sup> Dziewica rzymska, ze znakomitego i bogatego rodu, w czasach srogich prześladowań zwolenników Chrystusa, przyjęła potajemnie naukę boskiego Mistrza i świętością jej przejęta ślubowała w duchu zachować na zawsze swoją panięską czystość. Równy jej urodzeniem i stanem młodzieniec rzymski, Waleryan, szlachetnego umysłu i serca, ale pogańską wiarę przodków wyznający, stara się o rękę Cecylii i otrzymuje ją od jej rodziców. Cecylia nie stawia temu oporu. żywiąc nadzieję, że wpływem swym na Waleryana dokaże tego, że i ślub jej dziewictwa uszanuje i wiarę Chrystusową przyjmie. Jakoż i tak się stało. W poślubną noc uwielbiającemu ją młodemu mężowi odkrywa Cecylia podwójną tajemnicę, że jest chrześcijanką i oblubienicą Chrystusa, a natężone jej słowa jakoteż cudowne zjawienie się w tej chwili anioła sprawiają to, że Waleryan zostaje chrześcijaninem i jak najprędzej papieżowi Urbanowi, ukrywającemu się wówczas w katakumbach przed prześladowaniem rzymskim, ochrzcić się daje. Urokowi świętości, jakiego pełna była Cecylia, i zapałowi, jaki miała w nawracaniu na prawdziwą wiarę, ulega następnie i brat Waleryana, Tyburecy i inni jeszcze, jak żołnierz Maxym, pogańscy Rzymianie. Wszyscy oni potem wraz z Cecylią stawieni jako wyznawcy zabronionej religii przed rzymskiego „starostę“ Almacha, w różny sposób poniosłszy męki, oddają życie za Chrystusa. Papież Urban grzebie potajemnie ich kości.

Akta męczeństwa św. Cecylii i jej towarzyszy spisane najprzód były, zapewne w czasach bliskich temu wydarzeniu, po łacinie, a następnie przełożone na język grecki przez Symeona Metafrastesę, kanclerza cesarza Leona Mądrego, który w X wieku żywoty wielu świętych opisał. W tej redakcyi legenda o św. Cecylii, przełożona znowu przez późniejszych na język łaciński, była

<sup>1)</sup> Tę historią o św. Cecylii opowiedział także wierszami podług „Legenda aurea“ Jakóba de Voragine angielski poeta z XIVgo wieku, Chaucer i znaleźć ją można w jego Kanterburskich Powieściach jako opowiadanie drugiej zakonnicy. Chaucer o powtórnem znalezieniu ciała św. Cecylii nie mógł naturalnie nie jeszcze wiedzieć, a o pierwszym nie wspomniął, przez co samo już powieść jego zyskała na artystycznym zaokrągleniu. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Grochowski tego poematu nie znał.

powszechnie znaną i w niezmiennej albo też skracanej formie po wiele razy drukiem ogłaszana. Metafrastes o wiele obszerniej niż w innych żywotach opowiedział czyny i męczeństwo św. Cecylii, a opowiedział w sposób nader zajmujący i dramatyczny, najczęściej w dyalogach rzecz przeprowadzając i nie żałując poetycznej okraszy. Legendę jego, gdyby jej treść nie miała tyle wspólności z religią i zaziemskimi sprawami, możnaby nazwać bardzo ładną nowellą, która tak dobrze mogłaby posłużyć jakiemś poecie za osnowę do utworu niezwykłej wartości, jak nowella Luigi da Porta posłużyła Szekspirowi do stworzenia *Romea i Julii*.

Za swoich czasów Grochowski znaleźć mógł tę legendę w niejednym już źródle. Jeszcze w wieku XV była ona drukowana w *Legenda aurea* Jakóba a Voragine, w XVI. zaś w formie obszerniejszej i z pierwowzorem Metafrastesa zgodniejszej wydali ją w swoich *Żywotach Świętych* Laurentius Surius<sup>1)</sup> i kardynał Alojzy Lippomanni<sup>2)</sup>; wreszcie i po polsku mógł ją mieć Grochowski w *Żywotach Świętych* Skargi, które już parę wydań wtenczas liczyły, gdy on swój poemat pisał. Najprawdopodobniej jednak służył mu za źródło Surius, u niego jednego bowiem tylko po właściwej legendzie, zamykającej się pogrzebaniem ciał męczenników przez papieża Urbana, następuje jeszcze wiadomość o pierwszym odnalezieniu ich ciał za papieża Paschalisa, które to wydarzenie Grochowski również w swoim poemacie opowiedział. Oprócz tego musiał on mieć jeszcze przed sobą jakiś dokładny opis powtórnego znalezienia zwłok św. Cecylii i ich pochowania przez Klementa VIII w roku 1599, wszystko bowiem, co o tem z drobnymi często szczegółami opowiada, zgadza się zupełnie z autentycznym i urzędowym opisem w *Acta Sanctorum*.

Z treści, jakiej mu dostarczała legenda, mając utworzyć poemat, zabierał się do tego Grochowski w taki sam sposób jak to wszyscy prawie społeczeńsi mu i późniejsi aż do połowy XVIII w. nasi poeci czynili. Brał pierwowzór przed siebie i idąc za nim krok w krok, przerabiał prozę na wiersze, parafrazując miejsca, które poetyczniejszego języka wymagały. O samodzielnej kompozycji artystycznej mowy tu być nie może; budową poematu jest taką, jaką ją zrobił Metafrastes, a charakterzy nie zostały wcale przez poetę rozwinięte i pogłębione. Przez dodanie nadto do właściwej historii o św. Cecylii opisów dwukrotnego odnajdywania

jej zwłok, które z natury swojej poetycznego interesu mieć w sobie nie mogły, architektonika poematu stała się cięższą i straciła wiele na proporcjonalności i jednolitości pomysłu; rzecz bowiem obca, i tylko historyczny związek z legendą mająca, została do niej przyczepiona i gwałtem z nią zjednoczona. Wiemy, że naszemu poecie tak dalece o artyzm nie chodziło, że pisząc swoje św. Cecylią myślał przedewszystkiem o tem, aby fakt cały jak najwierniej przedstawić i tym sposobem tem więcej dusze wiernych zbudować, a chwałę świętej, którą opiewał, pomnożyć, ale choć to możemy wziąć w rachubę, to przecież sądząc go musimy i do niego zastosować wszystkich obowiązujący kodeks estetyczny i za normę dla siebie brać nie jego literacką naiwność, ale wzory przekazane w arcydziełach literatury.

W niektórych miejscach jednak Grochowski odstępuje od pierwowzoru albo nań nie zważa, odrzucając pewne ustępy lub skracając je, a niektóre znowu dodając z własnego pomysłu. Wszystkie te zmiany są dowodem pewnych artystycznych intencji ze strony poety i robione były w tym celu, ażeby rzeczy mniej ważne i tem samym interes osłabiające usunąć, albo też wprowadzić do poematu takie pomysły, które według pojęcia Grochowskiego miały mu dodać piękności i wrażenie na czytelnika podnieść. Tak zaraz początek sam jest własnością poety. Zapatrując się na znane wówczas powszechnie i więcej niż dzisiaj szanowane wzory epików starożytnych, ponieważ Grochowski czuł, że zabiera się do poematu, który do tego rodzaju poezji zaliczać by się powinien, streszcza w kilku wierszach cały przedmiot swojego opowiadania:

Kwiat i prześwietną perłę dziewię chrześciańskich  
Cecylią Rzymiankę od rękę pogańskich  
Wspomnę zamordowaną; w które czasy żyła,  
Co za sprawy jej były, jako wiek skończyła,  
Jako niedawno znowu pogrzebem uczczona,  
Od kogo wprzód, od kogo potem znaleziona,  
Tak jako dla Chrystusa legła zdrowie dawszy,  
I krwią swą jego imię najświętsze wyznawszy.

Po tych słowach następuje zwrot refleksyjny do siebie samego, u poetów, którzy mogli być przykładem Grochowskiemu, nie napotykanym. Nasz poeta lęka się trudności swego zadania, czuje obawę, czy podoła tej wagi przedmiotowi, porównywając się do podróżnika, który boi się zabłądzić na nieznanym mu, a w różne strony krzyżujących się drogach:

<sup>1)</sup> De probatis Sanctorum vitis...

<sup>2)</sup> Historia Aloysii Lipomani episcopi Veronensis de vitis Sanctorum.

Kto mi na to słów doda? skąd mój rym zapocznę?  
 Gdzie mu środek uczynię? gdzie kończąc odpocznę?  
 A snadź jaka przychodzi trwoga na pątnika,  
 Który idąc w obcy kraj sam bez przewodnika,  
 Nadszedłszy różne ścieżki, zdumiawszy się sto,  
 Przypatrując się każdej, zblądzenia się boi:  
 Tak ja widząc wiele enót tej to białejgłowy  
 Wysokich, nie wiem z kąd mam początek wziąć mowy.

Udana to raczej jednak trwoga niż prawdziwa; nasz poeta nie wybrał się wcale „w obcy kraj sam bez przewodnika“; on wie dobrze o tem, że prowadzić go będzie Metafrastes, za którego wskazówką wiernie pójdzie od początku do końca. Ta zmyślona obawa ma służyć tylko za powód, dlaczego poeta tym usilniej wzywać będzie o pomoc niebieską dla swego przedsięwzięcia i to nie Muzy Olimpijskiej, jak to czynili Homer i Wergilius i prawie wszyscy ich w epoce odrodzenia naśladowcy, ale podobnie jak trzydzieści lat przed nim Tasso, a o wiele później po nim Mickiewicz, o pomoc Najświętszej Panny:

Jednak w twoją nadzieję niebieska królowa,  
 Której przykładem siła panien czystość chowa,  
 Zaczynam przedsięwzięcie, wielbiąc Pannę świętą, (ś. Cecylią)  
 A ty proszę błogosław moją rzecz zaczęta.

Za własność Grochowskiego uważać dalej trzeba dwie modlitwy odmawiane przez Cecylią w krytycznej dla niej chwili, gdy już Waleryanowi została poślubiona, a żoną jego być nie może<sup>1)</sup>, które są parafrazą tych krótkich słów legendy: *Fiat domine corpus meum et corpus meum immaculatum in tuis justificationibus, ut non pudore afficiar*. Znacznego rozszerzenia doznał także oryginalny tekst w opowieści, w której Cecylia chcąc przekonać Tyburcego o prawdziwości wiary chrześcijańskiej, opowiada mu o cudach Chrystusa i czynach apostołów<sup>2)</sup>; dalej w nauce, jaką papież Urban daje temuż Tyburcemu<sup>3)</sup>; w przemowie, którą prowadzeni na śmierć męczennicy mają do Rzymian<sup>4)</sup>; w opisie śięcia Waleryana i Tyburcego, gdzie także dodane jest ładne porównanie poetyczne i polecenie się, jakiem Grochowski w opiekę tych świętych się oddaje<sup>5)</sup>. Są oprócz tego większe jeszcze dodatki, takie ustępy, których w pierwowzorze nie ma, a które w pewnych miejscach

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. str. 6, 7.

<sup>2)</sup> str. 15, 16.

<sup>3)</sup> str. 29, 30.

<sup>4)</sup> str. 35.

<sup>5)</sup> str. 38.

do osnowy legendy przez naszego poety zostały wstawione. Najobszerniejszym takim dodatkiem jest historia męki Jezusa Chrystusa, w pierwowzorze tylko ogólnymi bardzo rysami nakreślona, a w poemacie szeroko i ze szczegółami przez Cecylią Tyburcemu opowiedziana<sup>1)</sup>; jest to epizod w całym tego słowa znaczeniu, z tokiem opowieści nie mający żadnego związku. Podobnie wtrącił także Grochowski samowolnie pieśń, którą Cecylia wielki Boga uniesiona radością, że jej się udało nawrócić Tyburcego<sup>2)</sup>, a która właściwie jest wiernem powtórzeniem Kantyku Igo, przełożonego przez niego już dawniej i przeniesionego na to miejsce z *Hymnów kościelnych*. Takiegoż samego plagiatu na sobie samym (co zresztą w jego pismach często się zdarza) dopuszcza się jeszcze Grochowski w św. Cecylii, kładąc w usta papieża Urbana, kiedy tenże Tyburcego zasad wiary chrześcijańskiej naucza<sup>3)</sup>, całe symbolum św. Atanazego, które również już dawniej na końcu swoich Kantyków był ogłosił.

Najwięcej jednak znaczenia z tych dodatków ma ustęp, który w treści legendy ani jednym słowem nie był zaznaczony, i który nawet pewnego rodzaju dysharmonią w ogólnym tonie tej historii o św. Cecylii stanowi. Podobnie jak zaczęcie poematu jest on z klasycznych wzorów naśladowany i pokazuje również, że Grochowski miał chęć utworowi swojemu choć tu i owdzie nadać ile możności cechę epicznej poezji. W chwili stanowczej, kiedy dwa nieprzyjazne sobie światy mają wejść w konflikt ze sobą, kiedy mianowicie spokojni dotąd od prześladowań młodzi wyznawcy Chrystusa mają być przez prefekta rzymskiego do odpowiedzialności pociągnięci, jak się to zwykło dziać w epopejach klasycznych wprowadza i nasz poeta na scenę tak nazwaną machinę epiczną. Chodzi o to, ażeby prefekta rzymskiego Almacha podszuć na chrześcijan i następnie wyjaśnić czytelnikowi srogą jego przeciw nim zawziętość, więc jak w podobnych razach u epików starożytnych podejmowała się tej roli uosobniona nienawiść, straszliwa jędrza ze splotami węzów na głowie, tak tutaj spełnia to zadanie jeden z czarnych duchów na rozkaz Lucypera, który za to, że mu Cecylia coraz więcej czcicieli odbierała, zgubę jej i jej towarzyszy postanowił. Lucyper posyła więc do Almacha owego ducha,

<sup>1)</sup> str. 17—22.

<sup>2)</sup> str. 24.

<sup>3)</sup> str. 26—28.

... ze wszech nacytrznego,  
Towarzysza w fortelach wszystkich ćwiczonego,

i według znanej znowu klasycznej recepty wysłaniec ten staje  
przed prefektem w nocy, kiedy on

... pracami swojego urzędu zmorzony  
Zasnął okrutnik, twardym snem uspokojony.

Zły duch podnieca we śnie nienawiść Almacha przeciw Cecylii, grożąc mu przytem, że jeżeli jej o zgubę nie przyprawi, ukarzą go za to i cesarz i jego obrażeni bogowie. Almach zbudzony tem trapiącym go przez sen zjawiskiem, upadłszy na kolana przed posągami bogów stojącymi w jego pokoju, przyrzeka im zgubę i śmierć chrześcian, a następnie wydaje rozkaz schwytania Tyburcego i Waleryana. Byłoby daleko logiczniejszem, gdyby był kazał najprzód uwięzić Cecylią, bo przeciw niej, jako głównej krzewicielce chrześcijaństwa w Rzymie, podburzał go dopiero co zły duch przez Lueypera zesłany, ale Grochowski, powracając po tej krótkiej dygressyi na pole oryginalnego tworzenia znowu do tekstu legendy, którego się ciągle i stale trzymał, zapomniał widać o tem koniecznem następstwie własnego pomysłu i zaczął opowiadać dalej tak jak mu pierwowzór wskazywał.

Mniej liczne są skrócenia i opuszczenia poczynione przez Grochowskiego. Tak skrócona jest rozmowa między Almachem, a stawionymi przed nim Waleryanem i Tyburcym<sup>1)</sup>, jakoteż opis nawrócenia się „Komornika“ (jak go zowie Skarga) Maxima<sup>2)</sup>. W przesłuchaniu Cecylii przez prefekta<sup>3)</sup> odstąpił także poeta prawie zupełnie od tekstu i całą tę rozmowę, zresztą wielce charakterystyczną, ograniczył do słów, któremi Cecylia swą pogardę dla pogańskich bogów okazuje. Całkiem zaś jest opuszczony, także i w legendzie dosyć krótki, opis męczeństwa świeżo nawróconego Maxima.

Utworem artystycznym tej historii o św. Cecylii nazwać nie można. Są wprawdzie pewne chwalebne usiłowania ze strony poety, aby jej nadać formę odpowiadającą ówczesnym pojęciom o poezyi epickiej, czy to przez usunięcie niektórych rzeczy, czy przez dodanie innych, czy wreszcie przez widoczne tu i owdzie

<sup>1)</sup> str. 33, 34.

<sup>2)</sup> str. 36.

<sup>3)</sup> str. 39.

naśladownictwo klasycznych wzorów, ale z tem wszystkim w najważniejszym punkcie nie udało mu się słusznym w tej mierze wymaganiom zadość uczynić. Poemat ten nie ma w sobie jedności, kardynalnego warunku każdego dzieła sztuki. Jak na sukni nie dobrze zszytej, albo na budowlu, która nie powstała naraz, ale z biegiem czasu przez różnych majstrów częściami była stawiana, tak i na nim widać szwy, luki i dostawki, a zarazem pewną nieforemność i nieproporcjonalność. Poeta nie dokonał swej pracy z potrzebną do tego samodzielnością, nie tworzył sam, ale brał gotowe materyały i to nie z jednego nawet źródła, i te różnorodne żywioły spajał ze sobą i łączył niby gwałtem i przemocą, nie przetopiwszy ich wprzód w własnej fantazyi i natchnieniu na jednolity kruszec, w którymby zatarły się pierwotne i naturalne różnice jego składowych części. Choć przy tem przyznać mu także należy, że robił daleko lepiej, niż zwykle inni późniejsi poeci. Poczucie dobrego smaku widać w nim choćby w tych usiłowaniach, przez które starał się zadość uczynić warunkom dobrze napisanego poematu epicznego. Jeszcze czuć tutaj żywą tradycyą tych zdrowych i czystych pojęć literackich, jakie z klasycznej literatury spłynęły na umysły ludzi XVIgo wieku, i Grochowski, jak wielu innych później, nie grzeszy ani przesadą, ani napuszonością, ani zwłaszcza u jego następców tak pospolitą trywialnością. Cała opowieść jego trzymana jest w stylu prostym i szlachetnym. Zasługa to po części i pierwowzoru, na którym się opierał, ale także i jego własna, bo ta szlachetność nie opuszcza go i w ustępach oryginalnie przez niego napisanych. Ileż to obelg, przezwisk i naigrawań dla żydów łączyli zwykle późniejsi autorowie podobnych poematów religijnych, a między nimi i tak znakomity jak Wacław Potocki, z opisem męki i śmierci Chrystusa, nie znajdując dość zelżywych wyrazów na potępienie całego plemienia za zbrodnię przez praocjów popełnioną! Ten sam przedmiot miał i nasz poeta tutaj pod piórem, i jak wiemy, nie obrabiał go według tekstu legendy, tylko według własnego pomysłu. A jednakże religijny jego zapał (choć był w samej rzeczy szczery i gorący) nie uniósł go tak daleko, aby stłumił w nim poczucie dobrego smaku i grube, zelżywe słowa włożył mu w usta. Najdosadniejsze wyrażenie, którem okrucieństwo żydów potępia, znaleźliśmy w tych oto trzech wierszach:

Z umarłego (Chrystusa) co żywo sztydzi i nagrawa,  
Paszczyki nań rozdarli i gęby straszliwe,  
Natrząsając się z członków, chociaż już nieżywe —

a zaiste ten obraz bezrozumnego motłochu, który śmierci niewinnej i świętej urąga, jest raczej psychologicznym rysem dla historycznej wierności tu dodanym, a nie wypływa z intencji autora, aby cały naród obrzucić nienawiścią i wzgardą.

Nie znalazł Grochowski tak dobrej pomocy w swoim źródle przy pisaniu innego poematu, w rodzaju podobnym do św. Cecylii i dlatego jego *Stanisława św. krakowskiego biskupa i męczennika żywot* (Kraków 1604)<sup>1)</sup> wypadł też nierównie gorzej. Legenda o św. Cecylii, jak gdyby jej autorowi przytomny był w umyśle znany przepis Horacyuszowskiej poetyki, wkraczała *in medias res* i z żywota tej świętej opowiadała tylko to, co było w nim najważniejszego, co stanowiło dramatyczną chwilę jej życia, rozstrzygającą o całej przyszłości i odsłaniającą nam jak najwyraźniej tajemnicę jej duszy i charakter. Wszystko zresztą co poza tem leżało, co tę epokę życia poprzedziło, jako pozbawione głębszego interesu zostało pominięte i w kilku tylko rysach, przy sposobności rzuconych, domyślności naszej pozostawione. Dlatego to właśnie w Cecylii uwidoczni się pewna, choć niedoskonała forma artystyczna. W *Żywocie św. Stanisława* trzymał się Grochowski również wiernie opowieści, jaką o życiu tego świętego spisali Brat Wincenty i Długosz. Ale ponieważ jest to opowieść kronikarska, przedstawiająca w porządku chronologicznym bez względu na mniejszą lub większą doniosłość faktów, wszystko co z życia św. Stanisława mogło być wiadome, zatem i w przeobrażeniu Grochowskiego pozostała nietknięta ta forma prozaiczna, i nie znać na niej żadnych wcale usiłowań jakiegokolwiek artystycznej kompozycji. Jest to, krótko mówiąc, wcale zwięzłe w gładkich rymach streszczenie tego, co opowiedział Długosz, będący zapewne bezpośrednio dla Grochowskiego źródłem. Równocześnie z tym swoim utworem o św. Stanisławie wydawał nasz poeta także dwa inne poematy o tym świętym, przez Royziusza i przez Szymonowicza pisane, znane nam już *Encomia divi Stanislai*, czytał je więc niewątpliwie i dobrze nawet znać musiał. Z tej okoliczności możnaby przypuszczać, że wywarły one jakiś wpływ na niego, że będzie jakaś wspólność między temi obcemi pracami, a jego własną. Ale w istocie tak nie jest; przykład obu tamtych poetów nie podzielał na Grochowskiego, czego bez wątpienia można żałować, bo każdy z tych poematów jest o wiele artystycznie obmyślany, niż utwór naszego poety. Tak Royziusz jak i

<sup>1)</sup> Drugie wydanie, Kraków 1607, trzecie b. m. i r.

Szymonowicz, rzeczy mniejszej wagi zbywając krótko lub pomijając zupełnie, zesrodkowali całą akcją w najgłówniejszym fakcie, to jest w zatargu św. Stanisława z królem, w którym charakter jego najwidoczniej się rozwija i z którego tragiczna jego śmierć wypływa.

Z całego też *Żywota* najładniejszą jest i poetyczną posiada wartość, nie należąca już do właściwej treści, końcowa modlitwa, w której poeta zanoszący prośby do tego patrona Polski, aby wyjednał ojczyźnie błogosławieństwo boże, zwłaszcza żeby „próżna kacerstwa kwitnęła w pokoju“ i opiece jego porucza papieża, króla Zygmunta z synem, kardynała Mciejowskiego, biskupa Tylickiego, hetmanów, kapitułę i akademię krakowską, zgromadzenia zakonne, a wreszcie po wyliczeniu tych najbliższych jego sercu osób i instytucyj, także cały naród:

Cną krew szlachecką i koronne syny,  
Radę krakowską i gmin...

W późniejszych wydaniach, w czasach Rokoszu, dodał Grochowski jeszcze drugą krótką modlitwę „w dzisiejsze domowe niepokoje za biskupy koronne“, w której prosi św. Stanisława, ażeby wstawił się do Boga

... i za dzisiejszemi  
Pasterzmi, żeby byli z nieba posileni  
Na dzisiejsze rozruchy, jako o nich radzić,  
Jako Łódź opłakaną do portu wprowadzić.

Poemat o św. Stanisławie stanowi niejako przejście do tych kilku mniejszego znaczenia i drobniejszych religijnych prac Grochowskiego, o których tu jeszcze mówić mamy. *Hierozolimska processia*, wydana w Krakowie 1607, a potem jeszcze po dwakroć bez wyrażenia miejsca i czasu, jak sam autor w niezwykle długim jej tytule powiada, była „wzięta z ksiąg Hierozolimskiej Peregrinathey albo Pielgrzymowania Jaśnie Wielmożnego Pana Mikołaja Chrzysztopha Radziwiła na Ołyce i Nieświeżu książęcia“ a napisana „gwoli nabożnym ludziom, a mianowicie Bractwom Compassiey Zbawiciela naszego i processiom ich“. Pomimo powyższego zapewnienia, z właściwą peregrynacją Radziwiłła Processya Grochowskiego nie ma nic wspólnego. Ale przy końcu swojej Peregrynacyi Radziwiłł, który ją w czterech listach opisał jednemu ze swych najlepszych przyjaciół, którego, jak Treter powiada, jakby brata rodzzonego kochał, posłał mu także plan ko-

ścioła grobu Zbawiciela w Jerozolimie, tudzież porządek procesyi, zachowywany tamże przez pielgrzymów wraz ze śpiewanemi przez nich pieśniami. Treter wydał pierwszy (w Brunsberdze 1601) tę Peregrynacyą Radziwiłła, nie w oryginalnym jednakże tekście polskim, jak była pierwotnie napisaną, tylko w zrobionym przez siebie przekładzie na język łaciński, a na końcu zamieścił także i ów porządek procesyi jerozolimskich przez Radziwiłła do opisu podróży dołączony. W sześć lat później, ażeby książkę tę w rękopismach i w tłumaczeniu łacińskim chętnie czytowaną, więcej uprzystępnieć ogółowi, z przekładu Tretera przełożył znów na język polski i wydał ks. Andrzej Wargocki<sup>1)</sup>. Z tym to przekładem Wargockiego *Processya Hierozolimaska* Grochowskiego wydaje nam się być w ścisłym związku i niewątpliwie przezeń została wywołana. Wargocki jako niepoeta nie umiał przetłumaczyć owych łacińskich hymnów processjonalnych, które Treter na koniec swego przekładu za Radziwiłłem podał. Albo więc on sam, albo księgarz i nakładca musieli obejrzeć się za kims, komuby tę pracę powierzyć. Grochowski, który wtenczas w Krakowie bawił, z poetycznego talentu dawno był znany i wiele podobnych przekładów już zrobił, najodpowiedniejszym w istocie był do tego, i jemu też zapewne jako dopełnienie przekładu Wargockiego oddano tłumaczenie tej poetycznej części Peregrynacyi. W samej książce Wargockiego są też pewne wskazówki, które za tem przypuszczeniem przemawiają i pokazują, że Grochowski miał pewien udział w jej wydaniu. Pod wizerunkiem Radziwiłła w niej umieszczonym jest epigram pióra Grochowskiego (w pierwszych czterech wierszach zresztą przetłumaczony z podobnegoż wiersza Tretera), a w przywileju królewskim, wydrukowanym na końcu przekładu Wargockiego i udzielającym nakładcy Kempiniemu prawo na wyłączną sprzedaż tej polskiej Peregrynacyi, znajdujemy dodane te jeszcze słowa: „toż samo ma się rozumieć i o processy Jerozolimskiej“. Niewątpliwie mowa tu nie o innej Processyi tylko o tej, którą Grochowski przetłumaczył dla uzupełnienia polskiego wydania Peregrynacyi, a która dla celów praktycznych, dla prędszego zbytu, jako książka głównie nabożna, nie razem z właściwym dziełem, ale osobno była wydana.

Processya Grochowskiego zawiera jednak w sobie więcej, niż spisany przez Radziwiłła jerozolimski *Ordo processionis*. Ten

<sup>1)</sup> Peregrynacya albo pielgrzymowanie do Ziemi Świętej... Kraków 1607.

ostatni ma przy każdej stacyi: stosowny hymn, antifonę i krótką modlitwę, które Grochowski w tym samym porządku zawsze tłumaczy. Ale prócz tego dodaje on przy każdej stacyi jeszcze nauki i rozmyślenia wierszem albo prozą, a często i w wiązanej i niewiązanej mowie zarazem. Bez wątpienia, pewna część tych rozmyślań będzie własnym jego utworem, niektóre jednakże, mianowicie wierszem pisane, i to najlepsze z nich, wydają się przekładami z jakichś nieznanych nam nowszych religijnych poetów. Takim zapewne jest ładny wiersz: *Lamenty niektórych białychgłówn Jerozolimskich nad Panem Jezusem krzyż swój dźwigającym na górę Golgoty*<sup>1)</sup>. Córki Jerozolimskie, oburzone tem, co się z niewinnym prorokiem dzieje, taką apostrofą do natury zamykają swoje narzekania:

O słońce, na to patrzysz? i ty ziemio, ani  
Otworzasz na złe ludzie piekielnych odchłani: (sic)  
Pioruny, co bijecie na niewinne skały,  
Toćby was było trzeba, gdzieście się podziały?  
Zasnęłyście podobno, czyli nie widzicie  
Tych zbrodniów, że im folgę tak długo czynicie?  
Tu było ogień spuścić, co był u Sodomy:  
Czyli was nie chce spuścić sam Bóg władogromy?<sup>2)</sup>

Podobnież i Rozmyślanie jedenaste, które właściwie nie jest jak inne rozmyślanie w tej książce kontemplacją i rozważaniem nad odpowiednim ustępem ewangelii, ale lirycznym żalem, jakim odzywa się Marya Magdalena, nie znajdując w grobie ciała Chrystusa i nie wiedząc, gdzie się ono podziało. Jest to wiersz, mający w sobie nie mało silnych akcentów i uczucia, dochodzącego do ekstazy. Głosy aniołów pocieszają Maryą Magdalenę i upominają żeby nie płakała. Ale dla niej słaba to bardzo pociecha:

Słyszę anioły mówią, żebym nie płakała,  
Czemu nie raczej mówią, żebym wyszła z ciała?  
Azaby mi łżejsza śmierć, niż tak gorzkie zdrowie,  
Ach nie wiedzą, co to żal surowy, Duchowie!...  
By mię wszystka niebieska rzesza nawiedziła,  
Jeszczeby mię zupełnie tak nie pocieszyła.  
Stworzyciela ja pragnę, nie pragnę stworzenia:  
Samego, nie aniołów, pragnę ja widzenia.

<sup>1)</sup> Processya Hier. Krak. 1607, str. 44—47.

<sup>2)</sup> Tamże str. 47.

To mam o co nie stoję, nie mam o co stoję:  
Jużem widzę pociechę utraciła swoje<sup>1)</sup>.

Ona chce koniecznie widzieć Pana i wiedzieć gdzie jest, a gdyby wiedziała, gotowa narazić się na największe niebezpieczeństwo, byle zobaczyć tego, którego wielka miłość tak odważną ją czyni:

Gdzieś jest Panie? jeśliś jest, przez się nie ozowiesz?  
Czemu mię tam, kędyś jest, do siebie nie wzowiesz?  
Szłabym i w pośród mieczów, wpośród gęstej zbroje,  
Gdybym cię gdzie widziała, drogie serce moje.  
Miłość mię, miłość twoja wielka czyni śmiałą,  
Potkałabym się za cię z gromadą nie małą.  
Nie straszni mi nic wiley, nie straszni mi lwowie  
Ogromni, nie straszni mi nieszczęśni Żydowie...  
Jeśliś powstał, jakoś rzekł, niech twe słyżę słowo:  
O Magdaleno, nie płacz, nie płacz białogłowo;  
Jakaby mi się radość z tych słów otworzyła,  
Ja wierzę, jakobym się znowu narodziła.<sup>2)</sup>

Oprócz tych rozmyślań dodał Grochowski w *Processyi* niektóre jeszcze pieśni. I tak przy stacyi jedenastej umieścił „na wesołą pamiątkę“ Zmartwychwstania Pańskiego trzy staropolskie pieśni po kościołach w tę uroczystość zwykle śpiewywane: „Christus zmartwych powstał“, „Przez twe święte zmartwychwstanie“ i „Wesoły nam dzień nastał“<sup>3)</sup>. Wreszcie przy ostatniej stacyi dodał dawniej już przez siebie przetłómaczony hymn kościelny: *A solis ortus cardine*. Czyniąc te różne dodatki, opuścił za to, jako do rzeczy nie należący, a po „Porządku processyi“ u Trettera<sup>4)</sup> następujący: *Modus perficiendi sive ordinandi Militem Sanctissimi Sepulchri D. N. Jesu Christi*.

W związku z *Processyą* są *Himny o męce Pańskiej do obrzędów Kalwaryi Zebrzydowskiej i do tamecznego nabożeństwa należące* (Kraków 1611), poświęcone założycielowi Kalwaryi, Mikołajowi Zebrzydowskiemu. Nie jest to praca całkiem nowa. Zawiera bowiem w sobie kilka hymnów, powtórzonych tutaj z *Hierozolimskiej Processyi* (mianowicie I, II, VI, VII, VIII i IX); hymn: *Christe sanctorum decus Angelorum*, powtórzony z *Hymnów Kościelnych*, do czego Grochowski dodał teraz kilkanaście nowo przez siebie przetłómaczonych pieśni z nieznanego nam łacińskiego oryginału.

<sup>1)</sup> Tamże str. 79, 80.

<sup>2)</sup> Tamże str. 80.

<sup>3)</sup> Tamże str. 71—74.

<sup>4)</sup> pag. 299—304.

*Cudowne wiersze z indyjskiego języka przełożone*, (Kraków 1611) należą także do tego cyklu wierszy o Męce Pańskiej, a zawierają w sobie trzy lamente N. Panny nad śmiercią Syna wraz z oryginalnym tekstem łacińskim, jakoteż znane nam już z *Processyi Hierozolimskiej* a tu<sup>1)</sup> pod nieco innymi tytułami i z drobnymi odmianami powtórzone narzekania niewiast jerozolimskich, towarzyszących pochodowi Chrystusa na Golgotę, oraz narzekanie Maryi Magdaleny przy jego grobie. Cudownym wierszem z indyjskiego przełożonym, od którego poszedł tytuł tego zbiorku, jest właściwie tylko pierwsza *Żałoba Panny Najświętszej*, powstała jak Grochowski objaśnia, w nadzwyczajny sposób, sama albowiem N. Panna miała jej nauczyć jakiegoś chorego na nogi człowieka w Indyi „przez sen albo też na jawi“. Jezuita Franciszek Bencius, znany ówczesny pisarz, przetłómaczył ten wiersz z oryginału indyjskiego na język łaciński, a z niego dopiero dokonał swego przekładu Grochowski. *Druga żałoba Panny Najświętszej* ma wprawdzie nie tak cudowny, ale zawsze nie zwykły początek. Jak Grochowski powiada: „jedno pacholę włoskiego narodu wierszem łacińskim napisawszy (tę żałobę), oddał w Rzymie Papieżowi Adryanowi“. Na początku tego wiersza znajdujemy następujący ładny obraz Matki Najświętszej, bolejącej pod krzyżem nad śmiercią swego syna:

Ach Matko, już nie matko, lecz rzekę prawdziwiej,  
Znikomy cieniu matki, jakby już nie żywej.  
Przed krzyżem stoi smutna, rumianą skrwawiwszy  
Twarz swoją<sup>2)</sup>, a stargane włosy rozpuściwszy.  
Oblewa płaczem piersi, patrząc już na one  
Gwiazdom podobne, oczy synowskie zamknięte.  
Okrutną zowie ziemię i słońce okrutne,  
Nie mniej siebie, że patrzy na rzeczy tak smutne.  
Raz i drugi powtarza rzecz jednemi słowy,  
A odźwięk (echo) się otrąca po górach z jej mowy:  
Od którego się zdało, jakby głuche skały,  
Współ z matką strapioną, syna jej płakały<sup>3)</sup>.

W ogóle, jeżeli czytelnik zechce sobie także przypomnieć, cośmy o dwóch jeszcze innych z liczby tych żalów, już przy „Pro-

<sup>1)</sup> str. 15—22.

<sup>2)</sup> Z żalem musimy przyznać, że ta na tem miejscu tak niestosowna „rumiana twarz“ należy wyłącznie do Grochowskiego; oryginał powiada po prostu: *discissa genas*. (Cudow. wiersze 7).

<sup>3)</sup> Cudow. wiersze str. 6.



cessyi“, skąd je poeta tutaj przeniósł, mówili, to gorące ascetyczne uczucie w *Cudownych wierszach* prawie ciągle się odzywające i to w formie niepośledniej wartości, pozwala zaliczyć je do tych prac Grochowskiego, w których zalety jego pióra najlepiej się pokazują.

Cykl wierszy passyjnych zamyka wreszcie: *Pięćdziesiąt punktów rozmyślenia męki Pana Jezusowej służących: przełożone z wierszów łacińskich Jana Dawida Jezewity*, (Kraków 1608, 1611). Są to dwuwierszowe epigramata na rozmaite epizody i narzędzia męki Chrystusa. Dla dania o nich wyobrażenia przytaczamy pierwszy i ostatni:

*Punkt 1. Trzydzieści srebrników.*

Patrz, jako ten Pan dla nas w podłej cenie, który  
Zawiesił na trzech palcach, niebo, morze, góry.

*Punkt 50. Straż u Grobu.*

Pieczętuje grób, daje, choć stooczne stróże:  
Fraszki to: piekło skruszył, więc stąd wyjść nie może?

„Rytmy łacińskie dziwnie stuczne... Kazimierza ś... (opuszczamy dalszy bardzo długi tytuł) wydane w Krakowie r. 1606 i 1607. My mieliśmy w ręku to wydanie drugie, ks. Drożdżewiczowi nieznane, które zawiera w sobie znany hymn św. Kazimierza w oryginale łacińskim: *Omni die* i obok przekład jego polski Grochowskiego, a następnie jak autor pisze: „Hymny łacińskie i polskie o tejże Pannie Najświętszej, wzięte z *Cursu*, który zowiem *Officium parvum*. Te ostatnie po łacinie i w polskim przekładzie tu podane, jest to znowu praca dawniejsza, mianowicie cztery hymny: *Ave maris stella*, *Quem terra, pontus, aethera*, *O gloriosa domina* i *Memento salutis auctor*, już przedtem w Hymnach kościelnych przez Grochowskiego tłómaczone<sup>1)</sup>. Drukowane były, jak tytuł pierwszego wydania powiada „wszystkie te rytmy, które tu są z nutami nowemi i z tabulaturą na lutnię Diomedesa Katona“. Hymn: *Omni die* wcielony później został przez poetę do Hymnów kościelnych w wydaniu z r. 1609. (str. 148—153).

„Pieśń o świętym Stanisławie, patronie polskim. Nowo wydana z notami Diomedesa Katona“ Kraków 1607, następnie „na szczęśliwe wrócenie z Anglii posła J. Królewskiej M. JM. Pana

<sup>1)</sup> W wydaniu Turowskiego Hymnów podług edycji z r. 1599, są to hymny: 66, 67, 68 i przez pomyłkę wypuszczone: 69.

Stanisława Cichowskiego“ przedrukowana bez wyrażenia miejsca i czasu z nowemi nutami na cztery głosy, pod któremi podpis Aspriii Pacelli magister capellae S. R. M., weszła w końcu podobnie jak pieśń św. Kazimierza w skład Hymnów kościelnych w najpóźniejszym ich wydaniu z r. 1611 (str. 101). Jest to pieśń z charakterem epicznym, treściwie życie tego męczennika opowiadająca i osnuta zapewne na omawianym już przez nas, a dawniej (1604) przez Grochowskiego napisanym *Żywocie św. Stanisława*.

Do religijnych prac Grochowskiego policzyć także należy oryginalny zdaje się wiersz: „Starego Rzymu Pogańskiego z nowym chrześcijańskim stosowanie i różnica“ (Kraków 1610)<sup>1)</sup>. Nie jest to wprawdzie ani pieśń nabożna, ani ascetyczne rozmyślanie, ale lubo treści więcej świeckiej, wypłynął ten wiersz z religijnego uczucia poety, a zwłaszcza z głębokiego jego przywiązania do kościoła i najwyższej jego widomej głowy. Rzym stary, pogański, jakkolwiek tak sławny i potężny, nie może się jednak równać z nowym, który światłem prawdziwej wiary został oświecony. Największym tytułem sławy tego nowego Rzymu jest to, że tu spoczywają prochy pierwszych apostołów:

Więc acz słynie rozlicznym z wielu miar sposobem,  
Lecz najwięcej Pawłowym i Piotrowym grobem —

a dalej i to, że jest siedzibą najwyższej zwierzchności katolickiej, wspaniałego, nowożytnego senatu, który godnością o wiele dawny senat przymski przechodzi:

Nuż koło senatorskie i majestat jego  
Jaki? jako daleko różny od pierwszego?  
Nie temu podobnego u przodków nie było:  
Ani się im o takim potomstwie śnać śniło.  
Wszak najwyższym monarchom równi w dostojności,  
A jaki ich majestat, jakiej są zaćności!...

Jeżeli kurya rzymska i Kollegium kardynalskie, które tu przez ów senat Grochowskiego rozumieć należy, takim są majestatem otoczone, cóż dopiero mówić o tym, który jest pierwszym w tym nowożytnym Rzymie i w całym chrześcijaństwie:

<sup>1)</sup> Wymieniony przez ks. Drożdżewicza (XXVII) wiersz: „Rzym nowy szczęśliwszy nad stary, ojeu św. Pawłowi V z pewnych przyczyn przypisany“. Kraków 1610 będzie zapewne innym wydaniem powyższego. Wydania tego nie znamy.

Sam namiestnik Chrystusów na swym świętym tronie,  
 Jako jeden Bóg ziemski w troistej koronie.  
 Ociec wszech prawowiernych moc Bożą mający,  
 Na ziemi niebo z piekłem w garści trzymający:  
 Cnotliwych do niebieskich krajów odsyłając,  
 A nie pokutujących zbrodniów czartu dając.

Nie ma zgoła większej potęgi na ziemi nad tego pana nowożytnego Rzymu i nad Rzym katolicki:

Owa, okrągło mówiąc: jako ziemia nieba  
 Mniejsza, jak członków równać do głowy nie trzeba:  
 Tak świat wszystek, eny Rzymie, przeciw twej osadzie,  
 Nie jest, niech jako chce wysoko się kładzie.

Być może, iż do napisania tego wiersza wziął Grochowski pochop z książki wydanej w owe czasy przez X. Andrzeja Wargockiego p. t.: *O Rzymie pogańskim i chrześcijańskim ksiąg dwoje* (Kraków 1610). Książka ta zawiera opis geograficzny i historyczny Rzymu i porównywa jego starożytne i nowsze dzieje w duchu zupełnie podobnym do tego, jaki panuje w wierszu Grochowskiego. Mamy zresztą dowód, że nasz poeta znał tę książkę, bo pisał do niej wiersz<sup>1)</sup> na herb X. Pirawskiego, któremu Wargocki tę pracę swoją poświęcił.

Na sam koniec pozostawiliśmy dwa jeszcze pisma religijnej treści Grochowskiego, dlatego że są one jedynymi w polskiej prozie przez niego wydanymi pracami; należało więc odłączyć je od rzeczy w mowie wiązanej pisanych. Jest to najprzód „Krótkie zebranie... z rozmaitego nabożnego pisania, które w księgach swych na świat podał jeden z kapłanów Societatis Jesu, Fulvius Androtius“, jak nas przedmowa do czytelnika objaśnia, traktat ascety-

<sup>1)</sup> Z powodu rzadkości wyżej wymienionej książki Wargockiego, przepisujemy tutaj ten wiersz, w wydaniu Turowskiego nie umieszczony.

Słusznie ten klejnot nosisz przez swe zacne cnoty:  
 Które zdobią z wielu miar twe piękne przymioty.  
 I które cię dziś wielkim stanom zalecają,  
 Zwłaszcza tym, którzy dobrze na ludziach się znają,  
 Wielkać to: podobać się przełożonym swoim:  
 Lecz, cóż (sic zam. coś) większego w szczęściu upatruję  
 [twoim,

Które, jako sława jest, grunt sobie zakłada  
 Na łasce tego Pana, który wszystkim włada.  
 Tego służby kto pilen, co wiemy o tobie:  
 Najlepszą, Chrystus mówi: cząstkę obrał sobie.

czno-moralny zbudowaniu wiernych służący, dający im rady i wskazówki, co uczynić i jak postępować mają, ażeby doszli do zbawienia i dlatego nazwany: *Ścieszka pobożnego chrześcijanina...*<sup>1)</sup> Pięć rozpraw, mianowicie: o powszednich grzechach, o spowiedzi, o skrupułach, o lekarstwach przeciw grzechom i o rozmaitych kłopotach i frasunkach na człowieka przypadających, zawiera w sobie ta niewielka książeczka. Należała ona niegdyś do pism Grochowskiego najczęściej przedrukowywanych i była jedynym, które później po jego śmierci podobno dwa razy jeszcze wydano (1647 i 1648). Podobała się widać ludziom owych czasów i potrzebna była do ich praktyk religijnych; dzisiaj, zwłaszcza że jest tylko streszczonym przekładem z obcego autora, nie ma dla nas literackiego znaczenia.

Toż samo można powiedzieć o drugim jego przekładzie podobnegoż prozą pisanego traktatu religijnego: „Sposób krótki rozmyślenia przepadłości męki i śmierci Zbawicielowej. Łacińskim językiem od jednego z doktorów w piśmie świętym zawołanego krótko spisany. A teraz dla Braciny krakowskiej, nabożeństwa męki P. Jezusowej przy kościele ś. Franciszka po polsku wydany“. (Kraków 1608). Treść tej książeczki stanowi dziewięć ascetycznych rozmyślań o różnych chwilach męki Chrystusowej.

Z pism religijnych Grochowskiego, jak je dotychczas wlicza błędna częstokroć i niepewna jego bibliografia, dla której ks. Drozdziwicz najwięcej zrobił, nieznanie całkiem jest nam tylko jedno: *Duchowna pociecha pannom, albo obrona swobody w kościele bożym przedniej a wysokiej zacności stanu panińskiego* (Kraków 1610 i 1611). Jak Ż. Pauli objaśnia<sup>2)</sup>, jest to rzecz pisana wierszem, a z tytułu widać, że musiała to być apologia stanu zakonnego u kobiet, którego potrzebę i racją bytu ówczesne swobodniejsze wyobrażenia, pod wpływem protestantyzmu wyrosłe, w wątpliwość podawały.

Prawie wszystkie zatem religijne utwory Grochowskiego, z bardzo nielicznymi wyjątkami, jak przeglądając je szczegółowo przekonać się o tem mogliśmy, były nie oryginalnymi jego pracami, ale tłumaczeniami. Ta mnogość przekładów wydawała się już niejednemu zbyt zadziwiająca i niejeden w ubocznych okoli-

<sup>1)</sup> Kraków 1600, 1601, 1608 i w Poznaniu 1647, a jak chce Maciejowski także i 1648.

<sup>2)</sup> W dopełnieniu ks. Drozdziwicza wyd. Tur. XLIX.

cznościach szukał dla niej wytłómaczenia, w istocie jednak jest ona całkiem naturalną.

Grochowski w taki sam sposób stawał się tłumaczem, w jaki był i wydawcą dzieł cudzych; też same przyczyny, które z jego własnych zeznań nieco dawniej mieliśmy sposobność poznać, działały na niego wtenczas, gdy nowe przedruki starych książek ogłaszał, jak i wtedy, gdy obce utwory własną pracą w polski wiersz przelewał. Jako ksiądz z zawodu z książkami religijnej treści i w prozie i wierszu miał najwięcej do czynienia i zarówno z przyzwyczajenia jak i z zamiłowania w nich się najczęściej rozczytywał. Jako kapłan, pełniący służbę bożą i opatrujący potrzeby duchowe swej ovczarni, mógł także wiedzieć dobrze, co dla wiernych byłoby pożyteczne, czego jeszcze nie mieli i coby im dać należało. Jedne z tych książek łacińskich uważał za stosowne powtórzyć jedynie w oryginale; inne znowu, a może być właśnie te, które jeszcze więcej mu się podobały, chciał wydać w mowie dla wszystkich zrozumiałej, uczynić je przystępnymi nie tylko dla księży i klasy wykształconej, ale dla całego ogółu, i te piękne myśli, te wzniosłe religijne uczucia, których sam z owych książek doznawał, dać poznać wszystkim i tym sposobem oddać ich duszom prawdziwie kapłańską przysługę. Podobne przyczyny kierują zawsze wszystkimi tłumaczami: głębszem wrażeniem, które na nich jakieś dzieło wywarło, pragną się podzielić z innymi; tego uczucia estetycznego, którego od obcego utworu doznali, chcą także dać pokosztować drugim.

Psychologiczne te i naturalne przyczyny wydają nam się też zupełnie wystarczającymi i jedynie prawdziwymi, ażeby objaśnić, dlaczego z taką gorliwością i tak często oddawał się Grochowski tłumaczeniu obcych łacińskich poezyj na język polski. Za przykładem innych<sup>1)</sup> nie będziemy szukać tych przyczyn gdzieindziej,

<sup>1)</sup> Wiszniewski pisze (Hist. lit. VII, 104): „Grochowski więcej przekładał i naśladował niż pisał z własnego natchnienia, częściej z cudzego poduszczenia niż z własnej ochoty. Maciejowscy zachęcali go do pisania rzeczy nabożnych; Jezuiti kazali mu tłumaczyć wierszem polskim, pisane przez zagranicznych Jezuitów pieśni po łacinie“. Toż samo powtarza, widocznie idąc za Wiszniewskim i Maciejowski (Piśm. I, 637), dodając jeszcze od siebie wcale z prawdziwym stanem rzeczy niezgodzące się argumenty: „Sam (Grochowski) o tem świadczy w przypisywaniu dzieł, które najczęściej (?) imieniem Maciejowskich ozdabia, a w „Toruńskich nocach“ wyraźnie nawet o tem mówi“ (my tego jednak nie znaleźliśmy).

w zewnętrznych mianowicie jakichś pobudkach, w namowie i „poduszczeniu“ Maciejowskich i Jezuitów, którzy mieli na to wpływać i o to się starać, aby Grochowski religijne wiersze łacińskie, przez zagranicznych Jezuitów pisane, na język ojczysty przekładał. A gdyby nawet i tak było? — i przypuszczamy bardzo chętnie, że jeśli nie zawsze, to kiedy niekiedy w istocie tak bywało i tak być musiało. Grochowski żył bliżej, w stosunkach przyjacielskich z obu braćmi Maciejowskimi, z wielu uczonymi i naszej literaturze wielce zasłużonymi Jezuitami, z biskupami Szyszkowskim, Pstrokońskim i innymi tego rodzaju i tego ducha ludźmi, czytywał im swoje wiersze, rozmawiał z nimi o swoich i cudzych książkach, jednym słowem, była między nimi pewna wymiana myśli, tak w rzeczach literackich jakoteż i w obchodzących ich specjalnie jako księży rzeczach religijnych. Cóż nadto naturalniejszego, że jeden lub drugi z tych ludzi mógł jakąś myśl Grochowskiemu poddać, zachęcić go do jakiejś pracy, wreszcie żądać i prosić po prostu, jak Kasper Maciejowski o przetłómaczenie „Cudownych wierszy“, aby poeta to lub owo zrobił, tego lub owego autora zagranicznego ojczystemu językowi przyswoił. Nie należy się jednak robić Grochowskiemu z tej przyczyny zarzutu, a tem mniej okazywać mu jakieś pogardliwe lekceważenie. W dziejach sztuki i literatury podobne rzeczy nieraz się powtarzają, a poddanie jakiejś myśli przez drugą osobę równa się bardzo często własnemu, bezpośrednio z zewnątrz otrzymanemu natchnieniu, i sławie twórcy ani dziełu bynajmniej nie uwłacza. Wszakże i Kochanowski napisał Odprawę posłów greckich na żądanie Zamojskiego; tylu najslawniejszych mistrzów malowało obrazy na zamówienie swych mecenasów, a tylu znakomitych autorów pisało dramaty i komedye dla pewnych aktorów lub aktorek.

Gdyby więc nawet tak było, nie byłaby to ani rzecz nadzwyczajna, ani pod jakim bądź względem ujmę Grochowskiemu czyniąca. Słuszność wymaga jednak powiedzieć, że było wcale inaczej, że poeta nasz biorąc się do przekładów, szczególnie większych i ważniejszych dzieł, szedł jedynie za własnem upodobaniem i natchnieniem, że nie cudze namowy zachęcały go do pracy, ale że dodawało mu do niej ochoty i siły gorące przejęcie się i zainteresowanie utworami, które na język polski przekładał. Z jakimże niezwykłym zapałem brał on się do tłumaczenia Hymnów, kiedy rozpoczynał je od modlitwy do „wielkiego Boga a Zbawiciela“, na podobieństwo owych wielkich artystów, co padali na kolana, błagając niebios o pomoc, o natchnienie i siłę

ducha, potrzebną do wykonania zamierzonego dzieła. A ta prośba jego była tak szczerą, to podniesienie umysłu w nim tak prawdziwe i wysokie, że oddał je w paru strofach istotnie pięknych i o rzeczywistości natchnieniu poety świadczących:

Na chwałę Boże twoję i na słodkie himny  
Dodaj siły, rządź pióro, rozpal umysł zimny,  
Oczyść zmasane wargi: oto przed anioły  
Zaczynam z Twym kościołem rym straszno-wesoły.

Pienie kochanki twojej, głos twej ulubionej  
Synogarlice, zbytnią miłością zranionej  
Przed jasną fortę przypuść: a poznasz że ona  
Kołace, krwią najdroższą twoją odkupiona.

Dzień li po niebie, nocli konie swe prowadzą,  
Dzień i nocne godziny wytechnąć jej nie dadzą  
Od tęsknice za tobą, bądź w łagodnym pienu,  
Bądź w prośbach, bądź w przeczystej ofiary czynieniu<sup>1)</sup>...

Albo znowu: jak wysoko cenił on tę książkę Tomasz  
a Kempis: O naśladowaniu Chrystusa, jak drogą mu ona była,  
jak pożyteczną mu się wydawała, i jak często czerpał on z niej  
lekarstwo na cielesne i duszne swe dolegliwości:

Ta książka jest, która mię sokiem swej słodkości  
Pokrzepia i zagrzewa w mojej oziębłości.  
Bądź ja zdrów, bądź odmianę jaką w zdrowiu czuję,  
Zawsze pociechę swoją w tej książce znajduję.

Zda mi się, że w niej ciało i duszę omywam,  
I myśli rozpuszczone do serca zwoływam:  
Stawam się inszym mężem, strzegąc się swych wiela  
Nałogów, za pomocą mego Stworzyciela.

W tłumaczeniu tej książki przez siebie widzi on nie zwykłą pracę literacką, ale zdaje mu się ono być zasługą wobec Boga i takim dobrym uczynkiem, który w dniu sądu po śmierci wyjedna mu miłosierdzie i przebaczenie licznych jego grzechów:

Tam mię spytasz — odzywa się poeta do Boga —  
com czynił, gdy na pięknym niebie  
Gwiazdy przed rannym świtem wychwalały ciebie.  
Więc iż się tych ogromnych słów na on czas boję,  
Dzień uprzędzam, straż nocną wytrzymywam swoją...

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. II, 5,

i — że myśl poety dokonamy już swojemi słowami: pracuje nad tłumaczeniem tego świętobliwego dzieła.

Z ukończenia tej pracy czuł się też Grochowski szczęśliwym i dumnym jak rzadko. Uniesiony autorskiem zadowoleniem powtórzył tym razem Horacyuszowskie: *Exegi monumentum*, przypisując jednakowoż całą wartość dokonanego dzieła nie sobie i swym zdolnościami, ale pomocy Pana Jezusa („Któryś mi był powodem i serca mi dodał, Abym tę wiążaną w rym książkę na świat podał“), jakoteż wysoko moralnym i zbawiennym dla każdego chrześcijanina naukom w tej książce zawartym:

Za twym błogosławieństwem dziełom skończył, które  
Powodzą nie zatonię ani ogniem zgorę.  
Wiatr go z gruntu nie wzruszy, piorun nie porazi,  
Nieszczęście nie shokduje, przygoda nie skazi.  
Z twej łaski, jako mniemam, przetrwa w miedzi lane  
Kolumny, i z drogiego marmuru kowane  
Aegipskie Piramidy, cudowne kolosy,  
Które sława wynosi pod same niebiosy:  
Bo to będzie naczynie wieczne twojej chwały,  
Onych nie masz, albo już starością zwątląły.  
Stamtąd rzemieślnik jeden dostał sobie sławy,  
A tu się każdy przejrzy chrześcijanin prawy,  
Czego mu niedostawa ku doskonałości:  
A tamte wszystkie dziwy podległe próżności.

Kto do tego stopnia ukochał jakąś książkę, kto tyle widział w niej pięknego i dobrego, jak nie miał jej tłumaczyć, i czy potrzebował do tego obcej namowy, poduszczenia od kogoś z boku? O pobudkach do innych przekładów nie mamy tak namacalnych świadectw. oprócz jednakże gorącego ducha religijnego, jaki z tych książek zagranicznych do wzrastającej u Grochowskiego z wiekiem pobożności zachęcająco przemawiał, same poetyczne zalety niektórych pomiędzy nimi, jak Floridorum Pontana, jak Cudownych wierszy, mogły już wystarczyć, aby poeta jął się tej pracy, i w ojezycznym języku dał je poznać światu.

Swoją drogą niezaprzeczoną prawdą jest także i to, że Grochowski, tłumacząc tak wiele utworów religijnych, pomnażał znacznie poezją polską tego rodzaju i popierał tym sposobem dążenia tych, którym na tem zależało i którzy o to się starali, ażeby poezją religijną w duchu katolickim upowszechnić ile możności w kraju. Protestantyzm nauczył niedawno, jak łatwo pieśń religijna w narodowym języku śpiewana podbija umysły i jak bardzo się przyczynia do zwiększania liczby zwolenników; i protestan-

tyżm też wyprzedził kościół katolicki w uprawie tego poetycznego pola. Jak pierwsze przekłady pisma świętego, jak pierwsze Postylle, tak wyszły u nas od protestantów i pierwsze kanecyonały polskie: Braći Czeskich (1554), Jakóba Lubelezyka (1558), Seklucyana (1559), wreszcie kilka razy od r. 1578 wydawany kanecyonał Piotra Artomiusa. Kiedy więc kościół katolicki walkę przeciwko dyssydenckim wyznaniom na seryo i z wytężeniem wszystkich sił swoich podejmował, okazała się także potrzeba katolickich pieśni religijnych w polskim języku, któreby pieśni protestanckie wyrugowały, i przez katolicki lud tak samo mogły być po kościołach śpiewane, jak protestanci po zborach śpiewali swoje. Z końcem dopiero XVI. wieku, jak Wiszniewski powiada<sup>1)</sup> około 1591 r. zaczęli katolicy księża wprowadzać zwyczaj po kościołach swoich śpiewania pieśni nabożnych i psalmów w języku polskim. Tłómaczyli wtedy niektóre hymny, jak już widzieliśmy, Hier. Powodowski i Marcin Laterna; Wujek i Wielewicki, jak Wiszniewski, lubo nie z wielką pewnością, twierdzi, mieli wydawać pieśni nabożne, ale pierwszym, który rzeczywiście wydał cały zbiór pieśni religijnych, cały kanecyonał polski, był nie kto inny tylko nasz poeta Grochowski, kiedy w roku 1598 i 1599 swoje tłómaczenie Hymnów, Próż i kantyków ogłosił. Po tym pierwszym kanecyonał katolickim nastąpił liczny szereg jego przekładów, a czasem i oryginalnych wierszy religijnych, które bądź służyć miały, jak Hymny o Męce Pańskiej, za nabożne pieśni dla katolickiego ludu, bądź ascetycznym swoim nastrojem rozbudzać w wiernych tym gorętszego religijnego ducha, jak Naśladowanie P. Jezusa, bądź wreszcie obrazami przemawiającymi więcej do fantazyi i serca, jak w Wirydarzu i Ś. Cecylii, wzniecać w nich miłość do Zbawiciela, jego świętych, i w ogóle do wszystkiego co jest dogmatem, obrzędem albo tradycją kościoła katolickiego.

Jest tedy Grochowski pierwszym w języku polskim poetą katolickim w duchu tego nowego prądu, jaki stworzyła wewnętrzna reforma kościoła w końcu XVI. wieku w całej Europie władzę papieską uznającej, tudzież reakcyi katolicka, jaka począwszy od Stefana Batorego oparła się protestantom w Polsce i szczęśliwie go zwyciężyła. Poety tak prawowiernego, popierającego tak usilnie i bezwarunkowo dążenia i zasady kościoła, do tej pory w literaturze naszej nie mieliśmy. Grochowski pierwszy wprowadza do naszej poezyi religijnej, z obcych niw je przeszczepiwszy,

<sup>1)</sup> Hist. liter. VI., 423.

i ascetyzm i mistyczną dewocją i wreszcie ten styl rococco, który mięsza rzeczy ludzkie z boskimi, i posługuje się zmysłową ornamentyką w celach wzbudzenia tem gorętszej miłości dla rzeczy duchowych. On pierwszy także (czytelnik zechce sobie przypomnieć przytoczone przez nas ustępy z Rzymu nowego) w słowach pełnych entuzjazmu, jak nikt przed nim, wielbi świętość i wielkość papieskiego majestatu. Później znajdzie on wielu w tej mierze naśladowców, poetów podobnym ascetycznym i ultrakatolickim duchem natchnionych, ale współczesny jemu Miaskowski, choć tak wiele wierszy religijnych pisał, tych cech, pojawiających się po raz pierwszy na Grochowskim, wcale jeszcze nie posiada.

Czy to Jezuici tak Grochowskim kierowali, że się stał poetą podług tendencyi i ducha ich zakon ożywiającego? nie będziemy do tego pytania zbyt ciężko przywiązywać wagi. Niekoniecznie było potrzeba, ażeby jakiś osobisty kierunek Jezuici mu nadawali; wystarczyło już to, że on od bardzo dawna do nich przyłączył i ich wpływowi z całego serca ulegał. Ich zasady i dążności wydawały mu się zawsze jak najlepsze i najzbawienniejsze dla dobra kościoła i wiernych. Żył on prócz tego ciągle prawie, przynajmniej w tych latach, w których coś więcej o nim wiemy, i w których prawie wszystkie te religijne wiersze powstały, pomiędzy ludźmi o surowych przekonaniach religijnych, oddanymi całą duszą sprawie kościoła i walecznymi za nią dzielnie w chwilach jak wówczas jeszcze dla niej dosyć ciężkich. Ci najwyżsi dygnitarze kościoła, o których się ocierał i do których czuł szczere przywiązanie i uwielbienie nieraz bez granic: kardynał Radziwiłł, Bernard Maciejowski, Szyszkowski, Pstrokoński i inni, mogli w jego oczach być ideałem i wzorem, który naśladować należało każdemu, ktoby pragnął być wiernym sługą kościoła i gorliwym katolikiem. A skoro oni wszyscy szli w tym nowym kierunku, którego głównymi inicjatorami byli Jezuici, i całą mocą swego znaczenia i stanowiska go popierali, to rzecz prosta i naturalna, że i Grochowski z najgłębszego przekonania, przejmując się pierwiastkami atmosfery, w której żył, ale bez niczyjej szczególnej namowy i bez osobnego jakiegos kierownictwa, szedł za tym prądem, za tym duchem wieku, który przeważnie w owe czasy zapanował w kościele katolickim, a za którym isć uważał pewnie za swój obowiązek, ciężący na nim jako na kapłanie i poecie.

Grochowski nie pisał nigdy panegiryków na cześć Jezuitów, co bez wątpienia najlepiej świadczy o tem, że ich naprawdę lubił i miał istotny, bezinteresowny dla nich szacunek. Odzywał się je-

dnak czasem o nich, i to mianowicie wtedy, gdy uważał za potrzebne stanąć w ich obronie. Jeżeli bowiem zakon cieszył się potężną protekcją króla i dygnitarzy kościelnych, nie brakło mu i nieprzyjaciół, co jego zasady i zasługi w podejrzenie podawali. Miał wielu nieprzychylnych między szlachtą, akademia krakowska była w otwartej z nim walce, między pisarzami taka znakomitość jak Klonowicz ostro przeciw niemu występował, a nawet i znaczna część duchowieństwa krzywym okiem na przemożny jego i nagły wpływ patrzyła, i jeśli nie głośno, to w skrytości duszy nie najlepiej mu życzyła. Przeciwno podobnym to zawistnym głosom i usposobieniom występował Grochowski, wykazując zasługi Jezuitów i potrzebę ich istnienia w Polsce:

Którzy, niech kto mówi co chce,  
Jako są potrzebni w Polsce,  
Skutek to sam pokazuje.  
Gdzie się ten zakon funduje:  
Młódz się ćwiczy w pobożności,  
Kacerstwo swej bezbożności  
Przestawa, a do owczarnie  
Pańskiej co żywo się garnie.

Tak pisał on roku 1603 w wierszu „August Jagiello wzbudzony“; podnosząc jako szczególne zasługi Zakonu wychowywanie młodzieży w duchu katolickim i skuteczną walkę przeciw protestantyzmowi. Gdzieindziej znowu, tak samo naprzeciw nieprzyjaznym dla Jezuitów opiniom stawiał ich wielką żarliwość w rozkrzewianiu wiary i poświęcenie, jakiego zakon w istocie zdumiewające nieraz dawał przykłady. Niechaj, pisał do swego przyjaciela Jezuity Fabrycego<sup>1)</sup>, przesładuje was świat swem kłamstwem i podejrzeniami, wszakże i Zbawiciel podobne przesładowania znosił i przepowiedział wszystkim swoim wiernym, że ich także dla niego przesładować będą.

Jednakże ta złość i przesładowanie  
W rychłe wzmógłszy się, nakoniec ustanie.

Idalej w tym sensie mówi, że sprawa ich zbyt jest dobrą, by nie miała zwyciężyć; Bóg sam nie da zakonowi upaść, bo chociaż i inne zakony pracują dla dobra kościoła, to jednakże to co robią Jezuiti, wyższe jest bez porównania nad wszelkie inne zasługi:

<sup>1)</sup> Toruń. Nocny karta 2.

To nie może być by wasze dzielności  
Nie miały podlegz bożej opatrności,  
To nie może być, by na wasze sprawy  
Bóg nie miał oka i święte zabawy.  
On, on wam nie da upaść, póki wdzięczne  
Słońce na niebie i koło miesięczne.  
Prawda, że każdy zakon nie próżnuje  
W kościele bożym, lecz się świat dziwuje  
Waszym robotom, waszej żarliwości,  
I w świętych waszych zamysłach czujności.  
Świadcami tego jakmiarz wszystkie kraje,  
I gdzie zachodzi słońce i gdzie wstaje;  
Waszy gdziekolwiek od starszych posłani,  
Tam w domu bożym nie są malowani,  
Tam się wstawili, nie tylko staraniem  
O dusze ludzkie, lecz i krwie rozlaniem.

Ten tak gorący zwolennik Jezuitów nie był jednakże fanatykiem. Przed inkwizycją i przed każdym gwałtem w imię wiary spełnianym byłby się nieochybnie cofnął z przerażeniem. Jeżeli pragnąłby kogo był nawrócić na religię, w której jedyne zbawienie widział, to tylko w imię miłości bliźniego. Umiał prócz tego żyć także i z innowiercami, a choć to, w co oni wierzyli, w jego oczach było tylko błędem kacerskim, umiał w nich uznać i uszanować ich ludzkie przymioty i zalety. Jednym z jego dobrych znajomych był Piotr Klos, kupiec i mieszczanin warszawski, a przytem protestant. Nie przeszkadzało to jednak dobrej między nimi zażyłości, ale ponieważ Grochowski owego pana Klosa widać nie mało lubił i cenił, życząc mu dobrze jako przyjacielowi, pragnął, ażeby Klos przyjął katolicką wiarę. Posyłając mu tedy na kolebę jakieś książki, posłał zarazem i wiersz, w którym w delikatny bardzo sposób wynurzył i te prozelityczne swoje życzenia:

Piotrze! godny miłości ludzkiej z każdej miary,  
O krom żeś nie Piotrowej jeszcze ze mną wiary;  
Nadzieja jednak dobra z postępku twojego,  
Zwłaszcza, że pilnie słuchasz rad słowa bożego;  
Że ubogim nie gardzisz, że dawasz gdzie trzeba;  
Ześ rad przyjacielowi nie żakując chleba<sup>1)</sup>.

W podobny sposób i z podobnych powodów chciał on także nawrócić inną jeszcze, nierównie wyżej położoną osobę, rodzoną siostrę Zygmunta III, królową Annę, z którą, jak już dawniej

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. I, 233.

widzieliśmy w czasach, kiedy żył bliżej Warszawy, na dosyć pofałdanej był stopie. Witając przybyłą do Polski królową, składa poeta naturalnie hołd jej urodzie i wielkim przymiotom duszy, ale zaraz potem, nie obwijając w bawełnę, wypomina i słabą jej stronę, że królowa nie jest katoliczką. Więc gdy jej tylko tego do doskonałości brakuje, powinna przejść na łono katolicyzmu, zwłaszcza że to była także wiara jej matki:

Obys jeszcze do rzymskiej wiary się wróciła,  
Lędwiećby gdzie w północnych krajach równa była.  
Ten jest o tobie ludzki głos, córo królewska!  
Z tem cię niech sama rządzi Opatrzność niebieska,  
Abyś swej rodzicielki naśladować toru,  
Wrychle się córką stała prawowiernych zboru;  
Tego ona po tobie pragnie panno słuźna,  
Ta jej za Tobą modła w niebie ustawiczna. —  
Życz i sobie zbawienia, i onej radości,  
A wróć się do kościelnej, ena panno, jedności...<sup>1)</sup>

Historia powiada, że królowa nietylko tym namowom skromnego poety, ale i nierównie poważniejszym i większe mającym znaczenie posłuchu nie dała, i jak żyła, tak umarła protestantką. W odezwanu się jednakże Grochowskiego do niej widać obok zdziwiającej nas dzisiaj śmiałości, ale nie tak dziwnej zdaje się owoczesnej szlachcie polskiej, także i to, że gorliwość jego katolicka występowała na jaw szczególnie wobec osób, dla których skądinąd dobrze był usposobiony i chciał jeszcze i pod tym względem — nieba im przychylić.

Protestantów w ogóle był Grochowski jawnym nieprzyjacielem. Od pierwszego wystąpienia na polu literackim, od owego wiersza przy Postylli Wujka, dał im to wyraźnie do poznania, że widzi w nich tylko kacerzy i odszczepieńców „zdrajców wilków“, którzy dusze ludzkie na zatracenie wiodą, a prócz tego, bo i z tego stanowiska często on się na tę sprawę zapatruje, są przyczyną niejedności i niezgody krajem wicherzącej. Pomimo to i pomimo, że dzisiejsi biografowie jego nieraz o gwałtowność charakteru i o pieniactwo go pomawiają, w pismach jego bardzo mało jest polemiki. Raz tylko jeden wniósł on się w spór religijny, jaki wszczął się między Wojciechem Słupskim, archidyakonem wrocławskim, a Maciejem Rosentretterem, ministrem w Trumieju w Prusach Książęcych. Rosentretter wydał w Królewcu 1606 r.

<sup>1)</sup> Wyd. Tur. I, 207.

*Compendium*, w którym, dowodząc prawdziwości nauki ewangelickiej, ostro zarazem powstał przeciw „fałszywym a martwym ustawom kościoła papieskiego“. Na tę zaczepkę kościoła odpowiedział mu Słupski swoim: *Summaryuszem prawdy katolickiej* (Kraków 1607), który znów wywołał replikę Rosentrettera: *Rozprawa albo examen*. Otóż gdy walka już w ten sposób się rozogniła, i gdy Rosentretter powszechnie na siebie między katolikami wywołał oburzenie<sup>1)</sup>, wprzód jeszcze zdaje się nim Słupski ze swej strony *Odprawą na rozprawę* nowe natarcie Rosentrettera odparł (1610), wniósł się w nią także i Grochowski i napisał wiersz satyryczny: „Do Macieja Rosentrettera, Prusaka, ministra sekty luterowej, prześladowcy prawdy katolickiej, na książkę jego niedawną, którą wydał przeciw archidyakonowi Wrocławskiemu J. M. Ks. Słupskiemu“. Poeta z góry traktuje przeciwnika, zarzucając mu nieuctwo w rzeczach religijnych i zarozumiałość, że osmielił się porwać na człowieka tak uczonego jak Słupski:

I tak bez wstydu z tymi się chcesz spierać,  
Coś im nie godzien i butów ucierać.

Przy tej sposobności wyszydził także i teologią protestancką w ogóle, jako nie mającą naukowej podstawy i nieopartą, tak jak katolicka, na pismach ojców kościoła:

Czyś mniemał, żeby to Skoliregowie (Scaligerowie?)  
Podobni tobie są teologowie,  
Którzy ze źródeł naukę swą brali,  
I pisma ojców wszystkich przeczytali.  
A waszej wszystkiej grunt teologii:  
Jedna bluźnierska książka konfesyi,  
I tej, jako wiem, co rok odmieniacie,  
Wodzowie ślepych, których w piekło tkacie.

Na czele owej *Rozprawy* Rosentrettera umieścił także niejaki Kasper Danowski „censure“, czyli zwyczajne w owych czasach pochwalne wiersze dla autora. I jemu nie darował również Grochowski i wyśmiał go jeszcze bardziej, niż autora *Rozprawy*, zwłaszcza, że Danowski sam na siebie bicz ukreślił, pisząc jakimś zepsutym prowincjonalnym językiem i kładąc przy swem nazwisku śmiesznie pretensjonalne, (jeśli je przeciwnik jego prawdziwie wytlómaczył) „P. L.“ (*poeta laureatus*). Grochowski nie chce niby

<sup>1)</sup> Ostrzejszy jeszcze wiersz niż Grochowski napisał na niego „hardego i głupiego ministra“ Kasper Miaskowski.



rozumieć znaczenia tych dwu liter, i ciągle kolę niemi w oczy nieszczęśliwego laureata, a przy tem szydzi niemiłosiernie z jego łamanej polszczyzny:

W której, proszę, polszczyzny uczyłeś się szkole,  
Jaką i chłop nie mówi przy karczemnym stole?  
Gdzieś wzdry wyrwał tę mowę: *nienuczek przeczysty,*  
*Lga, Rig, Osen i puchnie i script ciemnoglisty,*  
*Więc Polanin takuchno, albo zmutylował...!*)

Radzi mu więc ironicznie, że powinien był jeszcze

. . . chcieliby wdzięczniej grać w swe strony  
Włożył *Si, Me, Tutka, Pek*, w rym swój tak uczony;  
A gdybyś jeszcze przydał *Sieno, Jebtko, Jegły,*  
Musiałbym ci to przyznać, żeś w polszczyźnie biegły.

Nawymyślawszy potem w grubych wyrazach Danowskiemu, że jak ów osieł w bajce (bajkę tę Grochowski bardzo zręcznie opowiada) dał dowód wielkiego nierozsądku, przenosząc kukułkę (Rozentrettera) nad słowika (Słupskiego), dodał jeszcze jedną obelgę, wytykając protestantom ich cielesne grzechy, mimo których śmia oni rzucać się na księży katolickich, poświęcających na modlitwę te godziny, które ministrowie w łożnicy przepędzają:

Czy ty lepszy, co z małpą leżysz w złym nałogu,  
Niżli my, co z przededniem stajem służyć Bogu,  
Przykładem Dawidowym, proroka wielkiego,  
Co go Bóg sługą zowie według serca swego;  
A wy to zarzucacie sprośni cielesnicy,  
Leżąc przez całe nocy w sprośnej swej łożnicy,  
Z której was chcąc wybawić Paweł święty woła;  
Ale by tysiąc Pawłów, tedy wam nie zdoła,  
Którzyście cnotę i wstyd na szrot tak puścili.  
Boże daj wam błąd poznać, ministrowie mili!

Ten sam wiersz Danowskiego doczekał się nieco później przy *Odprawie na odprawę*, jaką Słupski w dalszym ciągu swej polemiki z Rozentretterem wydał (1610), jeszcze innej i jeszcze mniej delikatnej krytyki ze strony niejakiego Jana Radlińskiego, który owo śmieszne P. L. po prostu przez *pastuch luterski* wytłómaczył i w bardzo słabym wierszu między innymi w ten grubiański sposób Danowskiego zaapostrofował:

1) Wyd. Tur. I, 324.

Wszakże ty nie frasuj się o woły papieskie,  
Paś raczej, jakoś począł, tve świnie luterskie.

Ludzie owych czasów nie przebierali w słowach, a zawiść religijna należała do najsilniejszych u nich namiętności. Do wybranych należeli ci, których jak Grochowskiego, dobry smak broził od zabrnięcia zbyt głęboko w tej kałuży obelg i sprośności języka.

## IV.

## PIŚMA POLSKIE TREŚCI ŚWIECKIEJ.

Przechodząc do utworów Grochowskiego treści świeckiej, przenosimy się zarazem na wdzięczniejsze pole, bo kiedy w wierszach religijnych był on prawie zawsze tłumaczem, tutaj przeciwnie będziemy mieć tylko z jego oryginalnymi pracami do czynienia. Z tego powodu lepsza też tutaj nadarzy się sposobność poznania, jakiego rodzaju i jakiej miary jest jego poetyczny talent.

Te prace świeckiej treści składają się z kilku obszerniejszych nieco utworów, niby małych poemacików, tudzież ze znacznej liczby wierszy drobnych. Aby zaprowadzić w tem wszystkim pewien ład, o czem ani sam autor niegdyś, ani późniejszy jego w tym wieku wydawca nie pomyśleli, musimy i tutaj znowu zrobić podział na pewne kategorie, i to według traktowanych przez poetę przedmiotów; podział, przyznajemy, może trochę dowolny i nie dosyć ścisły, ale w braku lepszego konieczny i nieodzowny dla ujęcia naszych poglądów w pewne granice i uniknięcia nużącego powtarzania się, do którego i tak w ciągu naszej pracy tu i owdzie jesteśmy zmuszeni.

Podzielimy zatem te świeckie utwory na: wiersze treści eligijno-żałobnej, wiersze polityczne i wreszcie na wiersze treści rozmaitej.

Pierwszy z tych działów, elegie żałobne, wcale licznie w piśmach Grochowskiego jest reprezentowany. Prawo obywatelstwa w naszej literaturze wyrobiły mu w czasach, kiedy nasz poeta dojrzałym już był mężem, nieśmiertelne Treny Jana z Czarnolesia. Kochanowski raz tylko jeden, ale potężnie uderzył w tę strunę na swojej lutni, kiedy boleść aż do dna wstrząsnęła jego duszą. Ten śpiew tak głęboko odezuty i z całą prostotą prawdy z jego

piersi wylany. trafił do serca całemu ówczesnemu pokoleniu i został przez nie słusznie jako arcytwór polskiej poezji nznany! Po Kochanowskim rozpoczęła się też cała literatura trenów, wywołana tem wrażeniem, jakie dzieło doskonałe na umysły mniéj utalentowane i samodzielne wywiera. Nie trzeba było odtąd tak silnej podniety ani tak rzeczywistego natchnienia, jakie w swym rodzicielskim bólu miał Kochanowski, ażeby smutek i żal swej duszy w poetyczne przystrajać szaty — istniał już wzór piękny i doskonały, który zachęcał poetów iść w ślady swojego wielkiego poprzednika. Jedni mniej, drudzy więcej tego wzoru się trzymali; jedni naśladowali go tak, że własne ich utwory były jego kopią, drudzy pożyczali sobie u niego tylko niektórych wyrażzeń, tych silnych, klasycznych miejsc, które już w wyobraźni ówczesnego społeczeństwa szczególnie utkwiły i prawie do zwrotów jego codziennej, potocznej mowy przeszły. Grochowski równie jak wielu innych brał niewątpliwie z Trenów Kochanowskiego pochop do swoich żałobnych elegii. Być może, iż gdyby Treny nie były istniały, nie mielibyśmy także i jego Żalów i Łez smutnych, ale w tem jak swoje utwory wykonał, widać znów tyle samodzielności, własnego natchnienia i oryginalnych pomysłów, że o naśladownictwo w ścisłym tego słowa znaczeniu posądzać go nie można. Całość pomysłu i kompozycya należy zawsze do niego; tylko pojedyncze zdania, pewne szczęśliwe zwroty i obrazy poetyczne czerpie on i to wcale obficie ze swego poprzednika. Falański w studyum o Trenach Kochanowskiego wymienił (str. 95—128) dwadzieścia cztery takich miejsc, które są mniej lub więcej wierszem naśladowaniem Trenów.

Śmierć pierwszej żony Zygmunta III., królowy Anny Rakuszanki, po raz pierwszy nastroiła jego lutnię na ten ton pogrzebowy. Królowa umarła w Warszawie na początku roku 1598<sup>1)</sup>, Grochowski jednak dopiero w roku następnym uczył wierszem jej skon, wtenczas mianowicie, kiedy miała być pochowaną, co 16 października 1599 w Krakowie na Zamku nastąpiło<sup>2)</sup>. Wiersz ten po dwakroć w tymże 1599, a później jeszcze 1608 wydany, ukazał się pod tytułem: *Pogrzebowe plankty wszystkich prowincyj i*

<sup>1)</sup> Według jednych 31 stycznia, według Skargi zaś („Kazania przygodne“ Krak. 1610, str. 259) 10 lutego.

<sup>2)</sup> Widać to z ustępu tego wiersza: „Już to dwakroć obchodzi swe planety w koło górnolotnego słońca pałające koło... Jako... Anna Zyguntowa... w krainę szła inną“. Datę pogrzebu podaje Skarga l. c.

stanów dwiema sławnym królestwom podległych. Na żalną pamiątkę skwapliwego zejścia pani świętobliwej Anny arcyksiężny, królowej polskiej i szwedzkiej. Pomysł Planktów odpowiada całkiem ich tytułowi. Bo oto na samym początku korona Polska wzywa różne swe prowincje do oplakiwania zgonu królowy, i z kolei występują one jedna po drugiej: Wielka Polska, Mała Polska, W. X. Litewskie i t. d., a także „z korony szwedzkiej co wierniejszy“, rozwodząc żale nad śmiercią młodo zgasłej, a wszystkimi chrześcijańskimi enotami jaśniejącej monarchini. Po prowincjach i ziemiach zabierają znów głos różne stany i ludzie rozmaitego rodzaju związkami ze zmarłą złączeni: królewicz Władysław, spowiednik królowy, dwór królewski, fraucymer, dalej Warszawianie, oplakujący królowę, gdy jej ciało od nich wywożą, i Krakowianie, witający w swych murach tego smutnego gościa i t. d. Wszystkie te żale kolejno przez różne ziemie i różnych ludzi zawozone, są dosyć bezbarwne i monotonne, a podobna systematyczność, ustawiająca w szeregi rzeczy różnych kategorii, wręcz sprzeciwia się naturze poezji, która lubi rozmaitość w jedności, ale nie rozkałkowaną na odrębne od siebie części. W ogólnikowych frazesach za długo także obraca się poeta, bo dopiero w ósmym z porządku żalu Podlaszanów osobistość tej, która jest przedmiotem powszechnego smutku, a zarazem i poematu, występuje przed nami wyraźniej, zaczyna nabierać charakteru i interes w nas obudzać:

Ta acz swój ród wysoki wiodła z domu tego,  
Nad który dziś na świecie nie ma sławniejszego,  
Jednak taką układność z pokorą chowała,  
Że z nią i najpodlejsza żadna nie zrównała.  
Bojaźń boża, wstyd wielki, nabożeństwo k'temu,  
Nieodwłocznie płaciła za służby każdemu,  
Nikt na nią nie narzekał, i owszem prosili  
Co żywo Boga za nią i błogosławili.  
Wejrzał był sam Bóg na nas; ach! już nie takową  
Osierociała Polska będzie mieć królową.  
Gdzieś pojrzał na panienki, albo na jej sługi,  
Jakoby tam nie dwór był, ale klasztor drugi:  
Każdego z swych do służby bożej zaprawiała,  
Kto się w enocie nie kochał, tego mieć nie chciała<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> O tym żalu Podlaszanów, z którego tu ustęp przytoczyliśmy, powiada Faleński (*Treny J. Koch. str. 28*), że „jest tylko parafrazą *Trenu XII*“. Krytyk idzie tutaj za daleko; podobieństwo ogranicza się do tego, że obaj poeci kreślą w tych ustępach moralne wizerunki osób,

Szerzej jeszcze i dokładniej odmalowany obraz tej pobożnej i cichego serca monarchini w żalonych słowach Spowiednika, przez którego rozumieć tutaj potrzeba Piotra Skargę, jak to widać także z niektórych szczegółów śmierci królowy, opowiedzianych zgodnie i przez Grochowskiego w tym ustępie i przez Skargę w jego kazaniu na pogrzebie tejże królowy (*Kazania Przygodne, Kraków 1610, str. 270*). W usta swojego przyjaciela, który był świadkiem ostatnich chwil Anny, i od którego zapewne niejedną rzecz i o jej życiu i o zgonie słyszał, włożył poeta najgorętsze pochwały jej zalet i cnót chrześcijańskich:

To jej były noszenia, to drogie klejnoty,  
To perły, to świetny strój, to złote forboty:  
Modlitwy, rozmyślenia o nieśmiertelności  
O zdrady pełnym świecie, o niestateczności  
Znikomego żywota, o śmierci, o onej  
Radości świętym duszom w niebie naznaczonej.  
Z sumieniem się w każdy dzień dwakroć rachowała,  
W każdy dzień przenajświętszej mszy dwakroć słuchała:  
Stół pański, Ciała i krwi jego używanie —  
Częste, to była roskosz i to jej kochanie.

Dopełnieniem Planktów jest następujący po nich jako dalszy ciąg: *Żal pogrzebowy*, w którym już sam poeta odzywa się najprzód do swojej lutni, aby „wesołe strony“ porzuciła i schroniwszy się gdzie „w ciemny kąt smutnego pokoja“ słuchała jego narzekań, a następnie wzywa wszystkich tych, którym zmarła królowa mogła być drogą, albo którzy za jej dobrodziejstwa wdzięczność dla niej czuć muszą, aby tę powszechną stratę razem z nim oplakiwali. Więc znowu wezwani są przez niego po kolei do płaczu: przełożeni kościoła, Rzeczpospolita, która przez śmierć królowy straciła przyjaźń z cesarzem, „ba, z Europą, wielką częścią świata“; dalej król, który w ostatnich czasach srodze dotknięty został także przez śmierć ojca, dwojga swych dzieci i ciotki, a potem jeszcze matka nieboszczki, arcyksiężna Austrii, kapłani, sługi jej i szpitale. Następnie ta myśl, że królowa, osoba tak można i wysoko położona, na równi z innymi śmierci uległa, wywołuje w poecie refleksyą pełną pięknych myśli o znikomości tego świata, której wszyscy, zarówno wiecy jak i mali na sobie doświadcniają:

będących przedmiotem ich żalów. Bez takiego zaś obrazu żadne treny obejmujące się nie mogły, bo nie zdołalibyśmy współczuć z poetą, gdyby nam nie dał poznać tych, których oplakuje.

Sami się raczej baczmy, otwierajmy oczy,  
 Patrząc, jako się prędko bieg żywota toczy:  
 Jest, nie jest, nieszczęsny był, wszystko opanował,  
 Ta umarła, ten odszedł, ktoby ich zrachował?  
 Wszystko to sen, wszystko to jak znikome cienie,  
 Co sobie człek niebaczny ma za szczęsne mienie.  
 Paneś rówien Krezowi? I na cię śmierć strzeże,  
 Tej się z czworozameczystej nie obronisz wieże,  
 Nie skryjesz się w złocistym gmachu i w marmorze,  
 Upatrzy cię w obronnym, jak na gołym dworze.  
 Wzbij się myślą pod niebo, zakopaj się w ziemi,  
 Za tobą Parka sroga spuścić się nie leni;  
 Nie dba na złotogłowy, na szarłaty, ani  
 Na skarb, ta sroga ksieni, ta okrutna pani;  
 Tak w jedwabne tyrany, jako w gbury siecze  
 Kosą swą...

Zmarła królowa, nie ma wątpliwości, tak samo na rzeczy tego świata się zapatrywała: życie doczesne było dla niej niczem, a dopiero żywot wieczysty prawdziwym celem i szczęśliwością człowieka. Gdyby więc mówić teraz ahciała, to odezwałaby się do stroskanego męża i oplakujących ją poddanych, aby zaprzestali po niej smutku i żałoby, bo ona umierając, zamieniła rzecz gorszą na lepszą, i na drugim świecie doznaje teraz tego szczęścia, na które enotami swemi zasłużyła:

Umarłam, abym żyła, wyniosłam się z świata,  
 Z gospody do ojczyzny, gdzie nie schodzą lata  
 Ustawicznych roskoszy, kraj dziwnie wesoły,  
 Gdzie widzę stwórcziela wespołek z Anioły.

Podobnemi słowy odzywa się także do króla i małeńki jego syn Krzysztof, zmarły razem z matką przy porodzie, i w ten sposób żale po niepowetowanej stracie kończą się pocieszeniem, że tym, którzy ze świata zeszli, lepiej jest w drugim życiu, że zatem i ci co pozostali, powinni łzy swoje po nich osuszyć. Tak samo i Kochanowski zamknął swoje Treny obrazem nieba, w którym Urszulka jego niezamąconych niczem doznaje roskoszy. Nie koniecznie jednak musiał Grochowski brać sobie wzór z niego. Wystawienie szczęścia pozagrobowego w przeciwieństwie do dolegliwości i utrapień ziemskich bywa zwykłą po wszystkie czasy pociechą religijną dla tych, którzy stratę drogiej sobie osób oplakują. W istocie, wobec tej żelaznej i niczem nieprzełamanej konieczności, co można więcej powiedzieć jak: „im tam lepiej“ —

dlatego to spotykamy się z tą samą myślą i z temi samemi słowami przy wszystkich świeżo otwartych mogiłach.

Treny Grochowskiego na śmierć królowy Anny są najsłabsze w liczbie jego utworów tego rodzaju. Czy żal jego ostygł przez te kilkanaście miesięcy, które jej zgon od napisania tych żalów przedzielają; czy osobistość królowy, niewiasty zacnej i bogobojnej, ale nie wystrzelającej niczem ponad ogół, nie zdołała głębszych w nim obudzić uczuć; dość że te *Plankty żałobne*, choć mają i piękniejsze ustępy, na które tu uwagę zwracaliśmy, wyglądają wcale blade, a niekiedy aż nazbyt prozaicznie. Do tego niekorzystnego wrażenia przyczynia się nie mało to kolejne nawoływanie do płaczu po zmarłej nie tylko ludzi, w pewnych stosunkach za życia z nią będących, ale nawet takich uosobistnionych pojęć geograficznych jak Mała albo Wielka Polska. Naturalnem tego następstwem musi być także ustawne powtarzanie jednej i tej samej myśli coraz innemi słowami, co i nuży i poetycznego efektu wcale nie sprawia. Jest to środek retoryczny, który Grochowski jako ksiądz z czytania i słuchania rozmaitych łacińskich i polskich mów kościelnych i kazań przyswoić sobie musiał. Nie szukając daleko w Kazaniu Skargi na śmierć królowy Anny Jagiellonki, żony Batorego (r. 1596), znajdujemy ten sam sposób przedstawienia ogólnego żalu przez wzywianie rozmaitych stanów i ludzi do oplakiwania poniesionej straty. Skarga tak samo raz po raz się odzywa: „Żałujcie kapłani Boży, żałuj miłościwy najjaśniejszy królu, płaczcie też domownicy, córki polskie i białogłowy wszystkich stanów płaczcie, płaczcie klasztory, mniszki i szpitale“<sup>1)</sup>, jak to czyni Grochowski w swych Planktach, i jak czynić będzie we wszystkich prawie późniejszych elegiach, chociaż tam inne zalety pokryją więcej tę słabą stronę kompozycyi. Nie tylko on sam zresztą używał tej retoryczno-poetycznej formy; należała ona widać do dosyć powszednich form ówczesnej poetyki. Takie same, długim szeregiem po sobie następujące apostrofy do żyjących, by oplakiwali umarłych, znajdujemy także w wierszu Miaskowskiego na śmierć kardynała Maciejowskiego.

Nierównie lepiej udały się Grochowskiemu: *Łzy smutne po zejściu wiecznej pamięci godnego kanclerza i hetmana koronnego Jana Zamojskiego*<sup>2)</sup>. Ale bo tutaj przedmiot sam mógł daleko silniej

<sup>1)</sup> Kazania przygodne Krak. 1610, str. 258, 259.

<sup>2)</sup> Wydane w Krakowie po dwakroć w r. 1605 i w zbiorowem wydaniu u Loba 1608.

natchnąć poetę: umarł człowiek swojego czasu pierwszy w Polsce, który i rozumem i sławą swych czynów nad społeczeństwem górował, i który nadto posiadał niezwykłą w naszych dziejach popularność i miłość u swych współziomków.

Rzecz rozpoczyna się od porównania. Polska, która w ostatnich pięciu latach tyłu swoich najdroższych synów straciła, miałaby jak niegdyś Nioba przyczynę do srogiej i ciężkiej żałości. Poeta wylicza długi szereg tych co śmiercią swoją osierocając ojczyznę, ból jej sprawili, ale największa strata spotkała ją dopiero teraz, kiedy Zamojski umarł. Czując ważność swego zadania, skoro mu wypadło głosić pośmiertną sławę tak wielkiego męża, poeta zwraca się do Muz z prozbą o pomoc, co według przyjętego zwyczaju dzieć się zwykło tylko wtedy, kiedy niezwykły bohater w wielkim, heroicznym poemacie ma być opiewany. Grochowski nie zamyslał wprawdzie pisać epopei, ale Zamojski dorastał w jego oczach wielkości epicznych bohaterów. Muzy zresztą powinny nie odmówić pocie swej pomocy i dlatego, że mają opłakiwać teraz

. . . kochanka swojego,  
Jaki nie wiem, by powstał z narodu polskiego.

I w obszernym, może nawet nazbyt obszernym, a przez to więcej historycznym niż poetycznym wywodzie, opowiada żywot i czyny tego niezwykłego męża, poczynając już od pierwszej jego młodości, która, jak to w pięknym a oryginalnym porównaniu powiedział, była już wróżbą przyszłej jego wielkości:

Jest to rzecz niewątpliwa, że cnota wszelaka  
Niżli się poeznie wiązać, jako iskra jaka,  
Gdzie się ma zacząć ogień, wylata ku górze,  
Jak przed słońcem różane wynikają zorze:  
Tak i w Janie Zamojskim znak przyszłej dzielności  
Pokazował się jasny z pierwszych lat młodości.

Stefanowi Batoremu, z którym życie Zamojskiego w pewnej epoce tak ściśle się wiązało, poświęcił poeta następnie gorące, pełne entuzjazmu i czci wspomnienie, z czego widać także, iż czuł on bardzo dobrze, że znaczenie istotne Zamojskiego dopiero po śmierci tego króla się rozpoczęło, że hetman i kanclerz, choć już wtedy znakomitą był osobą, wobec swego wielkiego króla jednak zejść musiał na plan drugi. Po zgonie Batorego, przy niezgodnej elekcji i wichrzących krajem partyach, Zamojski, który zawła-

dnąć zdołał tym chaosem, wyrósł dopiero na pierwszego w kraju męża, na ojca ojczyzny, który Polskę od zguby uratował. Za największą jego zasługę liczy mu też Grochowski to, że w czasie wybuchłej wojny domowej, nad którą jako nad niewidzianem przedtem w Polsce zjawiskiem srodze boleje, przeciwników Zygmunta poskromił i obcego pretendenta zwyciężył:

Jemu wszystko po Bogu przypisać musimy,  
Żeśmy cało zastali, że jeszcze żywiemy.  
Przodkowie naszy nie wiem by o tem słyszeli,  
Nierzkąc, żeby tak smutno rozrywać się mieli.  
Nieszczęsny to był widok i nieopłakany,  
Gdy powodzią wewnętrzną niezgody porwany,  
Ojciec z synem, brat z bratem, do siebie zmierzali. . .

Czułością Zamojskiego od Krakowa odepchnięty Maxymilian kiedy przyszło do rozprawy w otwartym polu pod Byczyną, powinien był według wszelkich obliczeń ludzkich zwyciężyć, bo miał za sobą wielką potęgę swego domu, silne wojsko i potężnych partyzantów —

Przegrał jednak, że była rzecz niesłuszna jego,  
A iż drugiego nie miał w wojsku Zamojskiego —

powiada poeta, podwójną tem oddając pochwałę swojemu bohaterowi, jako obrońcy słusznej sprawy i jako znakomitemu wodzowi. Wysoko także stawia późniejsze i ostatnie już czyny hetmana: odparcie od granic wojewody Multańskiego, który groził najściem podczas gdy w Polsce niepłatne wojsko bić się nie chciało, i dopiero Zamojski swoim kosztem w pole je wyprowadził, jakoteż wyrzucenie z Inflant Karola Sudermańskiego, przeciwko któremu podeszły w latach hetman w czasie srogiej zimy wystąpić się nie lenił.

W ten sposób uprzytomniwszy sobie obfite w sławę i zasługi życie Zamojskiego, tym większemu żalowi nad jego stratą daje się następnie unieść poeta:

Wzięłaś nadzieję naszą śmierci zazdrościwa,  
Dziwnieś się nam stawiała teraz nieżyczliwa,  
Kto mi da głowie wody? albo kto me oczy,  
Serce naprzód skruszywszy, łzami dziś zamoczy,  
Kto w skamieniałych piersiach wzruszy gorzką rosę.

Ale nie dosyć jest płakać jemu samemu; cała Polska poniosła przez ten zgon niepowetowaną stratę i pozbawioną została człowieka, który był jej największym zaszczytem:

Jako kiedy z królewskiej kosztownej korony  
Wypadnie przedni klejnot misternie zrobiony,  
Traci glanc i ozdobę koła pozornego:  
Toż śmierć tobie przyniosła, Polsko, Zamojskiego,  
Z któregoś męstwa sobie w pokoju wytechnęła,  
I sławęś na wszystkie świat głośno brzmiącą wzięła.  
Utraciłaś klejnot swój, Polsko, zacna pani,  
Którą szkodą przy tobie wszysechmy skarani.

Wszyscy też powinni śmierć jego opłakiwać, i dlatego poeta wzywa do wspólnego żalu i króla, dla którego Zamojski „ważył zdrowie swoje“, i senatorów i krewnych zmarłego, jego wdowę i małego syna, do którego najrzewniejsze i do jego młodocianego wieku bardzo zręcznie zastosowane zwraca słowa:

Łzy wylewaj nadzieje wielkiej mały Thoma<sup>1)</sup>,  
Odjechał pan z Zamościa, nie masz ojca doma.  
Nie masz go i na świecie, tylko w grobie kości.

Długim szeregiem idę dalej, według zwykłej u Grochowskiego retoryczno-poetycznej metody, różne jeszcze wezwania, między którymi także i znana nam już apostrofa do Szymonowicza. Wzywając w końcu i duchowieństwo ufundowanego w Zamościu przez nieboszczyka kościoła, bierze stąd pochop do wysławiania wielkiej pobożności Zamojskiego, a dalej także i innych jego cnót i niezwykłych przymiotów. Wspomniawszy tedy o zacności jego rodu, o licznych zwycięstwach i sławie wojennej, o wierności dla królów, o prześladowaniach, którymi nieraz złość ludzka go dotykała, widzi wreszcie, że trudnoby mu wyliczyć wszystko, co w Zamojskim godne pochwały, zwłaszcza że on tak różnorodnie posiadał zdolności i na najrozmaitszych celował polach:

Lecz ktoby chciał powiedzieć wszystkie jego dzieła,  
Kończaby, ile teraz, moja rzecz nie wzięła.  
Nie rychło taki drugi powstanie Zamojski,  
Coby tak miał władać i pióry i wojski.  
A nikt nam do tych czasów nie pokazał tego,  
Co on pan z tych dwóch rzeczy miał znakomitszego:  
Czy lepszy był z buławą i z dzielną kopiją,  
Czy lepiej umiał pismo i filozofią?

Tutaj znowu następuje, podobnie jak w Planktach po królowy Annie, refleksya poety o potędze śmierci. Przychodzi on do niej z tych

<sup>1)</sup> Porównaj Kochanowskiego (Pieśni II, 29): „Małemu wielkiej nadzieje Radziwiłłowi“.

samych motywów psychologicznych, to jest z zastanowienia się nad tem, że śmierć nawet tak wielkiego człowieka jak Zamojski nie oszczędziła, ale rozwija swoją myśl inaczej, wychodząc z tego punktu, że rozum ludzki tyle już wielkich i nieraz trudnych do wiary dzieł dokonał, a jednak nie znalazł nigdy sposobu na to, aby śmierci uniknąć. Na licznych przykładach w plastyczne ujętych obrazy przeprowadza poeta tę myśl, konkludując w końcu, że tak samo stało się i z Zamojskim:

... co jedno chciał, dokazał wszystkiego...  
Jednak przeciwko śmierci nie znalazł porady,  
Upadł, jak podsieczony kłos letni dostały  
Pod ciężarem daleko brzmiącej swojej chwały;  
Został na placu hetman, co hetmany gonіл,  
Upadł, co niezliczone nieraz wojska gromił...

Więc jak niegdyś Ajax, gotując się na śmierć z własnej ręki i żegnając ze światem odzywał się do pól i murów trojańskich<sup>1)</sup>, że nie ujrzą już po nim „drugiego coby był takowym, jakiego mię pod mury swemi miała Troja“, mógłby i Zamojski do wzniesionych przez siebie murów Zamościa się odezwać, żegnając się z ojczyzną, że swój względem niej obowiązek wypełnił, że po Bogu nie miał nad nią nic miłszego, że wszystko co uczynił było zacne i godne:

Służyłem królom polskim zawsze bez pochlebstwa,  
Służby mojej życzliwej znaki są zwycięstwa  
I tryumfy wojenne i sejmowe sprawy,  
W których zawsze wspólnemu dobru byłem prawy.  
Całość słodkiej ojczyzny w każdym wieku moim  
Radbym był zawsze kupić krwią i zdrowiem swoim,  
Przyczyniając ozdoby jej według możliwości  
I sławy; a tom czynił z serca uprzejmości,  
Nic się nie oglądając na praktyki dziwne,  
Dobru popolitemu i sobie przeciwne.

Podobnie także, naśladowując dalej owego żegnającego się z życiem Ajaxa, mógłby być odezwać się jeszcze do swego syna

<sup>1)</sup> Przywiedziony w tem miejscu monolog Ajaxa jest parafrazą Sofoklesa, może jeszcze ze wspomnień dawnej lektury z czasów Pułtuskich. Myli się jednak Grochowski, że Ajax słowa te wypowiedział, gotując się na śmierć na brzegu morskim. Sofokles kładzie tę apostrofę w usta Ajaxa jeszcze wcześniej, gdy on przyszedłszy do zmysłów w swym namiocie i widząc pobite przez siebie w szaleństwie barany, po raz pierwszy dla uniknięcia hańby myśl samobójstwa powziął.

z upominaniem, ażeby starał się nadewszystko o bojaźń bożą, aby wiernym był zawsze synem kościoła katolickiego, bo (jak Grochowski z widocznym naciskiem powiada) większa to dla niego chluba niż to nawet, że jest synem koronnym i że z przodków znakomitych pochodzi, nakoniec zalecając mu, by unikał grzechu, próżnej ambicji, rozrzutności i próżnowania<sup>1)</sup>.

Na tem, na efektywnych słowach o przeniesieniu się Zamojskiego w świat drugi: „A w tem duch z ciała wyszedł ku górnym aniołom“, powinienby się był skończyć ten poemat. Grochowski dodał jednak kilka jeszcze wierszy od siebie, w których żegna się z hetmanem i poleca jego opiece ojczyznę, jeśli on dostał się już do nieba; jeżeli zaś „gdzie jeszcze w drodze zatrzymany“ przyrzeka, że wszyscy modlić się za nim będą, aby Bóg wziął go do mieszkania swego. To czysto-kapłańskie pożegnanie, to zbyt skrupulatne dociekanie, gdzieby dusza zmarłego być mogła, noszą na sobie wyraźną cechę, że wyszły z pod pióra poety-księdza. Cały nastrój zresztą tego poematu odpowiada godnie swojemu przedmiotowi. Postać Zamojskiego, jego charakter i dziejowe znaczenie plastycznie występuje z niego przed nami w poważnych, a niekiedy silnych nawet rysach. Z zakresu osobistego żalu i smutku, które wyłącznie panują w *Trenach* Kochanowskiego, przeniosłszy się na szeroką, polityczno-historyczną arenę narodowej żaloby, stawał poeta tem samem także na własnym gruncie i odzyskiwał samodzielność, uwalniając się od wpływu poprzednika już przez samą różnicę traktowanego przedmiotu. Logicznie i z artystycznym zaokrągleniem rozwijający się pochód myśli uczynił wreszcie z tego wiersza kompozycją o wiele udatniejszą niż w *Planktach*, gdzie mechanicznie więcej ze sobą połączone ustępy nie robią wrażenia jednolitości. Słusznie też o *Lzach smutnych* napisał Falański: „Jest to bardzo piękna poezya i całkiem oryginalna“<sup>2)</sup>.

Powyższe zalety, z wyjątkiem mniejszej oryginalności, najwybitniej występują w elegii Grochowskiego: *Cień królewiców Jana Kazimierza* (1608). Pomysł miał tu poeta bardzo szczęśliwy, nie nagromadził jak zwykle wiele szczegółów, i przez to doszedł do nieczęsto u niego spotykanej harmonijności. Cała ta, najkrótsza

<sup>1)</sup> Może niekoniecznie z niego wzięty, ale podobny pomysł znajduje się także u Kochanowskiego (*Pieśni* I, 30), gdzie zmarły Tarnowski z za grobu pociesza syna.

<sup>2)</sup> *Treny* Kochanowskiego str. 28.

zresztą ze wszystkich elegia, jeśli pominiemy zbyt liczne i tak na końcu nagrobki, jest jednym monologiem zmarłego królewskiego dziecięcia. Bez żadnych wstępów i opisów rzecz objaśniających wprowadza je poeta odrazu na scenę, kreśląc zrezygnowanie w jego własnych słowach obraz całej sytuacji. Ten syn królewski, po dwóch tygodniach życia zmarły, zamknawszy oczy na ziemi, widzi się przeniesionym do nieba i dziwiąc się otaczającej go tutaj wspaniałości zapytuje, kto go podniósł do takiej godności i przyprowadził na to miejsce istotnej szczęśliwości, na którą jeszcze czynami życia swego nie mógł zasłużyć:

Kto mi dał berło w rękę? Kto mię koronował?  
Kto mię w tę zacność odział? Kto tak udarował?  
Kto mię z niskości ziemskich przeniósł pod obłoki,  
Na górę z której widzę wszystek świat szeroki?  
Na miejsce tak wesołe, na górę tak śliczną,  
Którą tu święci boży mają za dziedziczną;  
Gdzie sam Baranek słońcem nigdy nie zgaszonym.  
Kto mię tak prędko stawił na miejscu przestronem?  
Wziąwszy mię z pierwszych pieluch, od matczynej piersi,  
Ledwie się jej urodził na żalósć syn pierwszy,  
Którego Zygmuntovi powiła trzeciemu,  
W krajach Akwilonowych szeroko władnemu.  
Kto mię z tej nędzy wyrwał od zdrowia słabego,  
Od łez i od kwilenia prawie ustawnego?  
Kto mię na wolność wywiódł i na tę swobodę?  
Kto dał taką, na którą nie robił, nagrodę?

Zaczącie to, w pierwszych mianowicie wierszach, przypomina podobny początek pieśni Kochanowskiego: „Pochwała znakomitszych królów polskich“ (II, 4), którą pisząc to Grochowski, bez wątpienia miał na myśli:

Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry  
I tak wysoko postawił, że z góry  
Wszystek świat widzę, a sam jako trzeba  
Tykam się nieba.

Sytuacja jednakowoż jest tu inna i jest własnym pomysłem Grochowskiego. W pieśni Kochanowskiego pytania te zadaje sobie poeta, który duchem przenosi się na chwilę w stworzony w swej wyobraźni świat drugi; tutaj zaś odzywa się z podobnemi pytaniami dusza zmarłego królewicza, rozdzielona już z ciałem, w istocie już znajdująca się w niebie i nie mogąca w pierwszej chwili pojąć, gdzie się dostała i co to za wspaniałość, która ją otacza.



Boża to sprawa, odpowiada następnie sam sobie królewicz; Bóg nie chciał, żebym po ojcu królował i dał mi raczej koronę niebieską. A korona to lepsza niż w Polsce, bo jak zaraz ironicznie dodaje poeta, który pamiętał dobrze przeprawy, jakie przechodził Zygmunt III nim do swej korony doszedł i przed oczami miał świeży, niedopalony jeszcze pożar rokoshu, ta niebieska korona dostaje się

Bez żadnej elekcyej, której tu nie znają,  
Ani buntów i praktyk na to zażywają.

Więc dalej, rozglądawszy się lepiej, opisuje królewicz z zachwyconiem miejsce swego nowego pobytu, ten „niewysłowny pałac, w którym mieszka Bóg nieogarniony“. Cherubinowie i Serafinowie oddają Panu pokłon i śpiewają na jego cześć: święty! święty!; gdzie spojrzeć, stoją szeregi świętych, apostołów, męczenników i t. d., a osobne dla siebie „koło“ mają i niewiniątka wcześniej zgasłe,

. . . na których wesoło  
Często patrzy Baranek, a my Mu śpiewamy,  
I tam gdziekolwiek idzie za nim pochadzamy.

Największą zaś radość duszom będącym w niebie i młodemu królewiczowi sprawia to, że mogą oglądać N. Pannę „nad Anioły wszystkie wyniesioną“. Szczęśliwym bez granic czuje on się zatem z tej odmiany żywota swojego, martwi go tylko to, że tam na ziemi rodzice po nim się smucą. Aby ich ostatni raz pozdrowić i pocieszyć, idzie do nich na ziemię i widzi, jak oni właśnie nad jego zwłokami jeszcze niepochowanymi (Grochowski pisał ten wiersz jeszcze przed pogrzebem królewicza) gorzkie łzy wylewają. Przystępuje do nich i prosi, aby przestali tych smutków: król i tak ma dosyć kłopotów ze strony swych poddanych, a jeżeli Bóg małe dziatki rodzicom zabiera, to w tym celu, by one modlitwą swoją również kiedyś niebo im wyjednały. Zresztą poco płakać umarłych, oni żyją „w rozkoszy bez końca“, w niebie nie ma ani rokoshów (po raz drugi to już poeta powtarza), ani chorób, śmierć, ani żadne przygody przystępu tu nie mają. Pogrzebie zatem moje kostki i przestańcie mię opłakiwać. Po tym głosie z za grobu poeta pisze aż sześć różnych nagrobków do wyboru dla królewicza, a w ostatnich jeszcze kilku dodatkowych wierszach robi zwrot do siebie, że śpiewając innym pogrzebowe pieśni, i sobie także zaśpiewać musi

Przykładem ptaka, który przed bliskim skonaniem  
Ma z natury, że żywot zamyka śpiewaniem —

bo skoro śmierć nawet małe dziatki zabiera, to on starym już będąc, gotować się powinien w tę drogę, w którą jednak iść tak mu nie sporo.

Grochowski tym razem bardzo dobrze wywiązał się ze swego zadania. Opłakując śmierć tak małego dziecka, nie mógł wychwalać ani jego zalet i przymiotów, ani tembardziej jakichś dowodów jego działalności na świecie. Ograniczył się więc tylko na tem, że starał się złagodzić żal rodziców i pocieszyć ich w podobny sposób, jak matka Kochanowskiego stroskanego syna po śmierci Urszuli pocieszała. Liczne, a łatwo dające się dostrzegać reminiscencye dowodzą też, że ostatni tren Kochanowskiego ciągle mu tutaj stał przed oczami. Ale co u Jana z Czarnolesia było rozwiązaniem tego bolesnego, wewnętrznego dramatu, to tutaj stało się główną i jedyną akcją, skoro dramat podobny w duszy poety odgrywać się nie mógł, a prawdopodobnie i w sercach rodziców do takiej tragiczności się nie podniósł, z powodu że tak wczesna strata dziecka tem samem i mniejszą dla nich wydawała się musiała.

Królewicz Jan Kazimierz umarł 8go stycznia 1608, a 18go tegoż miesiąca, w dzień jego pogrzebu, podpisał Grochowski łacińską dedykacją tego na ten smutny obrzęd przeznaczonego poemaciku, poświęcając go matce zmarłego, królowej Konstancyi. Ale zaledwie obeschło pióro, którem kreślił te wyrazy, kiedy na drugi dzień, 19 stycznia, umarł kardynał Maciejowski. Przybył on właśnie ze swej gnieźnieńskiej archidiecezyi do Krakowa na pogrzeb królewicza, pochował go na Zamku i może wskutek trudów podróży lub zaziębienia się niespodziewanie życie zakończył. Świeży znowu powód miał Grochowski do prawdziwego tym razem żalu i nowy obowiązek uczczenia swego dobrodzieja i przyjaciela w jednej osobie żałobnym rymem. Lecz kiedy już do spełnienia tej smutnej powinności się gotował, kiedy już może snuł plany do nowej elegii, nieszczęśliwym zrządzeniem losu rozstał się z tym światem bardzo prędko potem, bo już 28go stycznia, drugi z ludzi, któremu po Maciejowskim zdaje się najwięcej w ostatnich latach swego życia zawdzięczał i do którego najwięcej miał przywiązania: kanonik Mikołaj Dobrocieski. Biedny, stary poeta, złamany musiał być temi tak często powtarzającemi się ciosami. A jednak i z Dobrocieskim nie mógł się pożegnać na wieki, nie złożywszy mu na grobie, na jaką go stać było,

pamiętki swojej wdzięczności i swoich uczuć. Wypadło mu więc na raz w jednym czasie pisać ze łzami aż dwa pogrzebowe poemata. Grochowski ze względów czysto realnych dał pierwszeństwo Dobrocieskiemu. Pogrzeb kardynała miał się odbyć znacznie później i w istocie odbył się dopiero 12 lutego tegoż roku, mógł zatem odłożyć elegię dla niego na czas nieco późniejszy, a pospieszyć się z wierszem dla Dobrocieskiego, który wcześniej nierównie był chowany. Ta bliskość jednak obu zgonów i równoczesne prawie pisanie obu elegii (obie musiały powstać między 28. stycznia a 12 lutego) sprawiły, że w pierwszej zwłaszcza z nich obu zmarłych swoich przyjaciół poeta ma ciągle przed oczami i na myśli, i że żale za jednym mieszają się nieraz z gorzkim wspomnieniem o drugim. Ciężkim bolem przyciśnięty, dotknięty osobiście, a przytem i wiekiem już skołatany, całego siebie oddaje on w tych elegiach smutkowi, nie jest już, jak n. p. w *Łzach smutnych* po Zamojskim, wyrazem powszechnej żałoby i czci, ale wypowiada własne swoje zmartwienie i zgryzoty. Czuć w tych elegiach, że prawdę powiedział, kiedy na jednym miejscu<sup>1)</sup> nazwał się „błędemu podobnym“, tak bardzo te wypadki zgnębiły go i odebrały mu potrzebną pociechę swobodę umysłu. Żal i ból serdeczny przebija w tych elegiach jak w żadnych więcej, i to ból, nad którym poeta jeszcze zapanować nie mógł, ale który wrodzona jego wiekowi słabość, jakoteż kojąca myśl religijna łagodniejszym i miększym uczyniła.

*Gorzkie łzy i serdeczne żale na żałośny pogrzeb godnej pamięci ks. Mikołaja Dobrocieskiego*<sup>2)</sup>, jako pierwaj pisane noszą na sobie szczególnie znamię tego nieutulonego jeszcze czasem żalu i bezwarunkowego oddania się smutkowi. Osobiste uczucia poety występują też tutaj odrazu na samym początku. W żalu pierwszym po trzykroć pyta on zgnępany świeżym ciosem:

Kto mi doda gorzkich łez ustawnie płynących,  
Kto mi źródła dostarczy wód nie ustających  
Na oplakanie mojej nieszczęsnej przegody?

<sup>1)</sup> Żal VII za Dobrocieskim.

<sup>2)</sup> Drukowane po dwakroć 1608 r. Przy wydaniu drugim dodany na końcu list bisk. krak. P. Tylickiego do autora z podziękowaniem za przysłanie mu tych wierszy i z wynurzeniem żalu nad stratą ks. Dobrocieskiego. „Gorzkie żale“ znajdują się także w zbiorowym wydaniu u Loba r. 1608.

Chciałby wezwać do pomocy narzekalnie, by za niego „z rozumem płacz odprawowały“, bo sam nie czuje w sobie mocy i serce mu ociężało, gdy ujrzał skrzepłe zwłoki przyjaciela. Chciałby znaleźć kogoś, na kogo mógłby o przyczynę tego nieszczęścia narzekać i tem ulżyć sobie. Więc z wyrzutami zwraca się (w Żalu II) do żelaznej fôrty w domu Dobrocieskiego, dlaczego była tak nieżyczliwa dla swego gospodarza, dlaczego stała otworem i nie spostrzegła, kiedy śmierć po niego przychodziła. Powinna była skrzypnięciem dać znać o tym złowrogim gościu, „a ja bym był szyję pod jej kosę podłożył, co dziś próżno żyję“, byle ocalić Dobrocieskiego. Powinna to była uczynić tem bardziej, bo widziała jak przez nią wchodziło do tego domu tylu ubogich, których jego przyjaciel prawdziwym był ojcem. To przypomnienie wielkich cnót Dobrocieskiego powinno by w pociechę, jak sam to przyznaje, ukoić żal po nim, a jednak i to nie pomaga:

Ciężki żal górę bierze, tak iż przez tęsknicę  
Nie mogę smutny patrzeć na tę kamienicę,  
Którejś za gospodę przez ten czas używał.

Reflektuje się następnie (w Żalu III), że nierozsądnie czyni, rozmawiając z fôrtami, że ludzie gotowi go wysmiać, a jego rymy „bolescią, smutkiem napełnione“ będą dla nich świadkami jego głupstwa. Nieszczęście, co prawda, rozum człowiekowi odbiera, jednakże, choć pióro jego szwankuje, w sercu ma „żal surowy, żal ciężki, żal długo pamiętny“, bo okrutna śmierć zabrała mu naraz dwóch ludzi, co byli jedyną jego nadzieją i podporą w życiu. Którego z nich ma pierwaj oplakiwać, nie wie (Żal IV), bo obaj równie mu drodzy, lecz ponieważ z ciałem Dobrocieskiego „wprzód się kwapią w ziemię“, musi najprzód względem niego wypełnić swój obowiązek. Pyta więc przyjaciela, jaki chce mieć od niego ten dar ostatni? Nie stać go na to, by jego pamięć uczcił złotym posągim, dlatego serce swoje ofiaruje mu za grób. „Serce u mnie żałośne będzie mi twym grobem“ w szczęśliwym odzywa się natęchnieniu, szkoda tylko, że zaraz potem kładzie na tym sercu grobowcu tak prozaiczny napis, który może byłby dobry na kamiennym pomniku, ale nie na takiej idealnej mogile, jaką przyjacielowi przeznaczył:

Tu odpoczywa sobie, zasnawszy w sen wieczny,  
Doktor w obojgu prawach, kanonik tuteczny  
On Mikołaj godności wielkiej Dobrocieski...

W Żalu VI. znowu nowa refleksja poety. Cały świat się teraz weseli, bo to właśnie czas mięsopustu, i to jeszcze bardziej powiększa jego smutek:

A także to być mają mięsopusty moje?  
Widzę dwa puste domy, dwa puste pokoje,  
Gdzie z onych wdzięcznych osób okropne dwa trupy;  
Ach żal do żalności składa się do kupy,  
Raz leję łzy nad jedną, raz nad drugą trumną,  
Raz płaczę na Fortunę swoją niefortunną...<sup>1)</sup>

i obu swych nieodżałowanych nieboszczyków enoty rozważać zaczyna i nad stratą obu utyskiwać, idąc jedynie za popędem serca, a zapominając o właściwym przedmiocie tych wierszy, tak, że w końcu sam siebie musi upominać:

Lecz co czynię? tum płakać myślił pośledniego,  
A widzę, że nie mogę minąć i pierwszego.  
Bo o jednym chcąc mówić, oba w oczach stoją,  
Po obu się nierychło myśli uspokoją.

Karcił się za to zapomnienie poeta, gdy spostrzegł, że odstępował od przedmiotu, a jednak nietylko moralnie, ale i estetycznie biorąc, pięknem ono jest tutaj, i jasny daje dowód szczerości jego żalów i prawdy uczucia, idącego zwyczajnym torem natury ludzkiej nawet wtenczas, kiedy formy sztuki na siebie przybiera. Pomysłów tego rodzaju jak ta mimowolna wspólność żalu nad dwiema stratami, jak owa apostrofa do żelaznej forty, nie czerpał i nie mógł czerpać z żadnego wzoru Grochowski, ani z Kochanowskiego, ani ze starożytnych klasyków. To są rzeczy brane z natury, natchnione szczególnymi okolicznościami, oryginalne i wyłącznie do niego należące. Co miał przed oczami, co z wydarzeń rzeczywistych robiło na jego duszy wrażenie, to tutaj oddał i wypowiedział. Podobnym oryginalnym pomysłem jest także apostrofa do ulicy Kanonnej (Żal VII.), na której trzeba to wiedzieć obaj jego przyjaciele mieszkali i pomarli. Ta ulica tak fatalna, w krótkim po sobie czasie dwiema śmierciami drogich mu osób naznaczona, musiała na jego umyśle bolesne i złowrogie robić wrażenie, ilekroć się do niej zbliżał i przez nią przechodził, a dodajmy do tego, że jako ksiądz przechodzić musiał często przez ulicę przez

<sup>1)</sup> W wydaniu Turowskiego ten ostatni wiersz przez pomyłkę opuszczony. (T. I, str. 180).

samych księży zamieszkaną i prowadzącą do katedry, i że sam mało co więcej nad sto kroków od niej mieszkał (w Bursie Długosza). Nie dziw, że znalazłszy się w tych stronach, niedawno jeszcze dla niego tak drogich i przyjemnych, czując jak mu się serce ścisła, a duch na ich widok upada, ze smutnym wyrzutem odzywał się do tych murów:

Ulico, gdzie mieszkają zawsze ludzie przedni,  
Jakoś była wesoła w niedawno przeszłe dni!  
Terazes z przednich pociech swoich obnażona,  
Gniewem podobno wielkim Boga nawiedzona.  
Co dziś za nieszczęście tve, że się śmierć przechadza  
Po tobie, a w przedniejsze osoby ugadza?  
Kto dziś przechodzi przez cię z suchemi oczema?  
Kto się nie wzruszy temi umarłemi dwiema?  
Leżą, na żalność twoją jeszcze nie schowani...

W kilku następujących Żalach (VIII—XIV) znajdujemy znowu owe stereotypowe wzywania różnych stanów i osobistości do oplakiwania zmarłego. Tutaj są to naturalnie ludzie ze sfery Dobrocieskiego: akademii krakowskiej, której był wychowawcą; kapłani diecezji krakowskiej, jego koledzy; krewni, przyjaciele i „szlacheckie dziatki, które on okrywał“. Po tych wzywaniach nowym smutkiem wybucha znowu poeta. Wywożą ciało nieboszczyka z domu, wiozą go na miejsce wiecznego spoczynku i grzebią, więc i ta ostateczna pociecha, że go mógł widzieć, już mu odjęta i świeży powód do nowego żalu. W kilku wierszach „zamknięcia“, bez należytego przejścia, następuje nagle uspokojenie. Poeta robi sobie wyrzut, że się tak bardzo oddał smutkowi, bo jeśli chodzi o zmarłego przyjaciela, czemużby mu zazdrościć szczęścia, które po życiu cnotliwym w niebie niewątpliwie osiągnął? Więc ten „rozum nierozumny“, jak się wyraża, karcąc siebie samego, powinien mu raczej tego wieszować, a nie utyskiwać nad tem co się stało. Motyw to zresztą dobrze już nam znany z innych trenów Grochowskiego i stale w nich się powtarzający.

*Treny na żalność z świata zejście i pogrzeb ś. pamięci ks. Bernata Maciejowskiego S. K. R. kardynała, arcybiskupa gnieźnieńskiego i Korony polskiej Prymasa i t. d., po dwakroć w 1608 w Krakowie wydane, bezpośrednio po Gorzkich Łzach za Dobrocieskim pisane, od samego zaczęcia uderzają tonem mniej niż w poprzedniej elegii rzewnym, a za to więcej uroczystym i podniosłym. Poeta już się nieco z odebranego ciosu opamiętał; inny też był jego stosunek do Maciejowskiego niż do Dobrocieskiego,*

i inne stanowisko społeczne kardynała niż nie liczącego się do wysokich dygnitarzy kanonika krakowskiego; co wszystko na tę zmianę tonu wpłynąć musiało. Uroczyscie brzmią od razu pierwsze, w wyższym rzeczywiście natchnieniu powstałe wiersze:

Płacz za płaczem wynika, łzy gorzkie za łzami:  
Kardynał Maciejowski pożegnał się z nami;  
Umarł, jeśli mógł umrzeć, gdyż mu jego cnota  
Zjednała nieśmiertelność jeszcze za żywota.  
Dziś mu już ostateczne posługi czyniemy,  
Dziś to szlachetne ciało do grobu kładziemy,  
Które okrom wątplenia póki z nami żyło,  
Dusza bożego domem i przybytkiem było.

„Mamże co mówić dalej?” pyta następnie poeta, skoro już sam fakt, że wszystkim znany i przez wszystkich wielbiony Maciejowski umarł, aż nadto jest wymowny. Ale jeśli syn Krezusa będąc z natury niemym przemówił, gdy ojca ujrzał w niebezpieczeństwie, jakże my teraz co mówić umiemy, nie mamy mówić i rozwodzić żalów, gdy straciliśmy „wspólnego ojca i wodza“<sup>1)</sup>. — „Nie płakać? musiałby być człowiek nierozumny“ — powtarza z większą jeszcze stanowczością — kiedy zagasła kolumna światła w naszej ojczyźnie, kiedy śmierć zabiła pasterza błędnych owiec i sternika skołatanego okrętu:

Nie masz cię Maciejowski! zniknąłeś do nieba  
Wtenczas prawie, najwięcej gdy cię było trzeba.

Te wiersze, niby refren jaki, powtarzają się w trzech po sobie idących trenach, bo pierwszą myślą, jaka poecie przy tem smutnem wydarzeniu przyszła do głowy jest to, że w czasach tak burzliwych i niepewnych jak wówczas (przypominamy, że było to jeszcze przed ukończeniem się Rokoszu), strata Maciejowskiego, który nad zażegnaniem wojny domowej gorliwie pracował, dotkliwszą niż kiedykolwiek była dla ojczyzny. Rozważanie jego znaczenia w życiu publicznem musiało też już zaraz na początku na

<sup>1)</sup> Takiego samego porównania użył (1587) Krzysztof Warszewicki w Mowie po śmierci króla Stefana, na pierwszym i głównym sjeździe Mazowieckim: „Czytamy, że króla Krezusa syn, gdy ojca na zmierć ujrzał idąc na poły umarłego, choć przedtem był niemym, wtenczas jest przemówił. Cóż ten co mówi, miałby teraz milczeć w tak wielkiem zatrwożeniu i niebezpieczeństwie starszej matki swojej Rpltej“ (przedmowa do czytelnika).

pierwszy plan być wysunięte. Dlatego (w trenie II) przypomina poeta najprzód jego zasługi jako duchownego przełożonego, zasługi tak wielkie, żeby on powinien był „nigdy nie umierać“, jeśli kościołowi ma się dzieć dobrze, a w trzecim opłakuje w jego śmierci zgon dobrego senatora, jednego z tych, którymi rzeczpospolita „pięknie zakwita“, a których ubytek upadek jej zwiastuje. Widząc teraz, jak tacy ludzie jeden po drugim schodzą ze świata, a równocześnie mając na pamięci wewnętrzne rozruchy i walki krajem szarpiące, lęka się poeta o przyszłość ojczyzny, a co więcej wyznaje, iż rzeczywiście znamiona takiego upadku już są widoczne. Piękna, z głębokiem patryotycznym uczuciem wypowiedziana jest ta jego apostrofa do ojczyzny, w której żal po zmarłym kardynale, co mógł być jeszcze niejednemu złemu zaradzić, łączy się ze smutkiem nad stanem kraju i wspomnieniem dawnej świetności:

O ojczyzno, już się bardzo nachyliła.  
O perło, o klejnocie wszego chrześcijaństwa,  
Jeden taki potężny murze od pogaństwa,  
Forteco niedobyta, już się dziś rysujesz,  
Już się w niwecz obracasz, już się z gruntu psujesz<sup>1)</sup>...  
Gdzie ono twoje męstwo, gdzie on miecz waleczny,  
Którymś na kraj świata słynął ostateczny,  
Teraześ już znikczemniał eny polskie narodzie,  
W rozterkach, ach, obacz się Polaku po szkodzie...

Tak uczyniwszy zadosyć powszechnemu żalowi, wnet przystępuje poeta (w trenie IV i V) do wynurzenia swego własnego smutku. Stosunki serdeczne i towarzyskie, jakie go ze zmarłym łączyły, musiały sprawić, że uczucia jego osobiste dobitniej się tutaj objawiły, nie tak na przykład jak w trenach po Zamojskim, którego Grochowski opłakiwał jako wielkiego męża publicznego i jako narodową stratę, którego zgon jednak w jego codziennem i prywatnem życiu żadnej nie zrobił zmiany i nie wywołał takiego wzburzenia wewnętrznego, jak teraz śmierć najlepszego dobrodzieja i przyjaciela. Utraciwszy kardynała, czuje on, że nie ma już dla niego pociechy; próżno pocieszają go ludzie, bo łatwo pocieszać temu, kto nie doznał nieszczęścia, ale trudno ukoić się temu, kogo ono spotkało. Jego rozum nie ma już także siły na to, aby mu przynieść ulgę, chociaż i najmędrszym się to zdarzało,

<sup>1)</sup> Te dwa ostatnie wiersze znowu w wydaniu Turowskiego przez pomyłkę ściągnięte w jeden.

że gdy na nich zła dola przysła, przewyciężyć smutku nie zdo-  
łali. Za przykład tego idąc za Kochanowskim <sup>1)</sup>, przywodzi poeta  
Cycerona:

Tak się i Arpinowi zdało wymownemu,  
Kiedy rzekł: Nie Rzym, ale wszystkim świat mądrymu  
Ojezyzna; lecz kiedy go nieszczęście dotknęło,  
Ono pióro anielskie szwankować poczęło;  
Poszedł z płaczem wygnaniec z Rzymu budownego  
Od miłej Terencyi.

Bo wielki żal, jak na początku trenu VI ładnie tę myśl uzupełnia,  
ma to do siebie, że człowieka unicestwia i władze duchowe w nim  
przytłumia, tak że trudno walczyć wtedy z cierpieniem i poddać  
mu się potrzeba:

Mały kłopot i lekki, co trzeba to mówi,  
Ale kiedy przyjdzie żal wielki człowiekowi,  
Już takiemu nietylko mowy nie dostawa  
Albo łez, którymi się smutny człek napawa;  
Lecz się wszystkim zapomni, wszystkim skamienieje,  
Gdy utraci rodzice albo dobrodzieje;  
Albo kiedy miłośnik pospolitej rzeczy,  
Widzi, że opuszczonej nie ma nikt na pieczy.

A w takim właśnie położeniu znalazł się obecnie poeta: stracił  
dobrodzieja, a zarazem jako dobry patriota boleje nad śmiercią  
męża, który w ciężkich czasach ojczyznę od upadku ratował.

Ta to ostatnia myśl dała zapewne Grochowskiemu pochop do  
rozpoczęcia w tem miejscu tego nawoływania do ogólnego płaczu  
po zmarłym, z którym już tyle razy się spotykaliśmy, a które tu-  
taj z powodu wysokiego stanowiska i rozlicznych godności niebo-  
szczyka do niezwykle długiego szeregu urosło. Wzywając króla,  
przypomina mu, że w zmarłym utracił „ojca i wielkiego senatora,  
człowieka sobie chętnego“. Charakterystyczne to nader wyraże-  
nie do oznaczenia stosunku, zachodzącego w Polsce między mo-  
narchą a poddanym, choćby nim nawet był sam prymas króle-  
stwa. Ten pierwszy w kraju kapłan, o którym zaraz potem jeszcze  
jest mowa, że już więcej króla „słodkim swym językiem nie prze-

<sup>1)</sup> Kochanowski, Tren 16:

Przec z płaczem idziesz Arpinie wymowny  
Z miłej ojczyzny? Wszak nie Rzym budowny  
Ale świat wszystkim miastem jest mądrymu.

strzeże gdzie trzeba według powinności“, postawiony tu jest obok  
panującego jako osoba duchowo przynajmniej od niego wyższa,  
która może go upominać i za zasługę jej to mieć trzeba, jeśli  
jest chętną.

W apostrofach tych chodzi poecie jak zwyczajnie najwięcej  
o przypomnienie rozmaitych zasług i czynów nieboszczyka. Często  
występuje także i myśl, jak niepowetowaną stratę kraj poniósł,  
jak ubytek Maciejowskiego niczem zastąpić się nie da. Pięknie  
to przekonanie Grochowskiego wyrażone jest w trenie IX:

Jako kiedy nie masz gdzie gospodarza w domu,  
Z jego cnotliwych synów nie chce się nikomu  
Dobrej myśli używać, bo w daleką drogę  
Jadąc, zostawił smutnych i matkę niebogę:  
Takeś, ojeze ojczyzny, Polskę zafrasował!  
Bo kto cię przez twe cnoty wielkie nie miłował?  
Również tak nas zasmucił wszystkich swem zniknięciem,  
Swą drogą, twojem od nas dziś wyprowadzeniem.  
Pełno tu znacznych osób, a jakby nie było  
Nikogo, tak się wszystko po tobie zmieniło <sup>1)</sup>.

Przypominając szczególne przywiązanie Maciejowskiego do dyece-  
zy krakowskiej, którą mianowany prymas długo opuścić się  
ociągał, i zestawiając to zrzęcznie z faktem, że Maciejowski po  
śmierć do Krakowa wrócił, wyraża to zwrotem bardzo szczęśliwie  
natchnionym:

Szedłeś, aleś tu jednak serce był zostawił,  
I do niegoś się wrócił, abyś się odprawił  
Z kondycją żywota tego śmiertelnego.

(Tren XIII.)

Nie zapomniał poeta wezwać do płaczu również i starych żoł-  
nierzy z tej racji, że prymas wprzód niż księdzem był niegdys  
rycerzem, chorążym koronnym i późniejsze jego duchowne stano-  
wisko naczelnika kościoła pięknie zidentyfikował z tym jego da-  
wnym świeckim urzędem:

Płaczcie starzy żołnierze, których był chorążym,  
I chorążym chciał umrzeć, ale w domu bożym  
Chorągiew przed zastępem dusz ludzkich prowadząc.

(Tren XVII.)

<sup>1)</sup> Porównaj Kochanowskiego (Tren 8):

Pełno nas, a jakoby nikogo nie było,  
Jedną maluczką duszą tak dużo ubyło.

Jak niegdyś „żałosne ubiory“ Urszulki, tak tutaj widok kardynalskiej purpury, infuły i laski pasterskiej, które podobnie jak Kochanowskiego (w *Trenie* 7.), tak i naszego poety „smutne oczy“, za sobą ciągną i żalu mu przydają, podniecają następnie znowu jego osobisty smutek. Wolałby on sam być umrzeć w miejsce kardynała, który tak był dla niego dobry. „Na coś mię osierocił na coś mię zostawił?“ pyta z bolesnym wyrzutem i przypomina sobie te różne okoliczności życia, w których tyle dobroci i uprzejmości od niego doznawał, przypomina sobie szczególnie te chwile, przepędzane w domu kardynała na poufalitych z nim rozmowach, tę wspólną wymianę myśli i to duchowe obcowanie, które dla niego, jako dla poety, tak było błogie i pożyteczne.

Na motywie, podobnym do zakończenia *Łez gorzkich* po Dobrocieskim, osnute znowu dwa ostatnie treny (XXI, XXII). „Dzwony brzmią, procesy żałosne mijają“ opowiada poeta, to znów pyta: „Czyje ciało prowadzą, komu smutno dzwonią?“ i widok tych obrzędów pogrzebowych, wyprzedzając w wyobraźni rzeczywistość, utrzymuje i wzmacnia tym bardziej jego smutek. Nie może dosyć odżałować kardynała, więc raz poraz przypomina sobie jego cnoty i zalety, że był kochaniem wszystkich stanów w Polsce i w całym chrześcijaństwie; kapłanem, „na którym się kościół boży wspierał“; biskupem, który tem był w kościele, czem „jest słońce na niebie.“ To wszystko teraz zgasło i zginęło dla ojczyzny na wieki, i poeta kończy swoje narzekania powtórzeniem słów, na których pierwsze swoje treny rozsnawał:

Nie masz się Maciejowski! zniknąłeś do nieba,  
Wtenczas prawie, najwięcej gdy cię było trzeba.

Następuje jeszcze: „Zamknięcie“, rodzaj epilogu, w którym podobnie jak w *Łzach* smutnych duch Zamojskiego, tak tu wprowadzony jest duch kardynała, przemawiający do narodu. To drugie zagrobowe odezwanie się Maciejowskiego o wiele jest efektywniejsze. Tam Zamojski, żegnając się z ojczyzną, zdawał sprawę przed nią ze swych czynów, z tem przekonaniem, że w całości wypełnił swój względem niej obowiązek. Tutaj rzecz przeprowadzona jest w dialogu, w formie niejako dramatycznej; duch kardynała stając przed narodem, żąda niby pozagrobowego sądu nad sobą i pyta: komu co złego wyrządził, kto ma mu co zarzucić? Nic, tylko wspomnienie twojej dobroci po tobie pozostało, odpowiada na to głos publiczny i nawzajem zapytuje go, czy nie ma jeszcze co więcej powiedzieć. „Jużem

wszystko, com miał rzecz, odprawił“, odzywa się na to kardynał, przekonałem się, że tylko na waszą miłość zasłużył, „mam dosyć“ na tem, i proszę jedynie Boga, aby oddalił od was wojnę domową i pokój wam przywrócił.

Tem ostatecznem zakończeniem trenów trafił bezwątpienia poeta w ostatnią myśl, która Maciejowskiego zaprzętała na świecie, kiedy umierał jeszcze przed wygaśnięciem rokoszowych ruchów, nad których uspokojeniem tak usilnie przy końcu życia pracował, a z drugiej strony złożył także dowód, jak bardzo ten krytyczny stan ojczyzny leżał mu na sercu i niepokoił go.

Kochanowski, rzadkim w literaturze wypadkiem, opłakiwał w *Trenach* śmierć nieletniego dziecka, które przez szczególne swoje przymioty niezwykle zdołało wzbudzić w nim uczucie rodzicielskie, a potem i żal także niepowszedni. Grochowski czeił w swych elegiach, z jedynym wyjątkiem królewicza, ludzi dorosłych, niezłączonych z nim związkami krwi i mających, jak Zamojski i Maciejowski, znakomite w narodzie znaczenie. Ta różnica przedmiotu, musiała już wpłynąć na rozbudzenie w nim oryginalnej twórczości. Prócz tego, w niektóre elegie włożył on tyle ze swych osobistych uczuć, tyle indywidualnego usposobienia i tyle nawet okoliczności i wydarzeń własnego życia, że to wszystko stwarzało inne całkiem sytuacje, i inny ton i charakter jego utworom nadać musiało. Wreszcie używał prawie stale owej retorycznej formy nawoływania, niewątpliwie z innych zupełnie wzorów, bo z wymowy kaznodziejskiej, przez niego przejętej, której Kochanowski nie ma, której w *Trenach* nie potrzebował, i której, choćby mu była przydatną, używać pewnie byłby nie chciał. Tym sposobem, mimo licznie pożyczonych u Kochanowskiego szczegółów, pozostał Grochowski w elegiach oryginalnym poetą, od wzoru stworzonego przez swego poprzednika nawet ze względów czysto-zewnętrznych odstępować był zmuszany, i w istocie rzadko kiedy do niego się zbliżał.

Grochowski pisał nie mało innych jeszcze wierszy treści żałobnej, najczęściej w zwięzłej epigramatycznej formie, jako nagrobki dla swych przyjaciół i znajomych, dla mieszczyki Warszawskiej Anny Falkowicówny, dla żony swego przyjaciela Piotra Kłosa (1604); dla panny Barbary Firlejówny, wojewodzianki krakowskiej; dla pani Szczęsnej z Kąckich Jordanowej, dla Augustyna Gutterera — Dobrodziejskiego, dla Pawła Działyńskiego i Mikołaja Niemojewskiego. Drobne te po największej części wierszyki nie mają wiele poetycznej wartości. Najładniejszym i najobszerniej-

szym jest wiersz na pogrzeb Jordanowej, gdzie poeta, podobnie jak królewicza Kazimierza, samą nieboszczkę przemawiającą do pogrzebowych gości wprowadza. Wdzięczne i rzewne są słowa, które zmarła, opowiedziawszy przedtem prosty swój żywot szlacheckiej żony, żegna się z rodziną i małą swą córeczką:

Dobranoc, Bóg was żegnaj domowi i krewni,  
Jam źle nie mogła umrzeć, bądźcie tego pewni.  
Żegnam cię Magdaleno, mała dziecineczko,  
Bogu a ojeu twemu zlecam cię córeczko.  
Boże! bądź opiekunem tej małej sieroty,  
Twój anioł niech ją wiedzie do wszelakiej enoty.

Po raz pierwszy w tych żałobnych wierszach, mianowicie w *Trenach*, poświęconych Dobrocieskiemu i Maciejowskiemu, z powodu zawodzonych żalów wynurzyła się także przed naszymi oczami, obok postaci oplakiwanych mężów, i osobistość samego poety. Widzieliśmy starca znękanego wiekiem i dotkniętego śmiercią ludzi, którzy nie tylko byli jego przyjaciółmi, ale i dobroczyńcami. Oplakując stratę, jaką poniosło jego serce, trapi się on zarazem obawą o swój przyszły los. Gdzieindziej jeszcze raz, choć w innych okolicznościach, spotkamy się z tą osobistością poety; zresztą, pomijając te rzadkie wyjątki, Grochowski, podobnie jak inni ówczesni poeci, jest przedewszystkiem poetą przedmiotowym. Na wyrobienie tego kierunku u naszych dawnych pisarzy wpływał zapewne przykład klasycznych poetów, których mniej więcej wszyscy, pośrednio lub bezpośrednio, byli uczniami; wpływało również i szeroko a bujnie rozwinięte ówczesne życie publiczne i polityczne, a wreszcie, i to może najczęściej, właściwe im usposobienie ducha. Bądź co bądź, duchowy horyzont tych dawnych ludzi przed paru wiekami szczuplejszy był od naszego; mniejszą daleko ich psychiczną głębia, i nie tak ruchliwą i na wszelkie wewnętrzne zmiany drażliwą ich refleksya. Byli oni o wiele bliżsi natury niż my dzisiaj, o wiele spokojniejsi, żyli w większej harmonii ze sobą i ze światem. Niewiara, zwątpienie, przesył i wszelkie ekscentryczne uczucia nie nurtowały jeszcze ich dusz, tak jak się to dziać zaczęło od początku szczególnie naszego wieku, kiedy sceptycyzm, apatya, a potem newroza i rozmaite z tych stanów rodzące się myśli i uczucia poczęły szarpać mózgiem i sercem ludzkim, i zmuszać je do wypowiedzenia tego wszystkiego, co w nich wrzało i huczało niepokojem i cierpieniem. Szczęśliwsi od nowożytnych owi dawni poeci szczuplejszą mieli daleko histo-

ryą swojego serca, i dlatego nie mieli też tyle do opowiadania o sobie światu, jak ich następcy w XIX. stuleciu. Umysł ich natomiast otwarty był zawsze więcej na to, co się przed ich oczami działo i przystępny temu wszystkiemu co cały ogół obchodziło, co jako klęska, pomyślność lub jakikolwiek nowy objaw w rocznikach publicznego życia się zapisało.

Grochowski w wierszach swoich, które tu politycznymi nazwaliśmy, pozostawił nam także poetyczny obraz kilku ważniejszych momentów ze współczesnych jemu dziejów.

Pierwszym jego utworem w tym rodzaju była: „*Kalliopea słowieńska Zygmunтови III. na stolicę polską wstępującemu*“, (Kraków 1588), a jak drugie wydanie (z r. 1608) objaśnia: „w roku pańskim 1587, przed samą koronacją oddana“. Zygmunt stanął w Krakowie 9. grudnia 1587, a koronowany był 28-go tegoż miesiąca i roku. Ponieważ Grochowski w tym wierszu niektóre szczegóły jego powitania przy wjeździe do stolicy przytacza, *Kalliopea* musiała zatem powstać w czasie między przybyciem króla do Krakowa a koronacją. Też same szczegóły, naprzykład wzmianka o armatach i powrozech zabranych *Maxymilianowi* <sup>1)</sup> (zapewne podczas jego niefortunnego najścia na Kraków), które poeta tak opisuje, jak gdyby naocznie je widział, pokazują nadto, że Grochowski musiał wtedy być w Krakowie. Prawdopodobnie przybył tutaj w orszaku Prymasa Karnkowskiego, który do stolicy na ukoronowanie króla zjechał, jako ksiądz do jego dycezyi należący, bo był wówczas kanonikiem Uniejowskim a może i Łowickim.

Wstąpienie na tron nowego monarchy, należy zwykle do ważnych wydarzeń w każdym kraju, owa koronacja Zygmunta III, ważniejszą jeszcze była o tyle, że zapowiadała koniec burzliwego bezkrólewia i domowej wojny. Pokolenie, do którego należał Grochowski, dziwnie było pod tym względem nieszczęśliwe, że pierwsze po wygaśnięciu Jagiellonów doczekało się elekcji, i w krótkich po sobie odstępach czasu raz po raz musiało wstrząśnięć, wyborowi króla towarzyszących, na sobie doświadczać. Elekcya po Zygmuncie Auguście, po Walezym i znów po Batorym, a wszystkie niezgodne i burzliwe, męczyły i niepokoiły ustawnie ludzi owego pokolenia w krótkim stosunkowo przeciągu lat czterestu.

<sup>1)</sup> A to przy szajcach czyje stoją wozy?  
Hartowne zbroje, działa i powrozy?  
Temi powrozmi lud twój (Zygmunta) wiązać miano,  
I temi działami miasta dobyć chciano.

(*Wyd. Tur, I, 16*)



Najgroźniejszą z nich była bezwątpienia ostatnia: dwóch pretendentów stało równocześnie na ziemi polskiej i wojna domowa dwóch silnych partyj na dobre się rozpoczęła. To też kiedy na głowie Zygmunta zajaśniała wreszcie korona, niejeden musiał swobodniej odetchnąć w nadziei, że ten fakt spełniony przyspieszy uspokojenie kraju. Takie patryotyczne uczucie kierowało i naszym poetą. Gdy pisał swój wiersz, uświetniający objęcie tronu przez Zygmunta, to miał głównie na myśli, że ta uroczystość położy zarazem koniec nieszczęściom publicznym i domowej wojnie; cieszył się, że kiedy Polska ma już króla, to i spokój mieć będzie. Zresztą był to król podług jego myśli; Grochowski przenosił Zygmunta nad Maxymiliana, bo widział w nim chociaż po kądzieli potomka owych Jagiellonów, których miłość tradycyjnie przechowywała się w narodzie. Z tych dwóch źródeł przeważnie płynie natchnienie poety w Kalliopei; jeżeli do tego domieszała się jeszcze chęć zwrócenia na siebie uwagi i zaskarżenia sobie łaski króla, to bezwątpienia była to tylko pobudka uboczna i w samym wierszu przynajmniej wcale nie uderzająca w oczy.

Przemową Kalliopei rozpoczyna się ten utwór. Powiada ona, kim jest, że jej urzędem głosić to, co godne chwały i „na światło ludzие dźwigać z ciemnej nocy“, a następnie, że chce opiewać szczęśliwego monarchę, któremu Opatrzność w tak młodym wieku aż dwa trony przeznaczyła. Opowiada zatem ostatnie pożegnanie Zygmunta z ojcem. Na okręcie gotowym do odjazdu wymieniają oni czułe ze sobą słowa i uściski; Zygmunt prosi ojca, ażeby się nie trapił, ojciec zaś poleca go Bogu. Lecz właśnie wiatr pomyslny zawiął, czas już odjeżdżać, więc wśród ogólnego płaczu rozłączają się ze sobą. Zygmunt odpływa, a ojciec

Stał jako wryty na piaszczystym brzegu,  
Póki mógł dojrzeć naw synowskich biegu.

Różne trwogi wstrząsają jego umysłem: lęka się burz morskich dla syna, lęka i tych przeciwników w Polsce, którzy go królem uznać nie chcą. Gdy takie skargi rozwodzi, stojąc na brzegu, ukazują mu się boginie morskie i jedna z nich zaczyna go pocieszać, że Bóg ma Zygmunta w opiece, a Polska oczekuje go tam jak poczciwa małżonka tęskniąca za „nowym swoim oblubieńcem“. Niech go to nie niepokoi, że pewna mała część Polaków — „ta garść Polski“ — innego woli pretendenta, bo ten zostanie zwyciężony i po bratobójczej walce wszyscy przejdą na stronę potomka Jagiellonów:

Przyznawać będą zwierzchność Zygmunтови,  
Zygmunтовemu od córki wnukowi.

Bóg twemu synowi da tron, kończy Nimfa swoje pocieszenie,  
a on za to wyrzuci z Polski „z obcych krajów bogi“, przywróci  
sprawiedliwość i spokój, pod jego berłem

Zakwitnie enota i szczeróć się wróci,  
Że w Polsce końca nie będzie dobroci<sup>1)</sup>.

Uspokoił się ojciec Zygmunta tą przepowiednią bogini i uwierzył w nią również i poeta. Apollo już mu „szepce w uszy“, że wróżby spełniać się zaczynają, że stolica gotuje tryumfalne przyjęcie nowemu królowi. Scena przenosi się odtąd do Polski i poeta sam prowadzi już dalsze opowiadanie. Wszędzie po całym kraju wesoło i radośnie; jeden tylko widać „żałośny poczet w czerni“ — dwór króla Stefana, gotujący się pochować jego zwłoki. Rzewny epizod poświęca tutaj Grochowski, podobnie jak w trenach po Zamojskim, uwielbianemu zawsze przez siebie monarsze, zowiąc go gwiazdą, „której promień złoty od Węgier wszedłszy, wzbudził polskie enoty“. Komu innemu pozostawiając spisać „piórem złotem“ sprawy tego bohatera, sam następnie powraca do przedmiotu, do dalszego opisu przybycia Zygmunta do Polski. Wszyscy cieszą się z tego, a najbardziej królowa wdowa, Anna Jagiellonka, która miłuje w Zygmuncie ostatnią gałąź swojego szczepu. Nie ma wątpliwości, że Zygmunt „jeden tylko koronę odniesie“, skoro w obronie jego praw staje także hetman wielki i „z wojskiem swem czeka tam, gdzie nań ogromny Niemiec porożem potrząsa“<sup>2)</sup>. Za tę wierność królowi Zamojski za-

<sup>1)</sup> Maciejowski (Piśmien. I, 645) uważa tę wróżbę Nimfy za naśladowanie Horacyusza: „W Kalliopei Słowiańskiej — powiada — wystawia (Grochowski) boginię z łona morskiego powstającą i wróżącą Zygmunтови III., płynącemu ze Szwecyi do Polski, podobnie jak u Horacego wróżył Nereusz Parysowi, płynącemu z Heleną do Troi“. Najprzód myli się Maciejowski, bo bogini nie wróży Zygmunтови, tylko wróżbą swoją uspokaja jego ojca, a potem sytuacja tu zupełnie inna. U Horacego bowiem (Ody ks. I, 15) Nereusz nie jest pocieszycielem, lecz przeciwnie przepowiada Parysowi wojnę i nieszczęścia, jako następstwa jego niegodnego czynu. Swoją drogą cała ta scena u Grochowskiego ma na sobie stempel klasyczny i podobna jest do wielu innych obrazów w tym guście w literaturze powszechnej z czasów renesansu często napotykanym.

<sup>2)</sup> Kochan. Psalm 75: Ani porożem nazbyt potrząsajcie.

służył, by mu wystawić kolumnę. Dla przeciwników znowu Zygmunta, dla tych co wznieśli wojnę domową, poeta nie ma dość słów potępienia i gorzkich im nie szczędzi zarzutów.

O nieużyte, twarde, zakamiałe  
Dzieci koronne na matkę niedbałe!  
Nie dbałe mówię? mogę rzec okrutne...

tak jak smutek jego nie ma granic, gdy pomyśli o tych nieszczęściach, które niezgoda na wielką i szczęśliwą przedtem ojczyznę sprowadziła:

O murze sławny krajów chrześcijańskich!  
Wale potężny od mocy pogańskich!  
Gniazdo dzielności i wdzięcznej swobody!  
W co cię przywieść chcą te wewnętrzne niezgody?...  
Szalone dzieci, jakoby nie sobie  
To narządziły, co narządzą tobie!  
Darmo nieszczęsna na krwawe mogiły  
Pogładasz: synyć twe własne pokryły.  
Bodaj sam widział upad nad swą głową,  
Co na cię przywiódł złą chwilę takową.

Lecz choć widmo wojny jeszcze pokazuje się na ziemi polskiej, nie pora się trwożyć, bo król przez Boga przeznaczony zbliża się już do stolicy. Cały kwiat narodu go wita, świetne tłumy go otaczają, a poeta plastycznie i z pewnym oryginalnym zacięciem kreśli ten obraz:

Widzę przedniejszy kwiat przy boku jego,  
Wszystkich trzech stanów narodu polskiego,  
Tu świetny poczet, tu jeszcze świetniejszy,  
Tu strój ozdobny, a tu ozdobniejszy.  
Widzę i wielkiej litewskiej osady  
Posłowie jadą do tejsze gromady...  
Konie wyprawne, koń w koń okazałe,  
Niosą na sobie chłop w chłop jeźdźce śmiałe;  
Tu junak rzeźwy, tu jeszcze rzeźwiejszy,  
Tu mąż ogromny, a tu ogromniejszy.

Już także i prymas gotuje się koronować nowego króla, a biskup (Goślicki) i hetman witać go przy wjeździe do Krakowa, więc i poeta składa mu swoje życzenia sławy i zwycięstwa nad przeciwnikami. A że ono przyjdzie, o tem nie wątpi, biorąc dobrą wróżbę z tego, że Maxymilianowi nie udało się ubiedz stolicy, w której teraz Zygmunt koronę przywdziewa, i że te działa, które na

zdobycie Krakowa prowadził, przeciw niemu zwrócone na szanach miejskich teraz stoją. A kiedy to się stanie, gdy nieprzyjaciele królowi ulegną, wtedy uszczęśliwiony poeta znowu sławę jego opiewać będzie „niosąc zwycięzey wieniec naznaczony“.

Na tę nową tryumfalną pieśń nie długo trzeba było czekać. W niespełna miesiąc po koronacji Maxymilian pobity został i wzięty do niewoli pod Byczyną (24 stycznia 1588), a tym sposobem usunięte ostatnie, jakie tronowi Zygmunta zagrażać mogło, niebezpieczeństwo. Grochowski nie zapomniał też o przyrzeczeniu i, jak w poprzednim wierszu zapowiedział, przywiódł znowu przed majestat królewski swą Kalliopeę słowieńską, która stanęła przed szczęśliwym zwycięzcą niosąc

... on namieniony dar Apolinowy,  
Wity od wiekopomnych sióstr, wieniec laurowy.

Nowy ten wiersz wydany, zapewne niezwłocznie po fakcie, 1588 p. t.: *Pieśni Kalliope słowieńskiej na zwycięstwo pod Byczyną w r. p. 1588* składa się z sześciu lirycznych pieśni, z których cztery pierwsze poświęcone chwale Zygmunta, a dwie ostatnie właściwemu sprawcy zwycięstwa, hetmanowi Zamojskiemu. Tryumf Zygmunta uważa poeta za dzieło sprawiedliwości boskiej, o którą Polska „łzami i krwią swych zmoczona“ Boga błagała i którą jej Bóg wymierzył, dając zwycięstwo nowemu królowi (pieśń I.). Dlatego wzywa swój naród (w pieśni II), by dziękował Bogu za to, że ojczyźnie użyczył spokoju i spuścił swój sąd na wszystkie „głowy niespokojne“, a zarazem, by oddał cześć (pieśń III) „fortunnemu potomkowi Jagiełłów, sławnemu przez to zwycięstwo po świecie całym. Wynurzenie tych uczuć. jakoteż złożenie życzeń dalszej świetnej przyszłości następuje też niebawem (w pieśni IV). Poeta pewny jest, że zwycięstwo stale Zygmuntowni zawsze towarzyszyć będzie i w zakończeniu powiada:

A jużesmy tej nadzieje,  
Że twe sławne przyszłe dzieje,  
Przyszłe wieki wiekom drugim  
Podadzą porządkiem długim.

Wielbiąc Zamojskiego w dwóch końcowych pieśniach, szczególny nacisk kładzie na to, że hetmanowi przedewszystkiem ojczyzna ten tryumf zawdzięcza, zowie go z tej przyczyny „ojcem ojczyzny“ i w zwycięstwie jego widzi podwójną zasługę: uskro-

mienie owych „głów niespokojnych“ panu swemu niezycieliwych, jakoteż pokonanie zewnętrznego „nieprzyjaciela“. Stąd jak starożytni Hektorowie i Kamillowie żyć będzie hetman w pamięci ludzkiej, zwłaszcza, że tryumf jego tak niezwykły i sławny, skoro sam arcyksiążę dostał mu się w niewolę. Ale poco pragnął tego, kończy poeta ironicznie, czego mu dać nie chciano i czemu dla osiągnięcia swych celów używał środków niegodnych:

Niespokojne ludzkie żądze,  
Nie powiodły się pieniądze,  
Więc do praktyk i do zbroje;  
Dawna powieść: trzymaj swoje.

W ścisłym związku z tą pieśnią o Byczynie jest wiersz *Hołubek do żołnierzów*, wydany po dwakroć w Krakowie 1588.

Ów Gabryel Hołubek, rotmistrz Kozaków litewskich, należał do najdzielniejszych stronników Zygmunta, śmiała wycieczką uwolnił Rabsztyn od wojsk Maxymilianowych, a później pod Byczyną poległ śmiercią bohaterską. Z powodu jego poświęcenia się dla dobrej sprawy i niezwykłej odwagi Grochowski postawił go za wzór prawego żołnierza, mogącego innym służyć za przykład. Jedyna droga do sławy odzywa się we wstępie „autor żołnierzom dzisiejszym niektórym“ jest ta, którą szedł Hołubek, i sławy nie dostąpią nigdy, i tylko przekleństwo ludzkie na siebie ściągną i na piekło zarobią ci żołnierze, którzy, jak się to już wówczas nieraz zdarzało, umieją

... tylko wieś ode wsi chodzić,  
Ubogim chleb wydzierać, we krwi drugich brodzić,  
Albo miasta plondrować.

Z wielką werwą, dowodzącą silnego przejęcia się przedmiotem, w zwiezłych i jędrnych słowach kresli następnie ważniejsze czyny Hołubka w ostatniej wojnie w czasie elekcji, odparcie Niemców od Rabsztyna i śmierć chwalebna pod Byczyną, gdzie kiedy „na czoło stawiał sam siebie, tamże pięknej sławy syty, upadł z półhaku zabity“. Mówiąc o Rabsztynie, powtarza historyczną odpowiedź Hołubka, daną Niemcom, gdy go do poddania zamku namawiali: „próżna to Niemcy namowa, darmo tu zdradziec (zdrajców) patrzacie, już wszystkich u siebie macie“. Podniosłemi słowy przepowiada w końcu przysłą sławę Hołubkowi i oddaje pochwałę tej młodzi polskiej, która niegdyś jak on rycerskim duchem zarabiała na cześć, a ojezyźnie przysparzała wielkości:

Hołubku sławny rycerzu,  
Póki żywiły w przymierzu,  
I dokąd słońce na niebie,  
Nie przepomnią w Polsce ciebie.  
Tej dzielności w on wiek złoty,  
Zarzuciwszy swe pieszczoty,  
Pilnowali ludzie młodzi.  
Za takim dziełem cześć chodzi.  
Taką pracowitą cnotą  
Polska młódź kiedyś z ochotą  
Brzegi swe, przez mężne boje,  
Wiedli pod morza oboje.

Trzy nagrobki dla Hołubka po tej pieśni następujące, jak zwykle w takich razach u Grochowskiego, nie dorównują wartości poprzednim strofom i niepotrzebnie osłabiają wrażenie. Dodana na tytule tej pieśni uwaga: „Nóta jak o Chmieleckim“ pokazuje, że albo autor do śpiewu ją przeznaczał, albo też że w istocie była w owe czasy śpiewywaną.

Drugą podobną tryumfalną chwilę, jak to osiągnięcie tronu mimo mnogich przeciwności przez Zygmunta, przynajmniej jak się wielu ludziom wówczas zdawało, opiewał Grochowski w kilkanaście lat potem. Mówiliśmy już w jego żywocie, że z natchnienia może Mniszcha, lub kardynała Maciejewskiego napisał on *Pieśni na fest ucieszny wielkim dwiema narodom polskiemu i moskiewskiemu*<sup>1)</sup>, to jest na zaślubiny Dymitra z Maryną, które się odbyły w Krakowie 22 listopada 1605 r., przy czem bawiącego wtedy w Moskwie Cara zastępował poseł jego Ofanas. Grochowski z zupełną wiarą w prawowitość Samozwańca podzielał i nadzieje tych, którzy w osadzeniu Dymitra na tronie i w jego ścisłym połączeniu się nawet przez związki małżeńskie z Polską, najświetniejsze krajowi rokowali następstwa. Polska uwolniona przez tak niezłomne przymierze od ciągłego niebezpieczeństwa ze strony Moskwy, w dwójnasób miała zyskiwać na siłach, i całą swoją potęgą mogła się zwrócić, czy to na północ przeciw Szwedzkemu Karolowi, czy na południe przeciw nieprzyjaciółom całego chrześcijaństwa, przeciwko Turkom. Szczególnie możliwość tryumfu nad tym drugim nieprzyjacielem uśmiechała się pocie, bo i niebez-

<sup>1)</sup> Wydane w Krakowie 1606 w trzech czy czterech edycjach, bo bibliografowie różnią się w tym punkcie; jednym z tych wydań będzie zapewne i „Krakowska Polaków z Moskwą biesiada“ b. m. 1606, którą ks. Drozdziejewicz za osobny wiersz uważa.

pieczeństwo z tej strony było większe i chlubniejsze zadanie do spełnienia dla Polski, którą on w religijno-patriotycznym duchu owych czasów tak często wałem od pogaństwa nazywał.

Złożywszy przeto w dedykacji hołd „urodziwej Nimfie“ a przyszłej carowej, i zwróciwszy jej uwagę na to, jak nadzwyczajnem w świecie wydarzeniem, chociaż wprawdzie córka „wielkiego w Polsce senatora“, do tak wysokiej doszła godności, w szeregu następujących potem dwudziestu trzech pieśni, obok pełnych uniesienia życzeń i powinszowań dla nowożeńców i ich rodziny, rozwija w rozmaitych formach tę myśl polityczną i unosi się tą błogą nadzieją o świetnej przyszłości. Pieśń pierwsza służy za introdukcją, w której poeta obznajmiając nas z położeniem opowiada zaszły fakt historyczny, że Mniszech wprowadził Dymitra na wydarty mu tron jego przodków, a Dymitr odwiedzając się za to, bierze za żonę jego córkę. Z tego wydarzenia powinny się radować oba pobratane teraz narody: Polska i Moskwa (pieśń II). a potem wszyscy ci, którzy do dzieła sprawiedliwości przyłożyli rękę i szczęśliwym obrotem rzeczy za swe trudy i starania zostali wynagrodzeni. A więc najprzód Dymitr, zwycięski tryumfator i szczęśliwy mąż, do którego pospiesza piękna i enotliwa oblubienica (pieśń III—VI). Cieszyć się dalej może i tryumfować wojewoda, główny sprawca tego dzieła i wyniesienia Dymitra; jego żona, a matka Maryny, która się stanie protoplastką królewskiego rodu, jakoteż sama Maryna, która „wyniosła dom swój z obłokami równo“. Nie mógł tu zapomnieć Grochowski i o należnym do rodziny, a swoim dobrodzieju kardynale Maciejowskim, i winszując mu również podniesienia domu, wyraźniej niż gdzieindziej wspominał także o tem, że Maryna ma moralny obowiązek pilnować w Moskwie interesów polskich:

... idzie krewna twoja  
Do wspaniałego carskiego pokoja,  
Gdzie pewnie swoich będzie mieć na pieczy  
I polskie rzeczy.

(Pieśń X.)

Zwracając się następnie do króla, roztacza przed jego oczami świetny obraz korzyści, oczekujących Polskę z tego sojuszu z Moskwą i w gorących słowach zachęca go do podjęcia „przodków przykładem“ wojennych czynów, do wydania mianowicie wojny Tureyi, kiedy okoliczności tak się szczęśliwie ułożyły, że może być z innej strony spokojnym, a nawet wspólnymi z Moskwą

siłami na „Mahometskich synów“ uderzyć. Poeta wróży mu zwycięstwo i wielką z tego na cały świat sławę.

O dniu szczęśliwy, dniu błogosławiony,  
Gdy miecz twój zabrzmi, królu, na wsze strony;  
Tam mię i Linus nie zwycięży pieniem,  
Ani Orfeus łagodnych stron brzmieniem<sup>1)</sup>.

Weź serce wielkie swych przodków przykładem,  
Postępuj sobie wielkich królów śladem:  
Niech na świat słynie twoja siła w boju,  
I obmyślanie złotego pokoju.

Sam zajęź drogę nieprzyjacielowi<sup>2)</sup>,  
A pójdą wszyscy przy tobie gotowi;  
Z jaką przy wodzu chęcią lecą pszczoły,  
Tak i przy tobie lud pójdzie wesoły.

(pieśń XI.)

Dalsze powinszowania i życzenia wystósowane są do królewicza Władysława, do posła carskiego Ofanasa, jakoteż do tych z rycerstwa polskiego, którzy brali udział w wyprawie Dymitra do Moskwy. Odzywając się do „koronnych synów“ (pieśń XIV), zachęca ich podobnie jak króla do wojny z niewiernymi i przypomina, że wojenną enotą, a nie próżniactwem i opilstwem zyskać sobie mogą sławę, jaką mieli ich przodkowie:

Zetrzyj sen z oczu, Polaku enotliwy,  
Masz czas, ktokolwiek ojezyźnie chętniwy,  
Bezpieczny będąc już od Moskwicina,  
Bij Tatarzyna.

Czy lepiej kufła albo kart pisanych,  
Bądź kostek patrzeć sromotą zmazanych,  
Niż isć, gdzie ludzka pochwała życzliwa  
Do sławy wzywa?

Weźmiecie serce i myśl godną siebie,  
Godną przodków swych, oną co dziś w niebie:<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Te dwa ostatnie wiersze, gdzie się do tego stosowna sposobność zdarzy, często się u Grochowskiego dosłownie powtarzają.

<sup>2)</sup> Kochan. Psalm 20: Zajęź drogę śmieie nieprzyjacielowi.

<sup>1)</sup> Porówn. Kochan Pieśni I, 19:

Przeto chciejmy wziąć przed się myśli godne siebie,  
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie.

Niech zna ojezyzna, żeście jej synowie,  
Nie wyrodkowie.

Końcowe pieśni (19—23) poświęcone znowu hołdowi i pochwale najgłówniejszych w całej tej sprawie i przy weselnej uroczystości osób: Maryny, Mniszcha i Dymitra, przyczem poeta przypomina świeżej carowej jej wielkie posłannictwo w Moskwie: „pomnij na ród twój, a czyni nam chętnego cara wielkiego“ (pieśń 19), a Dymitrowi zaleca, by wdzięcznym był Bogu, bo że na tron powrócił: „nie z przygody to się działo, jako Bóg chciał tak się stało“ (pieśń 23).

Na tem właściwie kończą się owe „Pieśni na fest ucieszny“, i w tym kształcie ofiarowane one były zapewne w rękopisie przez Grochowskiego carowej Marynie, a może i innym najcenniejszym gościom tych godów, których poeta w swych wierszach wspominał i wielbił. Kiedy się potem „Pieśni“ w druku okazały, przyozdobiono je pięknymi drzeworytami, przedstawiającymi wizerunki: Dymitra, Maryny, Maciejowskiego, Mniszcha i Ofanasa, tudzież herb moskiewski Dymitra, z czego Grochowski, zwyczajem swego wieku, kochającego się w podobnych zbytecznych dodatkach, wziął pochop do objaśnienia tych drzeworytów nowemi na końcu wierszami. Epigramatyczne te wierszyki pozbawione są poetycznej wartości, z wyjątkiem o wiele od innych obszerniejszego wiersza: „Na tenże herb“ (moskiewski), który można policzyć do najdatniejszych rzeczy, jakie z pod pióra Grochowskiego wyszły. Poeta opowiada w nim historią Dymitra aż do osadzenia go na tronie, historią tak niezwykłą, że kto nie zapatrywał się na nią sceptycznie jak Zamojski, jako na nową „komedię z Terencyusza“, na tego wyobraźni musiała robić wrażenie cudowności. Podziwiając te dziwne drogi, któremi szedł Dymitr, widział też Grochowski w jego życiu przedewszystkiem niezbadane i niedościgłe myślą ludzką wyroki boskie, które przez nieszczęścia i niebezpieczeństwa przyprowadziły go znowu na utracony niegdyś tron:

O Panie! dobroć twoja do nieba przestała,  
A prawda nad obłoki głowę ukazała;<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Kochan. Psalm 36:

O Panie! dobroć twoja do nieba przestała,  
Prawda obłoków sięga...

tudzież Psalm 57:

Albowiem twoja dobroć do nieba przestała,  
A prawda nad obłoki głowę pokazała.

Na morzu ścieszki twoje, a na wodach drogi,  
A nikt nie poszlakował dotychmiast twej nogi;<sup>1)</sup>  
Zkąd wszystkie twoje dzieła pełne zadziwienia,  
Tyś szczytem, tyś pomocą swym do wyzwolenia;  
Doświadczywszy cnoty ich podług zdania swego,  
Ty sam nie odstępujesz w trwodze niewinno.

Jak niegdyś Józefa uratował Bóg „z brackiej okrutności“ i wywyżzył go, czyniąc wielkorządcą Egiptu, tak ręka jego czuwała i nad Dymitrem. Ona to wyrwała go pewnej śmierci w dzieciństwie i chroniła przed prześladowaniem Borysa. Wtedy to, jak się przez wielce charakterystyczne lubo także z Psalterza Kochanowskiego (Psalm 109) wzięte porównanie wyraża poeta, Dymitr

Tak się zdradzie umykał, tułając po świecie,  
Jako konik, gdy czuje bliskich nóg chrzęst w lecie.

Bóg to także natchnął wolą swą Mniszcha i kazał mu w obronie praw Dymitra wsiąść na koń i do Moskwy dążyć, przyrzekając mu, że poszle swego anioła, „żeby był u czoła zawsze zastępów waszych“, i że sam im „do ręki poda miasta niezdobyte“ i wojska przeciwne Dymitrowi przymusi jemu się kłaniać, albo je rozproszy „jako nieujęty wiatr morski i tam i sam rozprasza okręty“<sup>2)</sup>. Usłuchał Mniszech tego, co mu Bóg oznajmił, a z nim razem poszły ku Moskwie liczne poczty rycerstwa polskiego. Tutaj wylicza poeta kilkanaście nazwisk tych cenniejszych rodów szlacheckich, które w tej wyprawie udział wzięły, jako „godnych niezapomnienia, godnych czci bez końca“. Za ich to sprawą Dymitr dziś carem, a „bujny orzeł“, herb jego państwa, może teraz wznosić w górę głowę i dumnie swoje skrzydła rozpościerać, gdy prawy władca usiadł znów na tronie.

Słabą stroną „Pieśni na fest ucieszny“ jest ciągle powtarzanie się jednego i tego samego motywu, to jest to składanie

wreszcie i Psalm 108:

Bo dobroć twoja do nieba przestała,  
A prawda głowę z obłoki zrównała.

<sup>1)</sup> Kochan. Psalm 77:

Na morzu ścieszki twoje, a na wodach drogi,  
Ale nie poszlakował żaden twojej drogi.

<sup>2)</sup> Kochan. Psalm 48:

A tyś je tak rozprószył, jako nieujęty  
Wiatr morzolutne roztrząsa okręty.

powinszowań i życzeń różnym osobom; każdej z osobna, ale z jednego i tegoż samego powodu. Na czytelnika działa ta jednostajność nużąco, i pieśni te zbyt rozwlekłe mu się z tej przyczyny wydają, podobnie jak owe wzywania do płaczu we wszystkich prawie elegiach żałobnych Grochowskiego. Tym razem jednak może nie konieczne fantazją poety obwiniać trzeba o nie zbyt szczęśliwy pomysł. Powodem takiego układu „Pieśni“ mógł być także praktyczny wzgląd na rzeczywiste okoliczności. Wesele Maryny odbywało się z wielką pompą w domu Montelupich (czyli Wilczogórskich) na rynku krakowskim, tak że musiano przebić ściany w sąsiednich kamienicach, ażeby zrobić miejsce dla tych dziesięciu stołów, przy których zasiadać mieli biesiadnicy. Wszystkie też, oprócz wielu jeszcze innych, wymienione przez Grochowskiego w Pieśniach dostojne osoby, były na tych godach obecne. Był nawet mały jeszcze król Władysław, a król, wówczas jeszcze wdowiec, (ożenił się z Konstancją 11. grudnia t. r.) do godziny drugiej w nocy tańczył z nadobną Carową<sup>1)</sup>. Wypadało zatem Grochowskiemu przy święceniu tej weselnej uroczystości, z którą także wielki tryumf polityczny łączono każdemu z tych dostojnych gości, a zarazem i czynnych w tej sprawie aktorów złożyć z osobna i hołd i życzenia i każdemu osobną pieśń poświęcić. Że zaś wszystkich za jedno i to samo musiał słać, musiał się więc i powtarzać.

Szczęście Dymitra i Maryny a złudzenie tych, którzy na nowym Carze tyle świetnych nadziei budowali, jak wiadomo, nie długo bardzo trwały. Pół roku niemal po owych Krakowskich godach Dymitr został zabity w Moskwie (27 maja 1606). Niewątpliwie i autor „Pieśni na fest ucieszny“, który widział w nim i szczęśliwego wybrańca boskiego i wiernego sprzymierzeńca Polski, zasmucił się mocno z takiego obrotu rzeczy. Po dwóch jednak latach doznał znowu niespodziewanej pociechy. Przyszła do Polski wieść, że Dymitr nie został zabity i ocalał, i że pobiwszy Szujskiego, zwycięsko zmierza do swej stolicy. Wyrazem wielkiej a nieklamanej radości z tej zmiany fortuny był wiersz Grochowskiego: „Na nowe tryumfy i szczęśliwe zwycięstwa terazniejsze a wygrane bitwy przeciwko zmiennikowi Szujskiemu, przez wojska wielowładnego a przemożnego Dymitra Moskiewskiego Cara etc“ (b. r. i m.), — wiersz który potem z niektórymi poprawkami umieścił w zbiorowym wydaniu (u Loba str. 598) pod zmienio-

<sup>1)</sup> Wielowieki, Historiści diarii. Script. rer. pol. X, 101, 102.

nym tytułem: „Pieśń o zwycięstwie pod ten czas co dalej głośniejszym a o fortunym znowu na stolicę Carską ciągnięciu Dymitra Wielkiego Cara Moskiewskiego w roku terazniejszym 1608“.

Nie domyślając się nawet tego, poeta winszował w tym wierszu zwycięstw drugiemu już Samozwańcowi, nie temu któremu niedawno na weselne gody pieśni układał. Ozygnął to jednak z gorącym uczuciem i wielkim zapałem; serce „kwitło mu“<sup>1)</sup> z wesołych nowin nadechodzących do Polski, i w radości tej sięgał on aż po ową arfę złocistą, z którą król psalmista uciekał niegdys w góry, uchodząc przed prześladowaniem Saula, ażeby na niej wypiewać nowe a cudowne zrzáżenia boże:

Arfo złocista, uciecho świętego  
Króla psalmisty w trudne czasy jego,  
Kiedy przed Saulem z tobą samowtóry  
Uciekał w góry.

Arfo, jeśli tam były twe zabawy,  
Wspominać boże z ludźmi dziwne sprawy:  
Chciej mi dziś przybyć do mych pieśni rąca,  
O słodko brzmiąca!

W tym tonie podniosłej liryki, świadczącym jak głęboko poeta przejętym był tą sprawą, wielbi on drugie to już Dymitra ocalenie jako nowy cud boży, porównyując go znowu, jak niedawno w wierszu „Na herb“, do Egipskiego Józefa, cieszy się z jego świeżych zwycięstw jakoteż tą nadzieją, że Car powróci wolność uwięzionym w Moskwie Polakom, i ostre robi wyrzuty narodowi moskiewskiemu, że pana swego zdradził i prawa gościnności względem Polaków złamał:

Dwie rzeczy pomsty godne pobroili  
Ten gruby naród: i pana zdradzili,  
I gości, których nie pomordowali,  
W więzienie dali<sup>2)</sup>,

Wielce ciekawym, jako przykład wyobrażeń politycznych nie tylko Grochowskiego, ale zapewne całego ówczesnego ogółu jest wiersz „Na dzień piątkowy, który był szósty miesiąca czerwca w r. p. 1608. Do Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego, na przybycie j. m. do krakowskiej konwokacji, po bur-

<sup>1)</sup> Kochan. Psalm 92: Serce mi kwitnie, pełnem radości.

<sup>2)</sup> W osobnem, pierwszym wydaniu tej pieśni ostatni ten wiersz brzmi: „Zahamowali“. Poprawka późniejsza jest bez wątpienia lepszą.

dach rokoszowych“, to jest kiedy Zebrzydowski w jedenaście miesięcy po klęsce poniesionej pod Guzowem przybył do Krakowa, aby odbyć tutaj cermonią przeprosin króla. Poeta cieszy się z tego wydarzenia, które miało być pieczęcią zgody i pokoju. Jego ideałem politycznym była bowiem harmonia między temi dwiema potęgami: wolnością i zwierzchnością, które przez długi czas prowadząc zgubną dla kraju walkę ze sobą, dzisiaj nawzajem „skłoniły się sobie“. Wolność oddała cześć winną królowi, a król przyjął ją nie jak zagniewany pan ale jak dobroliwy ojciec. Że kraj teraz odetchnął, że rozruchy się skończyły, zasługa w tem także wojewody, że na konwokacyą się stawił i ukorzył się. Za to, co było w przeszłości, poeta również nie bardzo go obwinia. Chociaż z powątpiewaniem się pyta, czy to była prawdziwa wolność, „która tak wiele u nas nabroiła“, chociaż oświadcza, że ze wszystkiego co Zebrzydowski zrobił, największem dziełem było to:

Gdy się dziś panu swemu według przystojności  
Pokłonił, a ojczyznę z tej trwogi wybawił —

to jednakowoż dążności jego w zasadzie nie potępia, i owszem powiada jakby na jego pochwałę:

Zamysły Zebrzydowski były wielkie twoje.

Już sam fakt, że na cześć rokoszana i buntownika można było podobny wiersz napisać, bardzo jest wymowny. W ówczesnej Francji albo Anglii, nie mówiąc już o innych, pewnieby to żadnemu poecie do głowy nie przyszło. Ale w Polsce poczucie wolności i przywiązanie do niej były tak silne, że kto w jej obronie choćby pozornej występował, mógł być pewnym rozgrzeszenia od wielu innych grzechów. Grochowski był niewątpliwie dobrym i wiernym poddanym Zygmunta III.; kochał w nim krew jagiełłowską, wielił go za jego gorliwość katolicką, widział w nim zresztą monarchę swego, który z tytułu stanowiska swego reprezentował mu w sobie pomyślność i całość kraju, a jednak mimo tego monarchicznego usposobienia, czuł on równocześnie jakiś szacunek i skłonność mimowolną dla tego, który z bronią w ręku wystąpiwszy przeciw królowi, uczynił to pod hasłem wolności. Szlachecka to natura odzywała się wtedy w tym księdzu — poecie, że nie mógł wyzuć się ze sympatii do rokoszana, bo jeśli z jednej strony uważał go za szkodliwego dla kraju, z drugiej

znów nie mógł zapomnieć, że ten rokoszaniec występował w imieniu tego, co w głębi duszy dla niego zawsze było najdroższem. A tak jak Grochowski myślał bezwątpienia i ogół ówczesnej szlachty. Nawet ci co stali w przeciwnych Zebrzydowskiemu szeregach, co pod chorągiewami króla walczyli, nie życzyli sobie bynajmniej, by na gruzach rokoshu król *absolutum dominium* ufundował, i żeby pod niemi zginęła ta wolność, którą każdy z nich jak źrenicę w oku szanował. Było w Polsce dużo ludzi szczerze do królewskości przywiązanych, ale z wyjątkiem kamaryl dworskich nie było nigdy rojalistów, gotowych do poddania swobod stanu szlacheckiego pod nieograniczoną władzę monarchy.

Przez współczesne wydarzenia polityczne wywołany był także: „Rym polski na oczekiwany przyjazd jego królewskiej Mości z królestwa szwedzkiego do korony polskiej“ wydany dopiero w zbiorowym wydaniu u Loba 1608, a pisany jeszcze 1598, kiedy Zygmunt III. wracał do Polski z drugiej swojej do Szwecyi podróży. W tym czasie wypadki przybrały tam już groźną postać: Karol Sudermański podniósł już jawny bunt, w skutek czego przyszło także do krwawej rozprawy między stryjem a synowcem. Grochowski wita z radością powrót Króla do Polski, oburza się na „srogiego tyrana“ Karola i na „zmienników“ szwedzkich, i przeciwstawiając temu wiarołomstwu dziedzicznego królestwa miłość jaką Polska ma dla króla, radzi mu, aby zapomniał o niewdzięcznej Szwecyi a całe swe serce oddał Polsce:

A w enotliwej  
Krwi polskiej, sobie chętniwej  
Zakočaj się.

Na innem miejscu wspominaliśmy już, że wiersz ten tłumaczony jest także na język łaciński, niewątpliwie przez samego autora.

Dwa jeszcze i to obszerniejsze politycznej treści utwory Grochochowskiego mają inny znowu całkiem charakter, nie liryczno-dityrambiczny, jak po większej części poprzedzające, ale satyryczno-polemiczny.

Pierwszym z nich jest „Babie Koło“, ów wiersz, co tak ważną rolę w życiu poety odegrał, a o którego powstaniu i smutnych, jakie dla autora spowodował następstwach, już dawniej mówiliśmy. Wiersza tego Grochowski nigdy nie drukował; z początku chodziło mu o tajemnicę, która przy ręcznym przepisywaniu łatwiej zachować się dała, a później albo może zobowiązał się



wobec zagniewanych biskupów, że go ogłaszać nie będzie, albo może doświadczywszy tyle przykrości z jego powodu, uczuł wstręt do tego swojego płodu i chciał żeby i on sam i świat o nim zapomnieli. Nigdzie też w swoich pismach ani o owym wydarzeniu, ani o tym nieszczęsnym wierszu do końca życia wyraźnie przynajmniej nie wspomnieli. „Babie koło“ aż do niedawnych czasów spoczywało tym sposobem w zupełnym zapomnieniu. Bentkowski nic o niem nie wiedział, ale znał je już Juszyński z jakiegoś rękopisu, skoro pierwsze ośm wierszy z niego przytoczył. Drukiem w całości ogłosił je po raz pierwszy dopiero Maciejowski (Piśmiennictwo T. III. Dodatki str. 171—176). Znał on ten wiersz w trzech rękopisach: w dwóch, będących niegdyś własnością Kuropatnickiego a potem przez tegoż b. Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Warszawie darowanych, i w rękopisie przechowanym w Kurniku. Charakter pisma obu pierwszych rękopisów, według zdania Maciejowskiego, wskazywał na początek XVII. wieku, a więc na czasy może bardzo bliskie powstaniu tego wiersza. Rękopis kurnicki także z tegoż samego wieku ma pochodzić. Co do treści rękopisy Warszawskie zgadzały się z sobą zupełnie, Kurnicki zaś był od nich krótszy, kończył się na przemówieniu szóstej baby i brakowało w nim następującego jeszcze potem w innych opisu kłótni. W rękopisie wreszcie, z którego Maciejowski wiersz ten wydrukował, tytuł w całej rozciągłości brzmi: „O nominacie krakowskim po śmierci X. Radziwiła Cardinała na sejmie Warszawskim w roku 1600 Pasquin albo Babie koło“<sup>1)</sup>.

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej temu w rządzie prac naszego poety osobliwшему wierszowi. Ekspozycją rzucą autor śmiało i szybko:

O tej dobie  
Baby sobie  
Gdzie siadają  
Rozmawiają —

<sup>1)</sup> Maciejowski w Dodatkach str. 169 wydrukował także: „Pieśń pod napisem i godłem: Quod sequitur specta“ jako utwór Grochowskiego na tej podstawie, że znalazł ją po „Żałośnej kamoenie“ tegoż autora w rękopisie z r. 1605 własnością Zakładu Ossolińskich będącym, i że zdawała mu się w jego stylu być napisaną. Pierwszą połowę tej pieśni również z jakiegoś „rękopisu z r. 1605“ umieścił jeszcze wcześniej Wójcicki w Pieśniach Ludu (I, 227). Co do nas, nie całkiem podzielamy zdanie Maciejowskiego o podobieństwie stylu Grochowskiego w tej pieśni.

baby, żebraczki siadające pod kościołem radzą nad tem, kto zostanie biskupem krakowskim, robiąc bądź różne domysły, bądź też propozycje ze swej strony. Podkancelerzy (Tylicki) nie myśli o tem, dosyć ma na Warmii, więc pewnie powiada pierwsza baba, dostanie się Kraków biskupowi Płockiemu (Baranowskiemu). Za króla Stefana dużo on pieniędzy pożyczał, a i teraz „ksiądz brząkniali, kurka strzeli“ (tj. gdy zapłaci, wygra). To niegodne posądzenie z surowem ofuknięciem zostaje przez koło przyjęte, a druga baba proponuje dalej Poznańskiego biskupa (Tarnowskiego), z pełnem hypokryzji westchnieniem zaraz dodając: „ach skąpego“. Temu biskupstwo dać muszą, „bo swe rzeczy ma na pieczy“, a nawet jak poeta daje do poznania, i zapłaciłby za to, gdyby król chciał przyjąć pieniądze, lecz „panu temu nie świętego przedajnego, chybaby (jak dopowiada z pewnem złośliwym powątpiewaniem druga baba) świat poszedł wspak“. Z kolei wymieniają innych jeszcze kandydatów: Firleja, Rozrażewskiego (zmarłego równocześnie) Goślickiego, Kazimirskiego i Gomolińskiego, u każdego jednak znajdzie się jakieś „ale“, albo jaka przeszkoda. Tymczasem jedna z bab dotąd milcząca i nad czemś zamysłona

Jednooka  
Wedle boka  
Czwarta była;  
Coś czyniła,  
Trzęsła głową —

i nareszcie, słysząc te różne propozycje, odezwała się nawpół z gniewem:

Ja stara mać,  
Mnieby słuchać  
Wiotchogębe,  
Jednozębe!

Ci kandydaci, o których tu była mowa, są godni z różnych względów, ale ona ma jeszcze lepszego:

Jeśli k'temu	Służąc pilnie
Chcem dać temu,	I usilnie
Co uczeiwie,	Idzie za tem:
Świętobliwie	Swym Biernatem
Wiek przepędził,	Nie wżgardzajmy,
Sam się zwędził,	Temu dajmy.

Jej kandydatem jest przeto Bernard Maciejowski, najgodniejszy ze wszystkich; w jego interesie, gdyby mogła, przemówiłaby nawet do króla:

Pogardź głupstwem,  
Świątokupstwem;  
Niech przepadną!  
Sławęć kradną  
I sumnienie.  
Na liczenie  
Ich pieniędzy  
Nie miej żądy;  
Bo rzec muszę:  
Zgubią duszę.

Jeśliż oni  
Są w złej toni,  
Ty swej nigdy  
Nie chcej krzywdy;  
A to ziarno  
Pańskie darmo  
Siej, gdzie wzroście  
W niebo proście.

Mimo tak gorącej przemowy baby nie zgadzają się z tym wnioskiem, każda chciałaby swego kandydata przeprowadzić. Zaczyna się kłótnia i bójka babska, gdzie słyhać policzki i gdzie leca targane włosy:

Ta chce tego,  
Ta owego,  
Więc do siebie,  
By w potrzebie

Te murłegi. (pod murem  
legające)  
Trzask, trzask tegi,  
Trzeszczą włosy,  
Siwe kosy.

Nie było komu uspokoić tego rozruchu, bo Marszałek, do którego należała policya, spał właśnie, więc owa stara baba, ostatnia z przemawiających, bierze na siebie przywrócenie porządku, a z nią także i Pękowski<sup>1)</sup>, trefniś dworski, zuch jeszcze i nie dający sobie w kaszę dmuchać, „choć stary dziad“ już, który zjawia się na placu w niedziedzim szłyku, w wilczej szubie

<sup>1)</sup> Ten Pękowski Jakób nie jest, jak Maciejowski (Piśmien. III, Dodatki, str. 174) objaśnia jakiś „dziad pękaty, otyły“, ale rzeczywista figura. Jakóbowi Pękowskiemu poświęca Grochowski humorystyczny swój wiersz: „Pamiętka nagrobna Samuela Głowy“ z żartobliwą również i drwiącą dedykacją, której treścią nie jest nic innego tylko to, że kiedy umarł już Głowa, trefniś Maciejowskiego, to czas także, ażeby się na tamten świat wybierał i Łeb (przez wisko Pękowskiego) jako dobry jego kolega, a przytem człowiek już stary. Wypadałoby z tego, że Pękowski był także, jak go też Grochowski w Babim kole wyraźnie nazywa „trefnikiem dworskim“. W przedmowie jednak do Pamiętki nagrobnej Głowy tytułuje go Sekretarzem Nadwornym, a Niesiecki (VII, 266) wymienia również tego samego niezawodnie Jakóba z Pękowie Pękowskiego jako sekretarza królewskiego. Te sprzeczności mogłoby chyba pogodzić to przypuszczenie, że Pękowski był kiedyś sekretarzem królewskim, ale może z czasem przez chorobę lub pijaństwo zrobił się człowiekiem mialkiego umysłu, dziwakiem i oryginałem, którego, jak Grochowski w Babim Kole wspomina, chłopięta po ulicy prześladowały.

i z kordem srebrzonym u pasa wraz ze swoim służącym. „Oba śmieli, oba grozą, baby trwożą“, ale baby zastraszyć się nie dają, tak że „zbywszy siły, Jakob miły“, zgrzytnął tylko zębami i poleciał ze skargą do Marszałka. Nareszcie owej starej babie, lepiej niż Pękowskiemu, udało się ład przywrócić. Przyszedłszy do słowa przypomniała towarzyszkom jak wiele już czasu, naśladowując niby sejm rzeczywisty tę samą sprawę traktujący, na naradach trawia, zawezwała je do stanowczego rozstrzygnięcia i poleciła jeszcze raz i dobitniej Maciejowskiego:

Wszystkie zatem  
Swym Biernatem  
Nie wzgardzajmy!  
Temu dajmy

W rząd krakowską  
Trzodę boską,  
Dla cnót jego  
Godzien tego.

Tym razem baby jednomyślnie przystały: „każda wstała, podpisała“. — W krótkim jeszcze zakończeniu poeta pochwała to postanowienie bab, i dziwiąc się ich mądrości powiada, że dużo świata zwiedził gdy był młody, a teraz już siwy i stary, a nie słyshał nigdy, ażeby baby rozsądziły jaką sprawę tak słusznie, jak te tutaj teraz, z czego także widać, że kiedy chcą umieją poznać, co jest prawdziwą wolą bożą.

Bardzo sprawiedliwie, czy sam autor, czy przepisywacz rękopisu, nazwał ten wiersz paszkwilem. Satyrą „Babiego koła“ żadną miarą nazwać nie można, jeśli trzymać się będziemy tej poetycznej, ale nader trafnej definicyi: „satyra w szczególności nikomu nie daje“. Nie chodziło tu autorowi o ogólny, a zatem i poetyczny obraz obyczajów, i jego zamiarem nie było dawanie społeczeństwu jakiejś moralnej nauki. On na oku miał tylko jeden szczególny wypadek, a celem jego było osiągnięcie tego, czego pragnął, co było osobistą jego chęcią. Aby dojść do tego celu, nie wahał się wystawić tych, co mu zawadzali w czarnych barwach, i wymieniając ich po nazwisku zozydzić ich w oczach opinii. Jako polityczny paszkwil jednak „Babie koło“ jest niezwykłym utworem, pomysłem bardzo szczęśliwym i oryginalnym. Pisząc go Grochowski, nie oglądał się ani trochę za wzorami w literaturze klasycznej; zaledwie niektóre komedye Arystofanesa, jeśli je znał, albo z polskiej literatury Niewieści Sejm Marcina Bielskiego mogły mu pierwszą ogólną myśl do tego wiersza podać. Prędzej jednakowoż pomysł ten zrodził się w nim bez obcych wpływów, tylko z tego wielkiego zainteresowania się tą sprawą, które do- szło u niego aż do rozbudzenia namiętności. Grochowski musiał

się rozgorączkować tym wypadkiem, sprawę Maciejowskiego musiał mocno wziąć sobie do serca, a równocześnie uczuć dla jego przeciwników całą tę niechęć i zawiść, jaką w duszy ludzkiej rodzą jednostronne i stronnicze zapatrywania. Te pobudzone w nim afekty były swego rodzaju silnem dla poety natchnieniem, które poddało mu i pomysł oryginalny i pozwoliło go z werwą i wielką dzielnością pióra wykonać. Nienawiść i złośliwość zastrzają równie dowcip człowieka, jak w innym kierunku podniecają go dodatnie serca ludzkiego uczucia. Nie wątpimy też — *si parva magnis componere licet* — że „Babie koło“ wyskoczyło tak łatwo ze wzburzonego umysłu poety, jak Minerwa z mózgu Jowisza.

Ostrze jego złośliwego dowcipu w dwie strony było zwrócone w tym wierszu. Najprzód przeciwko kandydującym biskupom. Jakkolwiek niektórych z całym dla nich szacunkiem i bardzo delikatnie od biskupstwa krakowskiego odsuwał, to byli i tacy, którym poprostu zarzucał świętokupstwo. Nie to nie znaczy, że poeta się oburza, gdy baby robią tego rodzaju przypuszczenia, albo że wyraża najgłębsze swoje przekonanie, że pieniędzmi u króla nieby wskórać nie można. To tylko zamaskowanie własnej myśli i zręczność dowcipu; sam fakt, że o świętokupstwie jest mowa, wystarcza tu już zupełnie. Ludzie zawsze więcej temu wierzą, co się złego o ich bliźnich mówi, i bezwątpienia każdy czytelnik „Babiego koła“ odniósł takie wrażenie i tego nabył przekonania, że pieniądze pierwszą w tej sprawie odgrywały rolę. Dotkniętym przez ten paszkwil mógł się także uczuć i sejm ówczesny. Wszakże poeta w jednym miejscu powiada: „czy od posłów długich się słów nauczamy?“, wytykając zgromadzonym stanom, że tak długo w tej sprawie do żadnego rezultatu dojść nie mogły. Mały to jednakowoż jeszcze zarzut w porównaniu z sensem moralnym, jaki z całości tego wiersza wynika, bo nie dość że poeta obek sejmu rzeczywistego postawił ów fikcyjny sejm babski, co już ostrą bardzo było krytyką, ale poszedł on jeszcze dalej, bo wyraźnie dał do poznania, że ten sejm starych bab z pod kościoła lepszym i mądrzejszym był od zgromadzenia reprezentującego Rzeczpospolitą. To „koło Babie“ zdobyło się na to, czego on po sejmie próżno oczekiwał: zdecydowało się po krótkiej walce jednomyślnie wybrać najgodniejszego kandydata i biskupi tron krakowski dać Maciejowskiemu. Te jednookie i bezżębne baby postawione zostały na wzór i przykład do naśladowania, który jednak nie miał na synów koronnych podzielać

Paszkwil ten w namiętnem uczuciu poety poczęty, tryska też jak wszystkie w podobny sposób powstałe płody życiem i prawdą, i jeślibyśmy odsunęli na bok nawet jego tendencją, pozostanie zawsze wyborym obrazkiem rodzajowym. Rzecz cała wykonana jest wprawdzie szkicowo, ale ostreimi i dosadnemi rysami, które szczęśliwie chwytają rzeczywistość na uczynku. Świat, w który nas poeta wprowadza jest niezwykle, i dawniej rzadko przez lepszych zwłaszcza pisarzy przedstawiany. Są to sfery, w których lubowali się realistyczni malarze flamandcy, postacie nieokresane, rubaszne, a do tego jeszcze i fizycznie brzydkie. Nie upiększając ich, ani nie uszlachetniając w niczem, Grochowski wziął je tak, jak je znalazł na kościelnych progach warszawskich, i kazał im przemawiać ich własnym językiem, nie popadając w trywialność, ale wiernie oddając ten ton mowy ludowej prosty, a jednak daleki od płaskości, jaką mu często mniej wprawni obserwatorowie nadają. Te wszystkie figury ruszają się żwawo i raźnie, cały paszkwil w znacznej części toczy się w dyalogu, i przeto z dramatyczną niemal akcją. Różne wnioski bab, ich spór i bójka, wmieszanie się niefortunne Pękowskiego, uspakajająca przemowa szóstej baby i wreszcie powszechna zgoda: oto pojedyncze sceny tej miniaturowej komedii. Wiersz krótki, urywany, tak doskonale zastosowany do występujących osób i przedmiotu, pomaga poecie do tego rzutkiego prowadzenia rzeczy, i całości nadaje pewien ton odpowiedni, zarazem komiczny i ostry, jak na paszkwil przystało. Niezaprzeczenie „Babie koło“ należy do najoryginalniejszych płodów naszej dawnej poezji<sup>1)</sup>.

W trzy lata przeszło później nadarzyła się znowu Grochowskiemu sposobność do napisania podobnego, przygodnego i satyrycznego wiersza. Tym razem przyczyna była całkiem inna. Krzysztof Warszawicki, kanonik krakowski, płodny ówczesny publicysta, wydał w połowie 1603 r. w Krakowie historyczną książkę: *Vitarum parallelarum libri duo*, w której na wzór Plutarcha robi porównania monarchów różnych czasów i narodów. Z polskich królów znalazły w tej książce miejsce tylko żywot i porównanie

<sup>1)</sup> Maciejowski znalazł w rękopisach Zakładu Ossolińskich i wydrukował w Dodatkach (str. 177, 178) wiersz: „Starozapustny w Krakowie starożeński synod o X. Fogelwedrze, Proboszczu Miechowskim 1603“, w którym bezimienny jakiś rymotwórca naśladował Babie Koło, w podobnej formie opisując zabieg o probostwo Miechowskie po śmierci Fogelwedera czynione. „Babie koło“ byłoby niewątpliwie więcej jeszcze znalazło naśladowców, gdyby było wydrukowane i ogółowi przystępne.

dwóch Jagiellonów: pierwszego Władysława i ostatniego Zygmunta Augusta. Według dzisiejszych sądów ta część dzieła Warszewickiego a zwłaszcza biografia Zygmunta Augusta, jako oparta na opowiadaniu współczesnych naocznych świadków, więcej prawdopodobna i obfitsza w treść niż Dzieje Górnickiego, jest najlepszą i w istocie znajomości owoczesnej historii wzbogaca. Inaczej jednak osądzono ją za pierwszym na świat ukazaniem się. Wtedy ogólne powstało oburzenie na autora, król Zygmunt III. rozgniewał się na jego książkę i surowo jej zakazał. W rzeczy samej Warszewicki w opowiadaniu dziejów Zygmunta Augusta przedmiotowo i spokojnie panowanie jugo skreśliwszy, w porównaniu (*comparatio*), jakie następnie między nim a Władysławem Jagiełłą robił, wszystko dobre w tym ostatnim tylko znajdował, a Zygmuntovi Augustowi wbrew słuszności niejednej zasługi odmówił, albo też niejedną słabą stronę przypisał. Takie traktowanie króla, który jeszcze żył w świeżej a błogiej pamięci u wielu ówczesnych ludzi, musiało wywołać niechęć i krzyki na Warszewickiego. Co do Zygmunta III., choć on jako także Jagiellon po kądzieli, mógł się o to lekceważenie swego przodka obrazić, utrzymują dzisiaj<sup>1)</sup>, że inna była jego gniewu przyczyna, ta mianowicie, że w historii Zygmunta Augusta znalazł pewne, niekorzystne i nieprzyjemne do swego własnego panowania analogie. Warszewicki w biografii Zygmunta Augusta nieprzychylnie się wyrażał o jego małżeństwie z Katarzyną Austriacką, rodzoną siostrą zmarłej żony królewskiej, i wspominał o nienawiści ogólnej, jaką ściągnął na siebie Mikołaj Radziwiłł woj. Wileński, podany w podejrzenie o to, że w czasie poselstwa swego do Cesarza sekretne umowy w imieniu króla o następstwo tronu w Polsce miał prowadzić<sup>2)</sup>. Dla Zygmunta III., zamysławającego właśnie o ożenieniu się również z siostrą pierwszej swojej żony, i od lat już wielu o szczególne sympatyje i konszachty z dworem austriackim obwinianego, oba te wspomnienia nie mogły być miłe i bardzo mu nie na czasie przyszły, bo właśnie wtedy, gdy na burzliwym Sejmie 1603 sprawa jego małżeństwa się toczyła i gdy niechętny królowi Zamojski ostro wystąpił przeciw temu projektowi jako niemoralnemu i niesympatycznemu dla narodu.

Jakiebyż zresztą Zygmunt III. mógł mieć powody gniewu, to pewna że poglądy z którymi wystąpił Warszewicki bynajmniej

<sup>1)</sup> Wierzbowski w biografii Warszewickiego.

<sup>2)</sup> Warszewicki, Parallele p. 130 i 131.

ze zdaniem powszechnem nie licowały. Ogół kochał ostatniego Jagiellona i szanował jego pamięć. Szczególnie pokolenie starsze, ci ludzie, co niegdyś jako urzędnicy koronni lub dworzanie królewscy w bliskości jego tronu przebywali, wielką musieli uczuć niechęć do autora Paralleli, który im teraz już posiwałym wysokim dostojnikom i na odbywający się właśnie w Krakowie sejm w większej liczbie zgromadzonym, rzucił na głowy tę książkę, drażniąc ich najświętsze uczucia i uwłaczając królowi, którego oni zawsze czcić byli przyzwyczajeni. Nasz poeta należał także do tego starszego pokolenia, jak ono również błogie wspomnienia wyniósł z tych czasów Zygmunta Augusta i tradycyjny dla niego pietyzm i podobnie jak inni mocno musiał uczuć wyrządzoną mu krzywdę. W ten sposób stało się, że kiedy opinia uznała potrzebę odwetu i skarcenia Warszewickiego, kiedy sumienie publiczne domagało się oczyszczenia spotwarzanego króla i odparcia wymierzonych przeciw niemu pocisków, Grochowski „na usilne żądanie i prośbę niektórych senatorów“, jak sam to pisze, podjął się tego zadania, podjął się bezwątpienia chętnie i z całego serca, z najsilniejszym przekonaniem, że spełnia swój święty obowiązek i napisał wiersz p. t. „August Jagiełło wzbudzony przeciwko Parallelom łacińskim osoby tegoż s. p. dotkliwym“<sup>1)</sup>.

Pismo wymierzone przeciw Warszewickiemu mogło być paskiwilem, satyrą albo zjadliwą krytyką, któraby go podała w pogardę i piętnując jego wystąpienie jako czyn niegodny, własnej jego czci i dobrej sławy nie oszczędziła. Poeta nasz, choć tu i owdzie, nigdzie go jednak po nazwisku nie wymieniając, ostre Warszewickiemu robi przytyki, nie poszedł tą drogą i zamiast złośliwego pamfletu na autora, który potwarzy się dopuścił, wolał napisać poważną apologią króla, który został pokrzywdzony.

Rzecz ubrana jest w pewną fikcyjną poetyczną. Zygmunt III. po owym sejmie r. 1603 w Krakowie przebywa w letnej swej rezydencji w Łobzowie. Wtedy pewnej noey stają przed nim niespodzianie dwie postacie nie z tego świata. Prerażony król zaczyna się żegnać, ale jedna z tych postaci uspakaja go mówiąc, że jest Zygmuntem Augustem, a ten drugi co z nim przybył, to jego kanclerz koronny Dębiński. Przyszli oni na świat do króla,

<sup>1)</sup> Wiersz ten, wydany w roku 1603 przedrukowany był potem w 1608. O wydaniu wcześniejszem przed r. 1603, jak chcą niektórzy, mowy być nie może, choćby z tego powodu, że Parallele Warszewickiego dopiero w tymże roku wyszły.

aby się poskarżyć, bo pojawiły się „pisma jakieś niechętliwe a przytem i uszczypliwe“, które żywot i czyny Zygmunta Augusta wbrew prawdzie w najgorszym świetle przedstawiają. Rzecz to nie bywała na świecie, bo żaden z historyków nie tknął nigdy pana swego i jego przodków, słusznie obawiając się kary:

Bo ci co światem władają,  
I pod ziemią namacają;  
A podczas i samą twarzą  
Niechętną, kogo chcą karzą.

Zresztą sam o sobie Zygmunt August mówić nie chce; jakim był i jakie było jego panowanie, niechaj opowie Dębiński, wszystkich jego spraw i czynów dobrze świadomy. Po tej przemowie Zygmunt August cofa się na bok, a kanclerz jego w obszernym wywodzie przedstawia, co jego pan dobrego zdziałał, czem się krajowi zasłużył, jak świetne były jego rządy: jednym słowem, odpiera zarzuty Warszawickiego i prostuje to w czem on się fałszu dopuścił.

Pisząc tę apologią włożoną w usta Dębińskiego, Grochowski miał przed oczami i na myśli szczególnie ustęp z *Parallel* zawierający porównanie (*comparatio*) Władysława Jagiełły i Zygmunta Augusta (p. 159, 160), jako, jak to już wiemy, dla ostatniego najbardziej niekorzystny. Punkt za punktem, lubo nie w tym samym porządku, zbija on zarzuty historyka i rzeczy przez niego poruszone w innym wystawia świetle. Jeżeli Warszawicki mówi, że Zygmunt August przez niechęć dla kościoła pozbawił biskupów prawa sądenia, to Grochowski przeciwstawia temu, jako zasługę wobec kościoła, że za jego panowania i z jego natchnienia sprowadzeni zostali tak bardzo Polsce potrzebni Jezuici. Jeżeli znów Warszawicki podnosząc rycerskość Władysława Jagiełły chwali go za to, że za jego czasów wielu było dzielnych wodzów, a nie tak za Zygmunta Augusta, którego rządy więcej w uczonych ludzi obfitowały, to Grochowski, żeby uratować wojenną także jego sławę, wspomina Jana z Tarnowa i Łaskich, jako równie dzielnych jak ci rycerze, co pod Grunwaldem walczyli, a przytem nie zapomina dodać, że Zygmunt August „sam umiał gdzie bitwę zwodzić“, że wślawił się także wojennymi czynami, jak poskromienie Gdańszczyzan lub pozyskanie Infant. Jeśli wreszcie (aby już nie mnożyć więcej przykładów) Warszawicki zarzucał Zygmuntowi Augustowi, że nie miał tego poważania u postronnych, co jego przodek, pod którego sąd rozjemczy obcy monar-

chowie swe spory oddawali, lecz że „tylko sobie i państwu wielu nieprzyjaciół narobił i Polskę, że dotąd jeszcze do pokoju przyjść nie może, śmiercią swoją zakłócił“, to Grochowski w odpowiedzi na to odzywa się

I postronnych było siła,  
Których chęć jemu służyła;  
Z których niektórzy panowie  
I wiele samowłajcowie,  
Gdy co w skutek przywieść chcieli,  
Z nim się wprzód porozumieli.

i za przykład przytacza załagodzenie przez Augusta sporu między królami duńskim i szwedzkim, jakoteż ten objaw żalości, jaki na wieść o jego śmierci pokazał Sułtan Selim.

Oprócz odparcia zarzutów Warszawickiego apologia Dębińskiego zawiera jeszcze przypomnienie tych zasług i przymiotów Zygmunta Augusta, które Warszawicki pomiął, albo których nie brał w rachubę. Unija, zrzeczenie się dziedzictwa tronu w Litwie, ułożenie statutu przez Herburta, egzekucya i tolerancya religijna, która Polskę od wojen domowych uchroniła, wystawienie okrętów wojennych i mostu na Wiśle, są tutaj wspomniane jako dowody miłości króla do narodu, jego dbałości o dobro kraju i energii. Pod takimi rządami była też Polska szczęśliwą tak że, jak Dębiński powiada, „nasz on wiek mógł nazwać złotym“. Wielu znakomitych mężów, czy to ze senatorskiego stanu, czy z dworzan królewskich, których nazwiska kanclerz przypomina, mądrością i charakterem wzbudzało wtedy podziw obcych i dodawało blasku temu panowaniu, podobnie jak do chwały Zygmunta Augusta przyczyniało się i to, że był opiekunem nauk i ludzi uczonych, i że za jego czasów i dzięki temu poparciu tak wielu sławnych pisarzy i profesorów Akademii krakowskiej kwitnęło. Nakoniec czasem owym i to także zaszczyt przynosi a świetności dodaje, że panowały w nich dobre obyczaje, enoty domowe i towarzyska ogłada. Dwory senatorskie i pańskie były to dobroczynne szkoły dla młodego pokolenia, siedziba enót patryarchalnych i wzór wykształcenia i poloru. Jednym z najciekawszych ustępów i do charakterystyki owej epoki nie mało rysów przydającym jest ustęp, w którym Dębiński kreśli obraz takiego życia dworskiego za czasów Zygmunta Augusta i tych dworów wielkopańskich, „przy których młodzież się ćwiczyła do posług Rzeczypospolitej, do dzielności rozmaitej“. Była to jedyna szkoła, w której młodzież

rzadko kiedy gdzieindziej go wtenczas szukając, brała wykształcenie we własnym kraju,

Ale też, mogę rzec, dwory  
Wszystkich cnót bywały wzory,  
Nie tam takiego nie było,  
Coby onę młodź wzgorszyło;  
Sługa jeśli nie przy boku  
Pańskim, tedy wždy na oku  
Prawie wszystek panu siedział,  
Ledwie nie co myślił wiedział.

Więc też młodzież tak po ojcowsku dozorowana i budowana dobrym przykładem panów, obyczajną była i pracowitą, każdy ćwiczył się do czego miał powołanie, a nikt nie znał co zbytki i próżniactwo. Wszystko dobre można było w nich znaleźć:

Obyczaje sromieźliwe,  
Rozmowy przymówek próżne,  
Acz bywały żarty różne;  
Trzeźwość, skromność miłowali,  
Drogie trunki ledwie znali.  
Każdego zabawa była,  
Co się wždy k'czemu zgodziła.  
Ten roków patrzył z pozwami,  
Ten skrzynkę miał z rejestrami,  
Ten z chartami jechał w pole,  
Nie patrząc kufla przy stole.  
Ten, gdzie zwierz leśny, ślakował,  
Kędy podczas i nocował.  
Lada w budzie przy gęstwinie  
Gdzie jeleni, gdzie dzikie świnię,  
Niewczasom się przyuczając,  
Próżnowanie za grzech mając.  
Ten co potrzebnego czytał,  
Ten się sztuk rycerskich chwycił;  
Bo czasem umieć z kopią  
Stanie za akademią.  
Jako do pierścienia gonić,  
Jako się bić, jako bronić,  
Łuk ciągnąć i bronią władać,  
Więc konia często dosiadać,  
Który zawsze stał gotowy  
I rynsztunek nań bojowy.  
Bo się zgola tam próżnemi  
Nie bawiono poszósnnemi,  
Ani ojcowskiej intraty  
Syn rozpraszał na utraty.

Ale nad wszystko wysługa,  
Gdy się cnoty uczył sługa,  
W której pan żyjąc przykładnie,  
Dwór swój zaprawował snadnie...  
Więc co dziś się zageściło,  
Zda mi się za nas nie było,  
Żbów tak sprośnie wygolonych,  
I szat kęso wymyślonych;  
A jeśli krótkie bywały,  
Wstydu jednak ochraniały.

Wyborny to obraz pewnej sfery i doby naszego społeczeństwa dawnego i jeden z najlepszych jakie po sobie stara nasza literatura zostawiła. Ci młodzi dworzanie wertujący księgi, zajmujący się sprawami gospodarstwa domowego lub prawnymi interesami, dnie i noce spędzający w lesie na łowach lub też ćwiczący się w wojennej sztuce, prostych obyczajów, niewymyślni w jadłach i napoju, pracowici i zahartowani na niewygody, w ogóle pod okiem dobrego pana wyćwiczeni we wszystkim, co ówczesnemu szlachecicowi wiedzieć, umieć i zachowywać w życiu się godziło, są tu w rozmaitych swych czynnościach tak żywo i wyraziście nakreśleni, iż znać, że poeta nie malował ich z fantazyi, nie z tego coby od drugich gdzieś z tradycyi zasłyszał, ale że musiał on jeszcze choć raz w życiu spotkać się z takim wzorowym dworem polskim, i z naocznego widzenia, co tam zaobserwował, to tutaj wiernie i ze wszelkimi znamionami rzeczywistości przedstawił. Szczęśliwym on także wiedziony był instynktem, że w tym wierszu, gdzie kreślił obraz Zygmuntofskich czasów, nie pominął i tego rysu, że owszem z widocznym zamiłowaniem wysunął go na światło. Życie dworskie w owej epoce było nader ważnym czynnikiem w ogólnym życiu społecznym; było kwiat całej ówczesnej cywilizacji, a zarazem i znanie najbardziej charakterystyczne owych czasów. Przyniesione do nas, jak wiele innych rzeczy, z zachodu, przybierało jednak coraz więcej cechy narodowe i w połowie XVI wieku do tego już doszło znaczenia, że wywołało w literaturze potrzebę osobnej dla siebie książki. Nie napróżno Górnicki przyswoił naszemu językowi w owym czasie włoskiego Cortegiana, do polskich zwyczajów i pojęć go naginając: wprzód zanim się jego dzieło pokazało, było już i kwitnęło w Polsce życie dworskie i jako pewien objaw życia musiało znaleźć taki swój wyraz w piśmiennictwie. Wizerunek owej epoki bez tego rysu byłby zatem niezupełny, i jak powiedzieliśmy bardzo dobrze zrobił Grochowski, że go tu umieścił.

Przedstawiwszy tak wszechstronnie całą świetność panowania Zygmunta Augusta, kończy Dębiński swą apologią tem, (co również jest odparciem jednego z zarzutów Warszewickiego), że zostawił Polskę bezpieczną, spokojną i silną. Dlatego też wszyscy, co dotychczas o nim pisali, (naprzykład Solikowski, jak to Grochowski na marginesie objaśnia), pisarze wytrawni i pojmujący należycie swoje dziejopisarskie powołanie, inne i korzystniejsze, bo sprawiedliwe o nim wyroki wydawali:

Inaczej mędrzy pisali  
I lepiej to udawali,  
Niż takie porywce karty,  
W których stylus nieurtarty  
I z gramatyką się wadzi,  
A sławę pańską szkaradzi —

mówi Dębiński, w ostrych wyrazach i z pewną pogardą, krytykując także literacką wartość Parallel. A jednak byli tacy, którym ta książka szczerem złotem się wydawała. Jeżeli to złoto — dodaje Grochowski przez usta Dębińskiego, podsuwając złośliwie Zygmuntowi III. myśl, żeby Parallele skazał na spalenie:

Każ je ogniem polerować,  
Najlepiej tak złoto poznać:  
Aza do tego przyjdzieli,  
Szczerzy brant stąd będziemy mieli —

Gdy Dębiński skończył swą długą przemowę do Zygmunta III., widać było po Zygmuncie Augusteie, który znowu się zbliżył, że chce mówić. Kanclerz zwrócił wtedy jego uwagę, że już świta, że czas im już powracać na świat drugi, do raju. W krótkich zatem tylko słowach odezwał się jeszcze nieboszczyk król do żyjącego, powtarzając swą skargę na Warszewickiego, że mu wyrządził niesprawiedliwość, że o dobrem zamieślał; a co złego było w jego panowaniu o tem szeroko się rozpisal; choć przecie rzecz dobrze wiadoma, że doskonałości nie ma na świecie i że wszyscy grzechom podlegli. Pożegnawszy potem siostrzeńca i zapewniwszy go o swej życzliwości i tam na drugim świecie, zniknął i powrócił skąd przyszedł „król wielki polskiej korony“.

Ta fikcja poetyczna, zjawienie się Zygmuntowi III. dwóch nieboszczyków z tamtego świata, służąca za ramy obrazu panowania Zygmunta Augusta, jaki poeta w apologii Dębińskiego przed nami roztacza, dzisiaj wydawać się musi pomysłem dosyć banalnym, a w wykonaniu zalet artystycznych wcale nie posiada.

Tam gdzie potrzeba było silniejszej i plastycznej fantazyi, poeci nasi dawniejsi zwykle szwankowali. I tutaj scena tego nocnego zjawienia się wypadła blado; brak jej tych szczegółów które rzecz malują i brak stosownego kolorytu. Postacie występujące poruszają się martwo, bez artystycznej ekspresyi, a tło, jakim mogła być natura w czasie nocy ze swoją grozą i tajemniczymi powabami, wygląda jak ciemne, szare płótno, na którym malarz zapomniał namalować tego, co jak z reszty jego obrazu domyślić się można, było jego intencją. Estetycznego wrażenia ta fikcja poetyczna na nas nie robi, choć może wystarczała dla mniej daleko wymagających ówczesnych czytelników. Zresztą może być łatwo, że głównym celem poety było wywołać za jej pomocą inne u nich wrażenie, mianowicie wrażenie moralne. Przez tę fikcję bowiem, przez to że kazał zjawiać się Zygmuntowi Augustowi przed żyjącym królem, nadawał on oskarżeniu przeciw Warszewickiemu więcej wagi i znaczenia. Sam obrażony król nieboszczyk upominał się o swoją krzywdę, a wytaczając skargę przed swym następcą i krewnym, i jego wciągał w tę sprawę i doznana niesprawiedliwość przedstawiał jako obu wspólnie dotykającą. W dalszem następstwie Zygmunt III. powinien był ukarać winowajcę, który poważył się ubliżyć czei jednego z tych samych co on królów, a do tego jeszcze połączonego z nim węzłami krwi. Myśl takiej kary zdaje się poeta podsuwać królowi, któremu także wiersz ten poświęcił, solidaryzując go przy każdej sposobności z pokrzywdzonym Augustem, i niedwójznacznie, jak to widzieliśmy, nieraz się odzywając, że czyny podobne na gniew pański zasługują i dla sprawców zawsze były niebezpieczne:

Dwoj pożytek człowiekowi,  
Gdy o paniech źle nie mówi:  
Język mu nie schnie z słów próżnych,  
I sam wolen waśni różnych;  
Obojga się mądrzy chronią,  
Głupi na oboje gonią.

Oprócz jednak tego, że książka jego została zabronioną, (musiała mimo to być wiele czytana, bo w krótkim czasie dwa razy potem 1604 i 1608 przedrukowaną była w Frankfurcie nad Odrą), nie spotkała podobno Warszewickiego żadna inna kara. Może uwolniła go od niej śmierć, bo umarł już w kilka miesięcy później na początku września tegoż 1603 roku<sup>1)</sup>. Tym sposobem

<sup>1)</sup> Wierzbowski, Krzysztof Warszewicki i jego dzieła str. 130.



stało się może także, że jeśli Grochowski nie wydał bardzo prędko tego wiersza, który w lecie 1603 był pisany<sup>1)</sup>, to cios przez poetę na Warszawickiego wymierzony nie osiągnął go, i Warszawicki zeszedł ze świata, nie znając „Augusta wzbudzonego“, gdzie jego nieprzychylność do ostatniego Jagielona tak surowo została potępiona.

Przychodzimy nakoniec do trzeciego działu prac Grochowskiego treści świeckiej, to jest do takich, które ani między żałobnymi elegiami, ani między wierszami politycznymi nie mogły znaleźć miejsca. Będą to tak nazywane pospolicie: wiersze różne, z rozmaitych okoliczności, w rozmaitej formie i w rozmaitym tonie pisane.

Do tej trzeciej kategorii policzyć naprzód można liczne wiersze dedykacyjne. Grochowski każdą nowo wydaną swą pracę poświęcał jakiejś wysoko położonej osobie (począwszy od króla i jego rodziny) albo, co rzadziej, komuś z kim był węzłem przyjaźni złączony. Nawet dla nowych wydań tych samych dzieł nowych zawsze wyszukiwał Mecenasów. Te dedykacje, w ogóle biorąc, niczem się nie odznaczają; Grochowski poprzestaje w nich na podaniu w najprostrzy sposób okoliczności i powodów, dlaczego tej osobie tę książkę poświęca, i na złożeniu zwykłego w tych razach komplementu. Znajdą się jednakowoż i tutaj wiersze pewną wartość posiadające. Do rzędu takich należą trzy dedykacje z r. 1608, któremi Grochowski poświęcał biskupowi krakowskiemu Tylickiemu: Hymny Kościelne, Sposób krótki i Pięćdziesiąt punktów; dalej dedykacja Hierozolimskiej Processyi (1608) biskupowi Szyszkowskiemu; dedykacja Hymnów o męce Pańskiej (1611) Mik. Zebrzydowskiemu; dedykacja Skardze Nocy Toruńskich (1610), i wiersz którym Dorocie Kąckiej, ksieni Zwierzynieckiej, poświęcał Codzienne ćwiczenia chrześcijańskiej duszy.

Osobną kategorią dedykacji stanowią te wiersze, któremi poeta prace swoje już nie ziemskim dostojnikom, ale Bogu i Zbawicielowi w ofierze składał. Tego rodzaju dedykacją była „Przemowa na polskie kościelne himny,“ wiersz do Boga przy rozpoczęciu tłumaczenia Tomasza de Kempis“ i inny „Do Pana Jezusa, ofiarując przekład Tomasza de Kempis.“ Wiersze te wychodzą

<sup>1)</sup> Scena zjawienia się Zygmunta Augusta odbywa się w lecie 1603 roku, jak widać z tego ustępu na początku tego wiersza: „Gdy lampy słonecznej koło grzeje lwowi mężne czoło... Po sejmie walnym w Krakowie, król przemieszkował w Łobzowie“.

ponad miarę zwykłych dedykacji, i mówiliśmy już o nich dawniej, uznając je za chlubne przykłady wysokiego lirycznego polotu poety i płody prawdziwego natchnienia.

Grochowski w tem ciągłym pisaniu dedykacji szedł za powszechnym ówczesnym zwyczajem. Wszyscy pisarze jego i o wiele jeszcze późniejszych czasów tak samo robili, i nasz poeta nie jest wcale wyjątkiem, lecz stosuje się do ogólnej reguły. Stan i stanowisko literatury jakoteż i literatów sprowadzały niegdyś za sobą ten zwyczaj, który dzisiaj w swojej dawnej przesadzie po części śmiesznym, po części poniżającym nam się wydaje. Dedykacja wówczas miała dwa cele na oku, na które dzisiejsi pisarze zważać nie potrzebują. Najprzód ten, że osoba której książka jakaś była poświęcona, stawała się jej patronem, niejako obrońcą wobec opinii publicznej i złośliwych ówczesnych Zoiłów, którzy przy braku istotnej krytyki literackiej tym samowolniej na losy pojawiającego się dzieła wpływać mogli. Jeżeli wysoko położona osoba taką dedykacją przyjęła, znak to był dla ówczesnej publiczności, że książka musiała być coś warta, bo autor nie ośmieliłby się poświęcić temu lub owemu dygnitarzowi rzeczy błahej i bez wartości. Publiczność przyjmowała też taką książkę z lepszym uprzedzeniem, a im godniejszy i wyższy był ów patron, tem przyjaźniejszym okiem na nią patrzyła. W przeciwnym razie z góry już mogła być dla autora i jego dzieła źle usposobiona. Dlatego to i Grochowski, poświęcając Prozy kościelne (1599) Wojewodzie Trockiemu Mikołajowi Radziwiłłowi odzywa się do niego:

... wszakże wiedz zacny wojewoda,  
Ze dziś co na światło dać bez patrona szkoda;  
Gdzie spojrzysz, tam podsędek albo sędzia stoi,  
A dobrą rzeczą źle sądzić Boga się nie boi.

Z innego jeszcze powodu ówczesny pisarz musiał się starać o specjalnego jakiegoś dla swojej książki protektora. Dzisiaj protektorem takim jest cała publiczność, która jak zagranicą, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozkupuje dzieło, i tym sposobem płaci kosztą nakładu i autora wynagradza za jego pracę i talent. Ale w wieku XVI i XVII, przy ówczesnym ograniczeniu oświaty do szczupłych tylko sfer, i przy braku komunikacji, rozszerzenie się książek równie jak każdą inną gałąź handlu popierającej, liczba czytelników, u nas naprzykład dotychczas nie zbyt wielka, jakże musiała być skromną, a jak o wiele jeszcze mniejszą takich,

którzy książki kupowali? Publiczność nie zapłaciła zatem książki, i autor musiał się starać o człowieka chętnego i dosyć zamożnego na to, ażeby albo rękopis kazał swym kosztem wydrukować, albo na gotowe już dzieło dał sumę przynajmniej taką, któraby na uspokojenie drukarza wystarczyła, a w razie większej hojności, z którejby jeszcze coś i dla autora się okroiło. Przyjmujący dedykacją poczuli się zwykle do tego moralnego obowiązku, i w ten sposób umożliwiając wydanie książek, stawali się Mecenasami literatów i literatury. Nie zawsze jednak i nie wszyscy z równą to robili chęcią i z dobrym dla autora skutkiem. Grochowski, który dużo miał sposobności do doświadczeń w tym rodzaju, kiedy przy końcu życia nie jak zwykle jakiemuś magnatowi lub biskupowi, ale skromnemu zakonnikowi, O. Skardze, nie dla widoków materialnych, ale po starej przyjaźni, swoje Nocy Toruńskie dedykował, powiada wyraźnie, że od swego dawnego zwyczaju odstąpił z tej przyczyny, że mu się to pukanie do kieszeni wielkich panów sprzykrzyło, bo często widział, jaki kłopot sprawia tem swoim Mecenasom, i jak ciężko było im ruszyć grosza za wiersze chwale ich poświęcone :

Hećroć, ojeże Skarga, panom rym swój dawam,  
Albo książkę poświęcam, kłopot im zadawam ;  
Bo podczas na drugiego taka trwoga padnie,  
Że tytuł swój ujrawszy, na twarzy pobladnie.  
Powiem przyczynę, przecz tak chwałą pogardzają.  
Podobno chwalebne rzadko co działają.  
Zaczem iż brzydkie skępstwo świat opanowało,  
Do ciebie naostatek udać mi się zdało.

W bliskiem powinowactwie z dedykacjami są podobnie do ówczesnych literackich zwyczajów należące wiersze pochwalne, któremi poci książki swoich przyjaciół lub dobrych znajomych czytającemu ogółowi polecali. Przedtem już, jako o najdawniejszym ze znanych utworów Grochowskiego, mówiliśmy o jednym takim jego wierszu „Na Postyllę Wujka“, w którym tak ostro i w drastyczny sposób przeciwko protestantom i szerzącej się w Polsce herezyi występował. Podobny wiersz, lubo o wiele łagodniejszy, napisał on także „Na kazania Skargi“. I tutaj główną myślą jest utyskiwanie na bezbożność i podkopujący prawdziwą wiarę dyssydentyzm, a zarazem tęsknota za owymi dawnymi czasami, gdzie nieznano jeszcze tych różnych „obcych bogów“, i gdzie prosta, staropolska wiara kwitnęła. Dziś potrzeba dużo kaznodziejów

ustnie i na piśmie bezustannie oni się odzywają i w tej ciężkiej służbie już „się porobili“, kiedy dawniej

Gdy zakon pański ludzie poważali,  
Na sercach sobie kazania pisali.

Ale też dawniej broń Boże było „cierpieć obce bogi, albo tak gmerać w pańskich tajemnicach“, o takim bluźnierstwie nigdzie słyhać nie było, nikt nie zaciekał się w badanie dogmatów ani nie podawał w wątpliwość tego, co kościół nauczał ; ich wiara była szczerą, prosta i naiwna, czyli jak to Grochowski, nadając temu obrazowi pewien narodowy koloryt, pięknie powiada :

Ta jedna była ich wiary tablica :  
Pacierz a Credo i Bogarodzica.  
Ostatek pleban powiadał u fary,  
Taki był zwyczaj enych Polaków stary.

Dziś na to miejsce przyszło nieposzanowanie kapłanów, a chwytanie się nowatorów i awanturników, albo też ów heretycki fanatyzm, który z byle kogo robi fałszywego proroka :

Wzięliśmy zakon i chleb kapłanowi,  
Sumienie dawszy w moc leda zbiegowi.  
Drugi sam każe, puściwszy się pługa,  
Drugiemu baje z Rejowych ksiąg sługa.

Takim samym tęsknym zwrotem do przeszłości, lubo tym razem do przeszłości wojennej i rycerskiej narodu, jest wiersz pochwalny : „Na kronikę polską Jachima Bielskiego“ (1597). Wskazując czytelnikowi, co może w tej książce znaleźć, przypomina te sławne czyny dawnych królów i ludzi rycerskiego stanu, te „krwawe trudności“, przez które „mnożyły się drogie wolności“ te wojenne dzieła, przez które niegdyś „rosły od morza do morza granice“. Zwyczajem wszystkich moralistów widzi przytem, że dziś jest gorzej że nie ma dawnego męstwa i dawnej prostoty, i dlatego postronny nieprzyjaciel a zwłaszcza też „pohańska moc“ groźną Polsce się stała, „pnie się aż pod nieba“. Potrzeba by dzisiaj było podobnych bohaterów, albo żeby z nieba przybył na pomoc ów bohaterski Stefan Batory i „rozprószył te psy strachem swej osoby“. Ale kiedy to niemożliwe, poeta zwraca się do żyjącego króla :

Tobie Zygmuncie Trzeci tę koronę  
Stefan zostawił tobie i obronę.

i podobnie jak później znowu miał to uczynić w znanych nam Pieśniach na wesele Maryny, wzywa gorąco króla do rozpoczęcia wojny i starcia się z poganami. Zapisze on się tym sposobem zaszczytnie, z wieczną sławą dla siebie, w księdze narodowych dziejów i będzie, jak wielu innych jego przodków, godnym przykładem dla swego syna, małego Władysława, do którego także w końcu poeta się odzywa, zalecając mu miłość Boga, jako najlepszą do przyszłego jego monarszego zawodu mistrzynię. Dzieło Bielskiego zresztą Grochowski wysoko cenił i stawiał je na równi z historią Kromera, w owe czasy za arcydzieło kunsztu pisarskiego uważaną:

Bielskiego, który tą naszą domową  
Zetrzeć się może z kartą Kromerową.

W żywocie Grochowskiego widzieliśmy już, że on nieraz pisał wiersze do osób wysoko położonych, o których protekcyą się starał albo jej już doznawał, jak do Zygmunta III., do kardynała Maciejowskiego, do biskupów: Pstrokońskiego, Tylickiego i Gembickiego i wreszcie do rodziny Działyńskich. Z wyjątkiem „Pierwszego wiersza kołédnego“ do króla, który jest pieśnią, w sáficozną strofę ujętą, jakoteż „Witania z Piotrkowskiego synodu“, napisanego dla kardynała w podnioslejszym lirycznym tonie, wiersze te należą do kategorii tak nazwanych poetycznych listów, jakich wzór literatura ówczesna znajdowała w najpierwszym swoim mistrzu, w Horacym. W spokojnem usposobieniu, bez sadzenia się na górny polot pisze poeta tego rodzaju utwory, których treścią są też okoliczności prywatne mniejszej wagi, dotyczące albo jego samego albo osób, do których się z pismem swoim zwraca. Tu i owdzie jakiś rys satyryczny albo humorystyczny zwrot, stósownie i do traktowanej materji, dodają takiemu wierszowi poetycznej okrasy. Wiersze te obok dedykacyj najstósowniejże zarazem były do wypowiedzenia tych osobistych uczuć, jakie Grochowski miał dla swoich Mecenasów, do złożenia im hołdu i czci i do zanieśienia, jaką mógł mieć do nich, prośby. W nich też jak równie i w dedykacjach należałoby szukać dowodów tego ustawicznego utyskiwania na swój los i tej żebraniny, o co zwykle biografowie naszego poetę oskarżają. Musimy jednak szczerze wyznać, że podobnych dowodów ani tu, ani tam nie znaleźliśmy<sup>1)</sup>. Nie przy-

<sup>1)</sup> Jak biografowie pod tym względem zwykle przesadzają, możemy dać mały przykład. Ks. Drożdżewicz (Wyd. Tur. II, XVI) po-

pisujemy wcale Grochowskiemu wielkiego charakteru, wiemy o tem, że od wczesnych lat przyzwyczajony był odbierać od obcych ludzi łaski i szukać ich pomocy, wiemy także, iż w ostatnich zwłaszcza kilkunastu latach życia skazany na pewnego rodzaju tułaczkę, i z ubogiej swej kustodyi mający szczupłe dochody a często może nie mający i żadnych, zmuszony był oglądać się za Mecenasami i ich poparcie sobie pozyskiwać. Ale z drugiej strony w słowach jego, gdziekolwiek się do takiej ludzkiej pomocy udaje albo za nią dziękuje, nie spotkaliśmy nigdzie niskiego pochlebstwa albo płaszczenia się przed wyższymi. Do wszystkich swoich Mecenasów odzywa się Grochowski zawsze z godnością i z taktem; nie zapominając, co winien sam sobie, przemawia do nich, choć z uwzględnieniem należytej różnicy stanowiska, nie ma jak równy do równych, a jeżeli dziękuje za co, to robi to z tak szczerem uczuciem, że zaszczyt mu to przynosi i szlachetności jego serca dowodzi. Zresztą o czemże on to pisze do swych Mecenasów, co jest treścią tej prywatnej jakoby korespondencyi, którą dobrodziejów swoich obsyłał? Witając Maciejowskiego po powrocie z Piotrkowskiego Synodu, wysoko wprowadzie stawia jego osobistość, kiedy opisuje, jak cała stolica, jak wszystkie stany od króla poczynszy, z powitaniem kardynała oczekują, bo w obecnych rozruchach wewnętrznych (w Rokoszu) w nim jedyną mają nadzieję, że pożar domowej wojny przytłumi, ale poza tem przedstawieniem politycznego znaczenia kardynała nie ma nic więcej nie ma zwłaszcza żadnego przypomnienia swej własnej osoby, żadnego natręctwa i przesadnego a niesmacznego pochlebstwa. Podobnie, wyrażając powszechne życzenie dyecezyi krakowskiej, by nowy jej biskup Tylicki przybycia swego do niej dłużej nie odwlekał, z publicznego jedynie stanowiska w tej sprawie głoś podnosi, a dla biskupa ma tylko ten prosty i naturalny w takich razach komplement, że cnoty jego tę wysoką godność mu zjednały.

wiada, że w przypisie Ścieszki poboż. chrześcianina Solikowskiemu „zwyczajną swą piosenkę śpiewa Grochowski o ubóstwie swoim“. Należałoby się po tem powiedzeniu spodziewać nieskończonych jakichś żalów i lamentów Grochowskiego w tej dedykacyi. Tymczasem, żałując Solikowskiego, że jego dobra ciągle przez „zołdatów“ lub „tatarskie wy-cieczki“ są niszczone, pisze on to tylko dalej: „Lecz to podobno nie moja rzecz: albo raczej moja: bobym i sam i wiele nas takich, cobyśmy mogli przy tłustszej wielebności twej fortunie, lepszego szczęścia zażyć“. To jest na trzy przeszło kartki przedmowy, cała ta „zwyczajna piosnka“ Grochowskiego o ubóstwie.

Pisząc znowu dla Pstrokońskiego, u którego wtenczas w gościnie przez święta wielkanocne w Miechowie bawił „Miechowski Smigórz”, wyraża swoje zadowolenie z przyjemnych chwil tam spędzonych, a potem chwali biskupa, że przyjechawszy de Miechowa na wypoczynek, pracuje tu jak każdy inny, odprawia msze, święci księży i chrzci jakiegoś młodego Tatarą: a cała ta pochwała wypowiedziana bez żadnych uniesień, poprostu, jakby przedmiotowe sprawozdanie z tego, co tam przez ten czas swego pobytu widział. Wiersz do Gembickiego wreszcie: „Naterazniejsze, co dalej gorsze czasy” jest tylko rymowanym listem, w którym Grochowski odpowiada na zadane sobie pytanie w przedmiocie ogólnego znaczenia:

... co się to wzdy dzieje,  
 Że co dalej, to bardziej świat ten dziś szaleje?

Odpowiedź, jaką na to daje poeta, jest niby urywkiem z jakiejś satyry, a przyczynę tego, że coraz gorzej na świecie, widzi w tem że świat coraz starszy, a zatem psuć się coraz bardziej musi:

Kiedy świat młodzieńcem był, był podobien latu,  
 Bądź najroskoszniejszemu rozkwitłemu kwiatu;  
 Teraz nie dziw, kiedy się z dawnością ożenił,  
 Że się tak w obyczaje nieborak odmienił.

Wiersze pisane do rodziny Działyńskich tem mniej jeszcze mogłyby być obwinione o panegiryczne zamiary. Ton ich jest całkiem poufały, a wynurzają one takie uczucia, jakie mieć może dobry, stary przyjaciel dla domu, w którym mu tak dobrze jak u siebie, z którym łączy go nie tylko wdzięczność, ale i zobowiązanie. Charakterystyczną jest rzeczą, że najczęściej przedmiotem tych wierszy są dzieci Działyńskiego i życie tej rodziny w domowym kółku. To co widać było największym szczęściem wojewody, to mu poeta najczęściej przed oczy stawiał, dzielając i pomnażając jego radość. Ładny bardzo jest wiersz: „Do siedmiu rodzonych wielkiej nadzieje pacholąt, wojewodzie Inowrocławskich”, pisany dla młodych Działyńskich, kiedy za granicą na naukach bawili, i zapewne tam przez Grochowskiego im posłany. Stary poeta, jako zaufany przyjaciel domu, a przytem jako kapłan z obowiązku do wskazywania ludziom drogi cnoty przeznaczony, udziela wojewodzie rad i przestróg, jak mają postępować, aby sławie i zacności swego rodu godnie odpowiedzieli. Są to po większej części prawdy ogólnej moralności, dobre dla

każdego czasu i kraju, jednakże poeta powłókł je pewną barwą swego wieku i pojęć właściwych swemu narodowi, a mianowicie szlacheckiej jego części. Jego rady ugruntowane są na spostrzeżeniach robionych na owoczesnym życiu, i praktyczny cel, owoczesnym obyczajom odpowiadający, mają na oku. Można śmiało przypuścić, że nauki i zasady moralne, jakie on tutaj wyluszcza, należały do pedagogicznego programu, przyjętego powszechnie dla młodzieży w ówczesnych domach pańskich, w tych zwłaszcza, które szanowały chwalebą swoją przeszłość, i starały się nabyte dobre imię rodu i w przyszłości zachować. Widać też w tym wierszu jakoby jeden znowu więcej ślad owego dawnego życia i jeden z tych rysów, które nam charakter jego odtwarzają.

Punkt wyjścia, zasada na której poeta nauki swoje opiera, jest bardzo piękny:

Trzeba wam siła umieć, trzeba siła wiedzieć,  
 Chcecieli na przodków swych przednich stołkach siedzieć,

odzywa się on do młodych wojewodzieców wprzód nim ich zacnie moralizować. Jeżeli chcecie być tem, czem byli wasi przodkowie mieć ich godności i powagę w narodzie, musicie mieć gruntowne wykształcenie i rozległą naukę; musicie umieć więcej niż inni, mniejsi od was, bo inaczej nie siadziecie na senatorskich stołkach swych przodków, ale spadniecie do poziomu ludzi bez znaczenia w ojczyźnie. Była to niby zachęta dla wojewodzieców, podnieta dla ich ambicyi, a dla nas jest to także znakiem, że w owych czasach i w tych sferach obok dobrego urodzenia wyższość umysłowa i niepowierzchowna wiedza uważane jeszcze były za niezbędną warunek do zajęcia przewodniego w społeczeństwie stanowiska. Obok nauk powinni jednak wojewodziecy uczyć się w tych postronnych krajach także „złoty obyczajów”; zaleca im przeto by zachowywali skromność, strzegli się gnusności, nie zaniedbywali modlitwy i nigdy nie byli bez jakiegoś zajęcia. W gorących słowach przedstawia im obowiązek miłości i szacunku dla rodziców, każe pamiętać o tem, że Bóg zawsze na nich patrzy i wszystkie ich sprawy widzi, dlatego, „raczej zginąć niżli obrażać go chcecie”. Jako pierwszy warunek enotliwego życia poleca im dalej umiarkowanie i powściągliwość, której „niewypowiedziana jest moc”, upomina, aby byli posłuszni „ojcu spowiedniemu”, który może najlepiej oświecać ich dusze i kierować nimi; radzi, aby za patronkę brali sobie „niebieską królową”, jeśli chcą mieć dobrą radę z nieba; aby postem i twardem łozem poskramiali

namiętności, a nadewszystko, aby się strzegli każdej „sektury karcerskiej“. Przywiązanie i cześć dla kościoła katolickiego chciałby też poeta jak najsilniej wpoić w serca wojewodzców, i podobnie jak Zamojski w swym zagrobowym głosie do syna (w Łzach Smutnych) przemawia do nich, że największym z zaszczytów, jakie z urodzenia i stanu swojego mieć mogą, jest dla nich to, że są członkami tego kościoła i na jego łonie się wychowali:

Nie chlubeć się stąd, żeście koronni synowie,  
 Że Działyńscy, a k'temu wojewodzcowie;  
 Bo acz to wprawdzie wielka w domu zawołany  
 Urodzić się<sup>1)</sup>, a tylko prawom być poddanym,  
 Lecz to większa, żeście są synami powszechnego  
 Kościoła i na łonie wychowani jego.

Tej wierności kościołowi, za przykładem przodków, dotrzymać aż do śmierci, może być dla nich zatem dopiero największym szczęściem i najwyższą chlubą:

Kto na łonie umiera tej to rodzicielki,  
 Ten jest u mnie szczęśliwy, ten mem zdaniem wielki,

odzywa się poeta temi słowy w gorącym uniesieniu, kończąc swoje nauki moralne.

W dwóch jeszcze innych wierszach pisze Grochowski o tych „siedmiu rodzonych wojewodzcach“, to przedstawiając ojcu szczęście, jakie wniósł mu do domu ten „tak wdzięczny rój“ dzieci, to chwając przymioty tego młodego pokolenia i jego wzajemną między sobą miłość: „ktoby z nich któremu granicę śmiał przeorać, wszystkich to zabol“<sup>2)</sup>. W wierszu wreszcie: „Na majątność

<sup>1)</sup> Porównaj Kochanowskiego w Satyrze: „A iż się urodził w domu zawołany“.

<sup>2)</sup> Jest jeszcze jeden, obszerniejszy wiersz Grochowskiego dla wojewodzców pisany, którego poznać nam się nie udało: „Włoskie miasta co przedniejsze“ (b. m. i r.) z przypisem: „Małego wieku, a wielkiej nadzieje synom koronnym pp. Kasprowi i Łukaszowi Działyńskim, pod ten czas w Krakowie mieszkańcom autor z. d. ż. i w naukach uczeiwych pomnożenia i znacznego postępu“:

Starożytnej krwi plemię domu Działyńskiego,  
 Wojewody cne dzieci Inowrocławskiego“ i t. d.

Ks. Drozdiewicz tak mówi (Wyd. Tur. II, XXVIII) o tym wierszu: „Opisuje krótko i treściwie 54 miast, czem które sławne. Najobszerniej opisał Loret. W opisie Rzymu, który nazywa nowem Jeruzalem, wziął autor himn nieszporny z brewiarza na poświęcenie kościoła: *Urbs beata Hierusalem* i do niego dorobił 5 zwrotek. Do Najś. Maryi Panny

którą zowią: „Dobra na Kujawach“ winszuje Działyńskiemu tej świeżo otrzymanej królewskiej, i igrając ze słowami powiada, że sprawiedliwie się stało, że „Dobra“ dostała się temu, „kto rad dobrze działa“. W dalszym ciągu jego dobrych uczynków zachęca potem wojewodę, ażeby z cegły, która w Dobrej zgromadzona leży przystąpił co rychlej do budowania kościoła. Tem dziełem może on sobie zaskarbić łaski niebios, której jak wszyscy potrzebuje, bo kto wie, jak mu jeszcze długo na świecie żyć przeznaczono. Wszystko przypomina człowiekowi jego znikomość na ziemi, więc trzeba raczej na tę pewniejszą przyszłość na drugim świecie zarabiać. Ten tak prawie spowszedniały temat umiał tutaj poeta ubrać we wdzięczne i pewną świeżością tchnące słowa:

Smentarze i kościoły, groby i mogiły,  
 Świadczą, że niebezpieczny ten nasz domek zgniły,  
 W którym dusza zamknięta pragnie swego nieba;  
 Otóż się nam na ledzie sadowić nie trzeba.  
 Jutro nasze niepewne, i ta co docieka  
 Godzina, kto wie, jeśli nie zdradzi człowieka.

Przeglądając te drobniejsze wiersze różne Grochowskiego, natrafiamy także i na szczupłą wiązkę satyrycznych i humorystycznych utworów. Jestto właśnie dział przez samego autora znacznie przetrzebiony, gdy na pastwę ognia skazywał „choć niewinne dawniejsze swoje karty“, jeśli widział że „nazbyt z prawdą wylatują“. Po kolejnych wierszach pozostał ślad, że musiało ich być więcej, skoro te co zostały wydrukowane otrzymały tytuł: „Fragmenta od kolejnych wierszów pozostałe“. Składając w epigramatycznych wierszykach poważne życzenia na nowy rok, niektóre z nich zaprawia poeta także satyryczną żółcią, te mianowicie, w których ludziom życzy, by się z dotychczasowych wad poprawili. W ten sposób odzywa się do starca niepoprawnego, do bogaczów łakomych, do nocnej hałastury i do białych głów grzeszących zbytami w strojach. Szczególnie oburza go to, jeśli kobiety stroją się idąc do kościoła;

Nieszczęsne brety i wasze pontafy  
 Co mają czynić w domu pańskiej chwały?...

wzięty rytm z pieśni łacińskich *Sanctissima Mater Dei*. Z tego opisu widać, że jest to *ad hoc* pisany dydaktyczno-religijny wiersz, w którym Grochowski chciał młodych Działyńskich, może zamyślających o podróży za granicą, obznajomić z geografją Włoch, a mianowicie z religijnymi pamiątkami, obficie po miastach włoskich rozsianymi.

Siedzi was poczet jakby malowanych,  
Nigdy ozdoby takiej na przybranych  
Ołtarzach nie masz...

Bardzo także do rozumu przemawia kobietom starym, „dojrzałym paniom“, że tsrojenie się w ich latach i śmieszne jest i na nie się nie przyda;

Po co szlesz co rok babo do Torunia,  
Dobry szary płaszcz, dobra drugiej gunia,  
Przynajmniej młodszym piekła nie zajrzycie,  
Czyli w omylne zwierściadła patrzycie?

o czem innym już trzebaby im pomysleć:

Niechaj się stara, jako chce ubierze,  
Najprzystojniejszy jej ubiór: pacierze.

Dowcipnym i niezłośliwym przytem jest wierszyk „Rokoszówka“, w którym żartował sobie z tej różnorodności żywiołów, z jakich się rozkosz składał. Senator, który do rozkoszu nie należał, w ten sposób „uczynił sobie rozkosz doma w sadzie,“ że na „niepożyteczną“ gruszkę zaszczylił latorośle z różnych gatunków drzew. Na drugi rok każda gałąź innym owocem obrodziła i owa gruszka zrobiła się obrazem rokoshu.

„Skarga obciążliwa snu nocnego“, którą autor zanosił (1598) do Zygmunta III. na hałasy i łotrówstwa po nocach w Warszawie się dziejące, w treści swojej przypomina jedną z satyr późniejszego Boileaua, który również narzekał, że po to kładzie się w Paryżu do łóżka, aby nie spać. Uosobistniony Sen skarży się przed królem:

Ale mi już do tego przychodzi, że prawie  
Anim bóg, anim jest sen, ile tu w Warszawie —

bo co się tu nie dzieje po nocach:

Pełno strzelby po bruku, pełno kołatania,  
Tak że niejedna głowa boleje bez spania;  
Drugich już nic nie boli, bo co idzie za tem:  
Kto na łotra napadnie, zegnać mu się z światem.

Oburza też to wielce poetę, że te bezprawia dzieć się mogą w stolicy, pod okiem króla, na wielki wstyd narodu przed obcymi:

Więtsza kiedyś bezpieczeńność w puszczy między lasy,  
I między dzikim zwierzem, niż tu, gdzie sądowe

Pałace, gdzie majestat, gdzie miejsce sejmowe,  
Gdzie i z postronnych krajów gość się nie przemienie,  
A roznosi co widzi po obcej krainie.

Gorąco prosi więc króla o okrócenie tych nieporządków i śmiało zwraca jego uwagę na to, że gdyby tak dalej potrwać miało, byłoby to zakałą dla jego rządów:

Bo będzieli ten nierząd na bóstwo, na moje,  
Nie będzie bez przymówek panowanie twoje.

Kiedy na to wezwanie poety władza te nocne bezprawia następnie usunęła, z wielkim zadowoleniem zapisał to Grochowski w dalszym ciągu tego wiersza, wynurzając przytem królowi również przez usta „snu nocnego“ nieskończoną za to wdzięczność.

Wiele humoru jest w wierszu, którego tytuł już humorystyczną ma zaprawę: „O przygodzie Piotrowej. A jako przyszedł do tego, że każdy piątek z wielkim postem, t. j. nie jedząc ani pijąc odprawuje“. Ten Piotr, czyli raczej „Her Piotr“ (prawdopodobnie ów dobry przyjaciel poety Piotr Klos, kupiec Warszawski, któremu Grochowski książki na kolędę posyłał, dla którego żony pisał nagrobek) jako protestant nie pościł w piątek, aż pewien niemiły dla niego wypadek sprawił to, że równo z katolikami zaczął w ten dzień post zachowywać. Gdy bowiem pewnej niedzieli „Vater unser mawiał w swym pokoju“, jakiś łotr napadł go, by go zabić i zrabować mu pieniądze. Piotr szczęśliwie uszedł tej napaści, i na podziękowanie Panu Bogu postanowił pościć zawsze w ten dzień, w którym go spotkała ta przygoda: „Pościł tedy niedziele podług nagłej rady“. Gdy jednak widział, że w tem nie zgadza się ze swymi sąsiadami: „przełożył zaś na piątek on swój post niedzielny“ — i tak się stało, że chociaż protestant, to żaden z katolików „lepiej piątku nie pości nad niego“.

Swawolny humor, bo sięgający aż do żartowania z rzeczą tak poważną jak śmierć widać w wierszu: „Pamiętka nagrobna Samuela Głowy“ wydanym najprzód bezimiennie (i b. m. i r., w każdym jednak razie między 1604 a 1608), a następnie z niektórymi skróceniami w zbiorowym wydaniu u Loba (1608). Głowa był karłem i trefnisiem kardynała Maciejowskiego, dlatego jako jego koledze poświęca Grochowski ten wiersz znanemu nam z „Babiego koła“ Jakubowi Pękowskiemu, który mimo herbu Ostoja i tytułu „sekretarza nadwornego“ na podobnym urzędzie karierę swoją musiał zakończyć i pod przewiskiem Łba powszechnie był znany

Ale co więcej, poeta dedykuje mu i z tej przyczyny, że i na Pękowskiego już kolej na tamten świat się przenosić, jak mu to niezbyt dyskretnie przed oczy kładzie:

... już cię prawie chwyta  
Za siwy włos ta ksieni umarłych niezbyta.

W trzech po sobie następujących Nagrobkach sam zmarły Głowa przemawia:

Kto tu leży? Ja Głowa. Czyja to mogiła?  
Moja, którego tylko brzuch a głowa była.

Za karę za pijaństwo. miał się dostać po śmierci do czyśćca, ale zagrział głos z nieba, że już dość dworskie pacholęta za życia go nadręczyły,

I tak, co się tu ledwie statecznym dostanie,  
Trefnik, z dobroci bożej, mam w niebie mieszkanie.

Mimo tej przysługi przez pacholęta na drugim świecie mu oddanej, na tym widać bardzo mu oni dokuczali, bo nie przestaje na nich dalej się skarżyć i cieszy się, że choć teraz po śmierci ma od nich spokój. W zakończeniu jest jeszcze list Głowy z drugiego świata Pękowskiemu posłany, w którym zaprasza go jak najprędzej do siebie:

Ty się do tęskniącego bez siebie kwap Głowy — i zapewniam go, że w niebie nie potrzebuje się obawiać „od chłopiat przykrości“, bo rzadko się tu który z dworskich pacholąt pojawi i widać, że ich „do piekła jako bydło zena“. Mimo tak pięknych obietnic, Łeb z niechęcią przyjmuje to zaproszenie, chciałby się od niego wymówić i posłańcowi od Głowy „nieboszczykowi Idziem“ każe panu powiedzieć; „Jeszcześmy umrzeć nie gotowi“.

Być może, że to gwałtowne wmawianie w Pękowskiego, że mu już czas umierać, i inne robione mu tutaj docinki, zbyt złośliwymi Grochowskiemu później się wydały, i przez litość nad upadłym moralnie sekretarzem królewskim to, co do niego się odnosiło, przedmowę i zakończenie, z wiersza tego w późniejszym wydaniu wyrzucił<sup>1)</sup>.

W pewnych ustępach należy satyra także do składowych części utworu obszerniejszego od tych, o których dotąd była mowa:

<sup>1)</sup> W skróconej formie jest też wiersz ten przedrukowany w wydaniu Turowskiego (I, 240, 241).

„Żałosna Kamoena. Na powódź gwałtowną w R. P. 1605“<sup>1)</sup>. Grochowski pisał ten wiersz niedługo po *Łzach smutnych*, które zmarłego 3 czerwca t. r. Zamojskiego opłakiwał, a powodem do pisania była mu powódź, sprowadzona przez wylew Wisły, od 9. sierpnia przez kilka dni z wielką szkodą dla rozpoczętych żniw trwająca, a której naocznym był świadkiem, przebywając w owe czasy w Krakowie<sup>2)</sup>. W pierwszych zaraz dwóch strofach klęskę tę mianuje „nowym gniewem boskim“, spadłym na ludzi za ich grzechy i wzywa do modlitwy i skruchy, dając tym sposobem już na samym początku do poznania, co jest właściwym jego zamiarem: mianowicie, nie opis powodzi, chociaż zresztą jest on tutaj wcale obszerny, ale wystawienie ludziom ich grzechów i błędów na oczy i następnie wezwanie ich do pokuty i poprawy. Obraz powodzi przez Grochowskiego skreślony uwolniłbyśmy od zarzutu naśladownictwa, jakim obarczył go Maciejowski (Piśmien. I. 645), powiadając, że jest na wzór Horacyusza (Oda 2 księgi I) i Owidyuszowego w *Metamorfozach* potopu napisany. Podobieństwa tego my znaleźć nie mogliśmy; nam owszem wydaje się, że powódź przez Grochowskiego skreślona ma wszelkie znamiona tej klęski, tak jak ona w naszym kraju wygląda. Jedyne rysy w tym obrazie: wzmianka o rybach, które wskutek wylewów zwyczajne miejsce swego pobytu zmieniają, jest wspólny i naszemu poecie i obu klasykom, być więc może, iż go Grochowski od jednego z nich sobie pożyczył, z owych reminiscencyj klasycznej lektury, których dawniejsi pisarze bez porównania więcej niż dzisiejsi mieć musieli i mieli. Ale i ten rys jest zmieniony i do natury naszej ziemi zastrósowany. U obu klasyków owe ryby więzną na drzewach, na wiązkach, u Grochowskiego, ponieważ opisywał powódź polską do

<sup>1)</sup> Wydana w Krakowie 1605. ks. Drozdziejewicz wymienia i drugie jeszcze wydanie, dokładniej go jednak nie opisując.

<sup>2)</sup> „Jeszcze się smutne łzy z oczu nie starły“ — temi słowami zaczyna Grochowski Kamoenę, przypominając bez wątplenia nie co innego tylko wiersz swój pod tym tytułem, wywołany podobnie przez nie-szczęście, jakim dla Polski była śmierć hetmana. „Rzeki w około i pienista Wisła, na szkodę ludzką z brzegów swoich wyszła“, powiada w pierwszych strofach Kamoeny, oznaczając tem dokładnie, jaką powódź opisuje. Potwierdza to także wyraźnie Wielewicki, który w swoim *Dzienniku Kolegium Jezuickiego* w Krakowie, skreśliwszy pod r. 1605 obraz tego wylewu Wisły (Script. rer. pol. X, 96) taką wielce zaszczytną dla naszego poety dodaje wzmiankę: „Descripsit calamitatem hanc flebili camena polonica Stanislaus Grochowski, Custos Crusviciensis, magnus hujus temporis Poeta Polonicus“.



rozmiarów katastrof południowych i potopu nie dochodzącą, nie sięgają one tak wysoko, tylko sobie: „po łąkach odległych pływają“.

Ale poeta nietylko klęskę powodzi, która dojrzałe już do zbioru zboża zniszczyła i głód sprowadziła na mieszkańców, ma opłakiwać — dotknęło Polskę i drugie jeszcze nieszczęście. Niedawno, w tym samym prawie czasie „zbójca koronny“, Tatarzy „ozdobę krajów podolskich zaémili“, i zniszczywszy tamte strony, z łupem bezkarnie umknęli. Wieleż to znowu dusz chrześcijańskich poszło w niewolę pogańską, wiele to córek szlacheckich zaprzędanych w dalekie kraje „psom bisurmańskim ścielą brzydkie łoża! 1)“ Zuchwalszym niż kiedy zrobił się teraz Tatarzyn, bo widzi gnuśność naszą, „bo czuje waleczny miecz nasz przytępiony“. Lepiej by już było dać im haracz „te egipskie muchy umitygować zwykłemi kozuchy“, ale temu stanęła na przeszkodzie prywatna chciwość. I tak sromota znowu ciężka spadła na Polaków, że od tak mizernego narodu krzywdy znosić muszą:

By wždy kto, ale przewodzi w tym czasie  
Sasiad, co wszystkiek dom wozi w kolasie,

powiada poeta, przypominając sobie słowa Kochanowskiego (Pieśni I, 7 jakoteż II, 10), który z podobnym cierpkim wyrzutem do spółziomków się odzywał i w ten sam malowniczy sposób charakteryzował Tatarów.

Wszystkie te klęski to oznaki zawisłego nad Polską gniewu pańskiego za rozliczne nieprawości i przestępstwa. Zwraca się tedy poeta do biskupów (w podobnych okolicznościach i gdzieindziej nieraz on to czynił, szczególnie w czasach Rokoszu), aby ludziom na ich „sprośne sprawy“ otwierali oczy i do powstania z błędów wzywali. Sam też poczuwa się do tego obowiązku, aby pokazać „skąd takie plagi naród nasz dziś czuje“, i objawić te „przyczyny jasne“, dla których zguba Polsce zagraża.

Tutaj przechodzimy do tej moralizująco-satyrycznej części Kamoeny, która drugą połowę tego utworu zajmuje. „Schorzało tego państwa wszystkie ciało“ — takim ogólnym a smutnym rzutem oka na całość tego obrazu, który skreślić zamysła, rozpoczyna poeta swoje gorzkie nauki. Nie ma dziś ludzi poświęcających zdrowie i życie dla ojczyzny, każdy patrzy swojego dobra, a co

1) Ten wiersz dosłownie wzięty z Kochanowskiego Pieśni I, 7.

gorsza z krzywdą bliźniego i pewien bezkarności, bo słaby sprawiedliwości nie znajdzie. Stąd najazdy, zdzierstwa wszelkiego rodzaju i bogacenie się lichwą. Próżniactwo i zbytki, to tak małe dzisiaj przestępstwa, że nie warto o nich mówić, choć przez nie ludzie się niszcą i upadają majątki. Malowniczo naśladowując po części Kochanowskiego, opisuje Grochowski to przesadzanie się w wystawności, tak wrodzone naturze ludzkiej po wsze czasy, ale w owych wiekach do kolosalnych dochodzące rozmiarów, jakoteż bezmyślne tracenie majątków, żeby tylko pokazać się światu, bez względu na to, co potem będzie:

Dasz półmisków sto, da on tyle troje,  
Ty go upoisz, on woźnice twoje;  
Ty dasz pachółkom kuny, on da rysie,  
Na stronę lisie 1).

Za tym się wlecze darmostrawskich siła,  
A już się wszystka majątność przepiła;  
Druga zastawna, po chwili rzec muszę  
Wziąłby na duszę.

Zatrzymywanie kościelnych dziesięcin, nakładanie coraz nowych ciężarów na kmieciów, oddawanie poddanych na łup „arendarzom zdziercom“, fałszywa pobożność i hipokryzja, zabójstwa i bluźnierstwo religii, to dalsze przestępstwa, wołające o pomstę do nieba i ściągające karę boską. Nie zapomniał Grochowski zrobić swym współczesnym także zarzutu i z tego, czego osobicie nieraz doświadczył i na co częstokroć się skarżył, czując się pod tym względem pokrzywdzonym, że nauki i ludzie uczeni, tak jak w ogóle wszelka „dzielność“ (łacińska: *virtus*) nie mają zapłaty i „głodne boleją bez swej chleba sztuki“. Nie popłaca talent i nie doczeka się znikąd nagrody:

Byś Homerem był, bądź wdzięcznym Maronem,  
Albo wymownym rzymskim Cyceronem,  
Nie przyniesieszli, nie weźmiesz Maronie  
I Cyceronie.

Niewieście zbytki w strojach, nadszarpujące niejedną fortunę, a co gorsza przyczyniające się do zwiększenia ucisku chłopów, także nie uszły jego nagany:

1) Kochan. w Satyrze:

Da kto pięćdziesiąt potraw, on da tyle troje,  
Ty go upoisz, a on i woźnice twoje,  
Ty w rysiu on w sobolu..

Ta jeździ czterma, owa poszóstnemi,  
 Ta świetna strojem, owa służbistemi,  
 A mąż nieborak często nie ma kopy,  
 Więc ściska chłopy.

Cieęższy jeszcze zarzut robi małżeństwowi, gdy żony dufne we wniesiony przez siebie posąg na prawa moralności nie zważają, a mężowie dla miłości tego posagu na ich postępkę przez szpary patrzą:

Tego z posagiem wielkim druga rządzi  
 I musi milczeć, choć od niego błądzi,  
 I patrzeć na plód nie swój poniewoli,  
 Łakomstwu kwoli.

W końcu wytyka i publiczne występki, tak dworzan blisko króla będących, jak i senatorów, którzy pochlebstwem, nieprawdą i złemi radami zatruwają umysł „Pana enotliwego“ i na krzywe drogi go prowadzą. W ten sposób wyliczywszy długi szereg zdrożności, wad i błędów, jakie w swem społeczeństwie spostrzegają, wzywa ziomek do rachunku sumienia, do skruchy i poprawy, bo na tych klęskach, których doświadczają, może jeszcze nie koniec, może one są zapowiedzią cięższych jeszcze kar boskich; na które grzechami swemi zasługują:

Przeto rzućmy się do modlitwy społem,  
 A posypujmy głowy swe popiołem —

i modlitwą na ten temat, wyrażającą przyznanie się do winy przed Bogiem i nadzieję w jego miłosierdzie, zamyka poeta swój wiersz.

Następuje potem jeszcze kilka słów od autora „Do czytelnika“, na które tutaj zwrócić nam potrzeba uwagę. Grochowski daje w nich pewne objaśnienie o powstaniu Żałośnej Kamoeny. „Lamentowi temu — powiada — podobny znajdziesz, Czytelniku bracie, u Grzegorza S. z Nazyanzeny, Doktora Greckiego starożytnego, w kazaniu jego o porażce gradowej: na którego wzór nie tylko że się to pisało, ale i wiele rzeczy czasom naszym służących stamtąd się potrzebnie tu wniosły. Vale“. Jest to bardzo wyraźna wskazówka, że Żałośna Kamoena nie jest oryginalnym autora pomysłem. Objaśnienie to jednak należy brać z pewnem zastrzeżeniem. Grochowski w skromności swojej więcej sobie przez nie ujmował, niż rzeczywiście było potrzeba. Naśladownictwo nie jest tutaj zupełne, i w jednej tylko części tego wiersza może

o niem być mowa. Poeta nie naśladował S. Grzegorza z Nazyanzeny w opisie powodzi, a tem mniej najazdu Tatarskiego na Podole, bo o tych rzeczach starożytny doktor grecki nie pisał albo pisać nie mógł. Jedynie tylko ogólną myśl przedstawienia pewnych klęsk powszechnych jako objawu gniewu bożego, a następnie pomysł do owej drugiej połowy Kamoeny, którą satyryczno-moralizującą nazwaliśmy, a w której poeta rozbiera sumienie swych ziomek i do poprawy ich wzywa, wziętą Grochowski ze swojego wzoru, a mianowicie z 13ej mowy czyli kazania św. Grzegorza Nazyanzeńskiego, której tytuł w całej rozciągłości brzmi: *Divi Gregorii Nazianzeni oratio consolatoria, quum pater eius episcopus ob grandinis taceret calamitatem*<sup>1)</sup>.

Pochód myśli u św. Grzegorza i u Grochowskiego w tej części Kamoeny, gdzie kazanie o klęsce gradowej naśladuje, jest ten sam. I św. Grzegorz wskazuje najprzód gniew boży jako przyczynę nieszczęścia, wzywa wszystkich do obliczenia się ze swem sumieniem, a potem wylicza te grzechy i przewinienia, które karę niebios na ludzi ściągnęły. W niektórych szczegółach pożywał sobie również poeta u starożytnego kaznodziei pomysłów i obrazów. Z tego źródła korzystał naprzykład, kreśląc ów satyryczny obraz złych obyczajów, bo i św. Grzegorz mówi również o uciemieniu ubogich, o lichwie, o krzywdach wyrządzonych wdowom i sierotom, jakoteż o zbytkach w stroju, o trzymaniu dla próżnej okazałości czeredy sług i koni. Ładny obraz smutku wieśniaków na widok zniszczonych przez powódź wszystkich swoich nadziei w polu, w opisie wylewu umieszczony:

Widzę nędznicę siedząc pod kopami,  
 By nad zmarłemi płaczą dziećmi —

miał swój pierwowzór już w pewnym ustępie św. Grzegorza<sup>2)</sup>, a nawet tak swojsko dla naszego ucha brzmiący zwrot: „drugi przeorał kopce bratu swemu“, jest tylko zręcznem przestrojeniem w polskie szaty podobnego wyrażenia w kazaniu<sup>3)</sup>. W ogóle jednak co poeta wziętą ze swego wzoru, to w podobny sposób nieczem do niepoznania przekształcił, i do zwyczajów i pojęć narodowych zastosował; wiele prócz tego rysów dodał z własnej ob-

<sup>1)</sup> D. Gregorii Nazianzeni orationes XXX. Bilibaldo Pirekheimero interprete... Basileae 1531. p. 126.

<sup>2)</sup> agricolae... segetibus tanquam mortuis assident. Ibid. 129.

<sup>3)</sup> Ex nobis igitur alius... terminos male vel furtim seu violenter est transgressus. Ibid p. 134.

serwacyi, z tego co dokoła siebie widział, i co mu się w jego ziolkach niepodobało.

Do drugiego wydania *Żałobnej Kamoeny* dołączył Grochowski wiele ze swych drobnych już nam znanych wierszy, a także i wiersz, który tutaj jako równobocznik do pieśni o powodzi, bardzo stosowne znalazł miejsce: „Pieśń smutna o głodzie srogim w Wielkiem księstwie Litewskim i we Żmudzi“. Myśl i tendencya: wezwanie do pokuty z powodu zagrażającej klęski, te same tutaj co w *Kamoenie*, a obraz klęski czarniejszemi o wiele i silniejszemi, niż tam namalowany barwami:

Łaknąwszy w on czas ojciec warzył syna,  
Brackie ciało jeść nie była nowina:  
Zapomniawszy się nieszczęsne maciory  
Zarły swe cory.

Oto jeden z epizodów tego obrazu, po którym idą inne nie mniej przerażające. Trzeba jednak wiedzieć, o czem zresztą sam poeta nas objaśnia, że nie jestto opis tego głodu, który w tych czasach zagrażał Litwie, ale dawniejszej podobnej tamże klęski w r. 1571, którą Grochowski z młodych lat swych mógł pamiętać, a którą przypominał teraz ludziom, aby pokutą i modłami do Boga wyjednali sobie odwrócenie tak strasznego, jak niegdyś nieszczęścia.

Na ostatku wypadło nam mówić o utworze Grochowskiego znanym już czytelnikowi z licznych przytoczeń, bo nieraz dostarczał nam cennego materiału do życiorysu i charakterystyki poety. Są to „*Toruńskie Noce. Roku Pańskiego 1609*“ (wyd. w Krakowie 1610), które dedykował „starzec starcowi“, ks. Piotrowi Skardze, dla rozrywki i wypoczynku po ustawnej jego pracy, boć przecie ten każdemu potrzebny:

I żołnierz zjeżdża z pola, konia rozsiodływa,  
Gdy widzi, że go zjeździł i sam odpoczywa<sup>1)</sup>.

Toruńskie Noce składają się z trzech osobnych i odrębnych wierszy, które to tylko mają wspólnego ze sobą, że je autor

<sup>1)</sup> Tegoż samego porównania użył Grochowski jeszcze w r. 1600, poświęcając Solikowskiemu Ścieszkę pobożnego chrześcianina: „Gdyż tak wiele czynisz w słabym twym zdrowiu i w twych leciech, w których więc i żołnierz spracowany młodych lat dzielnością z pola zjeżdża, a rozsiodływając konia, składa rycerskie orężę, samego tylko odpocznienia chciwy“.

w jednym miejscu, to jest w Toruniu i wszystkie podczas swoich nocnych czuwań pisał. Dla tej to czysto zewnętrznej przyczyny objął je jednym tytułem i razem wydał.

*Rytm z himnem na poły*. Na północne kurowe pienie“ pierwsze tutaj miejsce zajmujący, jest utworem lirycznym, rzewną i serdeczną modlitwą kapłana, do modłów w pewnych godzinach przyzwyczajonego a zarazem i poety, który o tym czasie zwykł najlepsze miewać natchnienia. Bardzo zręcznie też wplótł tutaj Grochowski w osnowę własnych swoich uczuć niektóre zwrotki dawniej przez siebie przekładanego hymnu na jutrznię: *Aeterne rerum conditor*<sup>1)</sup> (skąd poszedł i tytuł tej pieśni: *rytm z himnem na poły*), stanowiące strofy 8, 13, 14 i połowę 15 Rytmu. — Zbudziło poetę w nocy pianie koguta:

Śpiewak nocny grzebienisty,  
Odziany w swój płaszcz pierzysty,  
Pieśń swą północną zaczyna,  
Która mnie wstać upomina.

O tej porze miał on zwyczaj pracować, więc powstawszy z łóżka, „przed zwykłą robotą“ upada na kolana i zaczyna się modlić. Poleca się miłosierdziu bożemu, prosi Boga o trzeźwą myśl, i chronienie go od lenistwa, aby w tym czasie długich noce uie oddawał się „twardemu snowi“, lecz słuchając głosu koguta, wstawał do pracy:

Ten pod strzechą na swej straży,  
Niech go nikt nie lekceważy;  
Kur jest światło zamierzchnionych,  
Zegar nocą ogarnionych.

Gdy kur piąć zacznie, tracą moc wszelkie nocne pokusy i trwogi: zbójca chowa swój miecz, chory czuje się zdrowszym a żeglarczywi przybywa odwagi. Więc w tym czasie, gdzie dusza ludzka tak się odświeża i oczyszcza, on także wznosi swą modlitwę, aby Bóg był litościwym dla jego grzechów, i błogosławiąc jego pracy dał mu czyste i prawdziwe natchnienie. Nigdzie, jak na tem tu miejscu, nie pozwolił Grochowski zajrzeć głębiej w tajniki swej poetycznej natury, i nigdzie tak pięknego nie złożył sobie świadectwa, jak wysokie i szlachetne miał wyobrażenie o autorskim swym zawodzie i powołaniu:

<sup>1)</sup> Wyd. Turow. II. 9.

Przytem i drugie zabawy  
 Racz zdarzyć ojeze łaskawy!  
 Niechaj w ludziach dary Twoje  
 Wielbią ze mną strony moje;  
 Które gdy będę wynosił,  
 Jeślibym się gdzie unosił  
 Od prawdy Twój i od ciebie,  
 Wracaj mię zaraz do siebie.

Pióro swoje chce on zatem poświęcać tylko ludziom posiadającym dary boże, ludziom istotnie zacnym i godnym, których jeżeli chwalić będzie, chce także, aby to robione było bez pochlebstwa i przesady, do tej tylko miary, jak oni na to zasługują. Dobro i prawda są tym sposobem ideałem poety, to jego dwa najwyższe cele, do których najprostszą drogą jest znowu oddanie całego swego serca i swej myśli Bogu — poza tem wszystko inne wy-daje mu się próżnością, i gorące też o to wznosi modły, aby go Bóg strzegł od rozmiłowania się w świecie i jego rzeczach.

Dwa inne wiersze w Toruńskich Nocach zawarte należą do kategorii listów poetycznych. Mianowicie „Toruńskich Nocy karta pierwsza w miesiącu styczniu r. p. 1610“ pisana była do kancle-rza koronnego i chełmińskiego biskupa Wawrzyńca Gembickiego a od niedawna także włocławskiego czyli kujawskiego nominata. Z tej też racy odzywał się teraz do niego Grochowski jako do nowego swojego biskupa. W tym drugim już swoim liście (pierwszy jest nieznan, bo wiersz do Gembickiego: Na co dalej gorsze czasy, jako pisany już do biskupa włocławskiego, musi być póź-niejszym) usprawiedliwia się poeta, dlaczego jak innych wielu nie złożył dotąd biskupowi swych powinszowań. Nie niedbałość to, ale wstrzymuje go zima a starość dręczy chorobami, zwiastun-kami rychłej śmierci:

Już nowy kustosz patrzy gdzieś z przełaje  
 Czekając na mię, podobno i łaje,  
 Że tak nierychło starzec zjeżdżam z pola  
 Do podziemnego Konstantynopola —

odzywa się z jowialnym humorem o swoim bliskim końcu. Ale czy żywy czy umarły, zawsze on całym sercem oddany biskupowi, i gdy się na drugi świat przeniesie, będzie tam „opowiadał między duszycami“ o wielkich jego cnotach. Nie odkładając tego jednak na czas późniejszy, już teraz powiada, co kiedyś po śmierci o biskupie ma głosić. Chwali jego ludzkość, dbałość

o dyczezyą, gorliwość w wierze, a szczególnie wysoko stawia jego zasługi około podniesienia kościoła katolickiego w Prusach i me-ństwo z jakim „podobien lwowi“ występował przeciw kacerzom:

Nie tak odyniee przy swem pięknem stadzie  
 Serdecznie stoi, gdy wiley w gromadzie  
 Przy nim szarpać chcą wiatronogie łanie,  
 Jakoś ty przy swych stał mężny kapłanie.

Wyliczywszy znaczny szereg podobnych zasług, między którymi nie najmniejsza ta, że Gembicki przywrócił do Torunia niedawno stamtąd wyrzuconych Jezuitów, reflektuje się i upomina o odstą-pienie od przedmiotu, że teraz już naprędce i pobieżnie mówi o rzeczach, o których kiedyś lepiej i dłużej opowiadać będzie:

Tam kiedy przyjdę w kraj zmarłych szczęśliwy,  
 Wszystko wymówię starzec świegotliwy;  
 Tam wszystko duchom przepowiadać będę,  
 Skoro jako gość między nimi siędę.  
 Tam mi wymowy dopiero dostanie,  
 Gdy się to z gliny rozwali mieszkanie,  
 W którym by w klatce dusza teraz mieszka...

I puściwszy wodze fantazyi w tym kierunku, ten siedem-dziesięcio letni starzec przenosi się duchem w świat drugi, wyobraża sobie, jak świeżo przybywa do przybytku wybranych i „tam pozdrowiwszy wszystko zgromadzenie“ i nasyciwszy uszy ich weselnem pieniem, poznaje i widzi swych dawnych znajomych i ukochanych na świecie w niebieskiej teraz przebywających chwale. Z tej liczby wymienia najprzód czterech, widać sercu jego najdroższych, biskupów: Maciejowskiego, Radziwiłła, Soli-kowskiego i Rozrażewskiego. Z pomiędzy królów cieszy się nadzieją ujrzenia w niebie Stefana Batorego, który w jego oczach był bezwątpienia największym z późniejszych monarchów polskich, a z pomiędzy mężów publicznych i senatorów jednego tylko het-mana Zamojskiego. „Podniósłszy oczy“ na wyższym miejscu spo-strzega liczny zastęp świętych, których wydała Polska, począwszy od św. Wojciecha aż do Stanisława Kostki, a między nimi także i „duszę Laterninę“, Marcina Laternę jezuitę, jednego ze swych przyjaciół, którego śmierć z ręki protestanckich Szwedów poniesiona do tytułu świętego niejako uprawniała. Dalej znajdzie się tam także Hozyusz i sławni akademicy Górski i Sokołowski jak rów-nież najdroższy mu z poetów

. . . tam mój Kochanowski,  
Który na skale polskiej Kaliopy  
Położył pierwszy swe szczęśliwe stopy —

wreszcie i trzech ludzie, dla których z różnych względów czuł się poeta obowiązany do wdzięczności i dla których miał zawsze przyjacielskie uczucia: Uchański, Wujek i Dobrocieski. Zobaczenie tego ostatniego, przed dwoma dopiero laty zmarłego przyjaciela, największą zdaje się napełniać go radością.

Tam cię obłapię rękoma dusznemi,  
Skoro cię ujrzę w pocie między niemi  
Przyjacielu mój, dobry Dobrocieski,  
Po którym jeszcze trapi mię żal ciężki.

Tak więc to niebo, które widział w swojej wyobraźni, zaludnił Grochowski ludźmi swego czasu, których za największy zaszczyt narodu uważał; dygnitarzami kościelnymi, którzy gorliwością w obronie kościoła i prawowiernością najwięcej służyli, a wreszcie obok paru swoich serdecznych przyjaciół, całym zastępem świętych polskich. Ci wszyscy albo za jego pamięci albo już w dawnych czasach zmarli, musieli sercu jego być najmilsi i musiał on widzieć w nich kwiat narodu a zarazem ideał doskonałości, za którym tęsknił i którego oglądanie na drugim świecie jedną z największych niebieskich roskoszy mu się wydawało.

Ale co nas dzisiaj zdziwić nie mało musi, poeta w ten sposób „niebo przejrzawszy“ ciekawy jest jeszcze dowiedzieć się — gdzie też po śmierci „raczą siedzieć“ rokoszanie? Na to pytanie, dowodzące jak wówczas jeszcze, już w r. 1610, w dwa lata po przeprosinach Zebrzydowskiego, sprawa ta żywo poruszała umysły i jak bardzo i nasz poeta nią się zajmował, odpowiada on sobie w ten sposób, że dusze rokoszanów podzielone zostały na dwie części: takich co w dobrej wierze, że bronią „przesłodka wolności“ dali się wciągnąć do tego ruchu, i takich, którzy dla korzyści i nieprawnych zysków do rokoszu się rzucili. Pierwsi nie będą pewnie potępieni, drugich zaś poeta spodziewa się, jak gdyby na podobieństwo Dantego zamysłał robić wędrówkę po drugim świecie, zobaczyć w piekle:

Jakobym widział, że mi je ukażą  
Pod Cerberową w ogniu wiecznym strażą —

i weale się nad ich losem nie lituje, owszem ich męka zdaje się go cieszyć:

O jako cierpią tam za nasze krzywdy,  
Których nikomu nie nagrodzą nigdy.

W niebie zatem, gdzie już tylu ma sobie drogich, miałby się z kim „ocieszyć“. Ale cóż? — „nie chce mi się stąd“, przyznaje się dobrodusznie, bo taka to już natura ludzka, że się na drugi świat nie spieszy, „choć tam lepsze mienie“; a przytem, poczuwając się do grzechów, boi się sądu bożego i wołałby czyścić wycierpieć na ziemi „przy swej Kruszwicy choćby ze dwie lecie“. Żał mu rozstać się ze swą skromną siedzibą, odejść od tych Piecków, gdzie „choć niepłatny“, najsmadniej mu płynął jego rym „słowieński“.

Nie chcemy powtarzać tego, o czem już w żywocie poety pisaliśmy. Ostatnia część jego listu do Gembickiego, to znany nam już opis Piecków samych, mieszkania poety i życia, jakie tam pędził, to modląc się i rachując ze sumieniem, to przeglądając i brakując swoje pisma, to wreszcie w pięknościach sielskiej natury szukając osłody dla duszy. Ta idylla starca — poety, który myślą przebywa już więcej poza grobem, a tu na ziemi w tem jeszcze radość znajduje co z działał za życia i co po śmierci pamięć jego między ludźmi ma utrwalić, najwięcej też z całego tego listu posiada wdzięku i najsilniejszy zdolna obudzić interes. Co się rzadko w jego utworach zdarza, tak jak w ogóle w wierszach dawnych naszych pisarzy, poeta występuje tu na widok sam swoją osobą. Widzimy go w jego codziennem życiu, poznajemy jego zwyczaje, dowiadujemy się o jego uczuciach; wiemy, co robił, czem się zatrudniał, jakie były jego rozrywki, co mu sprawiało radość, a co go smuciło. Jednym słowem mamy przed sobą człowieka ze wszystkimi objawami jego zewnętrznego i wewnętrznego życia, a danie nam takiego obrazu jest podobno najważniejszym zadaniem sztuki i poezji. Obrazek, który tu nakreślił Grochowski, jest niewielki, skromnych rozmiarów, i myślą swoją nie sięgający ani daleko ani wysoko: mały obrazek rodzajowy, nie więcej nadto. Ale wykonany on jest wprawną ręką, znać w nim prawdę i czuć tętno rzeczywistości: wszystko tam wiernie powtórzone z życia bez przesady i fantazyjnych dodatków. Koloryt przytem tego obrazku tak miły i ujmujący. Z jaką swobodą maluje poeta ten sielski swój żywot, z jaką prostotą spowiada się ze swych uczuć i myśli, i jak słodkim humorem, niewyszukanym a trafnym dowcipem okrasza swoje opowiadanie. Wyborny jest ten „nowy kustosz“, co zdaleka już czyha, czy mu się poeta z miejsca nie ustąpi; zabawni ci trzech jego poddani, którzy mu jak każdemu innemu „Miło-

ściwemu Panu“ cześć oddają; dobre to udanie przestrichu, kiedy patrząc na wieżę Popiela nad Gopłem, losu owego króla niby się obawia. Ze swej starości, ze swej chudoby i słabości swego wieku żartuje sobie zgrzybiały poeta tak naiwnie, bez cienia goryczy, bez narzekania i zwątpienia, że trzeba koniecznie uwierzyć, że zająca, szlachetna i mądra była w nim dusza.

W ogóle cała ta „karta pierwsza“ celuje wielką prostotą i swobodą stylu. Czytając ten wiersz czujemy, że on nie miał być niczem więcej tylko rymowanym listem. Ton wszędzie spokojny, uczucie nie podniesione do wyższego liryzmu. Poeta nie zadaje sobie nigdzie przymusu, nie przebiera w pomysłach, nie pisze według naprzód ułożonego, sztucznego jakiegoś planu; zastanawia się, porzuca przedmiot i znowu do niego wraca, w ogóle idzie za naturalnym biegiem myśli, który jednak, co już jest tajemnicą talentu, w zaokrągloną całość tutaj się układa. Nie można także pominąć milczeniem tego rzewnego wrażenia, jakie odbiera się z ustępu, w którym Grochowski, jakgdyby rzucał jakiś pierwszy, nie kształtny jeszcze szkic do nowej Boskiej komedii, swe powitanie ze zmarłymi na drugim świecie kreśli. Czuć w jego słowach, że on tych wszystkich ludzi, których w widzeniu swem ogląda, kochał i cenił całym sercem. I szlachetna ludzka i patriotyczna struna brzmi w tych wierszach donośnie, a ta gra jego wyobraźni, która go w tej chwili poza grób przenosi, to więcej niżli fikcyja poetyczna, to niemal rzeczywistość, w którą ten starzec stojący nad mogiłą i na dnie swój pobyt na ziemi liczący, zdaje się wierzyć jakby w najoczywistszą prawdę. Bo i dlaczegożby nie? On już tak blisko tego drugiego świata i duchem więcej już do niego niżli do ziemskiego należy.

„Toruńskich nocy karta wtóra, w miesiącu grudniu r. p. 1609 do jednego z prowincyałów Soc. Jesu“, to jest, jak wiemy do Piotra Fabrycego pisana, lubo ma w pewnym względzie też same zalety stylu, co zresztą o wszystkich listach Grochowskiego powiedzieć można, z treści swej jednak nie budzi tego interesu co pierwsza, ani tej wartości poetycznej nie posiada. Poeta pisał ten wiersz na powitanie Fabrycego, który nazajutrz do Torunia miał przybyć. Ta okoliczność, że się znajduje i pisze wiersze w mieście oddanem kupiectwu i handlowi, gdzie co za tem idzie, o poezją nikt nie dba i nikt jej nie ceni, wywołuje dowcipną u niego uwagę:

Oto w porywczę dziś gościa wdzięcznego  
Witam cię darem dowcipu mialkiego  
W toruńskim mieście, gdzie zboże rynkowe  
Płatniejsze niżli wiersze Homerowe.

Zapewnia potem Fabrycego o szczerości swych uczuć, że między tymi, co go widzieć pragną on wcale jest „niepośledni“, ba, że nawet jego wiersze z całą gotowością na jego powitanie się spieszą. Innym darem służyć mu nie może, bo: „rym a modlitwa to są dzieła moje“. Resztę tego listu poznaliśmy już dawniej przy różnych sposobnościach, mianowicie: podziękowanie, jakie Grochowski składa Fabrycemu za to, że dzięki jego staraniu Generał Aquaviva zrobił go „uczestnikiem“ zakonu, tudzież tę gorącą pochwałę i obronę Jezuitów, w której ich niezwykle poświęcenie w rozkrzewianiu wiary nawet w dalekich stronach świata wysoko bardzo podnosi. Dla Fabrycego zaś szczegółowo wyraża jeszcze i życzenie, ażeby mu się szczęśliwie powiodła missya, w której przybył, to jest ustalenie kościoła katolickiego w Toruniu po niedawnych, jakie tam zaszły zaburzeniach.

## V.

## TALENT. JEZYK.

Jakieżże wartości poetą był Grochowski?

Rzeczywiste talenta czują zwykle, co są warte, jakie stanowisko i jaki stopień w hierarchii, czy to sztuki, czy literatury im się należy, i bardzo często, instynktowo i nie zdając sobie z tego sprawy, wartość tę w ten lub w ów sposób same oznaczają. Coś podobnego zrobił także i Grochowski. W wierszach swoich wspomina on o dwóch tylko poetach polskich: o Janie Kochanowskim, jak niedawno widzieliśmy, wyrażając się o nim z tem uwielbieniem, które nie pozwala wątpić, że go za najpierwszego, za mistrza wszystkich innych uważał, i o Szymonowiczu (w *Łzach* smutnych po Zamojskim) w słowach technących również wysokim szacunkiem i zupełnem uznaniem dla autora *Sielanek*. O żadnym innym zresztą z dalszych i bliższych mu współczesnych poetów nie ma u niego najmniejszej wzmianki; nazwiska Zbylitowskich, Kłownowicza, Miaskowskiego nie spotykamy u niego nigdzie, jak gdyby nie pisali, nie żyli i nie istnieli. Czegoż to może być dowodem? Tego, że Grochowski bił czołem przed talentem Kochanowskiego, i nie pomyślał nawet o tem, żeby się z jego wielkością mierzyć; że uznawał również wyższość Szymonowicza, i współzawodniczyć z nim o palmę pierwszeństwa za rzecz niestósowną uważał; wszystkich zaś innych, co z nim równocześnie na tej samej niwie pracowali, i mniejszą lub większą cieszyli się sławą, miał co najmniej za równych sobie, a w chwilach, kiedy miłość własna silniej, niż kiedyindziej w nim się odzywała, niejednego z nich może za niższego od siebie. Leży to bowiem w naturze ludzkiej, że wielkim potęgą, niezaprzeczonej wielkości i sławie, które bądź

co bądź, czy chcemy czy nie chcemy, nam imponują, chętnie i bez obrazy swej miłości własnej się pokłonimy: ale przed tymi, z którymi pod jakimkolwiek względem mierzyć się możemy, z którymi czujemy się na równych mniej więcej siłach, których spodziewamy się w spółzawodnictwie prędzej czy później wyprzedzić, lub choćby równocześnie stanąć z nimi u zwycięskiej mety, przed tymi nie chce nam się uchylić głowy, tym nie oddamy głośno hołdu, i wolimy zasługi ich pokryć milczeniem, ażeby głosem swoim nie przyczynić się do przysporzenia im sławy, która jak myślimy, nam się w równej z nimi mierze, a może i w większej należy. Uwielbia się na świecie wielkości, podnosi się małości, ale równych sobie najchętniej się ignoruje.

W istocie, czy Grochowski miał o tem przeświadczenie czy nie, czy wiedział o tem czy nie wiedział, stoi on na równej linii z tymi celniejszymi poetami, którzy współcześnie z nim żyli, z wyjątkiem Szymonowicza, który o jeden stopień od nich stanął wyżej. Nie należy on zatem do pierwszorzędných w naszym piśmiennictwie poetów; jego miejsce nie jest tam, dokąd wziósł się Kochanowski, a o wiele później Krasicki lub Trembecki, nie mówiąc już o większych jeszcze imionach z naszego stulecia. Nie stoi on na świeczniku, nie nadaje tonu i charakteru swym czasom, nie stanowi epoki. Jest poetą drugorzędnym, jednym z tych, którzy grupują się jak trabynty około większej gwiazdy stałej, i świeci mniej więcej pożyczanem światłem.

Takie jest jego stanowisko w naszej literaturze. A w literaturze powszechnej? Ta ostatnia jest wyborem wszystkiego, co gdziekolwiek jest najlepsze. Jestto wysoka bardzo arystokracja, między którą rzadko który śmiertelnik się dostanie. Na to trzeba być geniuszem albo przynajmniej genialnym talentem. Do tego zaś naszemu poecie bardzo daleko, i nie miał on zapewne nigdy pretensyi, ażeby błyszczeć w tem kole, w którym taki Jan Kochanowski zaledwie gdzieś w dalszych szeregach, zasłonięty potężnymi wielkościami geniuszów, może znaleźć dla siebie miejsce. Wielkiej fantazyi, podniosłej myśli, głębokiego uczucia albo też subtelnego pojęcia piękna, czego koniecznie potrzeba, aby się policzyć do szczupłej garstki tych wybranych, Grochowski nie posiadał. Natura użyczyła mu tych darów zaledwie w tej dozie, ażeby w swoim własnym tylko narodzie dorobił się zaszczytnego imienia, i żeby działalność jego w dziejach jednej tylko literatury pozostawiła ślad po sobie. Dzieli on zresztą wspólny tylko los z innymi, bo któryż to z naszych dawnych poetów dobił się powszechno-euro-



pejskiego znaczenia, i wieleż to jest takich imion w całej starożytnej i nowożytnej literaturze, któreby w pamięci całego świata raz na zawsze utkwiły?

Pod pewnym względem dziwnie uderzające zachodzi podobieństwo między Grochowskim a współczesnym mu i w tych samych co on latach piszącym Miaskowskim. Kto powierzchownie przeglądałby ich wiersze, i chciałby zwłaszcza utworzyć sobie o nich wyobrażenie podług ich tytułów, tego zastanowić musi, jak często oni obaj schodzą się na jednej drodze. Najprzód obaj są nawpół religijnymi, a nawpół świeckimi poetami, czego ani o Zbylitowskich ani o Klonowiczu, którzy religijnej struny nie tykają, powiedzieć nie można. Następnie obaj obrabiają często jednakowe przedmioty i o jednych i tych samych rzeczach piszą. Jeśli Grochowski przetłómaczył *Wirrydarz*, poemat o dzieciątku Jezus, to u Miaskowskiego znajdujemy odpowiadające mu zupełnie *Rotuły na narodzenie syna bożego*; jego *Processya Hierozolimska*, *Hymny o męce Pańskiej* i inne do tego cyklu należące wiersze mają ten sam przedmiot co Miaskowskiego *Historja męki Jezusa*; tak samo obok Grochowskiego *Św. Cecylii* postawić można *Chorągiew Agnieszki Św.*, w której Miaskowski podobnież żywot chrześcijańskiej męczenniczki opowiada. Między ich utworami treści świeckiej nie mniej łatwo podpadną pod oczy wiersze tej samej treści, z tegoż samego powodu i na ten sam temat pisane. Miaskowski tak samo pisze *Nenią na śmierć Zamojskiego* i wiersz żałobny *Na śmierć Maciejowskiego* jak Grochowski; tak samo jak on w wierszu *Na nowinę i wieść Dymitra zwróconego* cieszy się z nowych tryumfów ocalonego niby od śmierci Samozwańca, tak samo złośliwym paszkwilem rzuca się na protestanckiego ministra Rosentretera, a w *Trenie Rzeczypospolitej w nieszczęsne wojny domowe* ubolewa nad klęskami, które Rokosz na Polskę sprowadził, jak to bardzo często w wierszach swoich czynił Grochowski. Nawet do *Augusta wzbudzonego* możnaby znaleźć analogią w Miaskowskiego *Apologii na paszkwił przeciwko królowi Jegomości*, a jego *Waleta Włoszczonowska* przypomina żywo te wywnętrzenia osobiste, ten obraz z własnego życia zdjęty, jaki skreślił Grochowski przy końcu pierwszej karty *Nocy Toruńskich*, tam gdzie o swoich Pieckach i ich powabach rozpowiada.

Tak pod względem zewnętrznym, pod względem jednakowej treści i tych samych przedmiotów podobni do siebie poeci, pod względem wykonania, formy i ducha swych utworów różnią się

tak dalece, że ich można uważać za wyobrazicieli dwóch odmiennych kierunków.

Miaskowski idzie zawsze zgodnie ze świeżą tradycją Kochanowskiego. Jak dla tego ojca poezji polskiej, tak i dla niego ideałem jest poezya klasyczna. Nie ma on tego talentu, co Jan z Czarnolesia, nie umie się tak dalece przejąć prawdziwym duchem klasycyzmu, ale z jego pism widać, że ma najszczerze po temu chęci, że chciałby zawsze w ślady tych mistrzów za przykładem swego znakomitego przewodnika wstępować. Dlatego Miaskowski dba o sztukę i jej przepisy, i ile go na to stać, chciałby się ich zawsze trzymać. Jednolitość i zaokrąglenie kompozycyi, poprawność i wytworność dykeyi, oszczędność w słowach i trzymanie na wodzy fantazyi, by sobie na dygressyie i niepotrzebne długości nie pozwalala, są zawsze celem jego usilnego starania. To wszystko nadaje wierszom jego formę więcej artystyczną, ale zarazem zostawia na nich ślady pewnego przymusu. Nie mając dość sił do rozwinięcia tak swobodnie skrzydeł, jak Kochanowski, ścieśnia on kręgi swego lotu i często zdradza niepewność i obawę, czy nie spadnie z wysokości, do której wzniosła go obca pomoc, a w której jemu nie zawsze swojsko i bezpiecznie. Takie kłopotliwe położenie odbija się też w jego wierszach częstokroć przez pewną oschłość w wysławieniu i ostrość konturów, pokazującą, że poeta nie miał dość swobodnej ręki. Jednym słowem, możnaby zastosować do niego, co Karpiński powiedział o Książninie, że czuć w jego wierszach pewien „przymus szkolny“, i że byłoby lepiej, gdyby pozwalał sobie być więcej swobody i natchnienia swego nie kępował pamięcią o regułach sztuki i o wzorach, jakie mu stały przed oczami.

Innym zupełnie jest Grochowski. On klasyków znał, czytywał ich w szkołach i w collegium Pułtuskim, na nich kształcił swój umysł i smak, i potem w ciągu dalszego życia nie obojętni mu oni pewnie zawsze byli. Jak u wszystkich ówczesnych poetów, i u niego dopatrzeć się również można owych klasycznych reminescencyj, czy to w formie pewnych więcej utartych obrazów i porównań, czy też w tem, że i on jak inni często starożytną mitologią się posługuje. Dla Kochanowskiego, który był najdoskonalszym wzorem na niwę polską przeszczepionego klasycyzmu, uczuwa on także najwyższe uwielbienie. Pomimo tego znać w nim, że klasyczny ideał nie przeszedł mu tak bardzo w krew i kości, że powaga starożytnych poetów nie znaczy u niego tyle, ileby znaczyć powinna, gdyby pozostał był ich bezwarunkowo wiernym uczniem. On nie kocha tych klasyków do tego stopnia, żeby im wyłącznie oddał

swę serce, i żeby odstąpienie od ich wzorów równało się w jego oczach świętokradztwu. Nie sztuka, nie piękno jest przedewszystkiem jego ideałem i najbardziej ukochanym przedmiotem, ale coś innego. On wyrastał i kształcił się nie pod wpływem humanizmu, ale pod wpływami, które znaczenie tego humanizmu ścieśnić i jego działanie na umysł umiarkować się starały. Był to ten zwrot (we wstępie już tę rzecz obszerniej przedstawił), który wychowaniu, wykształceniu, oświacie i cywilizacji usiłował od niedawnych czasów nadać kościół katolicki, a w pierwszym rządzie Jezuitów, kiedy się spostrzeżono, że za pięknem i mądrością starożytności idzie także kult zmysłowości, wolnomyślność i religijny sceptycyzm. Odtąd starożytni popadli w pewne podejrzenie, ale kiedy nie można było całkiem ich usunąć, starano się pozostawić z nich literę, formę zewnętrzną, a ducha ich prawdziwego zasłaniać przed oczami ludzkimi, ograniczać jego wpływ i robić go dla nowego świata obojętnym i obcym. Grochowski takie już miał w tych rzeczach pojęcia, a wyrobiły się one u niego wcześniej, niż u innych, zapewne z tej przyczyny, że będąc poetą był zarazem i księdzem. Z jego stanu, z głębszego wykształcenia religijnego, które jako duchowny musiał posiadać, wynikało, że duch wiejący z ksiąg starożytnych poetów nie mógł nim niepodzielnie zafascynować. Oprócz ich dzieł, które dla świeckiego pisarza zupełnie wystarczały, czytał on i rozczytywał się pilnie w wielu dziełach treścią swoją, nastrojem i tendencją zupełnie od nich różnych. Czytał pismo święte, nie tak jak człowiek świecki powierzchownie i dorywczo, ale z zastanowieniem się i zgłębianiem jego religijnego i dogmatycznego znaczenia; czytał ojeów kościoła i nowszych pisarzy religijnych, pełnych ascetyki i bogomyślności, czytał wreszcie już z własnej ciekawości i pilności tych nowych poetów, głównie z Zakonu Jezuitów się rekrutujących, których natchnienie płynęło z gorącej wiary i chwałę Kościoła katolickiego za źródło i cel swój najpierwszy miało. Prócz tego uczył się także i teologii, nauki objawienia, będącej niby odwrotnym biegunem z samodzielnego ludzkiego myślenia wyrosłej filozofii starożytnej. Nie zapomnijmy i o tem, że jako ksiądz obowiązany był iść za ówczesnym prądem reformacji katolickiej, że duchowi panującemu wówczas w kościele winien się był poddać, czyby chciał czy nie chciał, że pod klątwą odszczepieństwa i popadnięcia w niełaskę u swych przełożonych, musiał iść z nimi w jednym kierunku i ani ich pojęć, ani wymagań w niczem nie obrażać. Grochowskiemu to zastosowanie się do ducha czasu przyszło łatwo; nie potrzebował on się ani poskra-

miać ani przywdziewać maski na siebie; wszystko co było Kościołowi nieprzyjemne, czy to protestantyzm czy starożytna wolnomyślność, i jemu osobiście było wrogie i wstrętne. Był on prawowiernym w całym tego słowa znaczeniu i katolikiem i księdzem, a za kierownikami ówczesnymi spraw kościelnych szedł on nie tylko z obowiązku karności, ale z najgłębszego swego przekonania.

Tym sposobem łatwo zrozumieć, że Grochowski dla tych starożytnych a zarazem pogańskich pisarzy, których ujemny wpływ i w nowszych czasach nieraz uczuwać się dawał, nie miał już tej bezwzględnej miłości, któraby, jak to się u zapalonych humanistów zdarzało, wszystko dobre i piękne w nich, a nie poza nimi nie widziała. Jeżeli ta poezja klasyczna stawała przed nim w całym uroku swej artystycznej piękności, to on miał gotowy pod ręką inny ideał duchowej, chrześcijańskiej piękności, który obok niej i naprzeciw niej mógł postawić. Przez to, że był księdzem teologicznie wykształconym i pisarzem, który poznał po części z obowiązku, po części z zamiłowania, nowych autorów głównie religijnych i w prozie i w poezji, sfera jego pojęć i wyobrażeń rozszerzyła się także i w nowe idee wzbogaciła. Jeżeli znajdował dobre i piękne rzeczy w klasycyzmie, to musiał sobie także z wewnętrzną pociechą przyznać, że i w tych katolickich pisarzach są nieraz rzeczy równie dobre i piękne, chociaż całkiem od nich odmienne, a z wyobrazeniami i uczuciami chrześcijańskimi więcej harmonizujące. Umysł jego ulegał przeto tym obu wpływom, z których ostatni bodaj czy nie więcej na niego oddziaływał, i tak Grochowski nie doznał już na sobie tego bezwzględnego panowania klasycyzmu, któremu byłby zapewne się poddał, gdyby o parę dziesiątków lat wcześniej się był urodził, albo gdyby był inny, nie duchowny zawód sobie obrał.

Nowsza literatura chrześcijańsko-religijna daje mu też często przedmiot i treść do jego prac, albo nasuwa mu pewne pomysły. Do tej kategorii należą mianowicie wszystkie jego tłumaczenia: *Hymny kościelne*, *Nasładowanie*, *Wirydarz*, aż do owych drobniejszych wierszy Jezuitów Dawida i św. Kazimierza. Do poematu *św. Cecylii* szuka on treści w starych legendach chrześcijańskich, a poczęści w nowszej historii kościelnej. Metafrastes jest dla niego zarówno źródłem jak i artystycznym kierownikiem w tym utworze. Z kaznodziejskiej wymowy przyswaja on sobie pewne retoryczno-poetyczne formy, jak to szczególnie widzieliśmy w jego rozmaitych trenach; w *Złotosnej Kamoenie* bierze sobie za wzór kazanie jednego ze starych ojeów kościoła, św. Grzegorza z Nazjanzenu. Treścią swoją

i formą działa na niego ta nowsza kościelna literatura, budząc w jego głowie inne ideje, niż wzory klasyczne, i podając mu inne sposoby przyoblekania swoich myśli. Inaczej się to zupełnie u niego dzieje niż u Miaskowskiego, który nawet tam, gdzie treść temu była przeciwna, nie może się obejść bez klasycznych akcesoryów, miesza ze sobą dwa światy, pogański i chrześcijański, i w *Rotułach* na narodzenie syna bożego „kołem parami przy zbawionym łożbie“, w którym spoczywa dzieciątko Jezus, ustawia z Apollinem na czele wszystkie dziewięć Muz z Olimpu, każe im śpiewać chwałę Chrystusa i N. Panny, i jednej z nich, „odmieniwszy w miejscach nieco wedle potrzeby“, kładzie w usta Eklogę IV. Wergiliusza. również uwielbienie dla Zbawiciela mającą wyrażać. Postawmy obok tych *Rotuł* Grochowskiego *Wirydarz*, a uwidoczni nam się dobitnie różnica między dwoma poetami, W *Wirydarzu* wszystko zgodne zarazem z tradycją pisma św. jak i z tym bogobojnym duchem chrześcijańskim, który zawsze kolebkę Zbawiciela otaczał, a w czasach Grochowskiego do egzaltownej ascetyki pod piórem takich poetów, jak Pontan się podniósł. *Córki Syońskie*, *Aniołowie*, *Trzej królowie*, *Starzec Symeon*, wreszcie Poeta przejęty do głębi wiarą i jej dogmatami, stanowią tutaj orszak wielbiący narodzonego Jezusa; w *Rotułach* zaś, co ten mały Jezus spostrzega dokoła siebie? pogańskie Muzy i Apolina z lirami w ręku, i dziwić się zapewne musi, skąd te olimpijskie bogi sławę jego głoszą i hołd mu oddają, skoro on przyszedł poto, aby je ze świata wypędzić, i one powinny były na jego widok albo uciec ze wstrętem, albo podnieść okrzyk zgromy i nienawiści.

W pojęciach swoich literackich i estetycznych Grochowski, nie trzymający się wyłącznie i ściśle wzorów klasycznych i poetyki podług nich utworzonej, musiał być tem samem swobodniejszym, musiał stronę mianowicie formalną puszczać więcej luzem, i co zatem idzie na kunszt pisarski i artyzm, mniej zwracać uwagi. Skoro bowiem nie poddał się tej szkole, która w owe czasy formy rzeczywiście artystycznej nauczyć go mogła, musiał pod tym względem szwankować i na pewną niedoskonałość się narazić. Najwyraźniej widać to w jego kompozycyji, w tej właśnie najważniejszej części pracy poetyckiej, która jest niejako rusztowaniem wznoszonego przez poetę w umyśle budynku, i której doskonałość jest pierwszym warunkiem, czy budynek ten będzie dobry, czy nie. W większych mianowicie utworach kompozycya ta jest zwyczajnie albo bezładna, albo ciężka, albo nieproporcjonalna. Widać, że poeta nie ułożył sobie należytego planu i nie miał delikatniejszego

poczucia artystycznej jedności. Do głównego pomysłu dodaje on mniej ważne, dosztukowuje i dostawia, co mu jeszcze na myśl przyjdzie, nie bacząc, czy to jest na swoim miejscu i w swoim czasie. Pojedyncze części jego poematów robią też często wrażenie nie różnych członków do jednego organizmu ściśle należących i wewnętrzną jednością ze sobą spojonych, ale kilku odrębnych od siebie organizmów, które dowolnie, bez logicznej konieczności i sposobem zewnętrznym ze sobą zostały połączone. Przykłady podobnej kompozycyji widzieliśmy na *św. Cecylii*, na *Planktach po królowej Annie*, poczęści i na *Łzach smutnych po Zamojskim*; inne Treny grzeszą znów bijącą w oczy nieproporcjonalnością, kiedy zamiast powolnego i stopniowego spadku uczucia, następuje nagły, niczem nie umotywowany zwrot (*peripetia*). Do wad kompozycyji i to bardzo nasz smak dzisiejszy rażących, należą także te dodatki w formie nagrobków, wstępów, przemówień i domówień do właściwego utworu dolepiane, z rozmaitych może praktycznych względów, ale poetycznie całkiem bez potrzeby i bez racyi. One to przekonywują już na pierwszy rzut oka, więcej może niż inne słabe strony kompozycyji, jak poeta lekko sobie cenił artystyczne wymagania, i jak estetyczne jego pojęcia nie były jasne i prawdziwe. Gdzie zresztą zdawało mu się, że się bez kompozycyji obejdzie, tam ją zupełnie zaniedbywał, jak w *Żywocie św. Stanisława*, gdzie szedł wyłącznie za śladami kronikarskiego opowiadania.

Grochowski nie jest bynajmniej gadatliwym, ani w wysłowieniu trywialnym, z tegoż samego jednak powodu, dlaczego kompozycya jego artystycznymi zaletami się nie odznacza, i dykcya jego poetyczna nie ma zwykle tej precyzji, plastyki, a wreszcie i wytworności, któremi poezya klasyczna dotychczas celuje i których niedościgłym jest wzorem. Poeta nasz posiadał wrodzoną łatwość pisania wierszem, płynął on mu swobodnie i bez wysilenia, i ten dar natury zapewne przyczynił się do tego, że w pomysłach swoich nie brakował, o dobór wyrażen i wyrazów dość pilnie się nie starał i szedł jedynie za pierwszym natchnieniem. Stąd także powstały bez wątpienia u niego te częste powtarzania się, te plagiaty na sobie samym robione, czy to w pojedynczych zwrotach, czy całych nawet wierszach. Poeta nie dba o to, że już raz, może niedawno, w innym wierszu tak samo się wysłowił. Ponieważ to wyrażenie właśnie mu teraz potrzebne, bierze je z pamięci gotowe i używa znowu w wierszu, który teraz pisze, nie troszcząc się całkiem o to, że go czytelnik o brak inwencyi może oskarżyć. Czasami nawet praktykuje on to na wielką skalę, z większą śmia-

łością, niżby się godziło, kiedy jak w *Pieniu kura północnego* całe zwrotki, a w *św. Cecylii* wkłada całe długie ustępy z wierszy, które już dawniej był napisał i wydał. Robi on to jednakże zupełnie z dobrą wiarą, nie widzi w tem nic zdroźnego, i usprawiedliwia się zapewne przed samym sobą tem, że jeśli sztukmistrzowi wolno brać co dobrego dla siebie gdziekolwiek znajdzie, to tym bardziej wolno mu pożyczać sobie w ten sposób ze swojej własności. On chce tylko przy tem ulżyć sobie samemu, nie chce myśleć po raz drugi nad rzeczą, którą już raz zrobił, aby ją w nowe formy odziać, i jego niezbyt surowe pojęcia literackie, swoboda jego pióra, i powiedzielibyśmy, pewna niedbałość, która zwykle łatwości tworzenia towarzyszy, nie mają nic przeciw temu i na takie plagjaty chętnie się zgadzają. Inny jednak poeta przyzwyczajony więcej do rygoru sztuki, pewnieby tego tak łatwo nie uczynił. Bo czytelnik zawsze to uważa za słabą stronę, za wadę autora, jeśli znajdzie w nim coś, o czem powiedzieć sobie musi: ja to już gdzieś czytałem — a tembardziej nabierze do niego uprzedzenia, jeśli tego „gdzieś“ tak niedaleko przyjdzie mu szukać.

Nie siląc się pod żadnym względem iść wiernie za wzorami starożytnych mistrzów, nie dopasowując do nich swoich własnych sił i zdolności, Grochowski osiągnął tę wielką korzyść, że jest naturalnym i prawdziwym. Cenny ten przymiot utworom jego dodaje bardzo wiele powabu i wartości, i wynagradza brak niektórych innych zalet. Jest on zawsze samym sobą, natchnienia swego nie zmusza do Ikarowego lotu w ślad za tymi, co wyżej daleko niż on wznieść się zdołali, i lubo mniej poprawny i wygładzony od innych, ma tę ujmującą swobodę, która na jego wierszach pewne piętno swojskiej oryginalności wyciska. Z natury myśl jego i uczucie nie sięgają wysoko, do wyżyn filozoficznych się nie wznosi, ani nie jest ognistym, genialnym duchem. Jednakowoż są chwile, gdzie się ten boski ogień żywym płomieniem w nim rozpala; chwile rzadkie, ale dowodzące prawdziwego wyższego natchnienia lirycznego. Taki wyjątkowy u niego stan widzieliśmy szczególnie w przekładzie Kantyków i w oryginalnych przemowach do Boga i Zbawiciela przy tłumaczeniu Naśladowania. Uczucie religijne, gorąca i szczerza wiara podniosły tutaj ducha poety do niezwyklej wysokości, i tak grozę Izraelskiego Boga jak i własną ufność w miłosierdzie Stwórcy i dziękczynną modlitwę za otrzymane od niego łaski, umiał on oddać w słowach pełnych siły i zapału. Czasami znowu uczucie patryotyczne nastraja go na ten ton wyższy. Ilekroć gromi złych synów ojczyzny, ilekroć stawia sobie przed oczy ubie-

głą jej świetność i potęgę w porównaniu z obecnym upadkiem i bezsilnością, ilekroć ziomkom swoim wskazuje ich zaszczytne powołanie, że mają być wałem i przedmurzem chrześcijaństwa i do wojny z niewiernymi ich zachęca, czyni to zawsze w tak gorący i do serca przemawiający sposób, że na chwilę wątpić nie można, że jak najmocniej o tem co pisał sam był przeświadczony, i że głęboko i naprawdę sam to odczuwał.

Normalnem usposobieniem nie jest jednakowoż u niego ten stan podnieconego uczucia. Jak wszyscy nasi dawniejsi poeci, jak ich mistrz i typ najdoskonalszy, Jan Kochanowski, jest i nasz poeta umysłem i duchem dążącym do harmonii i umiarkowania, zamilowanym szczególnie w tej złotej, środkowej drodze, którą tak uwielbiał Horacy. Uczucie spokojne i łagodne, pogład na świat trzeźwy i rozsądny stanowią zarówno jego, jak i jego towarzyszy charakterystyczną cechę. Jego fantazya nie rozbuja się nigdy w nieskończoność, ani nie ma na tyle siły, aby rzeczywistość do olbrzymich podnieść rozmiarów. Ona poprzestaje na odtworzeniu tego, co ją w życiu powszednim w zwyczajnych stosunkach otacza. Odtwarza zaś to w rysach nie zbyt wybitnych i silnych, na większe i szersze obrazy się nie zdobywa, nie ma w sobie dość plastyki, ani nie rozporządza świetnym, w oczy bijącym kolorytem. Nie jest ognistą ani bogatą, prześlizguje się więcej po powierzchni, ale jest przytem ruchliwą i skrzętną, umie zbierać drobne rysy i szczegóły i niemi wcale hojnie szafuje. Grochowski czasami za wiele mówi, wtrąca mianowicie rzeczy, które nie koniecznie do jego głównego pomysłu są potrzebne, i wolelibyśmy zapewne, żeby ich nie było, bo tym sposobem całość przez większe ześrodkowanie myśli zyskałaby na sile i więcej by się zaokrągliła. Pomimo to nawet te jego dygressye nie nużą nas i znajdujemy w nich jakiś powab i interes, bo ta ruchliwa fantazya poety, odwodząc nas wprawdzie od głównego celu, umie zająć temi ubocznymi swemi pomysłami i nowemi obrazami.

Równy, umiarkowany i spokojny ton najodpowiedniejszy jest dla usposobienia Grochowskiego, nie szarpie nim nawet cierpienie i wtedy gdy cios rzeczywisty go dotknie, tylko przechodzi w łagodny smutek i poważną żalność, jak tego przykładem mogą być *Treny* na śmierć dwóch przyjaciół, Dobrocieskiego i Maciejowskiego, pisane. Może być że wiek podeszły poety wpłynął w znacznej przynajmniej części na to zmodifikowanie i obniżenie uczucia. Mówiąc bowiem o Grochowskim, może nie bez racji należałoby zwrócić uwagę i na tę także okoliczność, że wiersze jego pochodzą

najwięcej z tego okresu jego życia, kiedy już starość mogła odjąć lotność jego fantazyi i uczucia w nim złagodzić i osłabić. Rzadkim wypadkiem między poetami, wtenczas kiedy inni już skończyli albo zwykli kończyć swój zawód, on go dopiero niemal poczyna. Mając około lat sześćdziesiąt wydaje przekład Hymnów kościelnych i od tego dopiero czasu rozwija prawie nieprzerwaną czynność pisarską, kiedy dawniej tylko w pewnych chwilach, nieraz z długimi przerwami się odzywał. Wszystko prawie, co mamy po nim, z wyjątkiem kilku drobnych wierszy i tych pieśni, któremi wstąpienie na tron Zygmunta III. i zwycięstwo pod Byczyną sławił, pochodzi z okresu między sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem jego życia, jest zatem dziełem starca, którego wyobraźnia mogła się przyćmić, którego namiętności wygasły, a uczucia pierwotną żywość musiały stracić. I dziwić się zaiste trzeba, że w tym wieku zachował on jeszcze taką czerstwość umysłu, że rozwijając się widać późno i powoli, jeszcze w starości miał tyle siły duchowej w sobie, bo bądź co bądź nawet w ostatnich jego pracach nie znać wcale zniedołężnienia i upadku talentu, i ten 70-letni starzec pisze tak dobrze, z taką łatwością i energią, jak gdyby o dwadzieścia przynajmniej lat był młodszy. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby między jego wcześniejszemi a późniejszymi utworami żadnej nie było różnicy; owszem, w takich dawniejszych pracach, jak wiersz na Postyllę Wujka, jak Kalliopea Słowieńska i pieśni o Byczynie, czuć się daje większa siła i treściwość, znać nawet, jak w Kalliopei, większą staranność w kompozycyi, i jeszcze Kantyki z taką precyzją języka i mocą wyrażenia są tłómaczone, że różnicę tę koniecznie dojrzeć i uznać musimy. Lecz mimo to nie jest ona i w najpóźniejszych latach tak znaczną, żeby uderzała rażąco w oczy, i Grochowski do ostatka cieszy się pełnią i nienadwątlą siłą swego talentu.

Pogoda umysłu, spokój wewnętrzny, brak trosk rodzinnych, których on jako ksiądz i bezzenny w większej mierze nigdy pewnie nie zaznał, to były jak się zdaje przyczyny, dla których umysłowe jego siły tak długo bez szwanku zachować się mogły. „Rym a modlitwa to są dzieła moje“ — powiedział o sobie Grochowski w liście do Piotra Fabrycego — i w istocie życie podzielone między pracę literacką a kapłańskie obowiązkowe albo z osobistego natchnienia płynące modły do Boga, musiało upływać mu, z wyjątkiem nieodzownych na świecie przykrości, równo, swobodnie, bez dotkliwych bólów i walk wewnętrznych. Poeta czuł się zadowolonym z życia, był do niego przywiązany, umiał żyć z ludźmi

i dobrych ludzi często spotykał, nie miał przesadnych wymagań, a to co było koniecznem na świecie umiał znieść bez sarkania i oburzania się, znajdując w tem pomoc zarówno w swoich religijnych zasadach i uczuciach jak i w zdrowo na rzeczy patrzącym swoim rozsądku. Stąd płynął także i jego humor, wcale nie cierpki, owszem jowialny, dobronudzny i słodki, który mu rozjaśniał niegdys widok świata, a do dziś pism jego nie małą ozdobę i miłą przyprawę stanowi. W humorze tym przebija szczególnie lekka ironija, z jaką poeta często i innych i siebie samego, a czasem i najpoważniejsze rzeczy tego świata traktuje. Przypominamy tu ustępy z Toruńskich Noey i z listu do Tylickiego, gdzie o swych chorobach i bliskiej swej śmierci pisze. Tę katastrofę przyjmuje on nawpół z uśmiechem na ustach, i znając dobrze znikomość rzeczy ludzkich żartuje sobie lekko ze siebie, jako jednego z tych, co tak twardej konieczności czy chcą, czy nie chcą poddać się muszą, jak kiedyindziej żartuje sobie znów ze słabej natury ludzkiej, która mając nawet nadzieję lepszej przyszłości za grobem, ze wszystkich sił trzyma się jednak ziemi. Ilekroć także zdarzy mu się sposobność, umie być dowcipnym, a zaletą jego nie małą i to także, że tej sposobności naumyślnie nie wywołuje. Dowcip jego jest ostry i zręczny, uderza nim na przeciwnika szybko i zniemacka i znów się cofa, udając że złośliwym być nie chce i szkodzić nie ma zamiaru. Tym „dotkliwym rymem,“ o który jeszcze według naszego domysłu sam w napisie nagrobnym się obwinia, nie często on jednakowoż raził ludzi, przynajmniej sądząc według istniejących jego pism; raz dotknął nim biskupów ubiegających się o katedrę krakowską, drugi raz Warszewickiego; mógł był nim dokuczyć także i Pękowskiemu, ale wobec tego ile mógł naprawił swoje przewinienie, a nie jego to już wina, jeżeli ta ośmieszona przez niego figura już za naszych czasów z rękopisów „Babiego Koła“ na światło dzienne znowu wyszła. Miejscami dowcipnym, a miejscami rubasznym jest znów Grochowski w swoim paszkwilu na Rozentretera i Danowskiego.

Poeta tej miary co Grochowski zadawałniał w zupełności współczesnych sobie czytelników. Wymagania były wtedy jeszcze mniejsze, o bardzo wiele mniejsze niż w naszych czasach, bo ludzie XVI. i początku XVII. wieku nie mieli tej rozlicznej skalj porównań jaką my dzisiaj mamy. Owoczesny czytelnik polski czytywał książki w dwóch językach: w polskim, których liczba była jeszcze bardzo szczupła, i w łacińskim. Czytelników tych ostatnich nie mogło jednak być wielu; ogół szlachty na ławach szkolnych

żegnał się z łacińskimi autorami, których przecież w ciągu swej nauki nie mógł tak wiele poznać; w późniejszym wieku tylko wybrane umysły delektować się jeszcze mogły pięknosciami Horacego lub Wergiliusza. Greckiej literatury nie znano wcale (rozumie się nader rzadkie wyjątki nie wchodzą tutaj w rachubę), chyba co nieco w tłumaczeniach łacińskich. Z nowożytnych literatur jedyna włoska istniała już od trzech wieków i dobiła się europejskiego stanowiska; po włosku jednak mało kto u nas umiał, a pewien wpływ tej literatury na naszą dopiero nieco później się objawił. Inne literatury były zaledwie w zawiązkach, jak francuska, a mniej jeszcze niemiecka, tych zaś kilku genialnych poetów, którzy w tych czasach albo im bliskich po dalszych stronach Europy zajaśniali, jak gwiazdy poza naszym systemem słonecznym leżące, w Polsce byli zupełnie nieznani. Równocześnie z Grochowskim żył naprzykład Szekspir, ale można śmiało zaręczyć, że u nas wtedy ani jeden człowiek nawet nazwiska jego nie słyszał. Tak więc, smak owoczesnych ludzi przy tak wielkim braku porównania nie miał się na czem wyrobić i różnym wielce musiał być od dzisiejszego wykształconego na tych wszystkich znakomitych utworach, które produkcya literacka w ciągu trzech ostatnich wieków w całej Europie wydała. Żeby dzisiaj ten smak zadowolnić potrzeba bardzo wiele, potrzeba dorównać tylu genialnym twórcom, których dzieła są w żywej u ogółu pamięci, albo co równie nie jest łatwo, zaimponować oryginalnością, pokazać światu coś nowego. Owoczesny czytelnik zaś nie żądał od poety wielkich pomysłów, ani subtelnych lub podniosłych uczuć, bo nie znał jeszcze rozmiarów, do jakich one dojść mogą; nie żądał wysokiego arcyzmu, bo mało znał prawdziwych dzieł sztuki; nie żądał także nowości, bo dla jego naiwnego i nieprzpeelnionego wrażeniami umysłu, wszystko niemal było nowe i świeże. Wystarczało wówczas dla poety wybrać przedmiot mogący mieć jakiś ogólny interes (więc coś z wydarzeń politycznych lub z codziennego sielskiego życia) i odziać go we dźwięczne rymy, napisane gładko i tak, żeby się łatwo pamięci chwytaly. Główną wartość ówczesny czytelnik przywiązywał do tej zewnętrznej formy, to jest do dobrego wysłowienia czyli do języka poety. Myśl nawet prozaiczna zwięzłe i zręcznie, z pewną obrazowością oddana, a okraszona gdzie była sposobność dowcipem i humorem, była dla niego poczytą, a uwaga jego skierowana była więcej na szczegóły niżli na całość obrazu, który mu poeta przedstawiał, więcej na ornamentykę, niżli na kompozycyę i ideję utworu. Kto więc władał dobrze językiem, kto umiał gładkie rymy układać i w nich myśl

swoję z pewną plastyczną wypukłością oddać, ten zyskiwał już poklask i dobijał się łatwo sławy poety.

Grochowski za życia cieszył się znaczną sławą i należał do pisarzy najwięcej czytanych. Każdy jego utwór doczekał się w krótkim czasie co najmniej drugiego wydania, i z pism jego zrobiono (1608) zbiorową, chociaż nie kompletną edycyę. Poważał go i cenił jego talent Szymonowicz, jak to widać ze szczupłej ich korespondencyi; a że kardynał Maciejowski na stopie dość poufałej z nim przestawał, że Grochowski bywał miłym gościem po domach różnych kościelnych i świeckich dygnitarzy, że mu niektórzy biskupi płacili pensye, nie z innej się to działo przyczyny tylko z tej, że uznawano w nim celnego i odznaczającego się poetę.

Owa pocie tak chleba dostawa,  
Że się i kustosz przy nim żywić może

powiedział Grochowski o sobie <sup>1)</sup> — a więc ten poeta musiał mieć wartość w oczach ludzkich, skoro za rzecz stosowną uważano pracę jego wynagradzać nawet hojniej niżeli jego służbę kapłańską. Andrzej Loechius, rodem Szkot, łaciński panegirzysta, który w Polsce wtedy przebywał i do wielkiego, większego nad wartość tutaj doszedł rozgłosu, tak że Miaskowski osierocołą po Janie Kochanowskim lutnię w jego ręce oddawał <sup>2)</sup>, przy wydaniu Trenów na zejście Maciejowskiego napisał wiersz pochwalny dla Grochowskiego, w którym zaszczytnie się o nim wyrażając, nazwał go „nieostatnim między pierwszymi swego czasu zarówno talentem jak i sztuką“ <sup>3)</sup>. Większą jeszcze pochwałę oddał mu Starowski, który ze współczesnych Grochowskiemu oprócz niego tylko jeszcze Klonowicza i Szymonowicza za godnych osobnych biografij w swej książce uważał, powiadając, że w polskim wierszu bardzo sławny i zapewne pierwszy po Kochanowskim <sup>4)</sup>. Wreszcie przypomnieć się tutaj jeszcze godzi już raz przez nas przytaczane słowa jezuitę Wielwickiego, w których chlubne dla Grochowskiego pozostawił świadectwo, jaką o nim opinią mieli jego współcześni i ci co go ota-

<sup>1)</sup> Toruńskich Noey karta pierwsza.

<sup>2)</sup> „W pośrodku Polski przystałam do Szkota“ mówi Miaskowski w wierszu: Lutnia Jana Kochanowskiego.

<sup>3)</sup> De eodem Polono Poeta inter primos hujus temporis ingenio et arte non postremo.

<sup>4)</sup> Polonici Carminis scriptione longe celeberrimus et certe post Cochanovium primus. Starowski, Hekatontas.



czali najbliżej, kiedy go nazwał „znakomitym tego czasu w języku polskim poetą“ (magnus hujus temporis poeta polonicus).

Nie wątpimy, że tę powszechną sławę zjednał Grochowskiemu przedewszystkiem piękny jego język. Jestto zaleta, która i dziś u niego najwięcej wpada w oczy, a która przez współczesnych najwyżej zawsze była cenioną. Cokolwiek by mu kto chciał zarzucić, tego odmówić nie może, że słowem władał dzielnie i prawie po mistrzowsku. Jeżeli ideałem polskiej dykcyi w wierszu jest dla nas w owych czasach Jan Kochanowski, to ze wszystkich poetów tej epoki, z jedynym wyjątkiem Szymonowicza, najbliższym tego ideału będzie bezwątpienia Grochowski. Język jego swobodą swoją, potocznością i tym trudnym do naśladowania swojskim charakterem, który nas tak mocno chwyta za serce, dziwnie jest podobny do języka Jana z Czarnolesia, tak że chcąc nie chcąc musimy bliskiego między nimi dopatrzeć się pokrewieństwa. Kochanowski jest twórcą i ojcem tego języka; dla współczesnych poetów był w nim powagą i wzorem; którego wpływowi wszysej się poddawali. Jak Mickiewicz w naszym stuleciu, jako jedyny doskonały w ojczystej mowie poeta, górował on nad swoim pokoleniem i tak opanował innych swoim talentem, że marzeniem tych co po nim do pióra się brali, stało się to przedewszystkiem, aby jak najwięcej do niego się zbliżyć i ile możności mu dorównać. Coś piękniejszego nad jego język współcześni pewnie sobie nie wyobrażali, i naśladowując go w nim ile im siły pozwalały, nie mieli sobie tego za ujmę ani poniżenie własnych zdolności. Tak samo było i z Grochowskim. Od początku swego poetycznego zawodu na nim on musiał się kształcić i już w latach swej praktyki autorskiej oddał mu się całym sercem do tego stopnia, że ta miłość, szacunek i wdzięczność za to, że tak wiele się od niego nauczył i skorzystał, do końca życia w nim nie wygasły. Kiedy będąc już 70-letnim starcem przenosił się myślą w świat drugi i wyobrażał sobie, jak tam wszystkich co mu w życiu najdrożsi byli zobaczy, nie zapomniał między nimi w tem wymarzonem niebie umieścić i Kochanowskiego i cieszył się nadzieją, że go tam równie z innymi zobaczy:

. . . tam mój Kochanowski,  
Który na skale polskiej Kaliopy  
Położył pierwszy swe szczęśliwe stopy.

„Mój Kochanowski“ odzywa się Grochowski o swoim mistrzu, jak mówił do swoich najlepszych przyjaciół i dobroczyńców: „mój kardynale, mój Dobrocieski,“ z którymi żył blisko i codziennie prze-

stawał, i którym dużo zawdzięczał. Kochanowskiego bezwątpienia nie znał on osobiście, nigdy go może nie widział, więc ten szacunek i ta miłość, które dla niego uczuwał, tylko z idealnych płynęły pobudek. Była to cześć i przywiązanie ucznia dla mistrza, hołd poety mniejszego, który w poecie większym widział swój ideał, co mu w całej jego karierze od początku do końca przyświecał.

Własnymi jego słowy (z dedykacyi Psalterza biskupowi Myszkowskiemu) wyraził Grochowski uczucia, które dla Kochanowskiego był ożywiony. I zdarza mu się to częściej, bardzo często, że z większymi lub mniejszymi zmianami, a nieraz całkiem wiersze, mistrza swojego powtarza. Najwięcej takich plagjatów jest w jego różnych Trenach i z Trenów Kochanowskiego. Nic dziwnego gdyby to arcydzieło Jana z Czarnolesia było ulubioną Grochowskiego książką; cała Polska musiała rozbrzmieć w owe czasy temi cudnymi pieśniami ojcowskiego żalu; tylu poetów naśladowało je więcej niż którekolwiek inne z dzieł Kochanowskiego. Musiał też Grochowski nie tylko Treny ale i inne pisma swego mistrza, a między niemi przedewszystkiem Psalmi, z których liczne pożyczki w jego wierszach równie napotykalimy, jak to mówią umieć na pamięć; przez tyle lat przecież w nich się rozczytywał, skoro uczucie dla Kochanowskiego do śmierci w nim tak żywe pozostało. Powtarzał więc z nawyknięcia i przez pewien pietyzm słowa ukochanego swego poety, i obrazy jego stawały mu mimowoli przed oczami, ilekroć podobieństwo własnych pomysłów na pamięć mu je przywiodło. Czynił on to tem bardziej, że właściwy mu sposób tworzenia i pisania odznaczał się, jak to już raz nazwalimy, pewną swobodną niedbałością. Grochowski sam siebie często powtarzał, aby na nowe formy się nie silić, dlaczegożby nie miał powtarzać tego, który był dla niego i całej owej epoki niedoścignionym wzorem piękności języka? Zresztą owoczesni poeci, nie tylko u nas lecz i wszędzie, nie byli tak skrupulatni w tej mierze jak dzisiejsi, a krytyka, to jest sąd publiczności, wcale im tego za złe nie brała. Czy to w przekładzie z klasyków, czy w powtórzeniu dosłownem narodowych autorów, czy w formie większego czy mniejszego naśladownictwa, wkładali oni cudze myśli, zdania i całe ustępy w swoje własne utwory, nie wstydząc się tego bynajmniej i nie uważając za rzecz, któraby ich własnej twórczości i talentowi ujmę przynosiła. I owszem, uważali to z jednej strony za chlubny dowód swego wykształcenia i odczytania, a z drugiej za cenną ozdobę własnych utworów, które przez te pożyczane, zwykle uznanej



powszechnie piękności ustępy, nabywały nowego blasku, jak złoto jeśli się w nie oprawi dyament.

Te tak liczne plagjaty z Kochanowskiego pokazują nam wyraźnie, że Grochowski wpływowi jego, zwłaszcza pod względem języka ulegał i z tem się tańc wcale nie myślał. Ale byłby on prostym tylko naśladowcą, plagjatorem i niczem więcej, gdyby był poprzestał na tem strojeniu się w cudze pióra. Uczynił on jednak daleko więcej, bo idąc za przykładem swego mistrza, zapatrując się na niego jako na doskonały wzór, własny swój język tak wykształcił, że do pewnego stopnia dorównał mistrzowi. Nie jest to już niewolnicze naśladownictwo, ale własna zdolność i zręczność, umiejętność nabyta pod wpływem i kierunkiem obcym. ale w dalszym zastosowaniu praktycznym samoistna i samodzielna. Grochowski nie jest tym niewyzwolonym jeszcze z nauki uczniem, który tylko za wskazówkami i według planu mistrza pomysł jakiś wykonać potrafi. On wykształciwszy się w tej dobrej szkole pracuje już na własną rękę, zna tajemnice sztuki, umie je sam zastosować, i nie czekając rady nauczyciela, wykona sam własnymi siłami i własną zdolnością co przedsięwziął. Pomimo wielu podobieństw czujemy, że język, którym on pisze, jest jego własny, że poeta nie nabył go przez samo naśladownictwo, ale że w jego organizacji umysłowej, w naturze jego talentu musiało być coś takiego, co to podobieństwo wywołało. Gdyby swego języka był się tylko wyuczył na Kochanowskim, gdyby chciał go być zawsze i wszędzie naśladować, język ten bezwątpienia byłby się zrobił suchym, nie-naturalnym i sztywnym. Tymczasem dykcya Grochowskiego posiada wprost przeciwne temu przymioty. Jest naturalną i prostą, pełną życia i kolorytu, ma w sobie pewną jędrność i soczystość, która o jej wrodzonym zdrowiu i sile tak dobrze świadczy. Nie jest w ogóle tak szlachetną i poprawną jak u Kochanowskiego, bo tym kierowały zawsze doskonalsze pojęcia estetyczne i ideał jego poetyczny niezaprzeczenie był wyższy, ale nigdy nie popada w trywialność ani prozaiczną oschłość. Grochowski ma prawie zawsze jakiś powab w wystąpieniu się, który zatrzymuje uwagę czytelnika nawet tam, gdzie błądy pomysł, gdzie pewna rozwlekłość kompozycji inaczej nużyć by go musiały. Ma często natchnione prawdziwie wyrażenia, które niespodziewanie napotykając, zastanawiamy się i dziwimy się im. Ma zwroty tak szczęśliwe, tak oryginalne w znaczeniu narodowym, tak zgodne z duchem języka i charakteru polskiego, że zdają się prosić, aby je zachować sobie w pamięci i umieścić w skarbcu pięknej frazeologii.

Gamma tych tonów, jakie on za pomocą języka wydobywa, jest przytem niezwykle obszerną i rozległą. Od pełnych siły i grozy akordów, dających się słyszeć w przekładzie Hymnów kościelnych, od wysokiego lotu lirycznego, do jakiego czasem w patryotycznym swoim uczuciu się podnosi, język jego przechodząc przez pośrednie stopnie poważnej i spokojnej dykcji czy to pieśni, czy listu poetycznego, zniża się do cienkich tonów pieśczołliwości albo też ostrych satyrycznego dowcipu. W tej mierze, powiedzielibyśmy, Grochowski przewyższa Kochanowskiego. Bo kiedy język tego ostatniego jest mniej więcej zawsze równy sobie i jednaki, i ma niby pozór nieruchomej i nieznoszącej barw posągowości, u Grochowskiego bije w oczy większą różnorodnością i malarskimi swymi właściwościami. Mianowicie brakuje w lutni Kochanowskiego tej słodkiej i dźwięcznej struny, która tak pieśczołliwe tony w Wirydarzu u Grochowskiego wydała, i tego ciętego, ludowego dowcipu, z jakim nasz poeta flamandzkie figury swego „Babiego Koła“ nakreślił.

Pod względem etymologicznym i gramatycznym język Grochowskiego jest takim, jakim pisali autorowie XVI. wieku. Są w nim wyrazy i formy, które z biegiem czasu, już od XVII. stulecia, wychodziły z użycia i dzisiaj nie istnieją. Do pewnego stopnia język ten wygląda przeto dla nas archaicznie. Niewątpliwie pomiędzy wyrazami dzisiaj już nieużywanymi znajdują się i takie, których Grochowski nie brał od swych poprzedników, ale które sam, czując tego potrzebę utworzył. Z tych nie zwykłych wyrazów ułożyłby można niemal cały słowniczek; poprzestajemy jednak tylko na przytoczeniu poniżej niektórych, dla dania wyobrażenia o tych filologicznych osobliwościach naszego poety.<sup>1)</sup>

W deklinacjach i koniugacjach używa on pewnych form w daleki przed nim czas sięgających, a mających niedługo po nim nowym formom coraz więcej ustępować. Drugi przypadek rzeczowników żeńskich kończy się jeszcze u niego nie na (miękkie lub twarde) dzisiejsze *i*, lecz na *e*: *ziemie*, *obietnice*, *nadzieje*, a w innej ich kategorii ma dawną formę z zainkowanej deklinacji poży-

<sup>1)</sup> odmiot = odrzucenie, naśladownik, waliny = rozwaliny, święcica = święta niewiasta, równowłajca = równą władzę mający, rząńca = rządcą, pogębki = policzki, dać komu policzki, szczyt = puklerz, ostatnie gorze = nieszczęście, dostateczny = dostatni, zamożny, zakamiały = skamieniały, pozorny = okazały, piękny, smęcić się = smuć się, nie lepszy się = nie poprawia się, lekować = leczyć (rany), odlecać = polecać, zalecać i t. d.

czoną *ey*: mizeryey, Maryey. Pisze on także: królewice, nie jak my dzisiaj, wybierając dla tego wyrazu drugie z dwóch zakończeń 5. przypadku deklinacji męskiej (tj. *e* i *u*): królewiczu; pisze jak Kochanowski: po Bodze, kiedy my dzisiaj w rzeczownikach męskich kończących się na spółgłoskę gardłową w 7. przypadku używamy zakończenia *u*: po Bogu. W 3. przypadku liczby mnogiej przy rzeczownikach żeńskich zachowuje stale pierwotne właściwe zakończenie *am*: bestiam, rzeczam stworzonym, kolumnam kościelnym, nocnym ciemnościam. Również i liczba podwójna tak w deklinacji jak i w konjugacji, gdzie tego rzeczywista potrzeba, nie tak jak w dzisiejszej mowie ludu, gdzie często liczbę mnogą zastępuje, bywa u niego ściśle zachowywana; Grochowski pisze: dwie gwieździe, abyśta (mówiąc do rodziców) dziatki dziątek swoich oglądała, kochała się w sobie (N. Panna i Jezus), i w innych podobnych wypadkach: nie umiewa, mawa, klęczwa. Stopień najwyższy przymiotników i przysłówków formuje się jeszcze u niego przez dodanie przyrostka *na*: nawyszym dobru, nawierniejszy, nawięcej. Tryb życzący i warunkowy wyraża w dawnej formie aorystycznej: bychmy obaczyli, radbych, lubo także i w formie nowszej: rzekłbym. Zaimki osobiste w 4. przypadku l. p. na rodzaj żeński mają u niego stale prawidłowe zakończenie *ę*: moje, naszą, swoją. Z pojedynczych form uderzyć może dzisiejszego czytelnika: owo się (ozwij się), łatwie (łatwo), słusza (słuszna) itp. Charakterystycznym jest także u niego na wzór łaciny używanie genitivu comparationis: rym złota droższy.

Zarówno te wyszłe z użycia wyrazy jak i formy gramatyczne nadają językowi Grochowskiego pewną patynę starożytności, przyczyniającą się ze swej strony do powiększenia tego powabu, jaki ma dziś dla nas ta mowa czerstwa, zdrowa i tak nawskróś rodzimym duchem przesiąknięta. Grochowski godzien jest ze wszech miar dla tego pięknego słowa, które się u niego nietknięte i z całą świeżością z wieku XVI. przechowało, być czytany i dzisiaj, i to nie koniecznie tylko przez tych, dla których staje się to z zawodu obowiązkiem. Warto by z nim poznać i szersze nieco koła publiczności. Pierwszym warunkiem do tego musiałoby być wydanie jego dzieł, jakiego jeszcze nie posiadamy. Dawne wydania należą dziś po większej części do rzadkości bibliograficznych, i nie ma biblioteki, któraby się całym Grochowskim poszczycić mogła. Za życia poeta nasz kompletnej edycji zbiorowej swych różnych pism i drobnych często pisemek nigdy nie zrobił. Później sława jego i znaczenie, wpośród dość smutnych stosunków literackich XVII-go

i smutniejszych jeszcze połowy XVIII-go wieku, jak wszystkich prawie poetów Zygmunto-wskich czasów, z wyjątkiem Kochanowskiego, prędko przebrzmiały i dzieła jego poszły w zapomnienie. Za naszej dopiero pamięci przypomniał go światu Turowski w swej Bibliotece Polskiej, i dobrze się przez to i autorowi i publiczności przysłużył. Lecz i jego wydanie, choć z widoczną starannością i nie małą pracą zrobione, nie jest zupełne. Wydawca uwzględnił szczególnie tylko wiersze świeckiej treści, chociaż i tu są luki i braki, z utworów zaś religijnych, uważając je widać za pozbawione interesu dla dzisiejszych czytelników, pewną tylko część umieścił. A jednak i te opuszczone należałoby wydobyć z zapomnienia i uzupełnić niemi spuściznę literacką po Grochowskim, bo bez nich obraz jego działalności nie jest całkowity i niejedyn skarby językowy w nich się ukrywa. Pamięci jego należy się ten hołd od potomności, a mowie ojczystej urosć stąd może niezawodny pożytek, bo ten drugorzędny poeta złotego okresu jest rzeczywiście pierwszorzędnym pisarzem i jednym z najdzielniejszych mistrzów słowa.